

Przy współpracy Steve'a Pieczenika

Tom Clancy

AKTA

cykl NetForce t.2

TLUMACZYŁ ANDRZEJ ZIELIŃSKI

tytuł oryginału: Tom Clancy's NET FORCE: Hiden Agendas

wydanie polskie: 2000

wydanie oryginalne: 1999

Podziękowania

Pragniemy gorąco podziękować Steve'owi Perry'emu za jego inspirujące pomysły, jakże przydatne podczas przygotowywania maszynopisu. Pragniemy również podziękować następującym osobom: Martinowi G. Greenbergowi, Larry'emu Segriffowi, Denise Little, Johnowi Helfersowi, Robertowi Youdelmanowi, Esq., Richardowi Hellerowi, Esq. i Tomowi Mallonowi, Esq.; Mitchell Rubinstein i Laurie Silvers z BIG Entertainment; cudownym ludziom z Penguin Putnam Inc., a zwłaszcza Phyllis Grann, Davidowi Shanksowi i Tomowi Colganowi; naszym producentom miniseriale ABC, Gilowi Catesowi i Dennisowi Doty; reżyserowi i scenarzyście Robowi Libermanowi i wszystkim wspaniałym ludziom z ABC. Jak zawsze, pragniemy podziękować Robertowi Gottliebowi z agencji Williama Morrisa, naszemu przyjacielowi i agentowi, bez którego ta książka nigdy nie ujrzałaby światła dziennego, oraz Jerry'emu Katzmanowi, wiceprzewodniczącemu agencji Williama Morrisa i jego kolegom z telewizji. Ale, co najważniejsze, to ty, Czytelniku, rozstrzygniesz czy nasze przedsięwzięcie zakończy się sukcesem.

Największe niebezpieczeństwa dla wolności czyhają w podstępnych zakusach fanatyków, którzy chcą dobrze, ale nie rozumieją.

*Louis Brandeis**

Nie ma bowiem nic ukrytego, co by nie miało być ujawnione, ani nic tajemnego, co by nie miało być poznane i nie miało wyjść na jaw.

Św. Łukasz, 8:17

PROLOG

Środa, 15 grudnia 2010 roku, godzina 2.44

Baton Rouge, Luizjana

Zimny i wilgotny wiatr wiał za oknami budynku, nie dość potężny, żeby trzęsły się podwójne szyby Thermopane, ale wystarczająco silny, by z wykuszów fasady w stylu art-deco wydobyć czasem poświst, tak niski, że przypominał pojękiwania.

Wewnątrz siedział przy biurku samotny nocny strażnik, a właściwie strażniczka. Pochylona nad laptopem robiła streszczenie długiego i niesamowicie nudnego tekstu wykładu profesora Jenkinsa na temat warstwowego układu formacji skalnych w południowej Nowej Zelandii. Był to jeden z tematów wprowadzenia do geologii, ostatniego obowiązkowego przedmiotu z nauk przyrodniczych, jaki pozostał jej do zaliczenia. Odkładała go, dopóki mogła, ale koniec studiów szybko się zbliżał i w końcu musiała się do tego zabrać. Wybrałaby astronomię, która była podobno łatwa i przyjemna, ale wszystkie miejsca były już zajęte, zanim zdążyła się zalogować do rejestracji. Szkoda. Gwiazdy były znacznie ciekawsze niż skały.

Kathryn Brant westchnęła, odchyliła się na skrzypiącym krześle i przetarła oczy. Geologia. Paskudztwo.

Znów pochyliła się nad biurkiem. Krzesło wydało dźwięk, jakby ktoś wyciągał gwóźdź z mokrej deski. Boże! Było nowe, a już skrzypiało, jakby stało przez parę lat na deszczu Luizjany. Ale tak właśnie było, kiedy kupowało się wszystko, wybierając najtańszą ofertę - a przetarg

prawdopodobnie wygrywał ten, który dał łapówkę komuś w dziale zaopatrzenia. W tutejszym biznesie łapówki były na porządku dziennym. Kathy przez dwa semestry studiowała nauki polityczne na uniwersytecie stanowym i na szczęście była już blisko dyplomu. Studiowanie historii doktryn politycznych było niemal koniecznością w Luizjanie, gdzie ludzie do dziś ciepło wyrażali się o Hueyu Longu, gubernatorze, który ponad siedemdziesiąt pięć lat temu został senatorem, a potem padł ofiarą zamachu, dokonanego w głównej części gmachu parlamentu stanowego, tuż obok, na końcu holu.

Huey był tylko jednym z długiej listy łobuzów, którzy rządili stanem, i to przy poparciu mieszkańców Luizjany. W końcu wielkie firmy naftowe przez całe dziesięciolecie płaciły za wszystko, nie było podatku dochodowego, żadnego wartego wzmianki podatku od nieruchomości, więc jeśli już miało się kogoś wybrać, to dlaczego nie jakąś barwną postać, zwłaszcza, że nic to nie kosztowało? Jej profesor nauk politycznych opowiedział kiedyś studentom, jak - kiedy był nastolatkiem - przyjeżdżał z kolegami do gmachu parlamentu stanowego, żeby usiąść na galerii i oglądać Wysoką Izbę w działaniu. Twierdził, że było to ciekawsze niż chodzenie do kina. Ludzie przybywali z całego kraju, żeby studiować historię doktryn politycznych Luizjany, i słusznie.

Uśmiechnęła się, kiedy wiatr zawył koło szklanych drzwi, prowadzących na dziedziniec parlamentu. Huey tam był, duchem i w brzośnie, tuż za rogiem, a reflektor, ustawiony na szczycie wysokiego, spiczastego budynku - jednego z najwyższych na całym Południu i wciąż najwyższego w całym stanie - znów rzucał wiązkę światła na wielki pomnik populistycznego męczennika. Co jakiś czas władze stanowe ogłaszały zaciskanie pasa i wyłączały ten reflektor, żeby oszczędzić parę dolarów, ale zawsze włączały go wkrótce z powrotem. Turyści wciąż przyjeżdżali zobaczyć starego Hueya, gołębie i całą resztę.

Dorabianie podczas studiów na posadzie strażnika w parlamencie nie było najciekawszym zajęciem na świecie, ale przynajmniej miało się mnóstwo czasu na naukę, a przecież o to głównie chodziło...

Rozległ się brzęczący sygnał telefonu komórkowego. Uśmiechnęła się i odczepiła maleńkie urządzenie od paska. Wiedziała, kto dzwoni. Nikt inny nie telefonowałby o tej porze.

- Cześć - powiedziała.

- Cześć, Kathy - powitał ją mąż.

- Dlaczego jeszcze nie śpisz? - spytała. - Za nic nie zdążysz na zajęcia do Tłustego Tyłka.

- Olewam go. Brak mi ciebie. Jestem taki samotny w tym wielkim łóżku. Nagi pod kołdrą. I pełen pożądania dla mojej młodej żony.

Kathy roześmiała się. - Jesteś silny w gębie, ty capie. Gdybym w tej chwili weszła do domu, zacząłbyś jęczeć, że musisz złapać choć trochę snu.

- O, nie, łaskawa pani. Wracaj do domu, to ci udowodnię. Mam dla ciebie wielką niespodziankę.

- Nie taką znowu wielką, dziecino. Powiedziałabym, że to raczej... przeciętna niespodzianka.

- A skąd możesz wiedzieć? Wracaj do domu, to się przekonasz. Ćwiczyłem ciężary.

Roześmiała się. - Kusisz... - zaczęła.

Nie dokończyła tego zdania. Fala uderzeniowa uderzyła ją z tak potężną siłą, że gdyby funkcjonariusze dochodzeniówki nie wiedzieli, kim była, nigdy nie zdołaliby jej zidentyfikować, nawet na podstawie uzębienia. Kiedy różne agencje zakończyły przetrząsanie ruin - policja miejska i stanowa, straż pożarna, ATF^{*}, FBI - okazało się, że wśród krwawej miazgi, która była kiedyś ciałem Kathy Brant, tylko osiem zębów zachowało się w nienaruszonym stanie i żaden z nich nigdy nie był tknięty laserem dentysty.

Jedyną pociechą było to, że przynajmniej nie cierpiała. Nie miała pojęcia, co się z nią stało.

I

GARŚĆ INFORMACJI

01

Piątek, 17 grudnia 2010 roku, godzina 12.55

Quantico, Wirginia

Alexander Michaels, dyrektor Net Force - elitarnej jednostki FBI - ciężko uderzył o podłogę. Upadek był bardziej bolesny, niż się tego spodziewał; aż zaparło mu dech w piersiach. Na szczęście prawie cały impet poszedł na lewy pośladek, a nie na prawy, przez który dwa miesiące wcześniej wyszła kula, kiedy Michaels został postrzelony w udo. Rana już się niemal zupełnie zagoiła; czasem tylko trochę piekła.

Kobieta, która właśnie rzuciła nim o ziemię, była jego zastępczynią. Wicedyrektor Antonella „Toni” Fiorella, całe metr sześćdziesiąt osiem wzrostu i może z pięćdziesiąt kilo wagi.

Zanim zdążył zaczerpnąć powietrza, Toni opadła obok niego na kolano i wymierzyła krótki cios w jego twarz prawym łokciem, uderzając się w niego lewą dłonią dla lepszego efektu i w celu ustawienia lewej ręki do następnego uderzenia, gdyby uznała je za potrzebne.

Nie było potrzebne. Michaels ani myślał ją atakować. Ledwie mógł oddychać. Uśmiech był wszystkim, na co było go w tej chwili stać.

Toni podała mu rękę, a on chętnie skorzystał. Wstała i pomogła mu się podnieść.

- Nic ci się nie stało?

Zdołał nabrać dość powietrza, żeby powiedzieć: - Nie, wszystko w porządku. - Zachowanie uśmiechu na twarzy było jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie ostatnio przyszło mu robić, ale jakoś sobie poradził.

- To dobrze. Widziałeś, jak to zrobiłam?

- Chyba tak.

Zwykle ćwiczyli tego rodzaju rzuty na przyjemnie grubej macie, udostępnionej przez FBI w mniejszej z dwóch sal gimnastycznych w centrali Net Force. Od czasu do czasu przenosili się jednak z maty na podłogę. Toni, która zaczęła ćwiczyć tę ezoteryczną sztukę walki w wieku dwunastu lat, wytłumaczyła mu, dlaczego potrzebny jest taki trening.

- Jeśli cały czas będziesz ćwiczył na macie, przyzwyczaisz się do miękkiego, amortyzującego podłoża. Jeśli upadniesz na jezdni, czy na chodniku, nie będzie już tak łatwo. A ponieważ mnóstwo walk kończy się w parterze, musisz wiedzieć, jak to wygląda.

Słusznie.

Potrafił to zrozumieć, chociaż nie był pewien, czy kiedykolwiek opanuje tę sztukę w wystarczającym stopniu, żeby upaść na beton i odbić się jak gumowa piłka. Ale przynajmniej po miesiącu treningu, po pięć dni w tygodniu, Michaels zapamiętał w końcu nazwę tej sztuki walki: *Pukulan Pentjak Silat*. Albo w skrócie *silat*. Toni powiedziała mu, że to uproszczona wersja bardziej skomplikowanej sztuki walki, która wyłoniła się z indonezyjskiej dżungli mniej niż sto lat temu. Jego zastępczyni nauczyła się jej od leciwej holenderskiej Indonezyjki, która mieszkała naprzeciwko państwa Fiorella w Bronx. Toni była kiedyś świadkiem, jak ta starsza pani rozprawiła się z czterema chuliganami, którzy próbowali przepędzić ją z ławeczki przed domem. Był to z ich strony wielki błąd. Michaels był pod wrażeniem umiejętności Toni. Jeśli to, co mu pokazała, było proste i łatwe, to wcale się nie palił do rzeczy trudniejszych.

- Dobra, teraz ty spróbuj.

- Uderzysz z lewej, czy z prawej? - spytał.

- To bez znaczenia - odpowiedziała. - Jeśli będziesz kontrolował centrum tak, jak powinieneś, poradzisz sobie w każdym wypadku.

- Teoretycznie - powiedział.

Uśmiechnęła się do niego. - Teoretycznie.

Skinął głową, próbując się odprężyć i przyjąć neutralną postawę. Toni mówiła, że tak właśnie trzeba. Należało być zdolnym do działania w każdej pozycji, w jakiej człowiek się znajdował w momencie ataku; gdyby było inaczej, to po co w ogóle zawracać sobie głowę? Jeśli jakimś bandziorowi nie spodoba się twoja twarz, nie będziesz mieć czasu na ukłon i przyjęcie postawy wyjściowej. Trudno byłoby się spodziewać, że facet, nacierający na ciebie z nożem w ciemnej uliczce, pozwoli ci pobiec do domu, żebyś mógł zdjąć buty i założyć ubiór do walki - *gi* - podczas gdy on będzie stał i czekał, czyszcząc paznokcie czubkiem noża. Jeśli jakaś technika nie sprawdzała się w praktyce, indonezyjscy wojownicy nie przekazywali jej swoim uczniom. Im nie zależało na wierności *do*, duchowej „drodze”. Ich sztuka była kwintesencją walki ulicznej, w której wszystko jest dozwolone. Nie sztuką błyskawicznych, widowiskowych ciosów, lecz sztuką wojenną. W *silat* nie wystarczyło pokonać przeciwnika - trzeba go było zniszczyć, posługując się wszystkim, co akurat było pod ręką: pięściami, stopami, łokciami, nożem, pałką, bronią palną...

Toni rzuciła się na niego.

Należało najpierw zablokować atak, a potem przesunąć w bok środek ciężkości, w tym wypadku na zewnętrzną stronę napastnika. Zamiast tego, skołowany Michaels zastosował blok i przeszedł na wewnętrzną stronę wysuniętej stopy Toni. W teorii, jak sama powiedziała, nie miało to znaczenia, bo dobre było wszystko, co skuteczne.

Prawe udo wsunął między nogi Toni, napierając na jej spojenie łonowe. Cała uwaga, jaką koncentrował na obronie, jakby gdzieś... wyparowała. Zdołał zablokować cios, ale teraz stał jak wryty. Nie wykonał następnego ruchu. Był aż nadto świadom ciepłego ucisku jej krocza na swoim udzie, nawet przez dwie pary spodni od dresów.

Cholera!

- Alex?

- Przepraszam, pogubiłem się.

Michaels szybko zrobił krok do tyłu. Parę miesięcy temu tamten zamachowiec omal go nie zabił; gdyby nie Toni, zabójca dopadłby go, więc lepsze opanowanie sztuki samoobrony wydało mu się rozsądnym pomysłem. Ale w tej chwili bliski, wręcz intymny kontakt fizyczny z Toni przysparzał mu chyba więcej problemów, niż potrafił ich rozwiązać. A już na pewno pojawiał się pewien szczególny problem, bez którego Alex mógłby się obejść...

- Hej, szefie.

Michaels otrząsnął się z erotycznych myśli. Jay Gridley stał przy wejściu do sali gimnastycznej i patrzył na nich dwoje.

- O co chodzi, Jay?

- Chciał się pan zapoznać z tą sprawą w Luizjanie, kiedy tylko otrzymamy informacje. Właśnie ściągnąłem cały pakiet od zespołu terenowego w Baton Rouge, mam przekaz wideo i raporty. Ma pan

to oznakowane w poczcie elektronicznej.

Michaels skinął głową. - Dzięki, Jay. - Spojrzał na Toni. - Muszę się z tym zapoznać.

- Więc skończmy na razie. Wrócimy do treningu w poniedziałek - powiedziała. - Chyba że jutro będziesz w pracy?

- Niestety. Miałem nadzieję popracować przy samochodzie, ale muszę się przekopać przez te sprawy finansowe. We wtorek mam stanąć przed komisją senatora White'a.

- Tobie to dobrze - powiedziała Toni.

- Prawda?

Złożyli sobie nawzajem ukłon, który w *silat* zaczynał i kończył trening, i Michaels ruszył do szatni.

Sheldon Gaynel Worsjam miał szesnaście lat i był uczniem szkoły średniej w New Istrouma. Wyglądał na dwanaście lat, był chudy, miał czarne, przetłuszczone włosy sięgające ramion i loczek, opadający na lewe oko. Ubrany był w granatowe spodnie-bojówki i czarny podkoszulek ze zgniozielonym, pulsującym logo, czymś w rodzaju plakietki z wypisanym rozchwianymi literami słowem „GeeterBeeter”. Cokolwiek by to oznaczało.

Smarkacz siedział oklapnięty na tanim krzeselku przy ciężkim plastikowym stole, podrapanym i poobijanym przez lata użytkowania. W rogu ktoś wyciął serce z inicjałami w środku; dziwne, bo wydawało się oczywiste, że w tym pomieszczeniu noże i inne ostre przedmioty nie miały prawa się pojawiać.

Mężczyzna, który siedział naprzeciwko Worshama, był przysadzisty, rumiany na twarzy, ubrany w tani ciemny garnitur. Równie dobrze mógłby mieć na głowie migający neon z napisem GLINA.

- Więc opowiedz mi o tej bombie - powiedział policjant.

Worsham skinął głową. - Dobrze, dobrze. No więc nie

chodzi o *semtex* czy *C-4*, albo o jakieś inne gówno w tym rodzaju, ale o *RQX-71*, supertajną substancję chemiczną, używaną w konwencjonalnych głowicach bojowych. Jest pochodną znanej od dawna substancji, zwanej *PBX-9501*. Mam mówić o sprężystości anizotropowej albo o polimeryzacji izotropowej? O stopniach rozprężania i tak dalej?

- Pomińmy to na razie - powiedział glina. - Skąd wzięłeś ten materiał wybuchowy?

Smarkacz wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Sam zrobiłem w laboratorium chemicznym. Gwizdnąłem kartę magnetyczną z biurka woźnego i podrobiłem ją, ściągnąłem kody alarmowe i zakradałem się do laboratorium nocami. Zajęło mi to ledwie tydzień. W pewnym momencie zrobiło

się trochę niebezpiecznie, myślałem, że sam się wysadzę w powietrze, ale wszystko dobrze się skończyło.

- Więc sam to zrobiłeś. I zrównałeś z ziemią nowiutki, dwupiętrowy aneks do gmachu parlamentu.

Smarkacz uśmiechnął się jeszcze szerzej. - No. Duża sprawa, co? - Worsham wyprostował się w plastikowym krześle.

- A wybuch zabił strażniczkę, która pracowała tam, żeby zarobić na studia.

- Cóż, przykro mi, że tak się stało, ale tak naprawdę, to nie moja wina. Dranie nie powinni wyrzucać na bruk mojego taty, kapuje pan?

- Twój ojciec pracował przy budowie tego aneksu.

- Dopóki te głupie sukinsyny nie wyrzuciły go z roboty. Chciałem dać im nauczkę, kapuje pan?

Policjant skinął głową. - I chyba ci się udało. - Poruszył się na krześle. Cienki plastik zaskrzypiał ostrzegawczo. - A skąd wzięłeś ściśle tajną recepturę tego... RAQ?

- *RQX-71*. - Smarkacz posłał gliniarzowi najszerszy uśmiech, na jaki go było stać. - To było najłatwiejsze. Ściągnąłem ją z sieci.

* * *

Michaels odchylił się na krześle w sali konferencyjnej i spojrzał na Toni i Jaya Gridleya. Gridley dotknął panelu kontrolnego i przerwał projekcję holograficznego zapisu przesłuchania.

- Nieutulony w żalu z powodu zabicia młodej kobiety, co? - mruknął Michaels.

- Smarkacze mają obojętny stosunek do śmierci - powiedział Jay. - Za dużo przemocy w telewizji, na wideo, rzezie w VR*.

- A ta receptura? - spytała Toni.

- Dokładnie tak, jak powiedział ten mały sukinsyn - odparł Jay. - W sieci, dostępna dla wszystkich. Wykasowaliśmy ją, kiedy tylko się dowiedzieliśmy. Ktoś to umieścił anonimowo, przez jakiś *recaster**. Próbuje dotrzeć do sprawcy, ale wygląda na to, że dobrze pozacierał ślady.

- Kto mógłby coś takiego zrobić? Po co? - pytała dalej Toni.

- I skąd wzięli tę recepturę ci, którzy umieścili ją potem w sieci? - dodał Michaels.

Jay wzruszył ramionami. Stuknął w panel i nad stołem pojawił się holograficzny obraz

zniszczonego budynku. W zasadzie była to tylko sterta gruzu, z której tu i ówdzie sterczały stalowe belki. W świetle reflektorów połyskiwały kawałki szkła, w kilku miejscach wciąż unosił się dym.

- Jezu! - powiedziała Toni.

- Aha - przytaknął Michaels. - Tylko że tym razem spadło to na nas, a nie na Niego. Musimy za wszelką cenę znaleźć tego, kto wprowadził recepturę do sieci, gdzie znalazł ją nasz socjopatyczny nastolatek.

- Licznik wskazuje, że plik zawierający przepis na *RQX-71* ściągnęło ponad dziewięćset osób, zanim go wykasowaliśmy - powiedział Jay. - Pozostaje tylko mieć nadzieję, że nikt, kto go ściągnął, nie żywi do kogoś urazy.

Michaels pokręcił głową. Dziewięćset. Dziewięćset grózb, że jeszcze ktoś spróbuje wyprodukować ten materiał wybuchowy. Dziewięćset możliwości, że komuś się uda, i że zburzy jakiś budynek, tak jak zrobił to Worsham, albo - co gorsza - wysadzi w powietrze siebie i całą szkołę pełną dzieciaków.

Jakim trzeba było być bydlakiem, żeby zrobić coś takiego? Worsham był najwyraźniej stuknięty, brakowało mu w mózgu paru kluczowych neuronów, ale naprawdę chory był ten, kto udostępnił tę recepturę w sieci. Musieli znaleźć go jak najszybciej.

A i Boże Narodzenie szybko się zbliżało. W okresie świąt praca w Net Force praktycznie ustanie, a on sam musiał polecieć do Idaho, żeby się zobaczyć z córką, Susie. No i z byłą żoną, Megan. Jedno było pewne: takie perspektywy budziły w nim mieszane uczucia. Ośmioletnia Susie była najjaśniejszym promyczkiem w jego życiu, ale Waszyngton dzielił od Boise kawał drogi, więc w żadnym razie nie widywał córki tak często, jak by sobie tego życzył. A Megan? Cóż, to była jeszcze jedna puszka Pandory, której wołał w tej chwili nie otwierać. Rozwód stał się faktem ponad rok temu, ale gdyby zadzwoniła i poprosiła, żeby natychmiast wracał do domu... Do niedawna nie miał wątpliwości, że rzuciłby wszystko i poleciał. Ale ostatnio żar uczuć, jakie w sobie nosił, nieco przygasł. Michaels dowiedział się, że Megan się z kimś spotyka. Że jest z innym mężczyzną i jest jej dobrze.

- Alex?

Spojrzał na Toni. - Przepraszam, zamyśliłem się. O co chodzi?

- Joan Winthrop będzie tu o drugiej trzydzieści.

Gridley prychnął. - Słodka Idiotka? Czego tu chce?

- Porucznik Winthrop będzie nam pomagać w tej sprawie - powiedział oficjalnym tonem Michaels. - Pułkownik Howard był tak dobry i pozwolił nam wypożyczyć ją na jakiś czas. Będzie pracowała z tobą.

- Co takiego? Szefie, ja jej nie potrzebuję - protestował Jay. - To idiotka, ma fiu bździum w głowie...

- Jay - ostrym tonem przywołał go do porządku Michaels.
- Przepraszam, szefie. Ale ona będzie tylko włożyć mi w drogę.
- Jeśli dobrze pamiętam, jej średnia ocen była wyższa niż twoja - powiedziała Toni.
- Też mi coś, w takiej uczelni.
- MIT*, prawda?
- Tak jest, ale to już nie ten sam poziom, co kiedyś. Na topie jest teraz CIT*.

Alex pokręcił głową. - Jay, będziesz musiał pracować z porucznik Winthrop bez względu na dzielące was różnice poglądów. Mamy do rozwikłania paskudną sprawę i będzie nam potrzebna wszelka pomoc. - Machnął ręką w stronę projektora holograficznego.

Gridley skinął głową, ale mięśnie szczęk napinały mu się, kiedy zgrzytał zębami.

Cudownie, pomyślał Michaels, jeszcze jeden problem, jakbym nie miał ich już dosyć. Komputerowa primadonna, zazdrosna o swoją pozycję. Po prostu cudownie.

Jego tymczasowa sekretarka weszła do sali konferencyjnej. - Panie dyrektorze, dzwoni dyrektor Carver.

Michaels wstał. - Odbiorę u siebie w biurze. - Machnął ręką na Jaya i Toni. - Może byście się czymś zajęli?

02

Piątek, 17 grudnia 2010 roku, godzina 13.45

Waszyngton, Dystrykt Columbia

Thomas Hughes wkroczył do biura senatora, jakby do niego należało, wraz z całym budynkiem i miastem dookoła. Pomachał recepcjonistce. - Cześć, Bertha. Jest sam?

- Tak, panie Hughes.

Hughes skinął głową. Znał Berthę od kilkunastu lat. Była z Bobem od jego pierwszej kadencji, ale do Hughesa wciąż zwracała się per „panie Hughes”, a on nie zachęcał jej, żeby to zmienić. Przeszedł przez sekretariat, zastukał do drzwi gabinetu i otworzył je, nie czekając na odpowiedź.

Jason Robert White, lat pięćdziesiąt sześć, senator Stanów Zjednoczonych ze wspaniałego Ohio, siedział za biurkiem. Bawił się grą komputerową. Uniósł wzrok, marszcząc brwi, niezadowolony, że mu przeszkadzają, zanim zorientował się, kto się ośmielił wtargnąć.

- Cześć, Tom. - White przesunął dłonią nad sensorem w podkładce i obrazy z małego projektora holograficznego zamarzyły w trójwymiarowej stopklatce. Przedstawiały dwóch facetów podczas walki wręcz; jeden z nich był zielony i pokryty łuską. Jezu!

- Dzień dobry, Bob. Jak tam lunch z Hicksem? - Hughes podszedł do bladej zielonej skórzanej sofy, usiadł i spojrzał na swego pracodawcę.

White wyglądał o dobre dziesięć lat młodziej niż wynikałoby to z jego metryki. Na twarzy miał głęboką, chemiczną opaleniznę, a jego szpakowate włosy były perfekcyjnie uczesane. Miał na sobie elegancki, skrojony na miarę granatowy garnitur, koszulę z różowego jedwabiu i krawat w paski, z godłem pułku, który nigdy nie istniał. Hughes nie widział jego stóp, ale nie miał wątpliwości, że buty senatora były włoskie, ręczna robota. W sumie to, co senator miał na grzbiecie, kosztowało pewnie tyle, ile Hughes zarabiał miesięcznie, albo i więcej. Wzorcowy senator, elegancki, w dobrej formie, na pewno dobrze czujący się w szytych na miarę garniturach. Potrafił zagrać walca wiedeńskiego na fortepianie, mówił niezłe po francusku i niemiecku, radził sobie na korcie tenisowym, a na polu golfowym w swoim klubie przekraczał sto punktów tylko, kiedy miał zły dzień. Człowiek, który bez wysiłku przechadzał się korytarzami międzynarodowej władzy.

Hughes natomiast wiedział, że widać po nim każdy dzień z jego pięćdziesięciu dwóch lat. Miał dziesięć kilo nadwagi, nosił przyzwoitą, ale niedrogą sportową marynarkę firmy Harris Tweed i szare wełniane spodnie od Nordstroma, gotowe, nie szyte na miarę, a do tego sportowe buty Nike. Łączny koszt ubrania, które miał na sobie stanowił może jedną dwudziestą wartości stroju White'a.

White odchylił się na krześle i machnął lewą ręką. - Cóż, Tom, tak sobie. Znasz Hicksa. Nigdy nie daje więcej niż pięć centów, ale żąda dziesięciu w rewanżu. Jeśli zależy nam na jego poparciu, to szanowny senator z Florydy chce, żeby baza lotnictwa Marynarki pozostała w Pensacola po wsze czasy.

Hughes skinął głową. Niczego innego nie oczekiwał. - Świetnie. Dajmy mu to, czego chce. Co nas to obchodzi? Jego głos ma żywotne znaczenie. Mając go po naszej stronie, przeciągniemy także Boudreaux i Mullinsa. Z nimi przepchniemy sprawę przez komisję i doprowadzimy do impasu na posiedzeniu plenarnym.

White uśmiechnął się do swojego szefa kancelarii. - I pewnie nie zaszkodzi to naszym układom z admirałem Pierce'em.

- Z pewnością. - Hughes zerknął na zegarek, złotego Rolexa, którego White podarował mu w przededniu wyborów, w wyniku których został senatorem. Hughes kierował jego kampanią wyborczą i taki zegarek znacznie przekraczał swą wartość wszystko, na co mógłby sobie kiedykolwiek pozwolić. Dla White'a, do którego rodziny należała połowa Ohio i część Indiany, Rolex był niewartym wzmianki drobiazgiem. Hughes nigdy nie nosił niczego kosztowniejszego, i chociaż teraz stać go było na więcej, nie mógł sobie na to pozwolić, jeśli nie chciał, żeby zainteresowały się nim organy ścigania.

- Czy ty i Raleigh nie jesteście przypadkiem umówieni na golfa piętnaście po drugiej? - przypomniał White'owi.

- Starszy pan odwołał. Za zimno dla niego. Osobiście przypuszczam, że nie chciał, żebym mu znowu dał w dupę. Ostatnim razem byłem lepszy o dziewięć uderzeń. Zamiast grać w golfa, idziemy do Bersona na drinka o wpół do trzeciej.

- Dobrze. Pamiętaj, poprowadź rozmowę tak, żeby to on pierwszy poruszył sprawę Stoddarda. Zachowaj zimną krew, daj się prosić. Raleigh nie wie, że tobie zależy na tym bardziej niż jemu.

- Będę jak góra lodowa - zapewnił White. Machnął ręką w stronę obrazów holograficznych, zastygłych nad komputerem. - Grałeś kiedyś w DinoWarz?

- Nie, nigdy.

- Bardzo pomysłowy scenariusz walki jeden na jednego. Jest już pełna wersja VR, która od razu przenosi cię w sam środek akcji. Jakiś dzieciak ze szkoły średniej stworzył ją i umieścił w sieci. Dobra zabawa. Powinieneś kiedyś spróbować.

Hughes uśmiechnął się, próbując nie okazać pogardy, jaką odczuwał. White był bogaty, był synem, wnukiem i prawnukiem bogaczy. O dzieciach z zamożnych rodzin mówi się, że przychodzą na świat ze srebrną łyżką; w wypadku White'a była to łyżka z platyny, wysadzana diamentami. Gdyby tylko zechciał, mógłby przez całe życie przepuszczać po milion dolarów rocznie i nie wyczerpałby swego udziału w rodzinnym majątku. Nie był zupełnym głupcem, ale był dyletantem; godność senatora była dla niego wersją DinoWarz dla dorosłych i Hughes uważał, że mniej więcej tyle znaczyła. White myślał, że być senatorem Stanów Zjednoczonych, to... dobra zabawa.

- Jeszcze jedno - powiedział Hughes. - Ten zamach bombowy w Luizjanie.

- Och, tak. Coś strasznego.

- Gorzej niż strasznego. Gówniarz, który to zrobił, recepturę materiału wybuchowego ściągnął z sieci. Rzekomo ściśle tajną, wojskową recepturę.

- Nie chrzaniisz? - White pochylił się nad biurkiem, zbliżając twarz do półprzezroczystego holograficznego obrazu walczących mężczyzn. Pomachał palcami i obraz znikł.

- Myślę, że dokładnie to ci było potrzebne na przesłuchania w sprawie Net Force. Przecież oczekuje się od nich, że będą zapobiegać takim zamachom.

- To prawda.

- Może wspomnisz o tym, kiedy stanie kwestia budżetu. Każę Sally przygotować raport na temat tego zamachu. Ta młoda kobieta, strażniczka, która zginęła, była w koledżu, świeżo po ślubie i szykowała się do dyplomu.

- Cholerna szkoda - powiedział White. - Powiedz Sally, żeby wyeksponowała ten aspekt.

- Oczywiście.

Rozległo się ćwierkanie interkomu. - Sir, pańska limuzyna czeka - rozległ się głos Berthy. - Ma pan spotkanie o drugiej trzydzieści.

Hughes wstał. - Będę u siebie w biurze - powiedział. Zobaczymy się na odprawie o czwartej.

- Dzięki, Tom.

Kiedy senator udał się na umówione spotkanie, Hughes przeszedł korytarzem do swojego biura. Skinął głową Cheryl, swej sekretarce.

- Coś pilnego?

- Z Dayton dzwonił Louis Ellis. Będzie w Waszyngtonie w następny czwartek i chciałby porozmawiać z senatorem.

- Niech Bertha wstawi go na pół godziny z rana. - Ellis, jeden z kompanów ojca White'a, wyłożył pół miliona na ostatnią kampanię wyborczą senatora, mniej więcej legalnie, za pośrednictwem różnych komitetów politycznych. Drugie tyle wręczył pod stołem, w gotówce, której spora część trafiła do skrytki bankowej Hughesa, gdzie dotrzymywała teraz towarzystwa grubemu plikowi nowiutkich studolarowych banknotów, który znalazł się tam nieco wcześniej.

Hughes bardzo uważał, żeby nie narazić się na podejrzenia, że żyje ponad stan. Jego zachowanie było dokładnie takie, jakiego oczekiwano od szefa kancelarii senatora; od faceta, który zarabia ledwie dziewięćdziesiąt tysięcy rocznie. Po cichu i pod różnymi przebraniami Hughes załatwił sobie tłustą elektroniczną linię kredytową, ale nigdy nie szkodziło mieć na wszelki wypadek trochę gotówki.

Jeśli jego plan się powiedzie, będzie mógł używać banknotów ze skrytki do przypalania kubańskich cygar, gdyby przyszła mu na to ochota.

- Coś jeszcze?

- Dzwoniła masażystka. Będzie u pana w domu o siódmej.

Hughes skinął głową. Brit na pewno doskonale go wymasuje, ale masaż był tylko częścią świadczonych przez nią usług.

Wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

Gabinet Hughesa wyglądał spartańsko; jedynym dziełem sztuki był tu Picasso na ścianie za biurkiem. Sam Picasso niezbyt go obchodził, ale wiszący na ścianie gabinetu obraz, który był wart tyle pieniędzy, niewątpliwie robił wrażenie na ludziach, którzy naprawdę interesowali się tym starym hiszpańskim pacykarzem. W zależności od nastroju, opowiadał różne historie, kiedy pytano go o tego Picassa. Czasem mówił, że kupił go na jakiejś wyprzedaży za pięćdziesiąt dolców i patrzył, jak słuchaczom opadają szczęki. Innym razem opowiadał, że obraz dała mu pewna kobieta w dowód wdzięczności za wrażenia, jakich dostarczył jej w łóżku. Od wielkiego dzwonu mówił prawdę - że obraz był podarunkiem od szefa - ale to nigdy nie było specjalnie zabawne.

Usiadł za biurkiem na drewnianym krześle, które kiedyś należało do jego nauczyciela wychowania obywatelskiego w liceum, Charlsa Josepha. Hughes nie raz słyszał od Josepha, że nigdy do niczego nie dojdzie. Zachował krzesło, żeby przypominało mu, że to, do czego zamierza dojść w niezbyt odległej przyszłości, przekracza najśmielsze wyobrażenia starego Josepha, czy kogokolwiek innego. Senator White i jego rodzina będą wyglądali jak nędzarze w porównaniu z Hughesem. Wszystko szło zgodnie z planem.

Uśmiechnął się. O to właśnie chodziło i był już bardzo blisko celu. Doszedł do wniosku, że jest najsprytniejszy ze wszystkich. Potrafi tego dokonać.

Nie miał najmniejszych wątpliwości.

Zaćwierkał interkom.

- Wiceprezydent na trzeciej linii - poinformowała Cheryl. - Odbiorę - powiedział Hughes. - Ale niech poczeka parę sekund. Po co nam arogancki wiceprezydent, co? Cheryl zachichotała, a Hughes poczuł się bardzo dobrze. Jak dotąd, wszystko było w porządku.

Piątek, 17 grudnia 2010 roku, godzina 14.40

Quantico, Wirginia

W swoim gabinecie Alex Michaels spojrzął na zegar, mrugający w rogu obrazu holograficznego, który włączał się automatycznie, kiedy projektor nie miał nic innego do roboty. Była to sielska scenka, przedstawiająca współczesny spęd bydła, blokujący ruch samochodowy na jakiejś bocznej drodze w Kolorado. Michaels pracował kiedyś na rancho dla turystów w czasie wakacji letnich, jeszcze podczas koledżu. Znienawidził wtedy krów, a ten obrazek był jeszcze jednym z dowcipów Jaya Gridleya. Ten młody człowiek to uwielbiał. Myślał, że jest zabawny.

Michaels uśmiechnął się. Jay naprawdę był zabawny, chociaż Michaels wolałby, żeby kto inny stał się obiektem jego żartów.

Ale zegar informował, że porucznik Joan Winthrop powinna tu być od dziesięciu minut i takie spóźnienie zupełnie nie pasowało do tego, co wyczytał z jej akt. Sięgnął ręką do panelu kontrolnego interkomu. Jego sekretarka pracowała tu tymczasowo, zastępując Nadine, która była na urlopie. Może coś pokręciła.

- Liza, czy porucznik Winthrop nie była umówiona na drugą trzydzieści?

- Tak, panie dyrektorze - odpowiedziała młoda kobieta. Wydawała się wytrącona z równowagi. - Już... już przyszła, ale... jest zajęta.

Zajęta? Michaels wyszedł zobaczyć, co się tam działo.

Na podłodze obok biurka jego sekretarki, z płataniną czerwonych, białych i niebieskich kabli na kolanach, siedziała Joan Winthrop. Miała jakieś kieszonkowe narzędzie, za pomocą którego skręcała dwa z kolorowych kabli.

Nie zapomniał, jaka była atrakcyjna, ale uderzało go to na nowo za każdym razem, kiedy ją widział.

Winthrop była jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie Michaels kiedykolwiek spotkał. Wysoka, szczupła, miała długie, upięte włosy koloru miodu i zielone oczy, przy których gasł blask najkosztowniejszych szmaragdów. Miała na sobie niebieski kombinezon i czarne buty. Większość kobiet wyglądałaby niezgrabnie w takim stroju, ale ona była w tym prostym ubraniu bardzo pociągająca.

Zerknęła na Michaela. - Witam, dyrektorze - powiedziała. Wepchnęła płataninę kabli pod biurko, wstała, zamknęła swoje składane obciążki i powiedziała do sekretarki: - Spróbuj teraz.

Liza postukała w klawiaturę komputera. - Hej! Działa! Dziękuję!

- Nie ma za co - powiedziała Winthrop. Błysnęła promiennym uśmiechem, który byłby doskonały, gdyby nie lekko skrzywiony ząb, który jednak jej idealnemu wizerunkowi dodawał jedynie uroku. Skierowała uśmiechniętą twarz w jego stronę i Michaels poczuł ciepło tego uśmiechu z odległości pięciu metrów. Wspaniała kobieta, piękna i inteligentna. Zabójcza kombinacja. Była samotna i miała dwadzieścia kilka lat; o wiele za młoda dla takiego czterdziestoletniego Matuzalema. Mimo wszystko, przyjemnie było na nią popatrzeć.

- Przepraszam za spóźnienie, sir - powiedziała Winthrop. - W klawiaturze Lizy było zwarcie, a sam pan wie, jak działa nasz serwis komputerowy. Jeśli sytuacja nie jest awaryjna, ściągnięcie Technika zabiera im dwie godziny. A w nagłych wypadkach...

- ...trzy godziny - dokończył za nią Michaels. Uśmiechnął się do dziewczyny. Był to standardowy dowcip w Net Force. - Proszę, niech pani wejdzie.

Wskazał gestem drzwi do swojego gabinetu i czekał, aż wejdzie pierwsza. Powtarzał sobie w duchu, że jest tylko uprzejmy. Nie chodziło bynajmniej o to, żeby ją sobie obejrzeć od tyłu. Chociaż musiał przyznać, że jest na co popatrzeć. Przypomniał mu się stary dowcip Flipa Wilsona o żonie

kaznodziei, oczarowanej sukienką, którą przymierzała. Diabeł kusił: „Kup ją, kochanie, kup koniecznie!”. A żona kaznodziei na to: „A idźże ty z moich oczu, szatanie!”. Diabeł posłusznie stanął za nią i mruknął: „Hm... z tej strony też dobrze na tobie wygląda...”

Michaels odpędził od siebie te nieco erotyczne myśli. Winthrop była jego podwładną, młodszą od niego o kilkanaście lat, a on nie potrzebował w tej chwili żadnych dodatkowych komplikacji. Ale minął już kawał czasu, od kiedy orzeczono jego rozwód, a i przedtem, przez wiele miesięcy, zanim się wyprowadził, sprawy w domu nie układały się najlepiej. Od tego czasu ani razu nie był w łóżku z kobietą.

Praca i hobby mogą wypełnić mężczyźnie życie, ale nie do końca. Czytanie przed zaśnięciem też nie zawsze pomagało.

Uniósł wzrok i spostrzegł Toni. Stała w drzwiach, oparta o framugę i przyglądała mu się. Michaels poczuł się winny, chociaż niczego złego nie zrobił. Uśmiechnął się do niej blado i wszedł do swego gabinetu. Gdyby już zdecydował się rzucić w przepaść biurowego romansu, to z Toni, ale wiedział, że nawet nie powinien o czymś takim myśleć. Toni była oddanym współpracownikiem i przyjacielem, a on z całą pewnością nie chciał stracić ani jednego, ani drugiego dla byle romansu. Trudniej jest znaleźć przyjaciela niż kochankę.

A przynajmniej tak się mówiło. Minęło już tyle czasu, od kiedy wybierał się na randkę, że zdążył zapomnieć o sztuce uwodzenia. To nie jazda na rowerze, której się podobno nie zapomina.

Spojrzał na Joan Winthrop, która stała obok krzesła przy biurku, czekając na niego. Zabójczo wspaniała kobieta. Mimo woli wyobraził sobie, jak jej włosy wyglądałyby rozrzucone na poduszce, jaki wyraz miałyby jej twarz, kiedy patrzyłaby na niego w uniesieniu...

Pozwolił sobie na nieznaczne uniesienie kącików ust. Na szczęście z jego prysznicą zimna woda lała się silnym strumieniem. I prawdopodobnie będzie go potrzebował dziś w nocy.

- Dzięki za naprawienie klawiatury - powiedział.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Przeszedł za biurko, usiadł i gestem dał jej znać, żeby zrobiła to samo. Trzeba było przejść do spraw służbowych.

- Mamy pewien problem, poruczniku. Pułkownik Howard pomyślał, że będzie nam pani mogła trochę pomóc.

- Tak jest, sir. Wszystko, czego pułkownik sobie życzy. Ma o panu wysokie mniemanie, sir.

Michaels spojrzał na nią. Naprawdę? Parę miesięcy temu byłby takimi słowami zaskoczony. Ale od czasu porwania tego szalonego Czeczena Howard jakoś mniej cierpiał z powodu swego cywilnego dowódcy. Michaels ryzykował karierą, wydając rozkaz przeprowadzenia tamtej akcji, a Howard przeprowadził ją wzorowo. Może nawet zrodziło się między nimi coś w rodzaju

wzajemnego szacunku?

- O pani także, poruczniku. Od razu wymienił pani nazwisko, kiedy poprosiłem go o pomoc.

- Sir, jeśli nie robi to panu różnicy, proszę do mnie mówić Jo, albo Winthrop. Te wszystkie stopnie nie są potrzebne, jeśli się nie jest w akcji.

- Doskonale, Jo. I skoro już przy tym jesteśmy, możesz mi mówić Alex. Wszyscy staramy się tu być na luzie.

- Tak jest, sir... to znaczy, chciałam powiedzieć, dobrze, Alex. A więc co się stało?

Uśmiechnął się do niej i przesunął dłonią nad panelem kontrolnym komputera.

03

Sobota, 18 grudnia 2010 roku, godzina 7.50

Quantico, Wirginia

Pułkownik John Howard miał na sobie starą wiatrówkę z Gortexu, zakrywającą *S&W Model 66* kalibru 0,357 cala, rewolwer z krótką lufą, schowany w wyściełanej kaburze *Galco* na prawym biodrze. Kiedy miał okazję nosić broń, nie będąc w mundurze, wybierał właśnie tę kaburę. Miała plastikową wkładkę, wsuwaną między spodnie a koszulę, tak że mógł założyć kaburę i zdjąć ją bez potrzeby ściągania paska, a potem przewlekania go z powrotem przez szlufki. Było to wygodne, a przy tym *Galco* można było zasłonić połą ubrania równie łatwo, co zwyczajną kaburę, przypinaną do paska.

Dziesięć metrów przed nim bandyta z nożem wyskoczył z ciemności i rzucił się na niego. Do pokonania dzielącego ich dystansu napastnikowi nie trzeba było więcej niż dwóch sekund.

Howard przesunął się w lewo, odsłaniając przestrzeń między kurtką a ciałem, i sięgnął prawą ręką do tyłu, pod wiatrówkę. Złapał drewniany chwyt rewolweru, bezwiednie otwierając kciukiem zamknięcie kabury, kiedy zacisnął dłoń na broni. Wyciągnął *Smitha*, wysunął go w stronę bandziora, jakby chciał mu zadać prawy prosty i ściągnął spust. Przy tej odległości skorzystanie z przyrządów celowniczych trwałoby zbyt długo. I bez tego mógł jednak naprowadzić broń na cel.

Niecałe dwa metry przed Howardem bandyta stanął jak porażony, kiedy dziewięćdziesięciogranowy pocisk *Cor-Bon BeeSafe* o zwiększonej podatności na deformację

trafił go w tułów z prędkością 488 metrów na sekundę.

Drugi strzał padł ćwierć sekundy po pierwszym.

Na piersi bandyty rozbłysły czerwone światełka, w miejscach, w które trafiły pociski. Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, jak szybko może się poruszać człowiek z nożem. Jeszcze pół sekundy i wirtualny bandyta dopadłby Howarda.

Pułkownik zerknął na komputer tuż koło stanowiska strzeleckiego. Zobaczył niewielki holograficzny obraz bandyty, a pod spodem swoje wyniki. Czas reakcji: 1,34 sekundy od rozpoczęcia do oddania pierwszego strzału. Trafiony organ: serce. Szanse powstrzymania przeciwnika pierwszym strzałem: 94 procent. Rewolwer nie był ładowany tyłoma nabojami, co pistolet *H&K Tactical*, ale dla Howarda stanowił coś w rodzaju talizmanu i pułkownik czuł się z tą bronią pewniej niż z każdą inną.

Chowając rewolwer z powrotem do kabury poczuł ból w prawym ramieniu. A właściwie nie ból... jakby sforsowanie. Po jednym sięgnięciu po broń? Miał wrażenie, że ostatnio jakoś bardzo często bywa zmęczony...

- Nieźle, jak na starszego pana - powiedział sierżant Julio Fernandez. Stał na stanowisku obok, robiąc wiele huk i dymu ze swej sfatygowanej, wojskowej *Beretty 92*.

- Jeszcze raz - powiedział Howard, szczerząc zęby w uśmiechu.

Bandyta znikł. Gdyby był prawdziwym napastnikiem, a nie holograficznym celem, każdy z pocisków o zwiększonej podatności na deformację oddałby jego ciału 76 kilogramometrów energii, ponieważ pociski te były specjalnie zaprojektowane, by rozpaść się na kawałki w momencie uderzenia. Zrobiłyby miazgę z serca napastnika, ale nie przeszłyby przez jego ciało na wylot, więc nie pojawiłoby się niebezpieczeństwo przypadkowego trafienia, na przykład, jakiejś starszej pani, która spacerowałaby akurat w pobliżu z psem. W scenariuszach, których akcja rozgrywała się w środowisku miejskim było to szczególnie ważne. Oczywiście taka amunicja nie nadawała się do strzelania przez ściany czy drzwi samochodów, ale następne dwa pociski w bębenku były standardowe, z płaszczem i wybraniem wierzchołkowym, i poradziłyby z tym sobie bez trudu. Howard mógłby przekręcić bębenek o dwie pozycje albo, gdyby mu się śpieszyło, po prostu ściągnąć spust dwa razy, żeby mieć do dyspozycji pociski ze stalowym płaszczem.

- Dzień dobry, panowie - usłyszał zza pleców. Ochraniacze, które miał na głowie, zwane Wilczymi Uszami, wzmacniały normalne dźwięki, a jednocześnie tłumiły wszystkie na tyle głośnie, by go narazić na uszkodzenie słuchu. Odwrócił się.

To był jego szef, Alexander Michaels.

- Dyrektorze, co pana sprowadza na strzelnicę w niedzielę rano?

Michaels poklepał się po bezprzewodowym taserze obezwładniającym, przypiętym do paska na prawym biodrze. - Obowiązkowy trening. Pomyślałem, że wpadnę tu, kiedy nie będzie zbyt

wielkiego tłoku.

Howard posłał mu blady uśmiech i pokręcił głową.

- Nie jest pan wielbicielem taserów, co, pułkowniku? - spytał Michaels.

- Rzeczywiście nie, sir. Jeśli sytuacja jest na tyle niebezpieczna, że trzeba użyć broni, to lepiej, żeby to była prawdziwa broń.

- Cóż, z tego co wiem, taser daje 90 procent szans powstrzymania przeciwnika pierwszym strzałem, obojętne, czy ubranie zostanie przebite, czy nie. Poradzi sobie ze standardową kamizelką kuloodporną z kewlaru, a ponadto nie trzeba potem uprzętać zwłok.

Howard niemal słyszał, jak sierżant Fernandez kpiąco się uśmiecha. - Sierzancie, chciałby pan coś dodać?

- Cóż, nie trzeba sprzątać zwłok, chyba że facet, do którego się strzela, ma na sobie coś łatwopalnego, sir, bo wtedy może stanąć w płomieniach. A wtedy pańska broń, która ma obezwładniać, a nie zabijać, zmienia gościa w żywą pochodnię. Parę razy już się to zdarzyło.

- Sierżant ma rację. Ale największą wadą jest to, sir, że ma pan tylko jeden strzał - dodał Howard.

- Od wszystkich wymaga się, żeby mieli przy sobie jedną albo dwie zapasowe kasety. Podobno ekspertowi przeładowanie tasera zajmuje około dwóch sekund.

- A w tym czasie ktoś, kto całkiem przeciętnie obchodzi się z bronią ręczną, zdąży oddać do takiego „eksperta” cztery albo pięć strzałów. Albo zrobi to jego kumpel, bo przecież przeciwników może być więcej.

Michaels uśmiechnął się. - Cóż, sierzancie, wie pan, jak to jest z takimi wojakami zza biurka jak ja. Broń jest tylko formalnością. Nieczęsto nam się zdarza brać udział w akcjach.

- Słyszałem co innego, sir - powiedział Fernandez.

Howard nie przestał się uśmiechać. Michaels może sobie mówić, co mu się podoba, ale przecież stawiał czoło profesjonalnej zabójczyni, która przedostała się do centrali Net Force i zastrzelił ją z jej własnej broni. Zdobył tym sobie wiele uznania w oczach wielu ludzi, w tym i Howarda.

- Poza tym, do drobnych potyczek mam ludzi takich jak wy, oddanych, wyszkolonych - powiedział Michaels.

- Też coś - mruknął Fernandez, ale tak cicho, że Michaels prawdopodobnie nie usłyszał.

- No, nie będę wam przeszkadzał w treningu - powiedział Michaels. - Życzę miłego dnia, panowie. - Poszedł na koniec długiego rzędu stanowisk strzeleckich i zaczął się przygotowywać do

własnego treningu.

Sierżant pokręcił głową i spojrzał na Howarda. - Tasery, nocne koszule, kleista piana, działa fotonowe, amunicja z fasoli. Ciekawe, co ci z FBI jeszcze wymyślą. Gaz lemoniadowy? Wyrzutnie płatków różanych? Mam wrażenie, że tylko marnują czas i forszę.

- Żyjemy w politycznie poprawnych czasach, sierżancie. Rozwalanie bandziorów z broni maszynowej jest źle widziane, nawet gdyby to byli terroryści z kieszeniami pełnymi granatów. W wiadomościach wieczornych nie wygląda to dobrze.

- Te liberalne mięczaki doprowadzą wreszcie do tego, że służba w wojsku stanie się strasznie nudna, sir.

- Spodziewam się tego, sierżancie.

- Wie pan, sir, kto to jest konserwatysta?

- Aż boję się pytać.

- Liberal, który padł ofiarą napadu.

Howard uśmiechnął się. - Do roboty, sierżancie, zobaczymy, czy w strzelaniu jesteście równie dobrzy, jak w gadaniu.

- A może mały zakładzik, pułkowniku?

- Nie chciałbym cię ograbiać z pieniędzy, ale jeśli masz dość, żeby sobie pozwolić na przegraną, to proszę bardzo.

Mężczyźni roześmiali się.

Stojąc na ostatnim stanowisku strzeleckim, Michaels usłyszał śmiech pułkownika i sierżanta. Pewnie śmieją się z niego i jego tasera. Cóż, nie każdy jest żołnierzem. Jego ojciec robił karierę w siłach zbrojnych i to wystarczyło, żeby Michaels zniechęcił się do wojska. Wiedział, że potrafi zabić - w obronie własnej lub kogoś, kogo kocha. Uczynił to, kiedy tamta zabójczyni dostała się do centrali Net Force i posłużyła się Toni, żeby zwabić go w pułapkę do szatni przy sali gimnastycznej. Zastrzelił tamtą kobietę, znaną jako Selk, po tym, kiedy ona strzeliła do niego i próbowała pchnąć nożem Toni. Nie zawahał się tego zrobić, ale nie chciałby przeżyć czegoś takiego jeszcze raz.

Ustawił komputer na scenariusz kwalifikacyjny z tasera, upewnił się, że przy pasie, po lewej stronie, ma pojemnik z zapasowym zbiorniczkiem sprężonego gazu, odpiął taser i sprawdził, czy załadowany zbiorniczek jest w porządku. Był. Przypiął broń z powrotem do paska, nabrał głęboko powietrza i wypuścił je powoli. - Włączyć - rozkazał komputerowi. - Start w dowolnym momencie, od dwóch do trzydziestu sekund.

Jego taser, nowy model, był bezprzewodowy. Michaels nie całkiem rozumiał, jak działa ta broń; podobno dwie igły, wystrzeliwane z tasera, były czymś w rodzaju niewielkich, ale bardzo

skutecznych kondensatorów. Zasilane ze zwykłej dziewięciowoltowej baterii, igły były nieco grubsze niż wkład do wiecznego ołówka. Przenosiły ładunek elektryczny o wysokim napięciu, gdzieś w okolicach stu tysięcy woltów, ale o niewielkim natężeniu. Obwód zamykał się, kiedy obie igły trafiały w cel. Sprężony gaz - azot albo dwutlenek węgla, w zależności od modelu - wyrzucał igły na odległość do piętnastu metrów z mocą, wystarczającą do przebicia ubrania. Na normalny dystans - siedem do ośmiu metrów - elektrowstrząs obezwładniał praktycznie każdego przeciwnika. Broń miała też wbudowany maleńki laserowy celownik. Kiedy ścisnęło się uchwyt, czerwona plamka pokazywała miejsce, w które trafią igły. Jeśli się spudłowało, w odwodzie były jeszcze dwie elektrody w uchwycie, umożliwiające wykorzystanie tasera jako paralizatora, o ile napastnik znalazł się w zasięgu ręki. Wyglądem taser przypominał długą i cienką elektryczną maszynkę do golenia, albo może jeden z fazyerów ze starego, dobrego serialu telewizyjnego „Star Trek: Dziewiąte Pokolenie”.

Obsługa tej broni nie była skomplikowana. Wyciągało się taser w stronę przeciwnika, ścisnęło uchwyt, naprowadzało laserową plamkę na cel i kciukiem uruchamiało przycisk zwalniający igły. Jeśli wszystko dobrze poszło, pół sekundy później napastnik wił się na podłodze w drgawkach, spowodowanych elektrowstrząsem, zmuszony poniechać wszelkich niecnych zamiarów. Po kilku minutach niemal zupełnie dochodził do siebie, ale w tym czasie można zrobić mnóstwo rzeczy z facetem rozciągniętym bezsilnie na ziemi.

Oczywiście, czarne charaktery też miały dostęp do takiej broni. Żeby przeciwdziałać temu zagrożeniu, każdy taser musiał mieć swoją „wizytówkę”, tysiące kawałeczków kolorowego lub przezroczystego plastiku, domieszanych do sprężonego gazu i umożliwiających identyfikację zarejestrowanego nabywcy. Nie było możliwości pozamiatania wszystkich takich znaczników, rozsypanych po okolicy przy strzale z tasera...

Bandzior, który się nagle pojawił, rzucił się na Michaela. Miał w ręku żelazny łom. Biegając, zamachnął się nim...

Michael chwycił taser, wysunął go w stronę napastnika i ścisnął uchwyt. Czerwona plamka zatańczyła na nodze bandziora, ale nie miało to znaczenia. Byle trafić w dowolną część ciała. Wtłoczył kciukiem przycisk...

Na nodze bandyty pojawił się żółtawy błysk, ale napastnik nie przestawał biec!

Cholera...!

Michael chwycił lewą ręką zużyty zbiorniczek ze sprężonym gazem, przycisnął dwa guziki wyrzutnika i zaczął grzebać w poszukiwaniu zapasowego zbiorniczka, ale było już za późno. Zanim ponownie załadował taser, bandyta był już przy nim. Rozległ się głośny brzęczyk. Napastnik znieruchomiał.

Niech to diabli. Powinien był spróbować awaryjnego paralizatora.

Na lewo od Michaela pulsował jaskrawoczerwony napis, wygenerowany przez komputer: PUDŁO - MAM CIĘ. Zmniejszony teraz wizerunek napastnika wyjaśniał, co się stało. Taser był

zaprojektowany tak, żeby igły rozchodziły się odrobinę na boki - obszar ciała, przez który przechodziło wyładowanie elektryczne musiał być odpowiednio duży, aby powstała różnica potencjałów. Biorąc pod uwagę odległość, z której strzelał, noga nie była dobrym celem. Lewa igła trafiła w udo napastnika, ale prawa znajdowała się dwadzieścia pięć centymetrów obok - wyraźne pudło. Musiał poruszyć ręką w momencie strzału. Nie trzeba było wiele, żeby spudłować z tasera.

Gdyby to był prawdziwy bandyta, Michaels miałby roztrzaskaną czaszkę - chyba że nauka *silat* z Toni umożliwiłaby mu uniknięcie ciosu łomem i potraktowanie bandyty elektrodami paralizatora. Ale nie był w tym jeszcze wystarczająco dobry, żeby móc się zdać na tę sztukę walki.

Z niezadowoleniem pokręcił głową. Wziął ze stołu zapasowy zbiorniczek z gazem i schował go do pojemnika przy pasku. Przypiął taser z powrotem. - Jeszcze raz - rozkazał komputerowi. - Start w dowolnym momencie, od dwóch do trzydziestu sekund.

Demonstracyjnie unikał spojrzenia w stronę Howarda i Fernandez. Wiedział, że się uśmiechają.

Sobota, 18 grudnia 2010 roku, godzina 8.15

Waszyngton, Dystrykt Columbia

Toni siedziała w fotelu, który dostała trzy lata temu na gwiazdkę od najstarszego brata, Juniora. Brat miał sklep meblarski w niezłej okolicy w Queens - co zresztą nie znaczyło wiele. Zostało mu kiedyś kilkanaście foteli, których nie mógł sprzedać ani odesłać, ponieważ firma, która je wyprodukowała, zbankrutowała w okresie między złożeniem zamówienia przez Juniora a faktycznym dotarciem mebli do sklepu. Był to wygodny fotel, ale zgniłozielony kolor obicia jakoś nie trafił do gustu żadnemu z klientów. Niech więc przynajmniej ktoś ma z niego jakiś pożytek, powiedział Junior siostrze.

Uśmiechnęła się do telefonu, chociaż rozmawiała z matką tylko na linii audio. Mama nie lubiła wideotelefonu. A co będzie, jeśli taki telefon zadzwoni, zanim ona zdąży poprawić makijaż? Jeśli będzie akurat miała rozczochrane włosy? Jeśli będzie pod prysznicem?

- Mamo, skoro tak się martwisz, że te rozmowy tyle mnie kosztują, to dlaczego nie zamówisz ISDN* lub DL* i nie poprosisz Aldo, żeby podłączył komputer taty? Za dziesięć dolarów miesięcznie mogłybyśmy rozmawiać w sieci, ile dusza zapragnie.

- Ani myślę dotykać jakiegoś komputera - powiedziała mama. - To zbyt skomplikowane.

- Wcale nie bardziej skomplikowane niż korzystanie z telefonu. Wystarczy, że włączysz komputer i powiesz mu mój numer, jeśli będziesz chciała zadzwonić. A jeśli ja do ciebie zadzwonię, będziesz tylko musiała dotknąć przycisk, kiedy rozlegnie się sygnał i od razu będziemy się słyszały i

widziały.

- To zbyt skomplikowane.

Toni znów się uśmiechnęła. Mama nigdy się nie zmieni. W mieszkaniu na parterze, w którym Toni dorastała, stał od paru lat prosty komputer, prezent urodzinowy od niej i od chłopców. W większości amerykańskich gospodarstw domowych był obecnie jakiś komputer, ale mama nie chciała z nimi mieć nic wspólnego. Wprawdzie nie czyniła znaku krzyża, kiedy przechodziła obok komputera, ale Toni od dawna podejrzewała, że widzi w nim dzieło Szatana, gotowe w każdej chwili opleść ją swymi mackami i wciągnąć do elektronicznego Hadesu. Sophia Banks Fiorella miała sześćdziesiąt pięć lat i sześcioro dzieci, w tym pięciu synów, wszystkie z wyższym wykształceniem. Trzydziestojednoletni Aldo, najmłodszy z chłopców, był świetnym programistą, pracującym przy systemach komputerowych sądownictwa w stanie Nowy Jork; skoro on nie potrafił przekonać mamy do korzystania z komputera, mimo tylu prób, podejmowanych podczas niedzielnych obiadów, Toni tylko traciła czas.

- No to kiedy będziesz w domu?

- W czwartek wieczorem - odpowiedziała Toni. - Wigilię mamy wolną, ale dwudziestego trzeciego muszę jeszcze być w pracy.

- Chcesz, żeby ojciec odebrał cię z lotniska?

- Tato nie powinien siadać za kierownicę, mamó, ma już za słaby wzrok. Przecież Larry miał z nim o tym porozmawiać. - Toni zorientowała się, że rozmawiając z mamą, mówi z wyraźnym akcentem z Bronx. Zawsze tak było. Połykanie końcówek i tak dalej.

- Znasz swego ojca. Jak się uprze, to nic do niego nie trafia.

- Jeśli nie przestanie prowadzić, trzeba będzie kupić wajchę na kierownicę.

- Tony Junior już tego próbował. Tatuś w niecałe dwie minuty wykombinował, jak się tego pozbyć. Nie jest głupi.

- Nie powiedziałam, że jest głupi. Ale jest prawie ślepy i jeśli będzie prowadził samochód, to w końcu kogoś zabije.

- No dobra, Larry i Jimmy wyjadą po ciebie na lotnisko.

- Nie przylatuję samolotem, mamó. Przyjadę pociągiem i złapię taksówkę z Penn Station.

- O tej porze moja córka ma się tłuc taksówką? To niebezpieczne dla młodej, samotnej dziewczyny.

Toni roześmiała się. Zbliżała się do trzydziestki, miała opanowaną sztukę samoobrony i to lepiej, niż jakikolwiek mężczyzna, którego znała. Nosiła przy sobie taser, była ekspertem w posługiwaniu się tą bronią, od lat pracowała w FBI, ale mama nie chciała, żeby sama jechała

taksówką z dworca.

- Nie martw się o mnie. Mam swój klucz, pójdę prosto do pokoi gościnnych.
- Mike przyjeżdża z Baltimore z żoną i dziećmi, wezmą dużą sypialnię i pokój dziecienny.
- To ja wezmę małą sypialnię. Nie martw się, mam, zobaczymy się w Boże Narodzenie rano, dobrze?
- Dobrze, dobrze. Słuchaj, musisz skończyć, ta rozmowa będzie cię pewnie kosztować majątek. Do piątku. O której chcesz wstać?

Toni znów się uśmiechnęła. Obojętne, co powie, mama i tak będzie pod drzwiami sypialni punktualnie o szóstej trzydzieści. Śniadanie będzie już gotowe. - Koło wpół do siódmej - powiedziała.

- Dobrze, wstanę wcześniej. Kocham cię, mała. Uważaj na siebie.
- Będę uważać, mam. Też cię kocham.

Toni odłożyła słuchawkę i pokręciła głową. Jednym z radosnych wydarzeń w jej wielkiej, katolickiej rodzinie było coroczne spotkanie w Boże Narodzenie. Bracia, ich żony i dzieci - u mamy będzie ponad dwadzieścia osób, nie licząc wujków, cioć i jednego, czy dwóch kuzynów, którzy przyjdą może na kolację. Nie było już tak ciasno, od kiedy tata dokupił apartamenty po jednej i drugiej stronie ich starego mieszkania i wyburzył ściany, ale i tak zapanuje tłok.

Toni bardzo cieszyła się na ten rodzinny zjazd. Szkoda, że nie może zabrać ze sobą Alexa. Mama byłaby tak podekscytowana tym, że córka znalazła kandydata na męża - a każdy mężczyzna, na którego Toni spojrziała więcej niż dwa razy, był, przynajmniej dla mamy, potencjalnym mężem - że nie usiedziałyby na miejscu. Krzątałyby się bez przerwy, żeby mu tylko dogodzić.

Ale może kiedyś...

04

Sobota, 18 grudnia 2010 roku, godzina 11.45

Arizona

Jay Gridley mknął po sieci.

Konno.

Do niedawna jego ulubionym wehikułem w rzeczywistości wirtualnej był Dodge Viper. Jay układał scenariusze, obejmujące autostrady i wielkie szybkości. Dodge Viper był niesamowitym samochodem, istna rakieta na kołach, a Jay uwielbiał dociskać gaz do deski i czuć wiatr we włosach. Ale parę tygodni temu zainspirował go jakoś Dzikie Zachód. Zebrał przyzwoitą porcję informacji i zaprojektował sobie scenariusz kowbojski. Po sieci - w rzeczywistości wirtualnej - każdy mógł podróżować, czym chciał, prawie bez ograniczeń, a dokładność historyczna nie była wymagana. Można wstawić kowbojów i kosmitów do jednego scenariusza. Ale programista tej klasy, co Jay, musiał zachować pewien standard. Scenariusz musiał być przynajmniej spójny, a przede wszystkim musiał dobrze wyglądać.

W tym scenariuszu Jay miał na sobie Levisy z rozporkiem na guziki, prawdziwe buty z byczej skóry ze spiczastymi noskami, wełnianą koszulę w kratę, czerwoną bandanę, ogromny kremowy kapelusz Stetsona i sześciostrzałowego *Colta.45 Peacemaker* w typowej dla tamtych czasów skórzanej kaburze przy pasie. Nie dla niego były „kowbojskie” ubrania ze sklepu, koszule z frędzlami i z guzikami z macicy perłowej, i temu podobne rzeczy. Siedział w robionym ręcznie siodle, a jego koniem był srokaty ogier imieniem Buck. Właściwie, to były ogier - wirtualny koń został wykastrowany, żeby nie ponosił na widok mijanych klaczy. Jay zastanawiał się nad białym koniem, czy nawet nad złocistym *palomino* z białą grzywą, ale doszedł do wniosku, że byłoby w tym trochę przesady. Autorzy większości komercyjnych programów nie zawracali sobie głowy takimi drobiazgami, ale cóż, nie dorastali do poziomu Jaya.

Buck szedł klusem krętym szlakiem, na wirtualnym pogórzu gdzieś na Dzikim Zachodzie. Jay rozglądał się za grzechotnikami, Indianami i bandytami - zwanymi tu *desperados* - mogącymi czyhać w zasadzce. Zbliżali się do następnego węzła, reprezentowanego w rzeczywistości wirtualnej przez miasteczko zwane Black Rock, odległe o kilka kilometrów, ale słońce stało prawie w zenicie, było za gorąco i strasznie sucho, więc Jay musiał się zatrzymać i napić. Skalisty szlak był opustoszały. Tylko parę jaszczurek i rozczochranych ostów, które kiedyś staną się może wyschłymi kulami, toczonymi przez wiatr - jeśli będą miały szczęście i nie zapłoną spontanicznie, buchając płomieniami...

Uśmiechnął się. Cholera, dobry jestem, pomyślał. Bardzo przyzwoity scenariusz.

Zatrzymał się przy wyschniętym łożysku strumienia, zsiadł z konia i pociągnął łyk wody z brezentowego bukłaka z drewnianą zatyczką. Bukłak mieścił jakieś cztery litry. Brezent, z którego został wykonany, był utkany na tyle rzadko, że trochę wody przesiąkało przez niego. Chodziło o to, żeby w procesie parowania chłodziła się zawartość bukłaka, ale woda, której napił się Jay i tak była za ciepła. Zdjął Stetsona, wlał do niego z pół litra wody i podsunął Buckowi. Koń hałaśliwie chleptał wodę z kapelusza.

- Już niedaleko, chłopcze, za kilka minut będziemy na miejscu.

Zza zakrętu doszedł odgłos nadjeżdżającego wozu konnego. Jay wylał resztę wody z kapelusza

i nałożył go z powrotem. Sprawdził, czy *Colt* luźno siedzi w kaburze. Nigdy nie wiadomo, kto się może napatoczyć. Trzeba być gotowym najpierw strzelać, a potem zadawać pytania.

Nie był to wielki wóz zaprzęgowy, lecz powozik, ciągnięty przez szarą klacz. Końskie kopyta wybijały rytm na twardym podłożu, drewniane koła w stalowych obręczach turkotały po kamieniach. Powoziła kobieta w sięgającej kostek bawełnianej sukni, która kiedyś miała kolor indygo, ale pod wpływem słońca i wielokrotnego prania stała się bladobłękitna. Kobieta siedziała, więc suknia była nieco uniesiona, odsłaniając wysokie cholewki sznurowanych butów. Miała na głowie niebieski czepek, nie tak wyblakły jak suknia, ze wstążką zawiązaną pod brodą. Koło niej leżało na koźle parę książek. To musiała być nauczycielka. Jay odprężył się i pozdrowił ją, dotykając do ronda kapelusza.

- Witam szanowną panią - powiedział, nie wypadając z roli kowboja.

Kiedy powozik podjechał bliżej, Jay przekonał się, że kobieta wyglądała całkiem, całkiem... więcej, była po prostu wspaniała. Te kilka jasnych kosmyków, wymykających się spod czepka, piękne zielone oczy...

O, do diabła. To nie była nauczycielka, lecz...

Porucznik Joan „Słodka Idiotka” Winthrop.

Cholera!

Zatrzymała powozik trzy metry od Jaya i uśmiechnęła się. - Ho, ho, Jay Gridley. Co za spotkanie. - Wsiadła i stanęła naprzeciw niego. Twarz dziewczyny rozplynęła się na chwilę.

Jay wiedział, co to znaczy. Była we własnym scenariuszu sieciowym i koordynowała teraz fazy, żeby przystosować go do parametrów programu Jaya.

Jej twarz znów ożyła. Dziewczyna rozejrzała się dookoła, widząc teraz to samo, co on. - Witaj, kowboju - powiedziała z uśmiechem.

- Co ty tu robisz, Winthrop?

- Może ta srebrna kula ci powie. - Wysunęła otwartą dłoń, na której leżał błyszczący nabój rewolwerowy. - No, kulo, powiedz mu.

Nabój milczał.

- Bardzo zabawne - mruknął Jay. Nie pozwoli się obrażać komuś takiemu, jak „Słodka Idiotka” Winthrop. - Ten twój program, to coś z darmowej oferty w sieci?

- Nic z tych rzeczy, chłoptasiu. To coś bardziej wyrafinowanego. - Zatoczyła ręką półkole, wskazując na otaczające ich pustkowia. - I trochę ambitniejszego.

- O, naprawdę?

W świecie rzeczywistym Jay siedział w swym biurze w centrali Net Force w pełnym osprzęcie VR, podłączony do stacji roboczej i do sieci. W świecie realnym ruchem palców wyszedł ze swojego scenariusza z Dzikiego Zachodu, przełączając się na sieciowy wehikuł Winthrop. Potrwało to ledwie pół sekundy...

Znalazł się na peronie dworca kolejowego. Winthrop stała przed nim, a za nią stał pociąg osobowy. Włosy upięła w kok i schowała pod kapelusz z szerokim rondem. Miała na sobie długi, ciemny płaszcz z sukna i szarą, wełnianą suknię do kostek. Po ubraniu i wyglądzie pociągu domyślił się, że byli w końcu dziewiętnastego albo na początku dwudziestego wieku. Na tablicy, ustawionej na peronie widniał napis KLAMATH FALLS. Była zima, mroźne powietrze, kilkanaście centymetrów świeżego, puszystego śniegu i zasy pyza zadaszonym peronem. Do pociągu wsiadali pasażerowie - kobiety w długich sukniach, płaszczach i kapeluszach, mężczyźni w garniturach, kapeluszach i płaszczach. Między dobrze sytuowanymi podróżnymi pojawiło się parę proletariackich typów w kurtkach, czapkach i niezdarnych buciskach. Zwalisty, blady facet o sylwetce kulturysty zatrzymał się, żeby pomóc jakiejś starszej pani wstawić torbę podróżną do pociągu. Przebiegła jakaś dziewczynka, a za nią pies. Wyglądał na setera albo podobnego psa myśliwskiego. W powietrzu wisiał zapach dymu z węglowego paleniska, zmieszany z obłokami pary... i jakby zapaszek niedomytych ciał.

W tamtych czasach ludzie nie kąpali się codziennie. Niezły szczegół.

Rozglądając się dookoła, musiał przyznać, że Winthrop stworzyła bardzo przyzwoity scenariusz. Żadnych nedoróbek i mnóstwo szczegółów, aż po sosnowe drewno słupów, podtrzymujących zadaszenie peronu.

Spojrzał po sobie i przekonał się, że jest ubrany w szary trzyczęściowy garnitur z wełny i eleganckie buty z czarnej skóry. W kieszeni kamizelki spostrzegł kolorowy kawałek papieru. Wyjął go. Bilet kolejowy. Mógł odczytać na nim każde słowo, także napisy drobnym drukiem. Bardzo dobra robota.

Cóż, nie miał wyjścia, musiał przyznać, że jej scenariusz jest świetny.

Ale nie musiał tego przyznawać przed nią.

- Proszę wsiadać, drzwi zamykać! - zawołał konduktor.

- No i? - spytała.

- Trochę tu tłoczno - powiedział. - Wolę mój scenariusz. - Wymusił priorytet dla swojego programu i pół sekundy później stał już na pustkowiach koło Bucka, patrząc na dziewczynę i jej powozik.

- Czego chcesz? - spytał.

- Szukałam cię. Mamy razem pracować, czy nam się to podoba, czy nie. Wiem, że mnie nie lubisz, a i ciebie nie ma na mojej liście stu najciekawszych facetów, ale jestem profesjonalistką i potrafię nie zważać na osobiste animozje.

- Chciałaś powiedzieć, że ja nie potrafię?

- Nie, Gridley, chciałam powiedzieć dokładnie to, co powiedziałam. Nie chodzi o to, kto jest lepszym programistą, tylko o to, żeby wykonać zadanie. Dyrektor Michaels chce, żebym brała w tym udział, więc biorę. Nie musimy się trzymać za rączki i wędrować kwiecistymi łąkami, ale też nie musimy sobie nawzajem wchodzić w drogę. Zgadzasz się z tym?

Jay spojrzał na swego konia. Zrozumiał, dlaczego kowboje tyle czasu spędzali na szlaku. Kobiety, zwłaszcza te ładne, miały skłonność do komplikowania spraw. Wiedział, że jest lepszym programistą. Żadne drzwi nie otwierały się przed nim dla jego pięknych oczu, a był pewien, jak cholera, że z Winthrop było inaczej. Westchnął jednak tylko i skinął głową. - W porządku. Nie będziemy sobie nawzajem wchodzić w drogę.

- Jeśli znajdę coś pierwsza, dam ci znać.

- Akurat, już to widzę - mruknął Jay, ale tak cicho, że nie mogła go usłyszeć.

- Co powiedziałaś?

- Nic. Też będę cię informował.

Powiedziała coś, czego nie dosłyszał.

- Przepraszam?

- Nic takiego - powiedziała. - Zostawiam cię w twoim scenariuszu.

Wsiadła do powoziku i lekko uderzyła klacz lejcami po plecach. - Wio! - Pomachała mu, odjeżdżając.

Jay odprowadził ją wzrokiem. Koń zarżał.

- Masz rację stary. Też tak to odbieram. - powiedział Jay. - Chodź, Buck, mamy robotę w mieście.

Jay wsunął lewą stopę w strzemień i dosiadł konia.

Ruszyli stępą w stronę miasta.

Sobota, 18 grudnia 2010 roku, godzina 11.45

Chevy Chase, Maryland

Hughes miał w limuzynie virgila - Wirtualny Interfejs Komunikacyjny o Zasięgu Globalnym - ale nie chciał z niego korzystać, żeby zadzwonić do Platta. Sygnał telefoniczny był podobno szyfrowany cyfrowo, więc nikt nie miał możliwości podsłuchania rozmowy prowadzonej z virgila, ale Hughes nie ufał tym zapewnieniom. To była wspaniała zabawka, o połowę mniejsza od elektrycznej maszynki do golenia, i oprócz telefonu miała jeszcze odbiornik *GPS*^{*}, zegarek, radio, telewizor, modem, inteligentną kartę kredytową, kamerę, skaner, a nawet faks. Oczywiście, gdyby nie był szefem kancelarii White'a, nie miałby dostępu do takiego urządzenia. Nie byłoby go na nie stać, a gdyby nawet zaoszczędził potrzebną sumę, nie zdołałby pewnie dostać się na listę uprawnionych.

Przejeżdżali właśnie obok budki telefonicznej, zwyczajnej, na którą natknęli się zupełnie przypadkowo. Poleciał kierowcy zatrzymać samochód.

Wiał zimny, przenikliwy wiatr, a na niebie wisiały ciężkie, ciemne chmury, gotowe sypnąć śniegiem. Hughes wszedł do plastikowej budki, obsmarowanej graffiti i zamknął za sobą drzwi. Ustawił aparat na połączenie głosowe, bez obrazu, nałożył na słuchawkę skrambler jednorazowego użytku, wystukał numer i odwiesił słuchawkę po pierwszym dzwonku. Platt miał aparaturę, za pomocą której mógł ustalić, skąd dzwoniono, a także analogiczny skrambler. Nie było mowy, żeby ktokolwiek podsłuchał ich rozmowę.

Trzydzieści sekund później telefon zadzwonił. Jeśli nie był to jakiś niesamowity zbieg okoliczności, musiał to być Platt.

- Tak? - zgłosił się Hughes.

- Cześć - powiedział Platt, potrafiąc włożyć w to jedno słowo cały swój akcent z południowej Georgii.

- Jak sytuacja?

- Cóż, mamy tu pewien problem. Wygląda na to, że Jego Wysokość chce się z tobą spotkać osobiście, zanim podpisze kontrakt.

- Niemożliwe. Wysłałem cię, żebyś mnie reprezentował.

- I to właśnie powiedziałem *El Presidente*, ale nie chce słuchać. Oni to chyba mają w genach. Sam wiesz, jak to jest z tymi czarnuchami, wiecznie problemy.

Hughes zgrzytnął zębami. Platt był oszołomem, rasistą i pewnie cenionym członkiem Ku Klux Klanu i Synów Weteranów Konfederacji w Georgii. Wysłanie go do Gwinei Bissau, małego, nędznego kraiku tropikalnego na atlantyckim wybrzeżu Zachodniej Afryki, wciśniętego między Gwineę i Senegal, było dopraszaniem się o kłopoty. Platt był tak biały, że aż błyszczał, podczas gdy dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludności Gwinei Bissau stanowili czarni; co gorsza, mówili po portugalsku, *crioulo*^{*} albo po francusku i w wielu językach afrykańskich o nazwach, takich jak pajadinka, gola, bigola i tak dalej. Hughes nie przypominał sobie, żeby Platt znał jakikolwiek obcy język. Wystarczająco dużo kłopotów sprawiało mu wysłowienie się jasno po angielsku bez tego ciągnącego się akcentu z Georgii, lepkiego jak syrop z trzciny cukrowej, ale zawsze jakoś sobie

radził. Prawdopodobnie pomocne było to, że miał prawie dwa metry wzrostu i był zbudowany jak Herkules; ludzie zachowywali się zwykle uprzejmie wobec Platta, nawet jeśli go nie lubili. I choć był prostakiem, nie był głupi. Chętnie odgrywał rolę prostego faceta, pozwalając ludziom myśleć, że niczego więcej sobą nie reprezentuje, ale niezłe znał się na komputerach, od laptopów po wielkie systemy, potrafił strzelać dosłownie z każdej broni palnej i naprawić komputer lub pistolet, jeśli coś się popsuło.

- Tak, czy inaczej, *El Presidente* mówi, że jeśli nie pojawisz się osobiście na pogawędkę, nici z interesu.

Cholera! Hughes sięgnął po elektroniczny kalendarz i wprowadził styczeń. Trudno będzie. Musiałby pośpiesznie wymyślić jakąś podróż służbową gdzieś w pobliżu, a potem potajemnie dostać się do tego kraju. Miał kilka paszportów i wiz, z których mógł skorzystać. Niełatwa sprawa i na pewno kosztowna, ale było to wykonalne. - W porządku, powiedz prezydentowi Domingosowi, że będę... 13 stycznia. To czwartek - poinstruował Platta.

- Czwartek, trzynastego. Zapamiętam.

- A ty przylatuj do Waszyngtonu. Mam dla ciebie inną robotę.

- Waaaszyngton. Kurczę, prawie tyle samo tam czarnuchów, co tutaj. Czekał, coś ci powiem. Wiesz, że w całym tym kraju są tylko cztery tysiące telefonów? Chyba wciąż używają bębnow. I wiesz co? Ci tubylcy są wścibscy i aroganccy. Niech no tylko jeszcze któryś wytrzeszczy na mnie gały, to pożałuje.

- Nie zabij nikogo.

Platt roześmiał się. - Ja? Kurczę, nikogo nie zamierzam zabijać. Najwyżej zepchnę paru z chodnika. - Znów parsknął chrapliwym śmiechem. - Problem tylko z tym, że prawie nigdzie nie mają tu chodników. Chyba zaczekam z tym, aż będę w Waszyngtonie.

- Wracaj szybko. Co z tymi przeciekami do sieci?

- Następny już zaprogramowany. Spadnie jak grom z jasnego nieba, dokładnie w poniedziałek rano.

- Dobrze. Do widzenia.

Hughes ściągnął skrambler ze słuchawki i wsunął go do kieszeni. Jezu, Platt to wariat, prawdopodobnie psychotyk i socjopata, a jednocześnie ostre i niebezpieczne narzędzie. Potrzebne, ale trzeba uważać, bo łatwo można się skaleczyć. Hughes wiedział, że musi być ostrożny i że wkrótce będzie musiał znaleźć sposób na pozbycie się Platta. Na zawsze.

Otworzył drzwi budki telefonicznej. Zadrżał, kiedy uderzył go podmuch zimnego wiatru. W powietrzu pachniało śniegiem. Pomyślał, że trzeba się dostać do miasta, zanim szosy zmienią się w parkingi.

Wsiadł do limuzyny i skinął głową kierowcy. - Do domu.

05

Poniedziałek, 20 grudnia 2010 roku, godzina 8.55

Waszyngton, Dystrykt Columbia

Niewidzialny, zielonooki demon wbił szpony głęboko w plecy Tyrone'a Howarda. Jeszcze parę miesięcy temu nie uwierzyłby, że może istnieć taki ból. Mdlilo go, chciałby zwymiotować, krzyczeć albo zdzielić kogoś - a może zrobić to wszystko naraz - ale nic z tych rzeczy nie wchodziło w grę. Uczniowie szkoły średniej im. Eisenhowera przyzwyczaili się już, że na zielonych korytarzach dzieją się różne dziwne rzeczy, ale widok piętnastoletniego chłopca, który dostał ataku szału z zazdrości zapewne wywołałby spore zdziwienie.

Przyczyna bólu Tyrone'a stała dziesięć metrów dalej, uśmiechając się do jednego z członków drużyny futbolowej, wielkiego i muskularnego Jeffersona Bena. Belladonna Wright była o rok starsza od Tyrone'a. Niewątpliwie była też najwspanialszą młodą kobietą w Dystrykcie Columbia. Na całym Wschodnim Wybrzeżu. Może na całym świecie. A od kiedy wyświadczył jej przysługę, pomagając zaliczyć zajęcia komputerowe, spędzali ze sobą trochę czasu. Odprawiła swego poprzedniego chłopaka, Herbie'ego „Byka” LeMotta, który był kapitanem drużyny zapaśniczej w Epitome High School. Od tego czasu ona i Tyrone chodzili razem do centrum handlowego, urządzali wyprawy w rzeczywistość wirtualną albo siadali koło siebie w jej sypialni i całowali się, aż Tyrone myślał, że zaraz eksploduje. Był w Belli zakochany po uszy, absolutnie, nieodwołalnie. I oto stała sobie teraz w mikrospódniczce, obcisłej bluzce i sandałach na grubej, gumowej podszewie, rozmawiając z innym mężczyzną. Uśmiechając się do niego. Do faceta, który mógłby zawiązać Tyrone'a na supeł i rzucić nim jak piłką, nawet się przy tym nie pocąc. Wszystkim, co Tyrone miał do dyspozycji, był mózg, ale chociaż na dłuższą metę intelekt jest podobno potężniejszą bronią niż mięśnie, to w bezpośrednim starciu umięśniony facet zrobiłby z twarzy befsztyk komuś, kto górował nad nim tylko umysłem.

- Oho, to mi wygląda na ciemne chmury w raj - usłyszał zza pleców.

Tyrone nie patrzył prosto na Bellę. Zerkał kątem oka, udając, że otwiera drzwi swojej szafki. Nie musiał się odwracać, żeby wiedzieć, kto to powiedział. James Joseph Hatfield, chłopak z Zachodniej Wirginii, który miał tak słaby wzrok, że nie mógł nawet nosić szkieł kontaktowych, więc spoglądał na świat przez grube plastikowe soczewki, które nadawały mu wygląd wielkiej sowy śnieżnej.

- Zamknij się, Jimmy-Joe.

- Hej, spoko, kowboju. Przecież ona tylko z nim rozmawia, a nie łąwi mu węgorze w rozporoku...

Tyrone odwrócił się, żeby spiorunować wzrokiem swego najlepszego przyjaciela.

- Dobrze, już dobrze, uspokój się na chwilę, ty debilu - powiedział Jimmy-Joe. - Rusz mózgownicą. Gdyby podobali jej się wielcy, głupawi faceci, chodziłaby dotąd z Bykiem, nie sądzisz? Przy Byku ten Benson wygląda jak krewetka.

A Tyrone wyglądał przy Bensonie jak mikrob. - Aha, może.

- Spokojnie, stary. Za dużo się martwisz. - Jimmy-Joe poklepał Tyrone'a po ramieniu.

Udając, że nie patrzy, Tyrone widział kątem oka, jak wielki i muskularny Jefferson Benson odwraca się i odchodzi rozkołysanym krokiem. Uczniowie schodzili mu z drogi.

Bella spostrzegła Tyrone'a i Jimmy-Joe. Uśmiechnęła się i pomachała. - Cześć, Tyr!

Niedawne mdłości minęły w okamgnieniu, kiedy zobaczył, jak Bella uśmiecha się do niego. Poczuł się jak Atlas, kiedy Herkules zdjął mu z ramion ciężar świata. Życie nagle zrobiło się piękne. Chciało mu się śpiewać, tańczyć, bujać w obłokach.

Bella podchodziła do niego. Ludzie zatrzymywali się, żeby na nią popatrzeć. Królowa Korytarza, idąc kołysała się jak wiotka palma w powiewach tropikalnego wiatru. Serce waliło mu w szalonym rytmie. Rety...!

Zatrzymała się przed nim. - Idę po szkole do centrum handlowego, jeśli nie będzie padał śnieg - powiedziała. - Pójdiesz ze mną?

- O, tak - zapewnił Tyrone. - Też się tam wybierałem.

- Doskonale, Tyr. Zobaczymy się przy wejściu.

Bella znów posłała mu ten swój cudowny uśmiech, klepnęła w ramię i odeszła. Tyrone spoglądał za nią jak w transie, niezdolny do oderwania wzroku. Ramię miał gorące w miejscu, którego dotknęła jej dłoń.

- Nazywa cię Tyr. Kładzie ci rękę na ramieniu. Przecież wszystko gra. Idealne PDBZ - powiedział Jimmy-Joe. - Przepływ Danych Bez Zakłóceń.

Tyrone wyszczerzył zęby w uśmiechu. Tak, to prawda. Życie chyba nie mogło być jeszcze piękniejsze. Bo niby jak? Najcudowniejsza kobieta na świecie właśnie się umówiła na spotkanie z nim, a nie z tym drabem futbolistą. Przepięknie. Cudownie.

- Jak ci idzie z tą modernizacją?

Tyrone patrzył, jak Bella znika za zakrętem. Oczywiście wyobraźni wciąż widział ją od tyłu i rozkoszował się tym widokiem.

- Halo, kontrola lotu do astronauty Tyrone'a, jak mnie słyszysz, odbiór? - Jimmy-Joe wydał z siebie dźwięki, przypominające trzaski w eterze. - Zgłoś się...

Tyrone wyrwał się z transu. Jimmy-Joe pytał o prace nad kolejną wersją sieciowej gry DinoWarz, którą napisał i umieścił w sieci. - Ach, to. Nie miałem zbyt wiele czasu, żeby się tym zajmować.

- Nie miałeś czasu? Zgrywasz się, co?

- Nie zgrywam - powiedział Tyrone. Każdą wolną minutę, jaką udało mu się wyrwać, spędzał z Bellą. A kiedy nie był z nią, myślał o niej. Marzył o niej.

Pożądał jej...

- Hej, masz zwarcie?

- To tylko gra - powiedział Tyrone.

Jimmy-Joe spojrzał na niego, jakby Tyrone zmienił się nagle w wielką ropuchę i zaczął tańczyć obłądnego jitterbuga.

- Tylko gra? Masz zwarcie testosteronowe w mózgu, chłopcze.

Rozległ się dzwonek na lekcję i Jimmy-Joe odszedł, kręcąc głową. - Zobaczymy się później, pomyśleńcu.

Tyrone patrzył za przyjacielem. Nie rozumiał. Gry były w porządku, ale czyż można by je porównać z trzymaniem się za ręce z Belladonną Wright? Z całowaniem tych ciepłych, czarujących ust? Z dotykaniem tych ciepłych i...

Stop, Tyrone. Nie tutaj i nie teraz.

Gra wideo? Nawet pełna rzeczywistość wirtualna w porównaniu z Bellą? Nie ma mowy.

Pośpieszył na zajęcia. A po szkole pójdzie do centrum handlowego, choćby nie wiem, co.

Poniedziałek, 20 grudnia 2010 roku, godzina 9.05

Quantico, Wirginia

Julio Fernandez patrzył na hologram, unoszący się w powietrzu za plecami instruktora. Była to seria równań matematycznych, poprzeplatana obrazami, zdającymi się przedstawiać coś w rodzaju staromodnego, papierowego biletu do teatru, pokruszone ciasteczko i ciężki metalowy sejf z cyfrowym zamkiem, otwieranym pokręteł. Komputerowe obrazki dla idiotów.

Instruktor zapytał: - No, dobrze, kto potrafi mi powiedzieć, co oznacza zwrot „bezpieczeństwo przez niejasność”?

Fernandez wbił wzrok w ekran, wbudowany w biurko, przy którym siedział. Wybierz kogoś innego, namawiał instruktora w myślach. W tym kursie programowania komputerowego brało udział piętnaście osób, więc były spore szanse, że ten durny instruktor wybierze kogoś innego, tyle że ten dureń z jakiegoś powodu uwziął się na Fernandezza. Nazywał się Horowitz. Miał może dwadzieścia cztery lata, był niski, tęgawy, chodził w wymiętych garniturach, miał trądzik i zawsze taką minę, jakby cierpiał z powodu wysypki na genitaliach. Horowitz sprawiał też wrażenie, jakby wolał raczej rozebrać się publicznie do naga i podrapać po swędzących miejscach, niż znosić męki prowadzenia zajęć. Fernandez wiedział, jak tamten się czuje. Gdyby miał jakieś wyjście, też by go tu nie było. Dzięki Bogu, że przynajmniej instruktor był cywilem, a nie oficerem.

Odór zatęchłego potu, unoszący się w klasie, nie poprawiał Fernandezowi samopoczucia.

Mógłby oczywiście ściągnąć sobie do komputera wszystkie potrzebne wykłady oraz teksty źródłowe i postudiować na własną rękę. Nikt nie przyprowadził go tu lufą przy skroni. Pozostali uczestnicy zajęć byli w większości żółtodziobami - studentami Akademii FBI. Dla nich te zajęcia były obowiązkowe, choć w zasadzie ich zaliczenie stanowiło czystą formalność. Wszyscy pokończyli koledże, większość także prawo i ten kurs programowania był dla nich pestką.

Inaczej było z sierżantem Julio Fernandezem, który o komputerach wiedział mniej więcej tyle, co o mechanice kwantowej albo o zwyczajach godowych waleni olbrzymich. Naprawdę niewiele, choćby nie wiadomo jak się starał. Próbował nauczyć się tego samodzielnie, ale najwyraźniej był na tę wiedzę absolutnie odporny. Miał nadzieję, że posłuchanie nauczyciela oraz pytań i odpowiedzi innych uczniów okaże się pomocne, ale jak dotąd, po trzech lekcjach, jego wiedza niespecjalnie się pogłębiła. Nienawidził komputerów, ale wiedza o programowaniu była mu niezbędna. W posługiwaniu się rękoma czy bronią Fernandez nie ustępował nikomu. Potrafił rozbić obóz w dżungli albo na pustyni, przeżyć z dala od cywilizacji, ale kiedy praca z komputerem wymagała czegoś więcej niż naciśnięcia paru znanych klawiszy, robił się zupełnie tępy, co nie licowało ze statusem członka Net Force...

- Zastanówmy się... sierżant Fernandez? Bezpieczeństwo przez niejasność?

Cudownie. Po prostu cudownie. - Sir, przypuszczam, że chodzi o to, że pewien rodzaj zabezpieczeń systemu komputerowego jest... jak twierdza. Wiadomo, że istnieje, bez trudu można ją znaleźć, ale prowadzące do niej wrota są opancerzone albo zaminowane, albo pozamykane na tyle zamków, że nie sposób ich otworzyć, chociaż można do nich podejść bez trudu.

- Cóż za czarujące porównanie. Wie pan, co to jest porównanie, sierżancie?

Paru żółtodziobów zachichotało.

Fernandez poczuł, że robi się czerwony. Mógłby być ojcem tego smarkacza, a ten mały sukinsyn kpił sobie z niego w żywe oczy. - Wiem, co to porównanie.

- Cóż, jakimś cudem pańska odpowiedź jest w zasadzie poprawna. Dzisiejszy wykład będzie poświęcony różnym rodzajom zabezpieczeń, od ścian ognia po szyfrowane hasła oraz indywidualne kody dostępu z ograniczeniem czasowym.

Nauczyciel machnął ręką i hologram znikł, a na jego miejscu pojawił się inny. Ukazywał małego chłopca, siedzącego przy stacji roboczej. Dzieciak wyglądał może na pięć lat. Prawdopodobnie właśnie do tej grupy wiekowej adresowane były te zajęcia.

Fernandez zacisnął zęby. Nawet kiedy udzielał poprawnej odpowiedzi, ten dureń wszystko przekręcał tak, żeby wypadło głupio. Horowitza najwyraźniej bawiło znęcanie się nad uczniami. Pewnie, z tą obsypaną trądzikiem, skrzywioną gębą nie miał zbyt wielu przyjemności w życiu prywatnym.

Może przyjście na te zajęcia było błędem? Może Fernandez powinien raczej spędzać czas na strzelnicy, zamiast pozwalać sobą pomiatać Jaśnie Panu Horowitzowi? Może tak rzucić to w diabły i zająć się tym, co potrafił: maszerowaniem, żołnierką, szkoleniem rekrutów.

Ta myśl sprawiała mu przez chwile przyjemność.

Nie. Nauczy się tego, choćby miał szeznać. Wreszcie będzie przynajmniej wiedział z grubsza, o co chodzi, kiwając głową, kiedy młodzi porucznicy zaczną szwargotać komputerowym slangiem podczas operacji.

Zwłaszcza pewna pani porucznik...

- No więc, kto potrafi nam powiedzieć, co się stanie, kiedy wygaśnie indywidualny kod dostępu do serwera z szyfrowanymi hasłami? Sierżant Fernandez? Ma pan dziś skłonność do amatorskich metafor, więc może znów nas pan rozbawi jakimś czarującym porównaniem?

Fernandez spojrzał na instruktora. Miał ogromną ochotę po prostu wstać i trzasnąć drzwiami. Innym wyjściem byłoby nauczenie Horowitza, jak stopniowo odzyskiwać zdolność oddychania po otrzymaniu solidnego ciosu w podbrzusze. To dopiero była przyjemna perspektywa...

- No, sierżancie, szybciej. Szybkość, to podstawa! W programowaniu komputerowym, w życiu, wszędzie. Ten, kto się waha, przegrywa.

- Sądzę, że się pan myli, sir.

Horowitz spojrzał na niego wzrokiem ropuchy, patrzącej na bezczelną muchę. - O, doprawdy? Zechciałby pan wyjaśnić to bliżej? Proszę nam pokazać, gdzie zbłądziłem.

Fernandez odetchnął głęboko. - Sir, kiedy przechodziłem szkolenie podstawowe, mieliśmy

sierżanta, który uczył nas posługiwania się bronią krótką. Opowiedział nam kiedyś historię z czasów, kiedy sam był rekrutem, o rywalizacji między dwoma sierżantami z różnych kompanii, instruktorami musztry. Obaj startowali kiedyś w zawodach strzeleckich. Strzelało się wtedy z *M-16*.

Fernandez spojrzał na Horowitza. - *M-16* to karabin samoczynny. Wie pan, co to karabin, sir?

Horowitz zmarszczył brwi. Ten Fernandez miał szczęście, że nie musiał zaliczać jego zajęć na ocenę - nigdy by nie zdał. Ale żółtodzioby miał już za sobą trening strzelecki, więc słuchały sierżanta z uwagą.

- No więc, pierwszy sierżant, nazywał się Butler, podszedł do linii. Rozległ się brzęczyk, zegar ruszył, sierżant załadował i zarepetował broń. A przynajmniej próbował. Bezskutecznie, magazynek nie wydawał naboju. Odrzucił go więc i wsunął drugi. Kosztowało go to zaledwie parę sekund. I znowu nic. A ponieważ strzelanie było ograniczone do dwóch magazynków, dostał SNU - to znaczy Strzelanie Nie Ukończone.

Studenci nie odrywali od niego wzroku.

- Podszedł więc drugi sierżant, Mahoney. Załadował, zarepetował, strzelił. Miał przyzwoity czas, nic nadzwyczajnego, ale dosyć, żeby przy odrobinie szczęścia utrzymać się w pierwszej piątce. Nieźle strzelanie, umiarkowanie szybkie i celne. Tymczasem Butler zorientował się, na czym polegał problem. Przez pomyłkę załadował do swoich magazynków po jednym naboju za dużo. Sprężyny były za bardzo ściśnięte i nie podawały naboju. No więc Butler poprosił, żeby pozwolono mu strzelać jeszcze raz, z powodu awarii sprzętu. Na strzelnicy niewiele się działo tego dnia, więc komendant się zgodził. Butler musiał tylko poczekać, aż pozostali skończą. Tym razem Butler strzelał jak w transie. Pokonał wszystkich. Miał najlepszy czas, ani razu nie chybił, walił ze swojego *M-16* jak maszyna. Był o trzydzieści sekund lepszy od Mahoneya. Faceci, którzy jeszcze przed chwilą naśmiewali się z niego, nagle nabrali do niego szacunku. Nie było wątpliwości, że sierżant potrafi strzelać. No więc Butler wyszczerzył zęby do Mahoneya, zasalutował kpiąco i odszedł z dumnie uniesioną głową. Mahoney pakował właśnie broń i sprzęt, kiedy podszedł do niego jeden z pozostałych uczestników zawodów. „Szkoda” powiada. „Wiem, że bardzo chciałeś go pokonać”. A Mahoney uśmiechnął się i odparł: „Tamten zwyciężył w zawodach, ale gdybyśmy byli po przeciwnych stronach na polu bitwy, Butler byłby już historią, a ja pozostałbym przy życiu. W prawdziwej walce facet, o ile nie jest zupełnym łamagą, nikomu nie da drugiej szansy. W prawdziwej walce nie istnieje też coś takiego, jak drugie miejsce”.

Fernandez spojrzał na tłustego instruktora. - Lepiej strzelać wolniej, ale celnie, niż szybko, ale Panu Bogu w okno, sir.

Klasa wybuchła śmiechem i tym razem to na Horowitza przyszła kolej, żeby się zaczerwienić. - Zostań po lekcji, Fernandez.

- Chętnie.

Kiedy pozostali uczniowie wyszli, Fernandez stanął dwa metry od biurka, przy którym siedział Horowitz. - Sierzancie, pańska postawa wymaga pewnych korekt - powiedział instruktor. - Zdaję sobie sprawę, że te zajęcia nie są dla pana obowiązkowe, więc nie musi pan uzyskać zaliczenia, ale gdyby pan musiał, to jestem pewien, że powtarzałby pan ten przedmiot w następnym semestrze.

Fernandez podszedł do biurka, oparł się o nie rękami i pochylił w stronę młodego człowieka. Znalazł się tak blisko Horowitza, że tamten poczuł się nieswojo. Naruszono jego prywatną przestrzeń. Instruktor odchylił się na krześle jak mógł najdalej, a na jego twarzy pojawił się strach.

- Posłuchaj, chłopcze. Masz maniery i dowcip bawołu. Jesteś tak bardzo zajęty demonstrowaniem wszystkim dookoła, jaki z ciebie spryciarz, że twoje zdolności pedagogiczne - jeśli w ogóle jakieś posiadasz - nie mają szans ujrzenia światła dziennego. Wiem, że prowadzenie tych zajęć, to dla ciebie jak pogawędka z przedszkolakami, ale przecież jesteś podobno nauczycielem. To twoja praca, a ty ją olewasz.

- Ejże, chwileczkę!

- Zamknij się - powiedział Fernandez cichym, beznamiętnym głosem.

Horowitz posłusznie zamilkł.

- Jestem spokojnym facetem i dość trudno mnie wyprowadzić z równowagi. Tylko dlatego nie klęczysz teraz i nie wytrzeszczasz gał na swój ostatni posiłek, rozbryzgany na butach i na podłodze. Skończyłem z twoimi zajęciami, chłopcasiu. Już tu nie wrócę. Na szczęście dla nas obu.

A tak był zdecydowany opanować tę cholerną tematykę. Cóż, były inne sposoby. Musiały być. Wyprostował się, uśmiechnął i odwrócił, zamierzając wyjść.

Za jego plecami rozległ się głos Horowitza, histeryczny dyszkant, wpadający w sopran: - Jak się nazywa twój przełożony? Złożę na ciebie skargę! Takie groźby są niedopuszczalne!

Fernandez odwrócił się, wciąż z uśmiechem na twarzy. - Moim dowódcą jest pułkownik John Howard. Pozdrów go ode mnie, kiedy będziesz się z nim widział. Nie groziłem ci, chłopcze. Gdybym to zrobił, potrzebowałbyś majtek na zmianę. *Adios*.

Po wyjściu z klasy Fernandez pokręcił głową. Jego wewnętrzny głos mówił z dezaprobatą: Dzielnie się spisałeś, Julio. To, że nastraszyłeś tego zasmarkanego nauczyciela, nie pomoże ci w nauczaniu się czegokolwiek.

Tak, tak. Ale przynajmniej dobrze mi to zrobiło.

Był prawie pewien, że słyszał, jak jego wewnętrzny głos zachichotał.

Poniedziałek, 20 grudnia 2010 roku, godzina 10.05

Waszyngton, Dystrykt Columbia

Platt szedł powoli chodnikiem obok centrum handlowego, w dżinsach i podkoszulku, bez kurtki, udając, że nie obchodzi go przenikliwe zimno ani brudny, mokry śnieg, odgarnięty przez pług na krawężnik. Właściwie nie było aż tak zimno, coś koło zera stopni Celsjusza, ale marzył jak wszyscy diabli. Dobrze chociaż, że nie było wiatru i że miał na nogach swe wysokie buty z kewlaru, z noskami wzmocnionymi stalą. Przynajmniej w stopy nie było mu zimno. Przy swych prawie dwóch metrach wzrostu i ponad stu kilogramach wagi Platt nie miał ani grama tłuszczu - nawet na twardym, umięśnionym brzuchu - więc brakowało mu warstwy izolacyjnej. Pięć razy w tygodniu ćwiczył na siłowni, jeśli tam, gdzie akurat był, mógł się do jakiejś dostać. Miał też całkiem przyzwoitą salę treningową u siebie w domu, na wypadek, gdyby nie chciało mu się wychodzić, a kiedy był w podróży, korzystał z wielkiego ekspandera albo z przenośnego trenażera, żeby utrzymać formę. To przenośne urządzenie - parę skręcanych rurek tytanowych i taśmy z włókna węglowego, z czego montowało się stelaż - umożliwiało podciąganie się na drążku. Piekielnie drogo kosztowało, ale było tego warte. Prawie nic nie ważyło, a po złożeniu mieściło się do normalnej walizki. Przez parę tygodni można było, jeśli zaszła potrzeba, utrzymać w ten sposób górną część ciała w formie bez podnoszenia ciężarów. Gorzej z mięśniami nóg, ale od tego były przysiady na jednej nodze i schody.

Nie lubił Waszyngtonu - ani samego miasta, ani ludzi, którzy tu mieszkali i pracowali, ani tych wielkich, marmurowych gmachów, w ogóle niczego.

Facet, przechadzający się bez kurtki w takie zimno, ściągał tu na siebie spojrzenia ludzi, jak zresztą wszędzie, może z wyjątkiem Los Angeles. Platt uśmiechnął się. Pamiętał, jak pierwszy raz znalazł się w L.A., jakieś dwanaście lat temu. Był wtedy zupełnym żółtodziobem, prosto z farmy koło Marietty. Idąc sobie Bulwarem Hollywood - turysta ze wsi, gapiący się na złote gwiazdy na chodniku - minął jakąś starszą panią, która stała przed Chińskim Teatrem. Była goła i wszystkim przechodniom machała z uśmiechem. Pomyślał, że to nie w porządku, żeby czyjaś babcia świeciła gołym tyłkiem na ulicy, więc sięgnął po telefon i zadzwonił na policję. Powiedział im o nagiej kobiecie. Znudzony gliniarz, który odebrał telefon, powiedział: - Aha, no tak. Ale o którą gołą kobietę chodzi?

O którą gołą kobietę! Jakby było takich więcej. Okazało się, że było. Gliniarz potwierdził, kiedy Platt go o to spytał.

Jezu! Policjant powiedział, że golasy pojawiały się na ulicy w Hollywood cztery, pięć razy w tygodniu. Do diabła. W tym całym Los Angeles smog musiał się ludziom rzucać na mózg.

Spojrzał na zegarek. Parę minut po dziesiątej. Znow się uśmiechnął. Jego specjalny plik

komputerowy właśnie teraz powinien się przedostać do sieci, robiąc więcej zamieszania niż tona świeżego gówna, wrzucona do przemysłowego wentylatora. Jeśli tamta bomba w Luizjanie nie zwróciła ich uwagi, to tym razem na pewno się obudzą. Paru facetom na pewno podskoczy ciśnienie.

Z naprzeciwka zbliżali się dwaj Murzyni. Ciekawe, czy nadal nazywali się Afro-Amerykanami? Co za gówniana nazwa. Żaden z tych czarnuchów w eleganckich garniturach i płaszczach z wielbłądziej wełny nigdy nie był pewnie nawet w pobliżu Afryki. Urodzili się prawdopodobnie w Missisipi albo w Georgii, a do wielkiego miasta przyciągnęły ich białe dupy i tanie prochy. W świecie według Platta, jeśli ktoś się urodził w tym kraju, to był Amerykaninem i kropka. Biali nie mówili o sobie, że są Germano-Amerykanami, Franko-Amerykanami, czy Anglo-Amerykanami. Wszystko to było jeszcze jednym dowodem, że czarnuchy robią się bezczelne. Mogą się nazywać, jak chcą, a koloru skóry i tak nie zmieniają.

Ci dwaj w garniturach gapili się na niego, ale nie nadawali się. Byli za mali i zbyt cywilizowani. Pewnie prawnicy albo politycy i żaden nie bił się z nikim na pięści od czasu, kiedy byli małymi, czarnymi gówniarzami.

Platt wyszczerzył zęby w uśmiechu. Wyobrażał sobie, co tamci o nim myślą: Spójrz na tego białego wariata, w samym podkoszulku w takie zimno.

Co chcesz, przecież to tylko wielki biały wariat. Chyba lepiej będzie przejść na drugą stronę ulicy.

Parę przecznic dalej dostrzegł wreszcie takiego, jakiego szukał. Kawał chłopca, w dżinsach, wysokich butach, skórzanej kurtce i groteskowych okularach przeciwsłonecznych. Pewnie myślał, że jest strasznie *cool*. Był prawie tak wysoki, jak Platt. I był sam. Platt nie miałby nic przeciwko paru, ale nie był głupi. Z gangiem lepiej nie zadzierać, jeśli człowiek nie ma przy sobie broni, bo tamci na pewno mają, nawet jeśli broń palna była w tym mieście absolutnie nielegalna. Platt miał tylko mały *cutter*, ostry jak brzytwa nóż dla majsterkowiczów z aluminiową rączką i wysuwającym ostrzem długości około ośmiu centymetrów. I chociaż potrafił posłużyć się nim równie sprawnie, jak sprężynowcem i posiekać przeciwnika na kawałki, niezbyt mądre byłoby stawanie z czymś takim naprzeciw trzech czy czterech członków gangu, uzbrojonych w pukawki. Wolał nie nosić przy sobie broni palnej, jeśli nie było to niezbędne. Nie chciał też używać noża w walce jeden na jednego, chyba że czarnuch zacznie pierwszy.

Albo gdyby się miało okazać, że facet jest ekspertem karate czy judo. Większość tych wszystkich sztuk walki była do niczego, nie sprawdzała się na ulicy, ale od czasu do czasu trafiało się na kogoś, kto miał umiejętności i refleks, i był na tyle sprytny, żeby nie wdawać się w niepotrzebne łamańce. Platt musiał przyznać, że niektórzy byli naprawdę dobrzy. Można było od nich solidnie oberwać. Jeśli się trafiło na takiego, można było wyciągnąć ukradkiem nóż i czekać na okazję, chociaż facet, który był na tyle dobry, żeby gołymi rękami pokonać kogoś takiego, jak Platt, z reguły potrafił też poradzić sobie z przeciwnikiem uzbrojonym w nóż. Platt naciął się już na takich parę razy i solidnie oberwał. Ale ten w skórzanej kurtce nie wyglądał na Bruce'a Lee, a zresztą, Platt chciał tylko komuś dokopać, ale nie zabić.

- E, czarny, co się gapisz?

Wielki Murzyn zatrzymał się. - Do mnie mówisz, gnojku?

- Oprócz nas nikogo tu nie widzę, czarnuchu.

Facet w skórzanej kurtce zdjął okulary przeciwsłoneczne i ostrożnie wsunął je do kieszeni. Uśmiechnął się.

Uśmiech Platta był równie szeroki. Szykowała się dobra zabawa...

Poniedziałek, 20 grudnia 2010 roku, godzina 10.20

Quantico, Wirginia

Alex Michaels siedział przy biurku, przeglądając najnowsze materiały, przysłane mu pocztą elektroniczną. Kolejne porcje przychodziły co pół godziny, a rzeczy pilne bez względu na porę i ze specjalnym oznaczeniem. I zawsze znalazł się jakiś nowy kryzys, którym Net Force musiała się zająć, żeby kraju nie wzięli diabli.

Wywołał na ekran najnowszą porcję i zaczął czytać.

Z zakładów w Aloha w Oregonie ktoś ukradł mikrochipy SuperPent Intela, warte parę milionów dolarów. Fajna nazwa miasta - Aloha^{*}. Najwyraźniej założyciele Aloha musieli mieć miłe wspomnienia z Hawajów. Chipy były tak małe, że bez trudu mogły się zmieścić w kieszonce koszuli, i to nie wypychając jej specjalnie. No i szukaj wiatru w polu. Niech ktoś spróbuje je znaleźć, zanim trafią do Seulu, gdzie przebiją im się oznaczenia i zainstaluje.

Następny materiał...

Stanley Kombinator otworzył nowy sklep w rzeczywistości wirtualnej i znów sprzedawał pornografię. W ogóle nie miał towaru, oprócz paru powszechnie dostępnych jpeg-ów^{*} i scenariuszy VR w QuickTime^{*}, za pomocą których nakłaniał klientów do kupna. Brał ich elektroniczne pieniądze, obiecywał przysłać naprawdę niecenzuralne rzeczy, po czym likwidował swój wirtualny sklepik i przenosił się w inne miejsce. Nakryli Stanleya już parę razy, zawsze w Nowym Jorku. Działał według jednego schematu: wynajmował jakiś tani pokój z telefonem, podłączał komputer, robił skok i z reguły zniknął, zanim namierzyli go miejscowi gliniarze. Nigdy nie przekraczał granic stanowych, ale ponieważ jego ofiarami padali ludzie dosłownie zewsząd, był to problem Net Force. Poważnym utrudnieniem było to, że większości ludzi, oszukanych przy próbie kupna pornografii, wcale nie zależało, żeby odpowiednie władze się o tym dowiedziały. Toteż większość klientów wołała przeboleć stratę i trzymać buzię na kłódkę. Lepiej uniknąć wyjaśniania żonie, że straciło się sto dolarów, próbując kupić kopię „Upojnych nocy w Detroit”. Żona mogłaby się zainteresować, co też właściwie mężus robi, kiedy zamyka się na dłużej w warsztacie.

Oszustwa Stanleya były wręcz klasyczne. Większość oszustów, znających się na swoim fachu, mogła wciąż robić najróżniejsze numery, ponieważ oferowali coś nielegalnego, odwoływali się do tego, co w ludziach niemoralne, czynili z nich partnerów w swoich oszustwach. Facet, który obawia się, że zrobił coś złego, dobrze się zastanowi, czy warto lecieć na policję i zgłosić, że go oszukano.

Oczywiście, zawsze znaleźli się i tacy, którym bardziej zależało na pieniądzach niż na reputacji, więc w końcu zawsze jakiś palant naskarżył na Stanleya.

Główny problem polegał jednak na tym, że były dziesiątki, setki takich drobnych złodziejasków jak Stanley, a za każdym razem, kiedy któryś z nich oszukał kogoś z innego stanu, sprawę zgłaszano Net Force.

Michaels pokręcił głową i przewinął tekst.

Doniesienie o malwersacji podczas elektronicznego transferu pieniędzy w jakimś małym banku w Południowej Dakocie. Przedsiębiorczy złodziej cybernetyczny „uszczknął” kilkaset tysięcy dolarów podczas elektronicznych operacji finansowych i przelał łup na swój rachunek. Zabezpieczenia Banku Rezerw Federalnych pozwoliły zorientować się w oszustwie, choć może trochę za późno i pieniądze szybko odzyskano, ale wciąż nie udało się złapać zbiegłego złodzieja, ani nawet ustalić, w jaki sposób tak długo wymykał się agentom federalnym. Była to robota kogoś z wewnątrz - złodziej pracował jako audytor w tym banku. Prawie zawsze był to ktoś z wewnątrz, co było zrozumiałe, biorąc pod uwagę, jak uważnie bank Rezerw Federalnych śledził obecnie wędrówki pieniędzy.

Co tu jeszcze mamy?

- Sir - odezwała się Liza przez interkom. - Don Segal z CIA na gorącej linii. Mówi, że to coś bardzo pilnego!

Michaels uśmiechnął się, słysząc podniecenie w głosie sekretarki. - Odbiorę - powiedział.

- Cześć, Don. - Segal był zastępcą dyrektora do spraw wywiadu. Sympatyczny facet, którego żona urodziła właśnie ich trzecie dziecko, syna.

- Alex, mamy wielki problem.

- Jutro rano muszę stanąć przed komisją White'a - powiedział Michaels. - Czy może być coś gorszego?

- Mówię poważnie, Alex. Ktoś umieścił w sieci listę wszystkich naszych tajnych agentów w Europie i Azji.

- Jezus!

- Aha. Każdy amerykański szpieg w Europie, Rosji, Chinach, Japonii, Korei - wszyscy zostali właśnie zdemaskowani. W Departamencie Stanu dostali szału. Wielu szpiegów działa w krajach zaprzyjaźnionych, u naszych sojuszników. Trzeba się będzie tłumaczyć i przeproszać. Gorzej, że

mamy też agentów w krajach, w których najpierw się ich zastrzeli, a potem weźmie na przesłuchanie. Wszystkich wezwaliśmy do powrotu, ale niektórym nie uda się wydostać.

- Cholera - mruknął Michaels.

- Aha. Cholera. I weź pod uwagę, że skoro ktoś dostał w łapy listę europejską i azjatycką, to skąd pewność, że nie ma też Bliskiego Wschodu, Afryki, czy Ameryki Południowej?

Michaelsowi zabrakło słów. „Cholera” zdawała się wystarczać za wszystko.

- Musimy znaleźć faceta, który to zrobił, Alex.

- Aha.

07

Poniedziałek, 20 grudnia 2010 roku, godzina 10.25

Quantico, Wirginia

Joan Winthrop umyła ręce, sięgnęła po papierowy ręcznik i spojrzała na swe odbicie w lustrze nad zlewem w damskiej toalecie.

Pokręciła głową. Przez całe życie ludzie mówili jej, jaka jest piękna, mężczyźni - młodzi i starzy - a i niejedna kobieta, ale Joan wciąż nie mogła się tego dopatrzeć. Nauczyła się udawać, że ignoruje spojrzenia, ale przecież obcy ludzie wciąż zatrzymywali ją na ulicy, żeby jej powiedzieć, jaka jest piękna. To pochlebiało. Było interesujące.

Ale przeszkadzało jej.

I było dla Joan tajemnicą. Miała siostrę, Dianę, która naprawdę była piękna i przy której ona sama zawsze czuła się jak Kopciuszek. Jej matka w wieku pięćdziesięciu lat wyglądała zabójczo, a drobne zmarszczki, spowodowane częstym uśmiechem i siwe włosy tylko zwracały uwagę na jej idealną figurę. Zgoda, Joan nie była brzydka, ale wśród pań Winthrop znajdowała się na dalekim trzecim miejscu pod względem aparycji. Tak uważała.

Oczywiście, większość ludzi zdawała się nie zgadzać z tą opinią. Borykała się z tym przez całe życie, nie wiedząc, czy ma się śmiać, czy płakać. Pewnie, fajnie było, że od małego zapraszano ją na wszystkie przyjęcia, że była popularna, rozchwytywana. Uznała to za normę, nigdy się nad tym nie

zastanawiając, aż wreszcie pewnego dnia zdała sobie sprawę, że większość ludzi traktowała ją za ledwie jako... dekorację. Wszystko, czego od niej oczekiwano, to stać w wyznaczonym miejscu, uśmiechać się, ładnie wyglądać, być ozdobą. Innym to wystarczało. Jej - nie. Taka popularność nie była zasługą jej starań, rezultatem jej osiągnięć. Joan taka się po prostu urodziła. Jak można przypisywać sobie jakieś zasługi z tego tytułu?

Chłopcy zapominali przy niej języka w gębie, ale ustawiali się w kolejce w nadziei choćby na cmoknięcie w policzek i w końcu zdała sobie sprawę, że dla większości z nich nie była prawdziwym człowiekiem, lecz trofeum, które trzeba osaczyć, schwytać, a następnie wystawić na widok publiczny. Tylko popatrzcie, panowie, kto mi wisi u ramienia. Nie pragnęlibyście, żeby taka dziewczyna była wasza?

Była inteligentna, dobrze sobie radziła w szkole, osiągając wyniki znacznie wyższe od średniej, ale miała wrażenie, że nikogo to nie obchodzi. Dla wszystkich uroda była ważniejsza od rozumu. Dla wszystkich z wyjątkiem Joan Winthrop.

Znudziło jej się być ładną. Zbyt wielu ludzi nie było w stanie dostrzec w niej niczego więcej - lub nie chciało widzieć niczego więcej.

Wrzuciła mokry papierowy ręcznik do kosza na śmieci i jeszcze raz spojrzała w lustro. Pierwszy chłopak, z którym się przespała - miała wtedy siedemnaście lat - był prezesem klubu naukowego, a nie którymś z tych dziesiątków chartów, uganiających się za nią bez przerwy. Był inteligentny, delikatny i na swój sposób przystojny, coś jak poeta, umierający na suchoty. Wrażliwy, troskliwy, błyskotliwy młody człowiek, który szanował ją za jej umysł. Tak sądziła.

Już na drugi dzień chełpił się przed kolegami, że się z nią przespał. To jej złamało serce.

Prawie wszystkie dziewczyny, które знаła, były zazdrosne o jej wygląd, zwłaszcza te ładne i to one patrzyły na nią niechętnie i nie szczędziły złośliwości. Jediną prawdziwą przyjaciółką Joan w szkole była Maudie Van Buren, która nie była ładna, miała dwadzieścia kilo nadwagi i upodobanie do czarnych dresów i tenisówek. Dla Maudie uroda była bez znaczenia - jej własna, Joan, kogokolwiek - i nie rozumiała, dlaczego Joan tak przeszkadza popularność. Zawsze mówiła, że chętnie byłaby na pierwszym miejscu czyjejś listy, obojętne, czyjej.

Poszły na różne uczelnie, Winthrop do MIT, Van Buren do UCLA *. Ale utrzymywały ze sobą kontakt. I każdego roku spędzały wspólnie tydzień w górskim domku wuja Maudie w Boulder w Kolorado. Podczas jednego z takich spotkań przeprowadziły najciekawszą rozmowę, jaka im się kiedykolwiek trafiła. Maudie zaaplikowała sobie dietę i zaczęła ćwiczyć. W ciągu sześciu miesięcy zrzuciła nadwagę, poprawiła figurę i wyłoniła się z dresowo-tłuszczowego kokonu jako szczupły - i piękny - motyl.

Pociągając nieco mętne piwo domowej roboty, w które wuj Maudie zaopatrzył lodówkę, zanim zostawił je same, młode kobiety rozmawiały.

- Chyba wreszcie pojęłam, jak to jest z tą urodą - powiedziała Maudie.

Winthrop upiła łyk piwa. - Tak?

- Chcę powiedzieć, że kiedy byłam gruba jak beka, to jeśli już ktoś spędzał ze mną czas, robił to z uwagi na moją osobowość. I nie musiałam się opędyć kijem od wielbicieli. A teraz dzwonią do mnie faceci, dla których nie istniałam, kiedy byłam o wiele grubsza niż teraz. To tak, jakbym się nagle stała bogata i raptem wszyscy chcieliby zostać moimi przyjaciółmi. - Pociągnęła spory łyk piwa. - Facet, który interesuje się dziewczyną tylko dla jej urody musi być strasznie płytki, nie sądzisz? Trudno obdarzyć kogoś takiego zaufaniem. „Mała, Kocham cię za twój rozum” brzmi pusto, kiedy facet usiłuje ci równocześnie rozpiąć biustonosz.

Joan uśmiechnęła się, popijając piwo. - Wiem coś o tym, siostró.

Maudie spojrzała na nią, jakby widziała ją po raz pierwszy. - Ty musisz z tym sobie radzić przez całe życie. Jak ci się to udaje? Znalazłaś jakiś sposób?

- Komu się udaje? To się powtarza na każdej randce. Trzeba się jakoś nauczyć z tym żyć.

- Może znów zacznę się obżerać - powiedziała Maudie. - Po co mi taki stres? Może lepiej być grubą i pewną swoich przyjaciół niż chudą i podejrzliwą.

- Nie, myślę, że najlepiej jest znaleźć kogoś, kto potrafi dostrzec coś więcej niż buzię i cycki, kto nie przywiązuje zbyt wielkiej wagi do jednego i drugiego. Nie ma nic złego w tym, że uważają cię za ładną dziewczynę, pod warunkiem, że zdają sobie sprawę, że to jeszcze nie wszystko, co sobą reprezentujesz.

- Masz kogoś takiego?

- Mam ciebie.

- Mam na myśli mężczyznę.

- Na razie jeszcze takiego nie spotkałam. Ale nie tracę nadziei. Musi gdzieś przecież być.

- Uważaj, bo znajdę go pierwsza.

Kobiety roześmiały się, popijając słodowe piwo domowej roboty...

Zacwierał virgil Winthrop. Odpięła go od paska. Na ekranie pojawiła się informacja, że dzwoni dyrektor Michaels. Musiało się wydarzyć coś ważnego, skoro łapał ją przez virgila.

- Słucham, sir.

- Mamy tu problem, Joan. Byłbym wdzięczny, gdybyś mogła przyjść zaraz do mojego gabinetu.

- Już idę - powiedziała.

Rozłączyła się, przypięła virgila z powrotem do paska, po raz ostatni obejrzała się w lustrze i

ruszyła do drzwi.

Poniedziałek, 20 grudnia 2010 roku, godzina 10.45

Michaels spojrział na troje szefów swego zespołu komputerowego. Najlepsi ludzie, z jakimi kiedykolwiek pracował. Oni też patrzyli na niego wyczekująco, kiedy skończył przygotowywać prezentację.

- No, dobra, zaczynamy. CIA jest wkurzona, i nie bez racji. Chcą, żebyśmy się tym zajęli. Czterdzieści lat pracy wywiadu idzie na marne, a w każdej chwili może być jeszcze gorzej. Spróbujmy ocenić skalę zagrożenia i stworzyć jakiś scenariusz. Jay, mamy już coś?

- Przykro mi, szefie, ale nie mam dobrych wiadomości. Jak dotąd - ściana. Nie sądzę, żebyśmy mieli do czynienia z jakimś młodocianym hakerem. Facet jest brutalniejszy niż ten Czeczen, z którym się niedawno rozprawiliśmy. Nie wzbil zbyt wiele kurzu; nie natrafiłem jeszcze na jego ślady.

- Toni? Skąd on wziął te informacje?

- Trzy możliwości - odpowiedziała. - Pierwsza ewentualność: włamuje się do systemu i kradnie tajne pliki; druga: ktoś z jego znajomych przekazuje mu informacje; i trzecia: sam ma dostęp do tych informacji.

- To pasuje praktycznie do każdego - powiedziała Joan. - Może to być ktoś z zewnątrz albo z wewnątrz.

- Jak go znaleźć? - spytał Michaels.

Spojrzeli na niego posępnie, a Michaels wiedział, dlaczego. Skoro facet nie pozostawił śladów, to ujęcie go będzie co najmniej problematyczne, chyba że wróci, wpadnie w zasadzkę i złamie sobie nogę, czy coś w tym rodzaju.

- W porządku, zostawmy to. Jak go powstrzymać?

I na to pytanie Michaels znał już odpowiedź, ale chciał, żeby jego zespół maksymalnie się zaangażował w tę sprawę.

Pierwszy zgłosił się Jay. - Powiadomiliśmy już wszystkie agencje federalne, że trzeba wzmocnić ochronę systemów, pozmieniać hasła, zaprogramować losowe wyłączenia na miejsce okresowych i tak dalej.

- Przyda się to na coś, o ile nasz facet, to ktoś z zewnątrz - powiedziała Toni - ale nic nie wskóramy w ten sposób, jeśli to ktoś z uprawnieniami do tych informacji.

- Albo otrzymujący je od kogoś takiego - dodała Joan.

- Zainstalujemy alarmy wokół najbardziej prawdopodobnych celów, ale gdyby facet był na tyle głupi, żeby się na to złapać, to prawdopodobnie w ogóle nie potrafiłby zrobić tego, co już zrobił.

Michaels skinął głową. To nie była ich wina, ale trzeba złapać faceta, zanim zaczną ginąć kolejni ludzie. W tym wypadku musiał być twardy. - Słuchajcie, ten facet, kimkolwiek jest, spowodował już śmierć co najmniej jednego z naszych ludzi, a zapewne więcej niż jednego i prawdopodobnie nie poprzestanie na tym. Stworzył zagrożenie dla naszego bezpieczeństwa narodowego, doprowadził do tego, że jednakowo wściekli są na nas przyjaciele i wrogowie, a poza tym, choć to może nie najważniejsze, stawia Net Force w złym świetle. Są ludzie, którzy wykorzystają ten fakt przeciwko nam, ale to najmniejsze z naszych zmartwień. Chcę zobaczyć projekty planów działania i jakieś scenariusze operacyjne, które umożliwią przygwożdżenie tego sukinsyna i zdjęcie go z sieci. Macie nieograniczony dostęp do Craya*, poświęćcie tyle czasu, ile będzie trzeba, pościągajcie długie wdzięczności, zróbcie wszystko, co możliwe. To sprawa najwyższej wagi. Wiem, że mamy i inne zadania, ale to otrzymuje priorytet numer jeden, rozumiano?

Skinęli głowami.

- W porządku. Do roboty.

Kiedy wyszli, Michaels jeszcze przez chwilę stał zamyślony. Jeśli już lało, to zawsze jak z cebra. A jego zadaniem było powstrzymać deszcz.

Poniedziałek, 20 grudnia 2010 roku, godzina 12.05

Toni opadła do lewostronnej pozycji *sempok*, przesuwając prawą stopę za lewą i przysiadając, aż dotknęła pośladkami podłogi, po czym poderwała się, przekładając nogi. W *silat* można było bronić się i atakować z pozycji siedzącej, błyskawicznie poderwać się na równe nogi, zadając przeciwnikowi cios stopą albo ręką lub uskokować na bok. Nie zawsze było to widowiskowe, ale sprawdzało się w praktyce i o to właśnie chodziło. W *silat* celem było uporanie się z przeciwnikiem, a nie przyjmowanie widowiskowych póz na użytek gapiów.

Spostrzegła Alexa, wchodzącego z torbą do sali treningowej. Uniosła brwi ze zdziwienia. Nie spodziewała się, że przyjdzie dziś na zajęcia; miał tyle na głowie w związku z tą nieszczęsną listą szpiegów.

- Nie myślałam, że cię dziś tu zobaczę - powiedziała.

- Ja też nie sądziłem, że przyjdę - odparł. - Ale w przerwie na lunch i tak nic bym nie zdziałał. Wszyscy, z którymi chcę porozmawiać, poszli coś zjeść, a nie cierpię przeszkadzać ludziom przy posiłku. Poza tym, ćwiczenia fizyczne rozjaśniają umysł. Zaraz wrócę, tylko się przebiorę.

Ruszył do szatni, a Toni wróciła do rozgrzewki. Biedny Alex. Tak się wszystkim przejmował, jakby to była jego wina. Starła się pomóc mu, jak tylko mogła, ale nie była w stanie ustrzec go przed tym wszystkim, co spływało na jego biurko.

Oczywiście, gdyby sprawy ułożyły się po jej myśli, potrafiłaby zadbać o to, żeby po pracy mógł się naprawdę odprężyć. Potrzebował dziewczyny, która by się nim zajęła, rozmasowała mu kark, podała drinka przed obiadem...

...i rznąła by się z nim tak, że zapomniałby o całym świecie?

Toni uśmiechnęła się. Tak, to też. Ale co z tego? Wciąż był wierny swojej byłej żonie, przynajmniej na ile Toni się orientowała. Było to zarazem fascynujące i irytujące. Chociaż... Dobrze widziała, jak patrzył na Joan Winthrop, z tym jej zabójczym wyglądem i zaproszeniem do sypialni w oczach. Żołądek Toni skurczył się w tym momencie ze strachu. Jak miała konkurować z kobietą, która była tak piękna, miała tak fantastyczną figurę, a do tego była tak piekielnie inteligentna? I gdzie tu sprawiedliwość?

Toni westchnęła. Nie mogłaby mieć mu za złe, gdyby postanowił zainteresować się piękną panią porucznik. Alex nie żywił do Toni takich uczuć, jak Toni do niego. Kochała go, a mimo to zdarzyło się jej potknięcie. Oczywiście, ta jedna noc z Rustym była fatalnym błędem. Naprawiła, co mogła zaraz po tym, kiedy się to stało, a teraz Rusty nie żył, więc nikt o niczym nie wiedział i nigdy się nie dowie. Oprócz jej samej. Ona wiedziała. Była zakochana w swoim szefie, ale przespała się z innym facetem. Czuła się okropnie.

Wymierzyła cios łokciem wyimaginowanemu przeciwnikowi. Szkoda, że nie była w stanie panować nad uczuciami równie łatwo, jak potrafiła sobie poradzić z każdym fizycznym atakiem. Życie byłoby znacznie łatwiejsze. Wyzwać do walki potencjalnego partnera, rzucić nim o matę i będzie jej na zawsze.

Szkoda, że to nie takie proste.

Poniedziałek, 20 grudnia 2010 roku, godzina 14.05

Bladensburg, Maryland

Hughes jechał do jednego ze swych bezpiecznych lokali na spotkanie z Platem.

Zawsze były jakieś sprawy, których nie dało się załatwić na odległość, tak jak te w Gwinei Bissau, więc potrzebne były miejsca, w których można się tym zająć z dala od ciekawskich oczu.

Kryjówka była niewielkim apartamentem na drugim piętrze w jednym z tych ogromnych osiedli mieszkaniowych tuż za granicą Dystryktu, w Marylandzie. Takich osiedli-sypialni powstawało wokół stolicy coraz więcej. Początkowo rozrastały się powoli, ale potem nastąpiła gwałtowna eksplozja

tego architektonicznego nowotworu, z przerzutami taniego budownictwa na wszystkie strony. Takie miejsca były współczesnym odpowiednikiem dawnych chałup krytych strzechą - chociaż zapewne nie zostały równie solidnie zbudowane.

Zbliżał się do jednego z takich obiektów, wybudowanego przed niespełna sześcioma miesiącami. Nazwa - River View - sugerowała widok na rzekę. Trzy kondygnacje, tysiąc apartamentów, idealne miejsce na tajne spotkania. Nikt tu nie znał sąsiadów i mieszkało tu zbyt wielu ludzi, żeby ktokolwiek orientował się, kto i kiedy wchodzi, czy wychodzi. Osiedle było położone między Colmar Manor a Bładensburgiem, obok szosy stanowej nr 450 i z mieszkania na drugim piętrze, które wynajął Platt, można było rzeczywiście zobaczyć północną odnogę rzeki Anacostia, jeśli człowiek stanął na zlewie w kuchni i wychylił się przez okno. Tylko po co?

Hughes jechał wynajętym samochodem, małym, szarym Dodge'em, wyglądającym dokładnie tak samo, jak milion innych pojazdów na drodze. Równie dobrze mógłby mieć na sobie czapkę-niewidkę; prawdopodobieństwo, że ktoś zwróci na niego uwagę byłoby takie samo. Nie obawiał się, że natknie się tu na kogoś znajomego, ani że ktokolwiek go rozpozna, a gdyby nawet trafił się przypadkiem jakiś domorosły znawca świata polityki, to i tak nie zobaczy Hughesa i Platta razem.

Wjechał na ogromny parking, pomylił drogę, skręcając niepotrzebnie w jedną z tych głupio ponazywanych i ponumerowanych uliczek - Drozd 17 - i w końcu dotarł do miejsca parkingowego, przypisanego do jego mieszkania. Zaparkował samochód i zgasił silnik. Rozejrzał się dookoła. Dzień był zimny i bezchmurny. W pobliżu nie widział nikogo, oprócz jakiegoś wielkiego faceta, prowadzącego dwa czarne, podpalane owczarki niemieckie na długich, elastycznych smyczach. Psy węszyły i rozglądały się czujnie dookoła w poszukiwaniu wilków, na które mogłyby poszczekać. Jak można trzymać dwa wielkie psy w jednym z tych ciasnych mieszkań? Facet musi poświęcać pół dnia na wyprowadzanie tych bestii na spacer, bo inaczej zeżarłyby mu meble i wydrapały dziury w dywanach. Hughes lubił psy i chociaż teraz nie miał czasu na opiekowanie się zwierzęciem, nie wykluczał, że sprawi sobie całą sfore, kiedy już się urządzi. Będzie miał dość miejsca i czasu, żeby się z nimi bawić.

Wjechał windą na drugie piętro, przeszedł korytarzem, otworzył drzwi plastikową kartą magnetyczną i szybko wszedł do środka.

Platt już tam był. Stał w niewielkiej kuchni, przyciskając do prawej skroni coś, co wyglądało na plastikową torbę z kostkami lodu. Miał pokiereszowaną gębę i otarte, pokryte zakrzepłą krwią kostki na obu dłoniach.

- Co ci się stało, do diabła?

Platt uśmiechnął się i odsunął od głowy torbę z kostkami lodu. - Miałem małą sprzeczkę z jednym z naszych upośledzonych czarnych braci. Nieźle mnie wałnął w łeb. W takich wypadkach trzeba szybko przyłożyć lód, bo człowiek będzie miał ucho jak kalafior. Jestem zbyt przystojny, żeby pozwalać sobie na wygląd starego, zapijaczonego boksera.

Hughes spiorunował go wzrokiem. - Miałeś się zachowywać tak, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

- E tam, nie ma o czym mówić. Czarnuch zgubił parę zębów, może ma ze dwa złamane żebra, dojdzie do siebie za tydzień, może za trzy. Pewnie nawet nie poszedł do szpitala. Kurczę, przecież byle dentysta może mu wstawić te zęby z powrotem. Zmyłem się, zanim przyjechała policja, jeśli w ogóle przyjechała. Trochę się zabawiliśmy i tyle. Czarnuch nawet nieźle się ruszał.

Facet, który dla zabawy wdaje się w bijatykę! Platt z całą pewnością miał nierówno pod sufitem.

- Masz coś dla mnie? - spytał Platt.

Hughes wyjął grubą kopertę z kufierka i rzucił ją Plattowi, który złapał ją jedną ręką.

- Dwadzieścia tysięcy, w używanych setkach.

- No, na parę tygodni powinno wystarczyć - powiedział Platt.

- Tylko zdobądź listę od tego specja od satelitów z NSA*.

- Aha, sam się już nie mogę doczekać na te kody. Będę miał kanał HBO za darmo.

Hughes tylko pokręcił głową.

- W Langley nieźle zamieszanie, co? Latają w kółko, jak kury z poobcinanymi łbami. Założę się, że lada chwila będziemy mieć nowego dyrektora CIA - zaśmiał się Platt.

- Ta lista szpiegów rzeczywiście narobiła zamieszania - przyznał łaskawie Hughes. - Ale nie możemy osłabiać presji.

- Żaden problem. Kody giełdy japońskiej dostaną się do publicznej wiadomości jutro rano, a po południu informacje o przerzutach kokainy kartelu Hijos del Sol zostaną przekazane konkurencji, Hermanos Morte. Do wieczora zrobi się krwawa zawierucha. Ci z DEA* dostaną cholery, próbując się zorientować, co jest grane.

- A co z bankami?

- Mam parę drobiazgow, z którymi wystartuję w sobotę. Nic wielkiego, tylko parę tysięcy bankomatów na Wschodnim Wybrzeżu zgłupieje i będzie rzygać gotówką każdemu, kto wsunie kartę. Ciekawe, ile z tej forsy zostanie zwrócone.

- W porządku. Jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć?

- Nic. Na dziś po południu zamówiłem sobie masażystkę. Trzeba się trochę odprężyć, nie?

Hughes znów pokręcił głową. Platt nie miał pojęcia, że od sześciu tygodni jest pod obserwacją, prowadzoną przez ludzi z bardzo dyskretnej - i bardzo drogiej - agencji detektywistycznej. Hughes nie ufał mu ani trochę, uznał więc, że warto się upewnić, czy przypadkiem

Platt nie robi czegoś, czego nie powinien robić. Nie miał wątpliwości, że od wynajętych detektywów usłyszy niedługo o tej bijatyce na ulicy. Usłyszy też o „masażystce”, zaspokajającej potrzeby Platta.

Będzie to, oczywiście, Murzynka. Zawsze tak było. Platt zamawiał usługi „masażystek” czternaście razy w ciągu ostatnich sześciu tygodni; kiedy był w Gwinei Bissau, zaliczył pięć, czy sześć prostytutek i jeszcze jedną w Kairze, podczas dłuższej przerwy w podróży. Wszystkie były czarne, w sumie ponad dwadzieścia. Żadnej dziwki nie poturbował, na ile mogli to stwierdzić detektywi Hughesa. Nie interesował się też niczym oprócz zwyczajnych, heteroseksualnych stosunków; żadnych pejczy, łańcuchów czy dziwacznych strojów.

Rasizm Platta nie był najwidoczniej na tyle głęboki, żeby obejmować kobiety pochodzenia afrykańskiego. Co za dychotomia. Platt był gotów pobić czarnego rano, a po południu tego samego dnia rznąć Murzynkę. Hipokryzja to cudowna sprawa. Świat nie mógłby bez niej funkcjonować.

- W porządku - powiedział Hughes. - Zadzwoń, kiedy będę miał dla ciebie jeszcze coś.

- Nie ma sprawy - odparł Platt.

08

Wtorek, 21 grudnia 2010 roku, godzina 8.25

Waszyngton, Dystrykt Columbia

W sali konferencyjnej Senatu było co najmniej o pięć stopni za ciepło, a Alex Michaels i bez tego spociał się jak mysz. Siedział na miejscu, przy stole przeznaczonym dla ofiar inkwizycji, zwanych eufemistycznie „świadkami” wezwanymi do złożenia wyjaśnień. Miał przed sobą grupę senatorów, na podium tak wysokim, żeby nie było cienia wątpliwości, kto tu rządzi. Tak musiało być w społeczeństwie, stawiającym znak równości między wysokością a wyższością. Obok Michaela siedział Glenn Black, jeden z prawniczych orłów FBI. Za plecami mieli galerię, na której siedzieli świadkowie i ludzie, których interesowały te przesłuchania, a przed sobą ośmiu senatorów z Podkomisji ds. Nadzoru Finansów Rządowych, kierowanej przez Roberta White’a.

Budżet Net Force był tego dnia jedyną sprawą i po zdawkowych uprzejmościach rozpoczęła się szarża pod wodzą White’a.

Zapowiadał się długi dzień.

Michaels nienawidził tego aspektu swej pracy: siedzenia przed komisjami, w których mogli

zasiadać - i zwykle zasiadali - zarówno durnie, jak i ludzie bardzo inteligentni. Tak czy inaczej, członkowie komisji najczęściej nie mieli bladego pojęcia o niczym. Nawet najbardziej inteligentni senatorzy byli zdani na łaskę swych pracowników, dostarczających im informacji. I choć niektórzy z tych ludzi byli naprawdę dobrzy, ich możliwości docierania do sedna spraw były zwykle ograniczone. Mnóstwo agend rządowych wolało zachować powściągliwość, kiedy zwracano się do nich o informacje, mogące spowodować obcięcie ich budżetu na następny rok. To, co senatorowie otrzymywali od swoich ludzi, odpowiadało informacjom, przekazywanym w dziennikach telewizyjnych o szóstej. Zajmowano się więc tylko łatwo dostępnymi informacjami, a i to niezbyt wnikliwie. Sedno spraw pozostawało ukryte i było praktycznie niedostępne.

Nieznajomość prawdziwego stanu rzeczy nigdy nie powstrzymywała jednak takich ludzi, jak senator White. I chociaż nie był najgłupszy, to i przesadnej błyskotliwości też nikt mu nie mógł zarzucić.

- Dyrektorze Michaels, co dokładnie chce pan powiedzieć tej komisji? Że pańskiej Net Force nie obchodzi, że jakiś maniak udostępnia publicznie informacje, jak konstruować bomby, od których giną potem młode mężatki?

- Nie, senatorze White. Nie powiedziałem tego, sir. - Michaelsa zaczynało to wkurzać, więc odpowiedział trochę ostrzej niż powinien. Black pochylił się w jego stronę, zakrył dłonią mikrofon i szepnął: - Spokojnie, Alex, dopiero wpół do dziewiątej. Będziemy tu przez cały dzień. White stara się po prostu dobrze wypaść przed kamerami C-SPAN* i własnym elektoratem.

Michaels skinął głową i mruknął pod nosem: - To dureń.

- A od kiedy przeszkadza to w sprawowaniu funkcji publicznej?

Michaels uśmiechnął się. Glenn miał rację. Zapowiadało się długie przesłuchanie; nie było sensu tracić nerwów. Michaels zwykle starał się nie wychylać podczas takich seansów i powszechnie uważano, że to najlepsza postawa. Niech się wykrzyczą. Kiedy przychodziło do głosowania, poprzednie emocje i wrzaski nie miały większego znaczenia. Michaels wiedział o tym. Ale...

White kontynuował: - Odniosłem wrażenie, że powiedział pan, iż Net Force ma ważniejsze złoza naftowe do eksploracji. Muszę panu powiedzieć, że z mojego miejsca nie wyglądacie na zbyt wytrawnych nafcjarzy.

Senator musiał wynająć kogoś nowego do pisania swoich przemówień, pomyślał Michaels. Kogoś, kto próbuje odwrócić uwagę od majątku White'a, robiąc z niego kogoś w rodzaju zwykłego człowieka. Powodzenia, pisarczyku.

Michaels wiedział, że jego szef, Walt Carver, dyrektor FBI, siedzi na galerii. Dotychczas Carverowi udawało się trzymać White'a w ryzach dzięki rozległym znajomościom i kontaktom z czasów, kiedy sam był w Senacie, ale White robił się coraz bardziej agresywny. Michaels uznał, że skoro już tu siedzi, musi przynajmniej zachować się tak, żeby FBI nie musiało się go wstydzić.

- Jestem pewien, że nie wiem na temat ropy naftowej tyle, co szanowny senator z Ohio.

Michaels nie planował tej riposty, po prostu mu się wymknęła. Parę osób zachichotało. Była to drobna aluzja do majątku White'a, pochodzącego częściowo ze spedycji ropy naftowej, czym zajmował się jego dziadek.

White zmarszczył brwi. Michaels powściągnął uśmiech. Może nie najmądrzej jest ciągnąć lwa za ogon, zwłaszcza, kiedy jest się z nim w jednej klatce, ale, z drugiej strony, co to za przyjemność...

- Wydaje się, że w pańskiej organizacji występują poważne problemy - powiedział White. Przerzucił kilka zadrukowanych kartek. - Mówimy tu o sprawach, dotyczących bezpieczeństwa narodowego, których nie będę omawiał publicznie, ale są to bardzo poważne sprawy, a Net Force nie zajmuje się nimi we właściwy sposób. - Spojrzał na Michaela. - Jaki jest sens finansowania agencji, która nie robi tego, co do niej należy, dyrektorze?

- Jestem pewien, senatorze, że wie pan o wiele więcej niż ja o agencjach, które nie robią tego, co do nich należy.

Znów śmiechy, ale tym razem Glenn rzucił Michaelowi ostrzegawcze spojrzenie, które bez trudu można było zinterpretować: Spokojnie, chłopcze. To nieroztropne wdawać się w wymianę zdań z facetem, który trzyma mikrofon. A zwłaszcza nieroztropne jest ośmieszanie go przed kamerami telewizji.

Michaels westchnął. Musi bardziej uważać na to, co mówi. Tak, czy inaczej, zapowiadał się bardzo długi dzień.

Wtorek, 21 grudnia 2010 roku, godzina 10.00

Dry Gulch, Arizona

Dzień drogi konno od Black Rock leżało miasteczko Dry Gulch. Jay Gridley nie zamierzał spędzać aż tyle czasu w tym scenariuszu, więc zalogował się na skraju Dry Gulch. Zawiódł się w Black Rock, nie było tam ani śladu czarnych charakterów, więc Gridley ruszył dalej.

Było już prawie południe, słońce prażyło bezlitośnie i nie czuło się najsłabszego choćby podmuchu wiatru. Droga była tak sucha, że każde stąpienie wiernego Bucka wzbijało obłoki czerwonego kurzu, które długo wisiały w powietrzu. Zbliżywszy się do pierwszych zabudowań, kuźni i stajni, Gridley wyjął z kieszeni Levisów gwiazdę szeryfa i przypiął ją do koszuli. W ostrym świetle zabłysło srebro. Nie chciał, żeby ktokolwiek zwrócił uwagę na tę błyskotkę na szlaku, ale w mieście zależało mu na oficjalnym statusie, którego symbolem była gwiazda.

Podobnie jak Black Rock, Dry Gulch wyglądało jak z kowbojskiego scenariusza gdzieś w połowie lat siedemdziesiątych dziewiętnastego stulecia. Główna ulica - zarazem jedyna w całym

miasteczku - była całkiem szeroka, z frontonami sklepów, zakładów usługowych i budynków publicznych po obu stronach - jadłodajnia „Tullis Good Eats Cantina”, sklep wielobranżowy, zakład krawiecki „Mabel”, kancelaria adwokacka Honigstocków, zakład pogrzebowy Kinga, Bank Dry Gulch, „La Belle Saloon”, biuro szeryfa i więzienie miejskie.

Jay skinął głową i dotknął róna kapelusza, widząc starszą kobietę w długiej sukni, przechodzącą przez ulicę. - Uszanowanie łaskawej pani.

Spojrzała na niego podejrzliwie, weszła na chodnik i przyspieszyła kroku. Chodnik był dobre trzydzieści centymetrów wyższy od jezdni i miało to sens. Kiedy padał deszcz, co zresztą nie zdarzało się zbyt często, ulicą z pewnością płynęła błotnista woda, więc dobrze było móc stanąć nieco wyżej. Kilku chłopców biegło ze śmiechem zakurzoną ulicą, popychając przed sobą patykami żelazne obręcze beczek. Z dala dochodziła pieśń godowa przepiórki.

Jay ściągnął cugle, zatrzymując Bucka przed biurem szeryfa. Starzec z siwymi wąsami siedział na krześle, strugając grubym kij scyzorykiem. Wyglądał na górniką w swej skórzanej kamizelce na zgrzebnej koszuli w czerwono-czarną kratę, znoszonych spodniach i wysokich, czarnych butach.

Skórzane siodło zaskrzypiało, kiedy Jay przeniósł cały ciężar ciała na lewe strzemie i zsiadł z konia. Uwiązał Bucka do poziomego drąga.

Starzec splunął brązową od tytoniowej prymki śliną w stronę jaszczurki, która przemykała po chodniku, zapewne w poszukiwaniu cienia. Chybił prawie o metr.

- Cholera, chybiłem - powiedział ochrypłym, przepitym głosem.

Jay skinął mu głową i ruszył do drzwi. Jego buty zastukały po chodniku.

- Szukasz szeryfa? Tu go ni ma - powiedział stary.

Jay zatrzymał się. - A gdzie go znajdę?

- W parku sztywnych! - Chichot starucha przeszedł w rżęzenie, a potem w kaszel. Znów splunął tytoniowym sokiem, ale jaszczurka była już w bezpiecznej odległości. - Cholera, chybiłem.

- A zastępcą szeryfa?

- Tyż tam je. Zakopali go zaraz obok! - Znów chichot, rżęzenie i napad kaszlu.

Pewnie tak tu siedzi, modląc się, żeby trafił się jakiś obcy, któremu będzie mógł to powiedzieć.

Odzyskawszy dech, starzec powiedział: - Trzy dni temu bracia Thompson przyjechali tu obrobić bank. Widzę, że nosisz gwiazdę, więc pewnie wiesz, co to za jedni. Zabili dwóch pracowników banku, szeryfa i zastępcę. Szeryf trafił jednego z nich, a stara Tullis strąciła drugiego z konia, kiedy uciekali z miasta, przywaliła mu z tej starej strzelby, którą trzyma pod kontuarem w swojej jadłodajni. Zostało trzech, uciekali aż się kurzyło, ale żadnych pieniędzy nie ukradli i na pewno nieprędko tu wrócą, co to, to nie!

- Jak się nazywasz, dziadku?

- Wołają tu na mnie Gaduła.

Ciekawe, dlaczego. - Słuchaj, Gaduła, szukam paru drani ze Wschodu. Ciemne typy.

- Ostatnio nikt taki się tu nie kręcił - poinformował go Gaduła. - Ale mogli przejeżdżać dylizansem. Biuro Wells Fargo jest na drugim końcu miasta. - Wskazał kijem, który pracowicie strugał. - Za burdelem.

- Dzięki, Gaduło.

Jay wrócił do Bucka, dosiadł go i podjechał stępa do biura Wells Fargo. Jeszcze raz skinął Gadule głową. Oczywiście, staruch mógł być w rzeczywistości ścianą ognia. Może szeryf chrapał w biurze, na pryczy w celi albo z nogami na stole. Albo może wyszedł na jednego do jadłodajni, czy do „La Belle”, zostawiając Gadułę, żeby odprawiał z kwitkiem obcych, którzy mieliby jakiś interes do miejscowego stróża prawa. Jay postanowił zajrzeć do biura Wells Fargo, pogadać z telegrafistą - zauważył słupy telegraficzne, podjeżdżając do tego miasteczka - a jeśli niczego się nie dowie - wrócić do biura szeryfa, ominąć Gadułę i przekonać się, czy staruszek mówił prawdę.

Uśmiechnął się. Komu przysłoby do głowy przedstawić ścianę ognia jako starego, żującego tytoń pierdziela, wyglądającego jak emerytowany poszukiwacz złota z Kalifornii?

Podjeżdżał właśnie do biura Wells Fargo, kiedy na środek ulicy wyszedł wielki, ogorzały, czarnowłosy facet ze zwisającymi wąsiskami i parą rewolwerów w kaburach przy pasie. - Zatrzymaj no się.

Niewątpliwie wyglądał groźnie w czarnym surducie, śnieżnobiałej koszuli, pod krawatem i w meloniku zamiast kowbojskiego kapelusza.

Jay przyjrzał mu się uważniej. Sam miał *Colta.45 Peacemaker*, natomiast rewolwery tamtego wyglądem przypominały czterdziestkiczwórki *Smith&Wesson Schofield* z siedmiocalowymi lufami. Potężna, celna broń, chociaż ze względu na długość lufy wyciągało się ją z kabury dość powoli. Kiedy liczyła się szybkość, krótki rewolwer był lepszy...

Jay zsiadł z konia i podprowadził go do najbliższej barierki, przy burdelu. Stały już tam cztery konie. Z otwartych okien na piętrze wychylały się trzy kobiety w kolorowych halkach, spoglądając na obu mężczyzn na ulicy. Jay spojrzał w ich stronę i pstryknął palcami w rondo kapelusza. - Witam panie - zawołał.

Kobiety zachichotały. Jedna z nich pomachała ręką. - Chodź na górę, szeryfie!

Jay uśmiechnął się i odwrócił do faceta w meloniku. Odsunął się od konia, nie chcąc, żeby Buck był w prostej linii za nim. - Czym mogę ci służyć, *amigo*? - zagadnął.

- Jakoś nie lubię stróżów prawa. Wracaj, skąd przyjechałeś. - Wielki facet odsunął poły surduta, odsłaniając rewolwery w kaburach. - Tak będzie lepiej dla ciebie.

- Nazywasz się jakoś? - spytał Jay.

- Bartholomew Dupree. Tutaj wołają na mnie Czarny Bart.

Jasne, jakżeby inaczej.

Jay opuścił rękę tak, że dłoń znalazła się koło kolby *Colta*.

- Przykro mi, Bart, ale mam do załatwienia sprawę w Wells Fargo. Odsuń się i daj mi przejść.

- Nie da rady, szeryfie. - Przebierał palcami, rozluźniając je.

Z całą pewnością ściana ognia, i to solidna. Jay uznał to za potwierdzenie, że jest na właściwym tropie; zwierzyna, którą śledził przechodziła tędy. I nie zamierzał rezygnować tylko dlatego, że na szlaku pojawiła się przeszkoda. „Samotnik” Jay Gridley nie przypadkiem zaszedł tak daleko. Był najlepszy.

- Więc teraz twój ruch - powiedział Jay.

Bart sięgnął po broń. Był szybki - ale Jay okazał się szybszy. Czterdziestkapiątka odezwała się ułamek sekundy wcześniej niż bliźniacze czterdziestkiczwórki; rozległ się donośny huk, z lufy zionęły pomarańczowe płomienie i gęsty, biały dym. Jay poczuł na dłoni ukłucia drobin niespalonego prochu. Ponownie odwiódł kurek rewolweru, ale nie było to już potrzebne. Bart opadł na kolano, a potem przewrócił się na bok, a rewolwery wysunęły mu się z bezwładnych dłoni. Kurz, który wzbił się z ulicy, zmieszał się ze swądem czarnego prochu.

Jay opuścił kurek, schował broń do kabury i podszedł do leżącego na zakurzonej ulicy Barta. Spostrzegł z satysfakcją, że trafił go dokładnie między oczy.

Masz nauczkę za sprzeciwianie się „Samotnikowi” Jayowi, stary.

Za plecami słyszał muzykę, dochodzącą z saloonu, przy czym rytmiczne dźwięki zdawały się pochodzić raczej z syntetyzatora niż z pianina. Uśmiechnął się. Jako młody chłopak naoglądał się za dużo filmów z Clintem Eastwoodem.

Z podcienia koło domu o złej reputacji wyszedł ciemnowłosy mężczyzna w szarym surducie i w okularach, i zbliżył się do Jaya, który stał na ulicy, spoglądając na zwłoki. - Może będą ci potrzebne moje usługi, przyjacielu? - Wyciągnął wizytówkę. - Peter Honigstock, adwokat - powiedział.

Jay przesunął się tak, żeby prawnik mógł zobaczyć gwiazdę szeryfa. - Nie sądzę. Potrzebny będzie tylko przedsiębiorca pogrzebowy.

- Aha - powiedział Honigstock.

Jay odwrócił się, skinął głowom upadłym kobietom w domu publicznym i ruszył do Wells Fargo. Później zamierzał wrócić do biura szeryfa i zamienić parę słów z tym zakłamanym sukinsynem

Wtorek, 21 grudnia 2010 roku, godzina 15.25

Waszyngton, Dystrykt Columbia

W swym domowym gabinecie John Howard odchylił się na krzesło i odwrócił wzrok od map wybrzeża Pacyfiku na północnym zachodzie. Zerknął na zegarek. Zorientował się, że za jakieś pięć minut musi ruszać na lotnisko, żeby odebrać matkę Nadine. Na myśl o tłoku na drogach w godzinach szczytu ogarnęło go jeszcze większe znużenie, a i bez tego był naprawdę zmęczony.

Nie wiedział, co się z nim dzieje, dlaczego ostatnio czuje się taki zmordowany. Trening na siłowni nie sprawiał mu tej satysfakcji, co kiedyś, po przebiegnięciu kilku kilometrów dyszał tak ciężko, że musiał zwalniać niemal do tempa piechura. I nie spał dobrze - znużenie ogarniało go wcześniej, ale potem całą noc rzucał się na łóżku i rano wstawał zmęczony, jakby się w ogóle nie kładł. Czuł się tak, jakby przesadził z ćwiczeniami fizycznymi, ale przecież wcale nie trenował intensywnie, lecz tylko dla podtrzymania kondycji. W pracy też nie było ostatnio większych stresów. Zbliżały się ćwiczenia na pustkowiu w stanie Waszyngton i trening zimowy na śniegu w górach Zachodniej Wirginii w połowie stycznia. Poza tym nic godnego wzmianki.

Czy to możliwe, że po prostu się starzał?

Nie, miał dopiero czterdzieści dwa lata. Znał facetów o dziesięć lat starszych, którzy byli w znacznie lepszej kondycji niż on; to nie mogło być tak proste.

Nie? Przecież niektórzy starzeją się szybciej niż inni. Pamiętasz spotkanie klasowe w dwadzieścia lat po maturze? Niektórzy z chłopaków mieli tyle siwych włosów i zmarszczek, że wyglądali starzej niż twój ojciec. Nie poznałbyś ich na ulicy. Może i twój zegar chodzi szybciej...

Howard pokręcił głową. Tego akurat nie musiał się obawiać. Nie miał jeszcze ani jednego siwego włosa i wyglądał lepiej niż kiedy miał dwadzieścia lat, był bardziej umięśniony. Może po prostu brakowało mu witamin?

Wstał z krzesła. Nie było sensu tak tu siedzieć i rozmyślać nad starzeniem się, zwłaszcza że jego teściowa zmieniałaby się w czarny wulkan, wyrzucający z siebie gorącą żółć, gdyby spóźnił się po nią na lotnisko. Ta kobieta miała podły charakter i cięty język. Lepiej się pośpieszyć.

Nadin robiła w kuchni kolację. Howard ruszył w tamtą stronę, żeby jej powiedzieć, że wyjeżdża i żeby zabrać Tyrone'a.

Chłopiec był w swoim pokoju. Ale zamiast siedzieć jak zwykle przy komputerze, od którego nie można go było oderwać, leżał na łóżku z rękoma pod głową i wpatrywał się w sufit.

- Nic ci nie jest, synu?

- Nie, w porządku.

- Czas jechać po babcię.

Tyrone lekko przechylił głowę. - Chyba zostanę w domu.

- Co takiego?

- No, zobaczę się z babcią, jak ją przywieziesz.

Howard wytrzeszczył oczy, jakby jego synowi wyrosły nagle rogi i ogon. Nie chce jechać po babcię? Co się stało z tym chłopcem, który zwykle wołał w kółko: „Babcia! Babcia! Babcia!” podskakując na siedzeniu samochodu przez całą drogę na lotnisko? Który rzucał się temu staremu nietoperzowi w ramiona, tańcząc z radości jak szalony?

- Zdziwi się, że cię nie ma.

- Przecież będzie tu przez cały tydzień.

Nie ulegało kwestii, że to przez tę dziewczynę. Dziewczyny zmieniały dorastających chłopców w bestie, usiłujące się wydobyć z bagna szalejących hormonów. Tyrone, teraz już oficjalnie nastolatek, stał się ponury, naburmuszony, zamknięty w sobie i rozmowny jak kołek w płocie.

- Możesz przekierować przychodzące rozmowy na... - zaczął Howard.

Tyrone usiadł gwałtownie, a potem wstał. - Idę do centrum handlowego - oznajmił.

Howard poczuł, że ogarnia go gniew. - Chwileczkę, młody człowieku. Jeszcze nie doszliśmy do tego, że informujesz mnie, co zamierzasz robić; masz pytać, czy ci wolno!

Tyrone stanął na baczność, zasalutował energicznie i zawołał: - Tak jest, panie pułkowniku!

Howard zrobił się naprawdę wściekły. Musiał się powściągnąć, żeby nie dać chłopakowi w twarz. Był zmęczony, nie czuł się najlepiej, a przed sobą miał półtorej godziny za kierownicą, żeby przywieźć z lotniska kobietę, która nigdy go nie lubiła i która wciąż mu powtarzała, że nie jest dość dobry dla jej córki. Ostatnią rzeczą, jakiej w tej chwili potrzebował był bezczelny wybryk dzieciaka, któremu wydawało się że jego ojciec to starość z czasów, kiedy do szkoły jeździło się na dinozaurach.

Przez kilka sekund Howard nie powiedział ani słowa. Jego gniew trochę złagodniał, kiedy

pułkownik uświadomił sobie, że przecież sam był kiedyś młody i głupi, święcie przekonany, że zaawansowana skleroza uniemożliwia jego rodzicom pamiętanie czasów, kiedy to oni byli młodzi. Ale i tak, gdyby odezwał się do swojego ojca, tak jak Tyrone do niego...

Howard łatwo wpadał w złość. Kiedyś, kiedy miał sześć, może siedem lat, jego młodszy brat Richie podkradł się do niego od tyłu podczas zabawy w kowbojów i Indian i walnął go w głowę kolbą rewolweru-zabawki, żeby go ogłuszyć, jak to widział w telewizji. Uderzenie nie ogłuszyło Howarda, ale solidnie go wkurzyło. Ryknął jak rozżłoszczony bawół, odwrócił się i pogonił za bratem przez ulicę w stronę domu, zamierzając dokopać gówniarzowi, kiedy go tylko dopadnie.

Ojciec, który przycinał właśnie żywopłot z azalii przed domem, usłyszał wrzask Richiego i rozdzielił chłopców.

- Co tu się dzieje? - spytał.

A Howard, dysząc z wściekłości, wykrzyknął coś naprawdę głupiego: „Zejdź mi z drogi!”, po czym własnym plastikowym rewolwerem usiłował odepchnąć ojca na bok.

Chwilę potem leżał na ziemi, patrząc w niebo i zastanawiając się, co się stało. Ojciec uderzył go tylko raz, ale to zupełnie wystarczyło.

Howard, który nigdy nie podniósł ręki na Tyrone'a, zrozumiał, jak wtedy musiał się czuć jego ojciec. W myślach przeprosił go za tamto. Przykro mi, tato.

Tyrone, który do niedawna był wzorowym synem, zwiesił głowę i powiedział: - Przykro mi, tato.

Cierpienia wieku dojrzewania. Nie zapominaj, John, jak to było, kiedy nikt nie rozumiał, jak ty się czułeś.

- W porządku, zapomnijmy o tym. Przywiozę babcię, a ty ruszaj do centrum. Babcia zrozumie.

Widział, jak chłopiec się zastanawia. Lojalność wobec babci walczyła w nim z zadurzeniem w dziewczynie.

Tym razem lojalność zwyciężyła.

- Nie, pojedę z tobą na lotnisko. Inaczej babcia zwałiby winę na ciebie. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

Howard też się uśmiechnął. Tyrone był znów taki jak kiedyś. Przynajmniej w tej chwili.

W drzwiach pojawiła się Nadine, wiedzona instynktem matki i żony, wyczuwającej kłopoty. - Wszystko w porządku, chłopcy?

Howard odwrócił się i spojrzał na żonę. Kiedy ją poznał, była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział i piękniała jeszcze z każdym rokiem ich piętnastoletniego małżeństwa. -

Wszystko w najlepszym porządku - powiedział.

I było, przynajmniej na razie. Ale Tyrone miał dopiero piętnaście lat. Mieli przed sobą jeszcze kilka lat takich przejść.

Dobry Boże!

Wtorek, 21 grudnia 2010 roku, godzina 20.15

Waszyngton, Dystrykt Columbia

Nagi Platt leżał na brzuchu na łóżku w hoteliku przy Ulicy C, niedaleko biblioteki Kongresu. Kobieta, również naga, siedziała mu okrakiem na plecach, masując mięśnie jego karku i ramion. Czuł na skórze ciepło jej ud i krocza. Naprawdę robiła niezły masaż, co było raczej niezwykle u dziewczyn, przyjeżdżających do domu klienta. Większość ograniczała się do paru muśnięć końcami palców i paru drapnięć paznokciami, ale ta dziewczyna naprawdę się starała. Postanowił dać jej za to dobry napiwek. Była wysoka, trochę chuda, miała cycki niewarte wzmianki, ale za to wspaniały tyłek. I miała znacznie więcej siły w rękach, niż można było przypuszczać na pierwszy rzut oka.

- Rety, kochanie, jesteś twardy jak skała - powiedziała, uciskając mocno kciukami właściwe miejsca tuż pod łopatkami. Bolało, ale był to ten dobry rodzaj bólu.

- Jeszcze nie wiesz, co jest naprawdę twarde, mała. Poczekaj, aż się przewrócę na plecy.

Roześmiała się. - Tak, zauważyłam, że masz sporego, jak na białego chłopca. - Nie mówiła o żadnym z jego mięśni. - Czym się zajmujesz, panie Platt?

- Jestem spedytorem - powiedział. - W dużej firmie importowo-eksportowej. Wiele podróżuję po całym świecie, załatwiając sprawy.

- Naprawdę? Zawsze chciałam pojechać za granicę. Nigdy nie wyjechałam z kraju. Chciałabym zobaczyć Japonię.

To było wspaniałe uczucie, kiedy ugniałała mu rękami mięśnie karku. - Aha - powiedział. - A nie chciałabyś wrócić do Afryki? Zobaczyć swoją ojczyznę?

- Kurde, a po co? W tym kraju też jest mnóstwo czarnych.

Roześmiał się. Podobała mu się. - Może kiedy znów będę w Japonii, przywiozę ci jakiś prezent.

- Chciałabym. Piękne kimono z czerwonego jedwabiu.

Platt przekręcił się na plecy. Uniosła się trochę i zaraz usiadła mu na udach. Uśmiechnął się do niej. - Czerwone kimono raz. Żaden problem.

- Ho, ho, a to co? - zawołała. Białe zęby świetnie kontrastowały z jej czekoladową skórą. - Cóż my tu mamy? - Sięgnęła ręką. Podsunął dłonie pod jej tyłek i uniósł trochę.

Wtorek, 21 grudnia 2010 roku, godzina 20.15

Waszyngton, Dystrykt Columbia

Hughes siedział w swoim biurze. Skończył właśnie streszczenie tego, co White miał powiedzieć, kiedy spotka się jutro z wiceprezydentem przed powrotem do Ohio na święta.

Rozległo się stukanie do drzwi. O wilku mowa...

- Bob?

- Pomyślałem sobie, że cię tu zastanę - powiedział White. Nie śpiesząc się wszedł do środka i położył na biurku niewielką paczkę. - Prezent na Gwiazdkę. Nie sądziłeś chyba, że o tobie zapomnę, co?

Hughes wciągnął na twarz uśmiech. - Jakże bym mógł, Bob? Sam zrobiłem odpowiednią notatkę w twoim terminarzu, żebyś nie zapomniał.

Roześmieli się obaj.

Hughes wyjął z szuflady szkatułkę, zapakowaną w papier z motywami gwiazdkowymi i podał ją White'owi. Niełatwo jest znaleźć prezent dla milionera, który kupuje sobie wszystko, na co mu przyjdzie ochota, ale Hughesowi zawsze udawało się wyszukać coś niezwykłego. Wiedział, że White uwielbia niespodzianki.

- Mogę od razu otworzyć? - Jak dziecko.

- Pewnie.

Senator niecierpliwie rozerwał czerwoną i zieloną folię, i zdjął wieczko ze szkatułki. Ze środka wyjął coś, co przypominało małą, skórzaną miseczkę na drewnianym stojaku. W miseczce była połyskująca srebrzyście kulka z grą komputerową na konsolę SonySega, urządzenie, które White posiadał, od kiedy trafiło na rynek. Spojrzał na Hughesa i uniósł brew.

- DinoWarz II, wersja beta, pełna VR - powiedział Hughes. - Powszechnie dostępna będzie dopiero za parę miesięcy.

- Naprawdę? Rety, dziękuję ci, Tom! Jak to zdobyłeś?

- Mam trochę kontaktów we właściwych miejscach.

White obracał kulkę w palcach i Hughes bez trudu

odczytał z jego twarzy, że senator najchętniej zaraz pobiegłby do domu, żeby sobie pograć. White spojrzał na skórzaną miseczkę. - A to co? Wygląda niezwykle.

- Można byka, pokryta plastikiem.

- Co takiego? Zgrywasz się.

- Ani trochę. Wyobrażam sobie, że znasz paru ludzi, których chętnie poczęstujesz orzeszkami z tej miseczki.

White zaśmiał się i pokręcił głową. - Lecę jutro rano do domu prywatną maszyną. Podrzucić cię gdzieś?

- Dzięki, zostanę tu jeszcze. Wreszcie będę mógł coś zrobić, kiedy nie będziesz mi wlaził w drogę.

Znów się roześmieli.

- Chyba też otworzę mój prezent - powiedział Hughes.

W paczce była wysoka na dwadzieścia centymetrów figurka, wyrzeźbiona w kości słoniowej. Przedstawiała leżącą na boku kobietę, podpierającą się łokciem. Hughes wiedział, co to było. Chińska lalka lekarska. W dawnych czasach wysoko urodzone Chinki nie pozwalały się zobaczyć nago żadnemu mężczyźnie oprócz męża, a czasem nawet i mężowi. Jeśli musiały pójść do lekarza, zabierały ze sobą lalkę. Kiedy lekarz pytał, gdzie je boli, pokazywały mu chore miejsce na figurce, a on na podstawie tego i innych objawów stawiał diagnozę, nie oglądając ani nie dotykając ciała pacjentki. Znajac White'a, Hughes przypuszczał, że figurka była warta majątek. Wyrzeźbiona była po mistrzowsku.

Hughes stosownie wyraził wdzięczność. - Jest piękna, Bob. Dziękuję.

- Cóż, to nie można byka, ale zrobiłem, co mogłem. Należała do żony, czy konkubiny jakiegoś cesarza, zapomniałem, którego. Bertha ma dokumentację. Da ci papiery, kiedy wrócimy po świętach.

- Jestem ci naprawdę bardzo wdzięczny. Praca dla ciebie przynosi mi tyle korzyści, że nie sposób wszystkich wymienić.

Niewątpliwie była to prawda.

- Co ja bym zrobił bez ciebie, Tom. Wesołych Świąt.

- Wesółych Świąt - powiedział Hughes. A przy odrobinie szczęścia Nowy Rok będzie dla mnie lepszy niż kiedykolwiek - chociaż dla ciebie może się okazać najgorszy, kiedy już gównu wpadnie w wentylator...

10

Środa, 22 grudnia 2010 roku, godzina 8.25

Quantico, Wirginia

Alex Michaels nie chciał przedłużać narady. Wolał, żeby wszyscy jak najprędzej wrócili do roboty. O tej porze, na kilka dni przed Bożym Narodzeniem, tempo i tak spadało, bo każdy szykował się już do świąt. Firmy oczywiście nie zamykano, zapewniając przez wszystkie wolne dni szkieletową obsadę, ale każdy, kto nie miał pilnych obowiązków, a chciał wyjść wcześniej, mógł to zrobić. Spojrzał na swoich najlepszych ludzi, zebranych w sali konferencyjnej: Toni, Jay, Howard i Joan Winthrop. Żadne z nich nie musiało zostawać tu na święta.

- W porządku, z grubsza to już wszystko. Wiecie, że ujęcie tego faceta od receptur materiałów wybuchowych jest sprawą najwyższej wagi, więc zabierzcie ze sobą laptopy, a jeśli któreś wpadnie na jakiś genialny pomysł, niech się nim od razu podzieli z innymi.

Wiedział, jakie mają plany świąteczne, ale też wiedział, że bez względu na wszystko nie przestaną się zastanawiać nad tą sprawą. Toni jechała na tydzień do rodziny w Bronx. Miała wrócić w następną środę. Rodzice Jaya odwiedzali krewnych w Tajlandii, więc chłopak zamierzał zostać w mieście. Pewnie większość czasu spędzi w centrali Net Force. Do Howarda przyjechała rodzina. Pułkownik pozostanie więc w mieście. Joan wybierała się na spotkanie z przyjaciółką gdzieś w górach w Kolorado. Miała wrócić w poniedziałek. On sam wyruszał do Boise, żeby się zobaczyć z Susan. No i z Megan.

Pomyślał, że dobrze wie, co to znaczy, kiedy człowiekiem targają mieszane uczucia.

- Ma ktoś coś nowego?

Zgłosił się Jay. - Natrafiłem na interesujące dane statystyczne w najnowszym raporcie Murraya o zachorowalności i śmiertelności. Przewidywana średnia długość życia mężczyzn jest w Waszyngtonie krótsza niż w jakimkolwiek innym regionie wielkomiejskim w tym kraju, z wyjątkiem paru okręgów w Południowej Dakocie. Sześćdziesiąt trzy lata. Mieszkając w okręgu Cache w Utah mężczyzna może oczekiwać, że pożyje piętnaście lat dłużej, to znaczy dociągnie do siedemdziesięciu ośmiu. Kobiety w obu wypadkach mogą dodać sobie osiem do dziesięciu lat.

- Założę się, że w Waszyngtonie czas wydaje się biec o wiele wolniej - powiedział Howard.

- Nie wiem - zastanawiała się głośno Toni. - Czy ktoś z was był kiedyś w Utah?

- Ja byłem - powiedział Jay. - Myślę, że wszyscy są tam zbyt znudzeni, żeby umierać.

Michaels uśmiechnął się. - Fascynujące. A masz może coś, co miałyby jakiś związek z tym, czym zajmuje się nasza agencja, Jay?

- Nic. Przedarłem się przez ściany ognia tego faceta od receptur na bomby, ale ślad się urwał. Ślepa uliczka. Od tego czasu nie nawinął mi się pod lufę.

- Juhu - mruknęła Joan pod nosem.

Alex spojrzał na nią pytająco.

- Prywatny żart - powiedziała. - Przepraszam.

- W porządku. To by było wszystko. Jeśli komuś z was uda się złapać tego faceta, zanim porojeżdżamy się na święta, to założę się, że Święty Mikołaj przyniesie temu komuś bardzo ładny prezent, co najmniej pochwałę od prezydenta.

- O rety - odezwał się Jay. - Miałbym czym wyłożyć klatkę mojej papużce.

- Nie wiedziałam, że masz papużkę - powiedziała Toni.

- Nie mam, ale na taką okazję kupiłbym sobie.

- Aha, jeszcze jedno. Ktoś musi reprezentować Net Force na konferencji, dotyczącej prawnych aspektów sieci. W lutym, w Kona na Hawajach - powiedział Michaels.

- Ja! Ja! - zawołał Jay. - Proszę wysłać mnie!

- Kto złapie tego drania, będzie się mógł poopalać.

Joan zachichotała.

- Co cię tak rozbawiło? - spytał Jay.

- Nic. Po prostu wyobraziłam sobie, jak będę wyglądała na tamtej plaży. Słyszałam, że jest tam czarny, wulkaniczny piasek.

- Zaczekaj z pakowaniem bikini - powiedział Jay.

- Naprawdę? Na twoim miejscu też nie robiłabym na razie zapasów olejku do opalania.

- Myślę, że teraz, to już naprawdę wszystko - powiedział Michaels. - Wracajcie do roboty.

Rozchodzili się właśnie, kiedy pojawił się sierżant Julio Fernandez. Skinął głową Michaelsowi i ruszył w stronę pułkownika Howarda, rozmawiającego z porucznik Winthrop.

- Dzień dobry, panie pułkowniku. Dzień dobry, pani porucznik.

- Witam, sierżancie - powiedział Howard.

Michaels dostrzegł błysk w oczach Fernandeza, kiedy sierżant spojrzął na Joan Winthrop. Cóż, potrafił go zrozumieć.

Wrócił do biura. Chwilę później zajrzała Toni. - Masz chwilę?

- Jasne.

Podala mu paczuszkę, przewiazaną czerwoną kokardą. - Wesołych Świąt - powiedziała.

- Dziękuję. Mogę zaraz otworzyć?

- Nie wolno. Musisz poczekać, aż Susie rozpakuje swoje prezenty. Wtedy docenisz ten ode mnie.

- Intrygujesz mnie. No, dobrze, poczekam. Hej, ja też mam coś dla ciebie. - Z szuflady biurka wyjął płaską paczkę, zawiniętą w gazetę.

Uśmiechnęła się na widok tego opakowania i zważyła paczkę w rękę. - Książka?

- Odwiń papier, to zobaczysz.

Ostrożnie odklejała taśmę, uważając, żeby nie porozrywać kolorowej gazety.

- Chcesz zachować ten papier, Toni?

- Nie, to tylko przyzwyczajenie. - Spojrzała na książkę. - O rety!

Było to pierwsze wydanie „Broni i sztuk walki Indonezji” Donna Draegera z 1972 roku.

- Gdzieś ty to znalazł? Toż to klasyka. - Przerzucała stronicę, znów bardzo ostrożnie, oglądając czarno-białe ilustracje. - Nigdy dotąd nie widziałam oryginału, tylko reprinty i wersje na CD.

Wzruszył ramionami. - Trafiłem gdzieś na to przypadkiem. Pomyślałem, że ci się spodoba.

Akurat, przypadkiem. Specjalna firma, zajmująca się poszukiwaniem rzadkich książek, polowała na ten egzemplarz przez sześć tygodni, a kiedy go wreszcie znalazła, Michaels musiał zapłacić równowartość tygodniowych zarobków. Drobiazg. Żył oszczędnie. Koszty utrzymania, alimenty na Susie no i jedyne hobby - restaurowanie starych samochodów. Teraz pracował nad Plymouthem Prowlerem. Sporo to kosztowało, ale wiedział, że kiedy wreszcie skończy i sprzeda ten samochód, wszystkie nakłady zwrócą mu się z nawiązką. Książka nadszarpnęła trochę jego konto w

banku, ale Toni była tego warta. W pracy nie mógłby się bez niej obejść. A wyraz jej twarzy, kiedy patrzyła na swój prezent, też był wiele wart. Uśmiechnął się.

Toni zamierzała właśnie zamknąć książkę, kiedy dostrzegła coś na stronie tytułowej. - Hej, jest podpisana!

- O, naprawdę? Patrzcie, patrzcie. - Autograf zwiększył cenę książki o kilkaset dolarów.

Uściskała go spontanicznie.

Boże, co za cudowne uczucie, kiedy tak się do niego przytuliła. Mogłaby tak pozostać przez cały dzień...

Toni oderwała się od Alexa i posłała mu uśmiech. - Dzięki. Mój prezent nie może się równać z twoim. Nie powinienesz być...

Wzruszył ramionami. - Hej, co tam pieniądze. Może jutro trafi mnie wielki meteor, kiedy będę wyrzucał śmieci? Uwierz mi, Toni, naprawdę bardzo cenię twoją pracę.

Cisza, która zaległa po tych słowach, zaczęła się robić niezręczna. Przerwał ją. - Więc jedziesz zobaczyć się z rodziną?

- Tak, będzie wielki zlot, wszyscy bracia i bratowe, bratanice i bratankowie, wujowie, ciotki. Cała armia krewnych. - Przerwała na chwilę. - Mam nadzieję, że uda ci się wizyta u Susie.

- Ja też.

- No, muszę wracać do pracy. Jeszcze raz dziękuję za tę książkę, Alex.

- Nie ma za co.

Czwartek, 23 grudnia 2010 roku, godzina 6.45

Quantico, Wirginia

Joan Winthrop skorzystała z oferty wyjścia tego dnia wcześniej z pracy. Zarezerwowała sobie bezpłatny przelot samolotem wojskowym, startującym dość wcześnie z Quantico na Alaskę, z międzylądowaniem w Denver. Kiedy wspomniała o tym pułkownikowi Howardowi, sierżant Fernandez zaproponował, że podwiezie ją na lotnisko.

- Mogę złapać taksówkę - powiedziała.

- To dla mnie żaden problem, pani porucznik. I tak jadę w tamtą stronę, mam parę spraw do

załatwienia. Wpadnę po panią.

Naprawdę było jej to na rękę. - Jasne.

Jechała teraz na przednim siedzeniu w prywatnym samochodzie Fernandez, szarym, siedemnastoletnim Volvo. Uśmiechnęła się. - To zabawne, ale myślałam, że jeździ pan jakimś szybszym wozem.

- Ten też dowozi mnie, dokąd chcę. Powoli i spokojnie. I nie muszę go bez przerwy odstawiać do warsztatu.

- Bardzo dziękuję za podwiezienie.

- Żaden problem.

Jechali przez kilka minut w milczeniu, ale zdawała sobie sprawę, że sierżant zerka na nią kątem oka. Cóż, był mężczyzną, a ona dobrze знаła takie spojrzenia.

- Nie obrazi się pani, jeśli spytam o coś osobistego?

Jezu, zaczyna się, pomyślała. Będzie mnie podrywał.

Miała wielkie doświadczenie w zniechęcaniu facetów. Fernandez miał co prawda pewien latynoski urok, ale taki romans nie byłby najlepszym pomysłem. Chociaż stopni wojskowych nie traktowało się w Net Force zbyt poważnie i, w odróżnieniu od Armii, nie było żadnego formalnego zakazu intymnych związków między oficerami a podoficerami i żołnierzami, to jednak różnili się statusem. Postanowiła zniechęcić go łagodnie. - Niech pan strzela.

- Czy praca z komputerem zawsze była dla pani łatwa?

Hm, tego nie oczekiwała. - Nie rozumiem?

- Obserwowałem panią. Jest pani w tym dobra, bez dwóch zdań, a jednocześnie wydaje się, że to takie łatwe. Ciekaw jestem czy rzeczywiście. To znaczy, czy to rzeczywiście dla pani takie łatwe.

Zastanawiała się przez chwilę. Nie chciała sprawiać wrażenia zarozumiałej, ale w końcu... - Tak. Sądzę, że przychodzi mi to bez większego wysiłku. Zawsze tak było. Coś mnie pociąga w komputerach.

Pokręcił głową. - Potrafię rozłożyć i złożyć ciężki karabin maszynowy w ciemności i podczas ulewy, ale jeśli chodzi o bity i bajty, jestem durny jak tabaka w rogu.

Roześmiała się. Mężczyźni tak rzadko przyznawali się przed nią do jakichś mankamentów. Sierżant wydał jej się sympatyczniejszy.

- Wie pani, próbuję się tego nauczyć, ale mam jakąś blokadę. Informacje odbijają się od niej, zamiast zapadać mi w umysł. Ostatnio poszedłem nawet na zajęcia komputerowe, ale... popadłem w

osobisty konflikt z instruktorem. Sądzę, że doszedł do wniosku, że jestem głupi jak but i nigdy się tego nie nauczę.

- Jeśli się coś rozumie naprawdę dobrze, można to wyrazić w prosty sposób.

- Przepraszam?

- George Turner, autor, którym byłam zafascynowana w koledżu. Wie pan, jak działa komputer? Mam na myśli podstawy teoretyczne.

- Hm... Właściwie, to nie wiem.

- No, dobrze. Powiedzmy, że ma pan służbę wartowniczą przed jakimiś drzwiami. Otwiera je pan, kiedy ktoś poda właściwe hasło. Dla ludzi nie znających hasła drzwi pozostają zamknięte. Na razie jasne?

- Pewnie.

- No to już pan wie, jak działa komputer. Drzwi są albo otwarte, albo zamknięte. Przełącznik znajduje się w jednym z dwóch położań. Odpowiedź brzmi tak lub nie, kiedy ktoś podejdzie do strzeżonego przez pana miejsca. Dzieje się to niewiarygodnie szybko, to przełączanie, ale to jest podstawa, z której wynika cała reszta.

- Bez kitu? Przepraszam, chciałem powiedzieć...

- Bez kitu - powiedziała.

- Cholera. Dlaczego nikt mi wcześniej nie przedstawił tego w taki sposób?

- Bo trafiał pan na kiepskich nauczycieli. Dobry nauczyciel posługuje się pojęciami zrozumiałymi dla ucznia i zadaje sobie trud, żeby się dowiedzieć, jakie to pojęcia. Kiedy byłam w koledżu, zapisałam się na zajęcia z psychologii. Dowiedziałam się tam o nieobiektywnych testach na inteligencję, którym poddawano dzieci. Wie pan, pokazuje się najpierw zdjęcie filiżanki, a potem zdjęcia spodeczka, stołu, samochodu i pyta się, co pasuje do filiżanki.

- No i?

- No i wszystkie inteligentne dzieciaki amerykańskie ze średnich i wyższych warstw społecznych wybierają spodeczek, po filiżanka i spodeczek pasują do siebie, tak?

- Tak.

- Ale dzieciakom z biednych rodzin filiżanka może się kojarzyć ze stołem, bo spodeczków nie mają. A dzieci z bezdomnych rodzin mogą do filiżanki dopasować samochód, bo właśnie w samochodach mieszkają.

- Determinacja ekonomiczna - powiedział Fernandez.

Skinęła głową. Nie był głupi, co by nie mówił. - Dokładnie tak. I tak samo jest z czynnikami rasowymi, religijnymi i kulturowymi. No więc, po takim teście wszyscy myślą, że te dzieci są głupie i przenosi się je do klas z innym poziomem nauczania, podczas gdy w rzeczywistości problem tworzą sami nauczyciele, którzy nie wzięli pod uwagę środowiska, w którym żyją ich uczniowie.

- Rozumiem.

- Z pana umysłem też wszystko jest w porządku. Potrzeba panu tylko nauczyciela, umiającego posłużyć się terminologią, do której potrafi się pan odnieść. Jest pan żołnierzem, więc niech pan znajdzie żołnierza, który zna się na komputerach, a będzie się pan mógł od niego uczyć.

- Albo od niej - powiedział Fernandez.

- Albo od niej. - Spojrzała na niego. - Prosi mnie pan, żebym pana uczyła?

- Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby pani zechciała - powiedział. I zachował przy tym poważną minę.

Uśmiechnęła się. - To nie jest próba zbliżenia się do mnie, bo uważa pan, że jestem piękna, co, Fernandez?

- Nie, pani porucznik. Dysponuje pani wiedzą, której mnie brakuje, a bardzo chciałbym ją osiąść. Praca z komputerem należy do moich obowiązków, ale nie potrafię sobie z tym poradzić. To mi przeszkadza. Nie muszę być Einsteinem, ale chcę pojąć tyle, ile powinienem. Poza tym, zgadza się, jest pani piękna, ale w tym wypadku bardziej liczy się to, że jest pani mądra.

Zamrugała i zobaczyła Fernandesa w zupełnie nowym świetle. Boże, jeśli mówił prawdę, to podziwia ją dla jej rozumu!

- Chyba coś się da zrobić. Proszę się ze mną skontaktować po świętach.

- Tak jest, proszę pani.

- I daj sobie spokój z tą „panią”. Mam na imię Joan.

- Reaguję na prawie każde zawołanie, ale przyjaciele mówią do mnie sierżancie lub Julio.

- Julio.

Znów się uśmiechnęła. Maudie dopiero zrobi wielkie oczy, kiedy to usłyszy!

Czwartek, 23 grudnia 2010 roku, godzina 16.10

Nad południowym Ohio

- Ma pan chęć na drinka, sir?

Alex Michaels oderwał wzrok od artykułu na temat budowy najwyższego gmachu na świecie, bliźniaczych wież w Sri Lance. Nowa budowla, kiedy zostanie ukończona, będzie o ponad dwadzieścia jeden metrów wyższa od drugiego co do wysokości budynku, który też znajdował się w Sri Lance.

- Proszę o Coca-Colę - powiedział.

- Zaraz podam, sir. - Stewardesa wręczyła mu plastikowy kubeczek z lodem i jedną z tych nowych, ulegających biodegradacji plastikowych puszek Coca-Coli. Zamkniętą puszkę można było przechowywać przez dziesięć lat, ale kiedy tylko do środka dostało się powietrze, rozpoczął się proces rozkładu plastiku. Po dziewięciu miesiącach z puszki pozostawała garstka nietoksycznego proszku, który całkowicie rozpuszczał się podczas pierwszego deszczu. Można było wyrzucić puszkę na ziemię, a po roku nie było już po niej ani śladu.

Stewardesa przeszła do następnego rzędu foteli. Michaels nalał Colę do kubeczka z lodem, obserwując, jak na wierzchu tworzy się piana. Leciał klasą biznesową na pokładzie wielkiego *Boeinga 777*. Siedział przy drzwiach koło prawego skrzydła. Lubił to miejsce i zawsze starał się je zarezerwować. Wydawało mu się, że jest tu trochę więcej miejsca na nogi, chociaż mógł to być tylko wytwór jego wyobraźni. Głównie jednak chodziło o to, że gdyby z samolotem zaczęło się dzieć coś niedobrego, chciał być w miejscu, w którym mógłby coś zrobić.

Zaczął rezerwować to miejsce od czasu lotu do Los Angeles, kiedy na miejscu obok wyjścia awaryjnego zobaczył starszego pana, ważącego może czterdzieści pięć kilo. Być może pod wpływem adrenaliny facet potrafiłby otworzyć te drzwi, gdyby złamało się podwozie podczas awaryjnego lądowania, ale Michaels nie dałby za to głowy. Może zamiast tego facet dostałby ze strachu zawału. Ale może ten starszy pan był jak ta leciwa dama, która uczyła Toni *silat* i dysponował mocą, o którą nikt by go nie podejrzewał. Mimo wszystko, lepiej żeby przy tych drzwiach siedział krzepki czterdziestolatek z FBI niż siedemdziesięcioletni przedstawiciel wagi lekkiej. Lepiej dla wszystkich zainteresowanych.

Oczywiście najchętniej latałby pierwszą klasą. Parę razy Biuro zafundowało mu takie przeloty w ramach podróży służbowych. Komfort był większy, ale nie zdecydowałby się na dodatkowe koszty, lecąc prywatnie. W końcu ogon samolotu dolatuje na lotnisko w tym samym czasie, co nos, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, więc wydawanie dodatkowo kilkuset dolarów za lniane serwetki i lampkę szampana wydawało się przesadą.

Było dość czasu na obejrzenie filmu przed lądowaniem w Denver, gdzie Michaels miał się przesiąść na samolot do Boise. Wprawdzie linie lotnicze rzadziej gubiły dziś bagaże pasażerów, ale Michaels wolał nie ryzykować. Miał ze sobą jedną torbę podróżną, która zmieściła się w schowku nad głową razem z prezentem gwiazdkowym dla Susie, syntetyzatorem muzyki i głosu. Jego córka odkryła dla siebie nowy rodzaj muzyki, zwany technometofunk; dzieciaki szalały za tym. Michaels lubił jazz, klasyczny rock, big-bandy z lat czterdziestych, a nawet klasykę długowłosych. Od lat nie śledził nowych trendów w muzyce. Zrozumiał, że się starzeje, gdy przeczytał kiedyś aktualną listę „Billboardu” i zorientował się, że nie zna żadnej piosenki, ani żadnego z wykonawców. Któż mógłby potraktować serio piosenkę zatytułowaną „Mama Wąsy Mama Siostra”, wykonywaną przez kogoś, kto nazywał się HeeBeeJeeBeeDeeBeeDoo? Albo „Bunk Bunk!” w wykonaniu DogDurt?

Mając syntetyzator, Susie będzie mogła włączyć się wirtualnie do dowolnego zespołu oraz zobaczyć i usłyszeć się podczas występu na scenie. Mogłoby się wydawać, że to trochę zbyt poważna zabawka, jak na jej wiek, ale właśnie syntetyzatora sobie zażyczyła. Całe szczęście, że Toni udało się go kupić; Michaels mógł uszczęśliwić córkę.

Toni robiła mnóstwo rzeczy, dzięki którym Michaels prezentował się w dobrym świetle.

Spojrzał na ekran, wbudowany w oparcie znajdującego się przed nim fotela. Ekran można było ustawiać pod różnym kątem, tak, aby był widoczny, nawet jeśli pasażer z przodu zdecyduje się odchylić oparcie. Nie, nie miał chęci na film, grę wideo, VR, czy śledzenie przebiegu lotu, co było przedstawione jako sylwetka samolotu, lecącego nad mapą. Wolał po prostu posiedzieć z pismem na kolanach i wyglądać przez okno. Na szczęście pogoda była bezchmurna. Widoczne w dole Ohio było pokryte śniegiem, połyskującym w świetle zachodzącego Słońca.

Na Wschodnim Wybrzeżu będzie już północ, kiedy wyląduje w Boise, o ile zdąży się przesiąść i nie będzie opóźnienia. Dziesiąta wieczorem w tamtej części Idaho. Zarezerwował sobie samochód na lotnisku i pokój w „Holiday Inn”, niedaleko od domu, w którym mieszkała jego córka i była żona. Gdzie kiedyś mieszkali wszyscy razem. Wprawdzie w tym dużym, starym, piętrowym domu była wolna sypialnia, a nawet dwie, jeśli doliczyć pokój do szycia, ale Megan nie zaproponowała mu noclegu, a on też o to nie poprosił. Zawieszenie broni między Alexem a jego byłą żoną było pełne napięcia. Megan miała cięty język i aż za dobrze wiedziała, jak mu dopiec. Lepiej mieć jakąś bezpieczną przystań, w której można się zaszyć i zebrać siły do walki. „Holiday Inn” miał swoje zalety - cichy, przyjemny hotel, w którym można było zamówić posiłek do pokoju, a w drzwiach był solidny zamek.

Zastanawiał się, jak wielu ludzi myśli o świętach Bożego Narodzenia w ten sposób? Jak o brudnej wojnie partyzanckiej, o bezwzględnych ataku i wycofaniu się jak najszybciej? Po co w ogóle spotykają się rozbite rodziny, skoro to takie nieprzyjemne? Wielu ludzi, których znał, potrafiłoby machnąć ręką na święta i zachować bezpieczny dystans od rodzin...

Ale w tym wypadku odpowiedź była prosta: Susie. Bez względu na wszystko, musiała wiedzieć, że ma matkę i ojca, którzy ją kochają i chcą, żeby była szczęśliwa, nawet jeśli nie mogą być szczęśliwi ze sobą.

Nigdy nie pomyślał, że czeka go taka przyszłość, kiedy zabiegał o względy Megan, kiedy byli

młodzi, zakochani, kiedy świat do nich należał i wydawało im się, że nie ma czegoś takiego, jak porażka, a już na pewno nie w ich małżeństwie. Ach, ta młodzieńcza pycha; człowiekowi się wydaje, że wie wszystko i gotów jest to rozgłaszać przy każdej okazji.

Jakże to już dawno temu...

A może by się zdrzemnąć? Oprzeć się z poduszką pod głową o to chłodne, plastikowe okno i po prostu się wyłączyć.

Bardzo spodobała mu się ta myśl.

Czwartek, 23 grudnia 2010 roku, godzina 17.15

Waszyngton, Dystrykt Columbia

Samochód był mały, czarny i przypominał wyglądem starego Fiata. Kierowca usłyszał syrenę za sobą, zjechał na pobocze i zatrzymał się koło rzędu niewielkich sklepów, które były już chyba zamknięte. Obuwie sportowe Nike, sprzęt audio i wideo, z małymi telewizorami na wystawie. Napisy na szyldach wskazywały na któryś z południowoeuropejskich krajów.

Drzwi Fiata otworzyły się i z samochodu wysiadł niewysoki mężczyzna w długiej, ciemnej kurtce. Ręce trzymał uniesione, żeby pokazać, że nie jest uzbrojony. Ulica, jasno oświetlona słońcem, wydawała się opustoszała.

Do Fiata podeszło dwóch policjantów z bronią w ręku. Ich mundury wyglądały nieco operetkowo - czapki o dziwnych kształtach, skórzane kurtki, granatowe koszule i granatowe spodnie z żółtymi lampasami. Jeden z policjantów stanął naprzeciw niewysokiego mężczyzny w długiej kurtce; drugi sprawdzał samochód.

Pierwszy policjant machnął lufą i coś powiedział. Niewysoki odwrócił się, oparł rękami o dach Fiata, a gliniarz wprawnie go obszukał. Nie znalazł broni.

Drugi gliniarz mówił coś do małego radiotelefonu, ale pistolet trzymał cały czas wymierzony w kierowcę Fiata. Słuchał przez chwilę, po czym skinął na kolegę i coś do niego powiedział.

Zatrzymany odepchnął się od samochodu, uniósł łokieć, trzasnął w twarz stojącego z tyłu gliniarza, obalając go na ziemię i rzucił się do ucieczki. Drugi gliniarz wyskoczył przed maskę Fiata, uniósł pistolet i strzelił - cztery, pięć, sześć razy. Broń rzygnęła pomarańczowymi płomieniami wylotowymi i białym dymem, a na samochód posypały się łuski. W ostrym słońcu mosiężne łuski błyszczały jak złote monety, kiedy odbijały się od karoserii i spadały na chodnik.

Uciekający mężczyzna upadł na twarz. Poruszał jeszcze rękami i nogami, jakby rozpaczliwie usiłował płynąć po betonowej nawierzchni jezdni.

Gliniarz, który dostał łokciem w nos, pozbiarał się jakoś. Podszedł do mężczyzny, rozciągniętego na jezdni. Wycelował mu w tył głowy i strzelił.

Nieszczęśnik wyprężył się po raz ostatni i znieruchomiał.

Thomas Hughes westchnął ciężko i nacisnął klawisz stopklatki. Dwaj policjanci, stojący nad trupem - nie było wątpliwości, że to trup, strzał w tył głowy z odległości jednego metra wykluczał inną ewentualność.

Rety. Toż to była najprawdziwsza egzekucja. W dodatku zarejestrowana przez kamerę na dachu wozu policyjnego.

Hughes odchylił się na krześle i spojrzał na nieruchomy obraz. Na chwilę zrobiło mu się żal tamtego biedaka, ale zaraz się otrząsnął. Facet był szpiegiem i musiał sobie zdawać sprawę z ryzyka, które wiązało się z jego zawodem. Musiał wiedzieć, co się z nim stanie, jeśli go złapią.

Oczywiście, nie mógł przypuszczać, że ściśle tajna lista, na której znajdowało się także jego nazwisko, zostanie skradziona i opublikowana w sieci.

Hughes dostał to nagranie od jednego ze swoich szpiegów, a właściwie od szpiega, który pracował dla Platta. Oglądanie sceny zamordowania kogoś w taki sposób nie było przyjemne. Człowiekowi robiło się niedobrze.

Ale cóż, nie da się usmażyć omletu bez rozbicia paru jaj. To było potrzebne. Cóż znaczy paru szpiegów, których bez trudu można zastąpić, wobec dalekosiężnych celów, jakie stawiał sobie Hughes? Niewiele, bardzo niewiele. W tym wypadku cel niewątpliwie uświęcał środki. Codziennie umierają ludzie. W globalnej skali paru więcej nie robi różnicy.

Nowy aneks im. Quale'a, w którym senator White miał swe biuro, był prawie pusty. Niewielu ludzi pracowało o tej porze dzień przed Wigilią. Hughes zakładał, że inne budynki senackie - Russella, Dirksona, Harta - też są prawie opustoszałe. Pozostali zapewne tylko strażnicy, sprzątaczk i może paru młodszych pracowników, próbujących się wybić, podczas gdy wszyscy inni wyjechali na święta. W urzędach niewiele się robiło od początku grudnia po Nowy Rok, ale był to czas, w którym zaczęła kiełkować niejedna kariera.

White miał kiedyś biuro w budynku im. Harta, w czasach, kiedy w atrium znajdowała się tam jeszcze jakaś paskudna nowoczesna rzeźba z metalu, „Góry i Chmury”, czy coś w tym rodzaju. Personel z wyższych pięter spędzał mnóstwo czasu, puszczając papierowe samolociki tak, żeby wylądowały na czubku rzeźby. Urządzali sobie nawet zawody, kto umieści tam najwięcej samolocików.

Hughes westchnął ponownie. Stawka była wysoka i trzeba było umiejętnie rozgrywać karty, żeby nie przegrać. Szkoda tego agenta i innych, którzy trafią do więzienia albo zostaną zabici, ale nie dało się tego uniknąć. Trzeba było pokonać ogromną inercję, żeby wprawić w ruch coś tak

wielkiego, jak to, o czym myślał. Ten szpieg poszedł na pierwszy ogień, ale nie będzie ostatni, który odda życie, żeby mogła postępować realizacja planu Hughesa. Szkoda, ale cóż, tak być musiało. Na tym świecie było się albo myśliwym, albo zwierzyną, a owce padały łupem wilków. Było to zgodne z pierwszym prawem dżungli: silni przeżywają kosztem słabych.

A Thomas Hughes był ekspertem w sztuce przetrwania.

Zapisał nagranie jako plik komputerowy, żeby White mógł je sobie później obejrzeć i uniość dłoń, żeby gestem wyłączyć komputer. Dość się napracował, jak na jeden dzień. Czas jechać do domu, zamówić coś do jedzenia, potem kieliszek wina i cudowna, gorąca kąpiel. Może nawet wypije za tych biednych szpiegów, którzy muszą się poświęcić dla jego planu. Dlaczego by nie? W końcu nic go to nie kosztowało.

Zaćwierkał jego virgil. Numer był zastrzeżony, a przychodzące rozmowy były przekierowywane przez coś koło szesnastu satelitów i nie było mowy, żeby można je było prześledzić do niego, Hughesa.

Upewnił się, że skrambler jest włączony, choć pod tym numerem odbywało się to automatycznie, i uaktywnił układ modyfikacji głosu, wybierając na tę rozmowę Starszą Panią. Jego rozmówca będzie słyszał w słuchawce dziewięćdziesięcioletnią kobietę.

- Słucham.

Przez chwilę panowała cisza.

- Kto mówi? - spytał Hughes.

- Mam informacje, dotyczące pewnej... przesyłki.

Hughes wiedział, kto to był. Facet ze średniego szczebla kierowniczego w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, z prawem dostępu do wszystkich tajnych materiałów i - o czym w NSA nie wiedziano - nałogowy hazardzista, po uszy zadłużony u bukmacherów. Jego głos też był zmieniony. Hughes czekał już od pewnego czasu, aż facet zgłosi się z czymś, co okaże się przydatne. Hazardzista nie wiedział, z kim rozmawia. - Mów dalej.

- Chodzi o pewne delikatne... minerały.

- Słucham uważnie.

- Potrzebuję pięćdziesięciu tysięcy.

Hughes niemal czuł, jak tamten się poci. - O jakiej ilości tej... delikatnej substancji rozmawiamy?

- Prawie dziewięć kilo. W czterech paczkach. Tego samego dnia.

Hughes zastanawiał się przez chwile. Niesamowite. Dziewięć kilo plutonu transportowano w

ciągu jednego dnia? Z pewnością nie na obszarze USA i nie z jednego źródła, nawet gdyby materiał rozszczepialny podzielono na dowolną liczbę porcji, nie osiągających masy krytycznej. NRC* i NSA wpadłyby w szal, gdyby ktoś uczynił coś tak głupiego. Hughes wiedział jednak, że musi to sprawdzić.

- To transport krajowy?

- Oczywiście, że nie. Dwie porcje są krajowe, a dwie zagraniczne. Dwa razy po trzy kilo, dwa kilo i niecały kilogram.

- Kiedy?

- Za dwa dni. No i co, podać szczegóły, czy nie?

- Powiedziałeś, pięćdziesiąt tysięcy?

- Tak. Gotówką. Banknoty nie większe niż pięćdziesiątki.

- W porządku. Ktoś się z tobą spotka w wiadomym miejscu dziś wieczorem, o dziewiątej. Przynieś te informacje.

Hughes przerwał połączenie. Nie planował tak gwałtownej eskalacji, ale jeśli już nadarzała się taka okazja, musiał ją wykorzystać.

Wybrał numer. Platt zgłosił się prawie natychmiast.

- Tak?

- Jesteś tu potrzebny.

- Kiedy? - spytał Platt.

- Teraz.

Zamierzał dać Plattowi pieniądze i wysłać go po informacje. Ktokolwiek z dostępem do materiałów wybuchowych, dobrego warsztatu ślusarskiego i paru elektronicznych drobiazgów ze sklepu sieci Radio Shack mógł skonstruować bombę atomową, ale bez odpowiedniego materiału rozszczepialnego i tak nic by nie wskórał. Było mnóstwo ugrupowań, gotowych zapłacić miliony za dziewięć kilo plutonu. Nie trzeba było wiele, żeby zbudować sobie bombkę atomową. A co za huk, gdyby wybuchła. Mógł wreszcie zabić tym z Net Force prawdziwego ćwieka.

Piątek, 24 grudnia 2010 roku, godzina 11.00

Bronx, Nowy Jork

Toni weszła po dobrze znanych kamiennych schodkach, które zamiatała codziennie, kiedy pobierała naukę od guru DeBeers. Teraz, najwidoczniej, robił to ktoś inny, bo na schodkach nie było śniegu, lodu, ani brudu. Drzwi z szybami ze zbrojonego szkła były zamknięte, ale Toni wciąż miała swój klucz. Przekręciła go w zamku i weszła do budynku. W holu było tylko trochę cieplej niż na dworze.

Mieszkanie guru było trzecie po lewej stronie. Toni uniosła rękę, żeby zastukać, kiedy z mieszkania dobiegł ochryply głos starej kobiety:

- Wejdz, drzwi są otwarte.

Toni uśmiechnęła się. Jeszcze zanim zdążyła zastukać, guru wiedziała, że to ona. Musiała mieć zdolności parapsychiczne.

W środku wszystko wyglądało tak samo jak przed rokiem i w czasach, kiedy była dzieckiem. Stara, zielona kanapa z koronkową narzutą, czerwone, pluszowe krzesło, też z koronkową serwetką, niski stolik z powieścią Stephena Kinga, podłożoną pod jedną z nóg - wszystko na swoim miejscu.

W kuchni guru mełła kawę w małym ręcznym młynku, który przywiozła sześćdziesiąt lat temu w Dżakarty. Powoli kręciła rączką, a po kuchni rozchodził się wspaniały, mocny aromat kawy, którą guru DeBeers otrzymywała od jednego z dalekich krewnych, mieszkającego w górach na środkowej Jawie.

Kobiety spojrzały na siebie. Toni złożyła dłonie, unosząc je na wysokość głowy, a potem przesuwając do serca w ukłonie *namaste*. Guru odwzajemniła pozdrowienie. Padły sobie w ramiona.

W wieku ponad osiemdziesięciu lat, guru wciąż była solidnie zbudowana, ale nie poruszała się już tak szybko i sprawnie, jak kiedyś. Jak zawsze, jej siwe, wypielęgnowane włosy pachniały delikatnie imbirem od szamponu, którego używała.

- Witaj w domu, *Tunangannya* - powiedziała guru. Toni uśmiechnęła się. Najlepsza dziewczyna. Guru zaczęła ją tak nazywać wkrótce potem, kiedy się poznały.

- Zaraz będzie kawa. - Guru wsypała świeżo zmieloną kawę do brązowego rożka z bibuły i włożyła go do stalowego pojemnika nad dzbankiem, po czym nalała wody z żeliwnego czajnika, który stał na małej, czteropalnikowej kuchence. Zapach był cudowny, wprost nie do opisania.

Guru zaczęła, aż woda spłynie i doląła jeszcze trochę. Powtarzała tę czynność, dopóki nie opróżniła czajnika. Wyjęła dwa białe, porcelanowe kubki z drewnianego regału nad kuchenką i nalała do nich świeżej kawy. Nie podała cukru ani śmietanki. Kawę piło się u guru bez żadnych dodatków. Dodanie do niej czegokolwiek byłoby, jej zdaniem, nieomal świętokradztwem. Wierzenia

guru były amalgamatem hinduizmu, islamu i chrześcijaństwa; łagodnie mówiąc, trudno się w nich było rozeznąć.

Kobiety przeszły bez słowa do pokoju stołowego. Guru usiadła na krześle, a Toni na kanapie. Wciąż milcząc, obie popijały gorącą kawę.

Guru robiła najlepszą kawę, jaką Toni piła kiedykolwiek. Prawdę mówiąc, gdzie indziej napój ten w ogóle przestał jej smakować. Gdyby któraś z kawiarni zdołała wejść w spółkę z guru, jej obroty wzrosłyby trzykrotnie.

- No i jak ci się żyje w Waszyngtonie? Czy twój młody człowiek zobaczył już światło?

- Jeszcze nie, babciu.

Guru napiła się kawy i skinęła głową. - Zobacz. Wszyscy mężczyźni są powolni, a niektórzy bardziej niż inni.

- Chciałabym mieć pewność.

- Nie w tym życiu, moje dziecko. Ale jeśli nie dostrzeże, ile jesteś warta, to znaczy, że na ciebie nie zasługuje.

Dalej piły kawę. Kiedy już prawie skończyły, guru powiedziała: - Myślę, że czas już, żebym ci opowiedziała pewną historię. O mojej rodzinie.

Toni skinęła głową w milczeniu. Guru tak wiele jej nauczyła tą metodą, opowiadając jawajskie baśnie i legendy.

- Ojciec mojego ojca przyплыł do Indonezji z Holandii żaglowcem w 1835 roku. Miał pracować jako nadzorca na plantacji, na której uprawiano indygowce, kawę i trzcinę cukrową. W tamtych czasach kraj nie nazywał się jeszcze Indonezją. Biali ludzie nazywali wszystkie te wyspy Holenderskimi Indiami Wschodnimi, a czasem Wyspami Korzennymi. Ja i mój lud nazywaliśmy naszą wyspę Jawą.

Guru uniosła pusty kubek. Toni wstała, wzięła oba kubki, poszła do kuchni i napełniła je ponownie. Staruszka wznowiła opowieść.

- Mój pradziad poszedł do pracy na farmie na skraju Dżakarty; w tym mieście było wtedy o wiele mniej ludzi niż dzisiaj. Był żonaty. Żonę i dwoje dzieci pozostawił w kraju, w którym się urodził, ale - jak to często bywało z białymi mężczyznami w obcych krajach - wziął sobie tubylkę za żonę. Moją prababkę.

Toni podała guru kawę, usiadła z powrotem na kanapie i pociągnęła łyk swojej.

- W odpowiednim czasie urodził się mój dziad, pierwszy z sześciu braci i dwóch sióstr. Kiedy mój dziad miał jedenaście lat, mój pradziad, wtedy już zamożny, pożegłował z powrotem do Holandii, żeby połączyć się z żoną i dziećmi. Zatroszczył się o to, żeby jego jawajskiej rodzinie

niczego nie brakowało, a nie wszyscy biali mężczyźni tak robili. Nigdy się już z nimi nie zobaczył ani nie kontaktował. Rodzina mojej prababki przyjęła ją i jej dzieci, i życie toczyło się dalej.

Toni tylko skinęła głową, nie chcąc przerywać opowieści. Guru opowiedziała jej już niejedną historię, ale nigdy dotąd nie były one tak osobiste.

- Brat matki mojego dziada - Pa Ba, to znaczy Mądry - wziął na siebie obowiązek nauczania mojego dziada, którego holenderskie imię brzmiało Willem, co to znaczy być mężczyzną. Mój dziad wyrósł na silnego, zdolnego mężczyznę i w końcu został żołnierzem w jednym z tubylczych oddziałów armii. - Pociągnęła łyk kawy, po czym powiedziała: - Idź do sypialni i spójrz na nocny stolik. Leży tam coś na jedwabnej poduszeczce. Przynieś mi to.

Toni omal nie zachłysnęła się kawą. Przez te wszystkie lata, kiedy ćwiczyła z guru, nigdy nie przekroczyła progu sypialni, której drzwi zawsze były zamknięte. Wyobraźnia podsuwała jej najbardziej fantastyczne wizje tego pomieszczenia. Może z sufitu zwisały tam spreparowane głowy albo może ściany były pokryte dziełami indonezyjskiej sztuki ludowej.

Rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Mogła to być sypialnia jakiegokolwiek starej kobiety. Było tam łóżko, a w jego nogach stała ciemna, rzeźbiona skrzynia z drewna mahoniowego albo tekowego, szafa, też drewniana, z lustrem, które straciło część srebrzystej farby. Na jednej ze ścian wisiał obraz, przedstawiający nagą dziewczynę, stojącą pod wodospadem. Pachniało kadzidłem, jakimś wonnym olejkiem albo piżmem.

Ale na nocnym stoliku była czerwona poduszka, a na poduszce leżał *kris* w pochwie z drewna i mosiądzu.

Toni wiedziała, co to jest. Czytała trochę o Indonezji, ciekawa kraju, z którego wywodzi się jej sztuka walki i chociaż nigdy nie ćwiczyła z *krisem*, miała już w rękach niejedną nóż.

Wzięła broń do ręki. Z pochwy nie dało się wywnioskować, jaki kształt miała klinga, ale typowy jawajski *kris* mierzył trzydzieści do czterdziestu pięciu centymetrów długości. Ten tutaj wyglądał na czterdzieści centymetrów i miał falistą, obosieczną klingę, wykonaną z warstw ręcznie kutej stali. Podobnie jak miecze damasceńskie, czy samurajskie *katana*, *kris* zyskał dzięki temu swą niepowtarzalną fakturę, jakby wzór w metalu.

Pośpieszyła do pokoju stołowego, chcąc usłyszeć resztę opowieści guru.

Guru wzięła od niej *krisa* i podała jej pusty kubek, który Toni szybko nappełniła.

- Pa Ba nie miał synów, tylko córki, więc kiedy dla mojego dziada nadszedł czas wejścia w wiek męski i otrzymania swego *krisa*, odziedziczył właśnie ten.

Mówiąc to, stara kobieta wyciągnęła sztylet z pochwy i uniosła go.

Stalowa, falista klinga miała po sześć lub siedem łuków po każdej stronie, zwężała się od szerokiej nasady i była zakończona spiczastym czubkiem. Rękojeść była lekko zakrzywiona, trochę podobna do kolby pistoletu. Metal czarny, matowy, z jednej strony spod jelca wystawał niewielki

stalowy brzusiec. Po drugiej stronie ostrze było ząbkowane.

- W czasach, kiedy duchy były na Jawie potężne, ten *kris* miał dużo *hantu* - magii. - Machnęła bronią. - Ma trzynaście *luk dapor* - łuków, a klinga nazywa się *udanmas*; to znaczy „złoty deszcz”. Widzisz?

Guru wskazała na fakturę metalowej powierzchni, wyglądającą trochę tak, jakby kropelki deszczu spadły na wysuszoną ziemię.

- Ten *kris* miał przynosić właścicielowi szczęście i pieniądze. Niektórzy wierzą, że dobry *kris* potrafił sprowadzić na wroga powolną śmierć, jeśli ugodzi się w jego cień albo nawet w odciski stóp. Gdy nadchodził wróg, dobry *kris* grzechotał w pochwie, ostrzegając swego właściciela przed niebezpieczeństwem. Na widok nagiego ostrza głodny tygrys stawał jak wryty. Według tego, co mówił dziad Pa Ba, ten *kris* wyleciał kiedyś z pochwy jak ptak *garuda* i przeciął nadgarstek złodziejowi, próbującemu dostać się do jego domu w ciemną, bezksiężycową noc.

Guru uśmiechnęła się. - Oczywiście, niektóre z tych starych historii mogły zostać z czasem nieco upiękzone.

Schowała sztylet do pochwy i trzymała go oburącz na kolanach. Jej kawa stygła w kubku na stoliku z koronkową serwetką.

- Mój dziad dał go memu ojcu, kiedy ten stał się mężczyzną, a mój ojciec dał go mojemu jedyńemu bratu, kiedy on z kolei stał się mężczyzną. - Zapatrzyła się w dal, pochłonięta wspomnieniami. - Mój brat poległ na wojnie z Japończykami, zanim zdążył założyć rodzinę. Wielu młodych mężczyzn zginęło na tej wojnie. Mój ojciec nie miał po tej wojnie ani synów, ani bratanków, czy siostrzeńców. *Kris* trafił więc do mnie.

Siedziały przez chwilę w milczeniu.

- Urodziłam mojemu mężowi trzech synów i córkę. Dwaj moi synowie żyją, mam sześcioro wnuków i prawnuka, a także dwie prawnuczki. Moi synowie są już starzy, moje wnuki są nauczycielami, prawnikami i biznesmenami, jedna z moich prawnuczek jest nauczycielką, a druga lekarzem. Są przyzwoitą rodziną, powiodło im się w życiu, są rozrzućeni po całym kraju i wszyscy są dobrymi Amerykanami. Nie ma w tym nic złego. Ale nikt z mojej rodziny nie jest adeptem sztuk walki. No, nie całkiem, mam wnuka w Arizonie, który zabawia się *taekwondo*, a jeden z moich synów ćwiczy *tai chi*, żeby zachować sprawność stawów, ale żaden z nich nigdy nie uczył się *silat*. Ty jesteś moją uczennicą, kontynuatorką mojej linii, więc od tej chwili ten *kris* należy do ciebie.

Stara kobieta wyciągnęła sztylet w stronę Toni, trzymając go na otwartych dłoniach.

Toni wiedziała, jakie to ma dla guru znaczenie i nawet przez myśl jej nie przeszło, żeby odmówić. Uklęła przed starą kobietą i oburącz przyjęła od niej broń. - Dziękuję, guru. Jestem zaszczycona.

Stara kobieta odsłoniła w uśmiechu poplamione tytoniem zęby. - Tak właśnie powinnaś

powiedzieć, dziecko, i jest dobrym świadectwem moich nauk, że wiedziałaś, co powiedzieć. Nie mogła mi się trafić lepsza uczennica. Powinnaś to trzymać na czerwonej jedwabnej poduszce u wezłowania łóżka, kiedy śpisz - powiedziała, wskazując na *kris*. - Chociaż amerykański kochanek mógłby się trochę przestraszyć. - Zachichotała.

Toni spojrzała na gładkie drewno pochwy. Dlaczego guru dała jej ten sztylet właśnie teraz? Nagle ogarnął ją niepokój.

- Guru, ale ty... nie masz problemów ze zdrowiem...?

Stara kobieta zaśmiała się. - Nie, nie jestem jeszcze

gotowa, żeby odejść. Ale *hantu* jest ci bardziej potrzebne niż mnie. Ja miałam bogate życie, a ty wciąż jesteś niezamężna. Kobieta w twoim wieku powinna myśleć o tych sprawach. W końcu to jest magiczne ostrze, *kah*?

Toni uśmiechnęła się. - Jeszcze kawy, guru?

- Ale tylko pół kubka. I opowiedz mi więcej o tym młodym człowieku, który jeszcze się na tobie nie poznał. Może wspólnie znajdziemy sposób, żeby go obudzić.

13

Sobota, 25 grudnia 2010 roku, godzina 6.30

Alexandria, Wirginia

Julio Fernandez poszedł na poranna mszę do Świętego Gerarda w Alexandrii. Usiadł z tyłu w małym kościele, słuchając monotonnego głosu ojca Alvareza, który tylko co jakiś czas wołał głośniejsz „Panie”, zwykle budząc w ten sposób paru wiernych.

Fernandez był przyzwyczajony do wczesnego wstawania, ale o tej porze zwykle byłby w ruchu, biegł po torze przeszkód albo robił coś innego, żeby poprawić krążenie krwi. Siedzenie na twardej ławie w dusznym kościele i słuchanie starego księdza, który mógłby klepać swoje kazanie nawet przez sen - a całkiem prawdopodobne, że rzeczywiście tak robił - nie było najlepszym sposobem na zachowanie jasności umysłu.

Ale gdyby nie poszedł na mszę, mógłoby mu przyjść do głowy, żeby skłamać matce, a tego nie chciał. Był na służbie i nie mógł polecieć do rodziny, żeby spędzić z nią Boże Narodzenie. No,

niezupełnie. Mógłby dostać urlop z uwagi na wysługę lat, ale przecież byli i inni mężczyźni z rodzinami, którzy potrzebowali czasu wolnego bardziej niż on, więc zgłosił się na ochotnika - ale tego już nie musiał mówić mamie. Zamierzał do niej zadzwonić; wiedział, że będzie czekać na ten telefon. U mamy w La Puente będą ciotki, wujkowie, a także przynajmniej połowa z sześciu braci i dwóch sióstr Fernandez, oczywiście z dziećmi i wszyscy będą pewnie narzekać na El Nino i ulewy, które miał sprowadzić nad południową Kalifornię. Nie, mamie nie groziło, że będzie sama w pustym domu, ale i tak chciała choćby usłyszeć swoje dzieci, które nie mogły przybyć osobiście. I wiedział, że mama spyta go najpierw, jak się czuje, a zaraz potem, czy był rano na mszy. Mama podejrzewała, że jej trzeci syn nie jest zbyt gorliwie praktykującym katolikiem - i miała rację - ale przynajmniej będzie jej mógł uczciwie powiedzieć, że był na porannej mszy. Będzie jej mógł opisać, jak wygląda ojciec Alvarez, który był kiedyś księdzem tam, gdzie mama chodziła do kościoła czterdzieści lat temu. „Zestarzał się, mammo. Musi mieć co najmniej pięćset albo sześćset lat. Czekałem tylko, aż ktoś z muzeum w Kairze wejdzie do kościoła i zabierze go z powrotem do grobowca Tutenchamona, gdzie jest jego miejsce”.

Mamę powinno to rozśmieszyć; powie mu, że jest okropny, ale będzie szczęśliwa, że poszedł na mszę, przynajmniej w Boże Narodzenie; w końcu syn może przecież zrobić to dla matki, prawda? Raz w roku.

No więc zarobi na tym parę punktów - pod warunkiem, że nie zdrzemnie się na ławie i nie prześpi całego dnia, zupełnie zapominając o telefonie do domu...

Sobota, 25 grudnia 2010 roku, godzina 7.00

Boise, Idaho

Alexander Michaels zadzwonił do drzwi domu, który kiedyś był jego domem. Był to duży, drewniany, piętrowy dom wybudowany na początku dwudziestego wieku, na szczycie niewielkiego wzniesienia, z wysokim gankiem, do którego prowadziło dziesięć szerokich schodów. Kiedy zbudowano ten dom, znajdował się on tuż poza ówczesnymi granicami miasta. Oczywiście Boise już dawno temu wchłonęło tę okolicę, ale domy przy tej ulicy wciąż wyglądały tak, jak przed stu laty. Dom był niedawno odmalowany na ten sam, co przedtem, bładoniebieski kolor. Ale nie licząc malowania, paru wyreperowanych schodków i wymienionych desek w podłodze ganku, wyglądał tak, jak go Michaels pamiętał. Ta sama huśtawka, którą zamontował, kiedy kupili dom, wisiała na zardzewiałych łańcuchach w części ganku, wychodzącej na południe, tam, gdzie rosły zmarznięte teraz trochę rododendrony, które zakwitną różowo, kiedy nadejdą pierwsze cieplejsze dni. Spędził niejedną cudowną chwilę na tej skrzypiącej, drewnianej huśtawce, patrząc na rododendrony i słuchając, jak wiatr szumi w gałęziach sosen, ocieniających posesję.

Usłyszał odgłos kroków córki i okrzyk, jaki wydała, pędząc do drzwi: - Tatusz jest! Tatusz jest!

Susie gwałtownie otworzyła drzwi i rzuciła mu się na szyję. Trzymając pod pachą prezent,

który dla niej przyniósł, musiał ją złapać jedną ręką. Oplotła go ramionami i nogami, przytulając się z całej siły. Miała na sobie czerwoną flanelową piżamkę i żółte, kosmate kapcie. - Tatusiu!

- Cześć, wiewiórko, jak się masz?

- Świetnie. Wchodź do środka, wszyscy czekamy na ciebie z otwarciem prezentów!

Michaels przestąpił próg, uświadamiając sobie znaczenie słów Susie.

Wszyscy czekamy na ciebie? Miała na myśli siebie, Megan i Skauta?

Susie zsunęła się z niego i pobiegła holem do pokoju stołowego. I oczywiście mały Skaut, pudel, któremu się wydawało, że jest wilkiem, nadbiegł powitać Michaela, ślizgając się po parkiecie. Pies szczeknął, zobaczył, kto przyszedł i zaczął machać ogonkiem tak gwałtownie, że Michaels zaczął się bać, czy go sobie urwie. Michaels zdążył przykucnąć i odłożyć prezenty na podłogę, kiedy Skaut skoczył mu w ramiona.

Jak dotąd, nieźle, pomyślał.

Pies lizał go po twarzy. Michaels podnosił się właśnie, kiedy ze stołowego wyszła do holu Megan.

Wysoka, długonoga, z kasztanowymi włosami związanymi w koński ogon, wciąż była jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek znał. Była w dżinsach, czarnym podkoszulku i boso. I wyglądała na zdenerwowaną. - Cześć, Alex.

- Witaj, Megan.

- Wejdz, Susie zaraz pęknie.

Postawił psa na podłodze, podniósł prezenty, które przyniósł, i poszedł za byłą żoną do stołowego.

Choinka była wielka, jakieś dwa i pół metra, ale to nie problem w domu z tak wysokimi wnętrzami. Drzewko iskrzyło się lampkami, sztucznym śniegiem, ozdobami i lametą. W kominku, osłoniętym grubym szkłem, jasno płonęły polana. Susie klęczała pod choinką, uśmiechając się do sterty zapakowanych jeszcze prezentów.

Obok starej kanapy, obitej niebieskim pluszem, stał ktoś obcy, wysoki, brodaty mężczyzna. Miał na sobie dżinsy, sportową koszulę i kowbojskie buty. Wyglądał może na trzydzieści lat, o dobre dziesięć mniej niż Alex i co najmniej o pięć mniej niż Megan.

Megan podeszła do brodacza. Wzięła go pod ramię, uśmiechnęła się do niego, a potem odwróciła się do Michaela i powiedziała: - Byron, to jest Alex Michaels, ojciec Susie. Alex, to mój przyjaciel Byron Baumgardner. Jest nauczycielem w szkole Susie.

Wysoki mężczyzna uśmiechnął się, odsłaniając równe, białe zęby i podszedł wolnym krokiem,

żeby podać rękę Michaelsowi. - Miło cię poznać, Alex. Mnóstwo o tobie słyszałem.

Michaels poczuł gwałtowny skurcz żołądka. A więc to jest Byron. Zmusił się do rozciągnięcia warg w uśmiechu i wyciągnął rękę. - Witaj, Byron.

Mężczyźni wymienili uścisk dłoni. Michaels kątem oka zerknął na Megan. Kiedy przyszedł, wyglądała na zdenerwowaną, a teraz wiedział, dlaczego. Co za miła niespodzianka na Gwiazdkę. Poznaj mojego nowego przyjaciela. Swego następcę.

- Mogę już rozpakować prezenty? Mogę?

- Oczywiście, kochanie - powiedziała Megan.

Michaels uśmiechnął się do córki. Byron wrócił do Megan i objął ją ramieniem.

Michaels poczuł, że robi mu się niedobrze. Żałował, że nie może zapaść się pod ziemię. Chciałby być gdziekolwiek, byle nie tutaj.

Sobota, 25 grudnia 2010 roku, godzina 11.00

Bethesda, Maryland

Leżąc na ławeczce, Platt przesunął się pod sztangę, chwycił ją rękoma i odetchnął głęboko kilka razy. Na sztandze było dwieście kilogramów. Spozrzegł gapiów po obu stronach. - Gotów - powiedział.

Dwaj więksi od niego kulturyści na anabolikach podsunęli ręce pod sztangę, nie dotykając jej jednak, ale gotowi chwycić w każdej chwili.

Platt przystąpił do zdejmowania sztangi ze stojaka. Jeszcze raz odetchnął głęboko i napiął mięśnie, wypuścił trochę powietrza z płuc, kiedy miał już cały ciężar w rękach i zaczął powoli opuszczać sztangę na pierś.

Za pierwszym razem poszło mu łatwo.

- Raz. - Kulturyści zaczęli odliczać chórem. Jakby, kurwa, sam nie potrafił liczyć.

Za drugim razem nie było już tak łatwo, ale poradził sobie.

- Dwa!

Za trzecim razem było ciężko. Musiał wygiąć plecy w łuk, żeby wycisnąć sztangę na całą wysokość.

- Trzy!

Platt znał swoje granice. - Wystarczy, zabierzcie to - powiedział.

Kulturyści pomogli mu ustawić sztangę z powrotem na stojaku. Platt gwałtownie wypuścił powietrze z płuc i usiadł.

Facet z lewej strony, ogolony na łyso i z purpurową opaską na czole, powiedział: - Też chcę spróbować.

Platt skinął głową i ustąpił mu miejsca. Kiedy łyso układał się na ławce, Platt rozejrzał się po siłowni.

Siłownia nazywała się „Gold's Gym” i była całkiem przyzwoicie urządzona. Mnóstwo ciężarów, parę trenażerów hydraulicznych, rowery, wiosła, bieżnie i sztuczne schody. W rogu stało nawet jedno z najnowszych urządzeń do kompleksowego treningu. Lustra na wszystkich ścianach. Było Boże Narodzenie, a mimo to ze dwudziestu facetów pompowało żelazo. W większości fanatyczni kulturyści albo ciężarowcy, prawie wszyscy na anabolikach. Nie opuszczało się treningu z uwagi na jakieś tam święto. W ten sposób nigdy niczego by się nie osiągnęło.

Bez trudu można było rozpoznać wszystkich tych, którzy przyjmowali sterydy. Mieli charakterystyczne pomarszczenia skóry, żółtawe zabarwienie białek oczu, zwykle łysieli, a wielu miało krosty na plecach i ramionach. W szatni, dokąd wchodzili nago po prysznicu, u niektórych było widać powiększone sutki, skurczone jądra i członki. Ale byli silni, co łyso na ławeczce demonstrował właśnie Plattowi. Wycisnął dziesięć razy dwieście kilo, odłożył sztangę na stojak bez pomocy, usiadł i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - No, dobra, rozgrzałem się. Lou?

Drugi kulturysta zamienił się z łysem miejscami. Dwieście kilo wycisnął tylko osiem razy i łyso nazwał go łachmytą.

- Chcesz jeszcze jedną serię? - spytał łyso Platta.

- Nie, dzięki, pójdę się popodciągać na drążku.

- Fajnie. To na razie.

Platt poszedł pod drążek. Silni są ci dwaj kulturyści, pomyślał. Silniejsi ode mnie. Ale on nie przyjmował niczego oprócz witamin i mikroelementów, więc nie musiał się martwić, że zgnije mu wątroba, że dostanie raka mózgu, czy że dopadnie go jakieś podobne paskudztwo. Albo szła sterydowy. Że straci panowanie na sobą i zatłucze kogoś, kto zajechał mu drogę. Bijatyka dla przyjemności, to zupełnie co innego niż utrata panowania nad sobą. A ci faceci na sterydach byli tak silni, że czasem zrywali sobie mięśnie i odrywali ścięgna od kości. Widział kiedyś faceta, który zerwał sobie mięsień piersiowy, wyciskając na ławeczce trzysta kilo. Mięsień podwinął mu się na klatce piersiowej jak okienna roleta. Faceta czekała poważna operacja i długa przerwa w treningu. Głupota. Po co to wszystko, jeśli się nie jest dostatecznie zdrowym, żeby się tym cieszyć?

Koszulka Platta była już przepocona, ale uznał, że robi jeszcze parę serii podciągnięć, bez

obciążenia, z podchwytu i nachwytu, i na tym skończy dzisiejszy trening. Pół godziny w saunie, łaźnia, prysznic i będzie gotów.

Zastanawiał się, czy był dziś otwarty ten bar na Wisconsin, gdzie podawali *obento*, japońskie potrawy na wynos w plastikowych pojemnikach. Miał ochotę na parę porcji szaszłyków z kurczaka, ryż, a do tego słodkokwaśny sos. Postanowił tam zajrzeć.

Sobota, 25 grudnia 2010 roku, południe

Sugar Loaf Mountain, Boulder, Kolorado

Ogień trząsał wesoło i w domku robiło się coraz cieplej. Pachniało cedrem, sosnową żywicą i dymem.

- Wesołych Świąt - powiedziała Joan Winthrop. Uniosła kieliszek szampana i trąciła się z Maudie.

- Wesołych Świąt - powiedziała Maudie. Napiły się.

- O, świetny - pochwaliła Winthrop.

- Nic dziwnego. Butelka kosztuje osiemdziesiąt dolców.

- Jezu, wydałaś tyle pieniędzy na szampana?

- Nie ja. To prezent od wielbiciela. Myślę, że miał chęć go zlizywać z mojego nagiego ciała.

- Dlaczego mu nie pozwoliłaś?

- Bo najpierw poszliśmy do kina i zrobił pogardliwą uwagę na temat jednej z aktorek, która miała parę kilo nadwagi.

- Rozumiem, grube dowcipy.

- Tak jest. - Maudie pociągnęła łyk szampana. - Wysłałam mu e-mailem uprzejme podziękowania za ten prezent.

- Jestem pewna, że było mu bardzo miło.

Zachichotały.

- Powiedz mi coś więcej o tym sierzancie. To coś poważnego?

- Jeszcze za wcześnie, żeby coś powiedzieć. Jak dotąd, rozmawialiśmy tylko o komputerach, o których on nie ma bladego pojęcia. Ale wydaje się taki słodki. I podziwia mnie za mój rozum.

- Ho, ho.

- Cóż, albo rzeczywiście tak jest, albo bardzo, bardzo sprytnie wybrał okreśną drogę, żeby mi ściągnąć majtki.

Maudie prychnęła. - Mężczyźni! Są gotowi przeczołgać się przez pustynię w środku lata, jeśli będą się spodziewali, że po drugiej stronie dostaną dziewczynę.

- To prawda. Ale tym razem mam dobre przeczucia. Ilu spotkałaś facetów, którzy otwarcie przyznają, że nie na wszystkim się znają?

- Czekał, niech pomyślę... Gdyby ich wszystkich zsumować, to razem będzie... zero.

- No to ja jestem o jednego lepsza.

- Rety, dziewczyno. Masz jego zdjęcie? A może numer telefonu?

- O, nie, moja droga. Potrafisz chyba znaleźć sobie takiego w Kalifornii?

- Tak sądzisz? Zastanawiam się nad daniem ogłoszenia w lokalnym tygodniku. „Gruba, brzydka kobieta, inteligentna, szuka mężczyzny, który potrafi docenić jej intelekt”. Ciekawe, kto by odpowiedział.

- Jestem pewna, że przyniosłoby to rezultaty. - Uniosła kieliszek. - Na zdrowie.

- Aha.

Wypiły. Pośmiały się jeszcze trochę.

Były gorsze sposoby spędzania Bożego Narodzenia.

14

Sobota, 25 grudnia 2010 roku, godzina 14.15

Ambush Flats, Arizona

Jay Gridley miał już trochę dość westernowego scenariusza i zastanawiał się nad zmianą. Ale nie cierpiał robić tego podczas sesji VR, to znaczy zmieniać stylu. Postanowił, że następnym razem skorzysta z innego programu.

W tej chwili był w małym miasteczku Ambush Flats na Dzikim Zachodzie, idąc w kierunku biura telegrafisty. W oknie wisiał bożonarodzeniowy stroik.

- Dzień dobry, szeryfie - przywitał go telegrafista. Miał na czole zielony daszek, podobny do tego, jaki noszą krupierzy, białą koszulę i cienki, ciemny krawat. - Wesółych Świąt. Przykro, że musi pan podróżować w taki dzień.

- A pan pracować - powiedział Gridley. - Przechodziły tędy jakieś wiadomości dla szeryfa Gridleya?

- Nie, psze pana, sądzę, że nie. - Telegrafista demonstracyjnie przejrzał stos żółtych kartek koło nadajnika. - Na pewno nie.

- Aha. A w ogóle było ostatnio coś, o czym powinien wiedzieć szeryf?

- Nie, psze pana. Jestem praworządnym obywatelem. Nie chcę mieć nic do czynienia z takimi sprawami.

Jay nie miał powodów, żeby mu nie wierzyć, ale przekonał się już nieraz na własnej skórze, że w sieci prawda jest kosztownym i czasem trudno dostępnym towarem. A musiał wiedzieć, czy telegrafista nie kłamie.

Było parę sposobów, żeby się o tym przekonać. Mógłby wyciągnąć broń i kazać telegrafistcie położyć się twarzą do podłogi. Mógł pokazać ręką coś za oknem, a kiedy tamten wyjrzy, walnąć go w potylicę i ogłuszyć. Ale mógł też użyć podstępu i była to metoda, którą przedkładał nad inne. - Cóż, rozumiem, przyjacielu. Dzięki. *Adios*.

Wyszedł ze stacji telegraficznej i, nie śpiesząc się, przeszedł na tyły budynku. Obok drzwi stała drewniana beczka ze śmieciami. Wyjął zapalki z kieszeni koszuli, potarł jedną o metalową obręcz beczki i zapaloną wrzucił do śmieci. Zająły się papiery, a kilka sekund później w beczce płonęło już niezłe ognisko. Jay rozejrzał się dookoła. Przy ścianie budynku rosło trochę chwastów. Wyrwał garść zielonych roślin i wrzucił w płomień. Z beczki natychmiast zaczął się wydobywać gęsty, biały dym.

Jay wrócił przed drzwi frontowe, znalazł ocienione miejsce pod daszkiem i oparł się o słupek ganku. Nie musiał długo czekać.

Ktoś krzyknął: - Pożar! - Ktoś zaczął walić drągiem w szynę. Zewsząd nadbiegali ludzie.

Telegrafista wybiegł frontowymi drzwiami, uciekając przed dymem, przedostającym się od tyłu. Pobiegnął dookoła budynku, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Jay bez pośpiechu wszedł do środka i zaczął wertować stertę telegramów. Nic ciekawego.

W drewnianym biurku znajdowała się szuflada, zamknięta na klucz. Chcąc zajrzeć do schowanych tam dokumentów, Jay otworzył nieskomplikowany zamek za pomocą ostrza scyzoryka. Uśmiechnął się. Włamanie do sortownika zaszyfrowanej poczty elektronicznej z użyciem generatora nie brzmiało tak ekscytująco jak wcielenie się w postać szeryfa i przeszukanie biurka telegrafisty.

W szufladzie było mnóstwo śmiecia. Trochę podejrzanych transferów pieniężnych, niecenzuralne listy miłosne, pornografia i inne rzeczy, które ludzie zwykle usiłują ukryć. Formalnie rzecz biorąc, to, co robił nie było całkiem legalne, ale nie zamierzał zbierać dowodów dla sądu; szukał jedynie informacji. Jeśli się pośpieszy, skończy, zanim wróci telegrafista i nikt się nigdy nie dowie, że grzebał w prywatnej korespondencji.

Wciąż nic ciekawego. Czyżby niepotrzebnie tracił czas? A to co?

W miarę czytania jednego z e-maili Jay robił się coraz bardziej zaniepokojony. Ktoś przesłał szczegółowe informacje o trasach przewozu czterech partii plutonu - w jego scenariuszu przełożyło się to na dynamit - do ugrupowania, nazywającego się Synami Patricka Henry'ego! Jay słyszał o nich. Byli czymś w rodzaju ochotniczej milicji, balansującej na krawędzi zdrady stanu. Przy Synach Patricka Henry'ego Attyla, wódz Hunów, sprawiał wrażenie baranka.

A pluton wysyłano jeszcze dzisiaj. Jasna cholera!

Ściskając w garści kartkę, Jay ruszył biegiem.

Sobota, 25 grudnia 2010 roku, godzina 12.25

Boise, Idaho

Wśród jazgotliwych dźwięków, wydawanych przez nową muzyczną zabawkę Susie, trudno było normalnie rozmawiać. Zresztą, Michaels i tak nie miał ochoty na rozmowę. Dotykając Byrona, opierając się o niego i ocierając, Megan aż nazbyt wyraźnie demonstrowała swe przesłanie dla byłego męża. W pierwszej chwili aż mu się zrobiło niedobrze z zazdrości. Teraz zaczęło go to wkurzać. Megan potrafiła być okrutna, a on dobrze o tym wiedział. Kochał ją mimo to, ale nie było przyjemnie doświadczać jej okrucieństwa na własnej skórze. Mogła poprosić tego swojego brodatego misia, żeby został w domu i pozwolić Michaelsowi spędzić trochę czasu z córką, ale cóż, chciała mu dobitnie pokazać, gdzie jest jego miejsce.

Miał zostać na świątecznym śniadaniu, ale gdyby nie Susie, już dawno trzasnęłyby drzwiami i wrócił do hotelu.

Kiedy Megan poszła do kuchni, by zajrzeć do indyka w piecyku, a Byron wyszedł przynieść trochę drewna do kominka, Michaelsowi przypomniał się prezent, który dostał od Toni. Był w kieszeni kurtki. Poszedł do miejsca, w którym ją powiesił, wyjął prezent i odpakował.

Roześmiał się, kiedy zobaczył, co to takiego.

- Z czego się śmiejesz, tatuśku? - zawołała Susie, przekrzykując hałas, który uważała za muzykę.

Schował prezent do kieszonki koszuli. - Nic takiego, kochanie, po prostu coś mi się przypomniało.

Toni podarowała mu elektroniczne zatyczki do uszu. Z instrukcji wynikało, że pozwalały słyszeć normalne dźwięki, natomiast tłumiły wszelki hałas na tyle głośny, żeby stanowić zagrożenie dla słuchu. Niezwykła kobieta.

Zaćwierkał jego virgil.

Zmarszczył brwi. Przeadresował na pocztę głosową wszystko z wyjątkiem połączeń z priorytetem nr 1, a skoro tak, to nie mogła to być dobra wiadomość. Sprawdził, kto dzwoni. Jay Gridley.

- Co się stało, Jay?

- Sefie, mamy tu poważny problem. Dopiero co ktoś próbował zrabować cztery przesyłki plutonu. Trzy próby udaremniliśmy, ale we Francji, kiedy rozwiął się dym, na ziemi zostało mnóstwo trupów, a w Arizonie spóźniliśmy się i napastnicy uciekli z plutonem. Pułkownik Howard udaje się na miejsce z zespołem uderzeniowym, pełno tam już Gwardii Narodowej, policji stanowej i miejscowych gliniarzy, ale w niepowołane ręce wpadło tyle plutonu, że wystarczy na połowę bomby.

- To okropne, ale dlaczego my się mamy tym zajmować? Czy za granicą nie powinna wkroczyć do akcji CIA, a w kraju FBI?

- Cóż, to jednak nasz problem, bo szczegółowe informacje o terminach i trasach zostały wysłane pewnemu zwariowanemu ugrupowaniu ze stacji roboczej Net Force, bezpośrednio z naszej centrali.

- Jasna cholera!

- Tak jest, sir. Chyba powinien pan pomyśleć o udaniu się do Arizony albo o powrocie do centrali.

Michaels zobaczył, że Megan przygląda mu się z holu, marszcząc brwi.

- Zaraz do ciebie zadzwonię.

- Co się stało? - spytała Megan.

- Pojawił się pewien problem - powiedział. - Niestety, nie będę mógł zostać na śniadaniu. Przykro mi.

- Wielka mi niespodzianka - powiedziała rozgoryczonym tonem. - Znów musisz osobiście ratować ten przeklęty świat, tak?

- Posłuchaj, Megan...

- Jeden dzień nie mogą sobie bez ciebie poradzić? Przecież to Boże Narodzenie!

Akurat ten moment Byron musiał sobie wybrać na wejście do pokoju z naręczem dębowych i olchowych szczap. - Co się dzieje?

- Alex nie zostanie na śniadaniu.

Susie wyrwała się ze swego muzycznego transu. - Cp? Wyjeżdżasz? Przecież dopiero przyszedłeś!

- Kochanie, dla tatusia praca jest ważniejsza niż wizyta u nas - powiedziała Megan. - Przecież wiesz. Tatuś jest kimś bardzo ważnym.

Michaels spiorunował Megan wzrokiem. Potem spojrzał na córkę. - Przykro mi, maleńka, ale to nagły wypadek.

- W porządku, rozumiem.

Ale nie rozumiała, widział to po niej. A Megan nie zamierzała ułatwiać mu czegokolwiek.

- Znów cię odwiedzę, kiedy tylko będę mógł - powiedział.

- Kiedy piekło zamarznie - mruknęła zjadliwie Megan.

Michaels zacisnął zęby. - Porozmawiajmy w holu - powiedział do Megan.

- Co takiego?

- Chciałbym zamienić z tobą dwa słowa w holu. Proszę.

Megan patrzyła na niego złym wzrokiem. Michaels podszedł do córki, uściskał ją i pocałował na pożegnanie. - Naucz się na tym grać, a kiedy wrócę, zaprezentujesz mi wszystkie piosenki, jakie znasz.

- Doskonale, tatuśku. Kocham cię.

- Ja też cię kocham, maleńka. Opiekuj się mamą.

W holu Megan stała ze skrzyżowanymi rękoma, niesamowicie spięta. Byron był tuż za nią.

- Lecisz taki kawał drogi, zostawiasz prezenty i wychodzisz. Wspaniale, Alex. Jesteś fantastycznym ojcem. - Jej sarkazm był jak żrący kwas.

I sprawiał ból, o czym dobrze wiedziała. Potrafiła znaleźć pęknięcia w jego pancerzu. Zawsze się jej to udawało. A igła, którą go dźgała, miała zatruty czubek, tak jak przez cały ostatni rok ich małżeństwa i podczas rozvodu. Kiedy ją coś wkurzyło, przestawała grać uczciwie. Powiedział przez zaciśnięte zęby: - Robię, co mogę.

- Gówno robisz. Gdybyś kochał swoją córkę, bardziej byś się starał.

- Słyszałem to już od ciebie parę tysięcy razy. Oczywiście ty jesteś bez skazy. Jak ty wytrzymujesz w towarzystwie zwykłych śmiertelników?

- Hej, spokojnie - odezwał się Byron. - Po co zaraz tak się wyzłośliwiać?

Michaels spojrział na wielkiego, brodatego mężczyznę, jakby ten zmienił się nagle w ogromną ropuchę. - Co takiego? Ona może mi powiedzieć, że jestem parszywym ojcem i że nie kocham córki, a ja mam to zmilczeć? Lepiej byś przyniósł jeszcze trochę drzewa, Byron. To prywatna rozmowa.

Megan wybuchła. - Wszystko, co masz mi do powiedzenia, możesz powiedzieć w obecności Byrona.

- Naprawdę? - Michaels był już naprawdę wściekły. Wiedział, że jeśli straci panowanie nad sobą, powie coś, czego potem będzie żałował. Starał się zachować spokój. - Słuchaj, wcale mnie tu nie chcesz. Ty i Byron kleicie się od siebie jak opętani i podejrzewam, że jest to przedstawienie na mój użytek. W porządku, zrozumiałem.

- Nieważne, co ja do ciebie czuję, Alex. Ważne, co czuje twoja córka.

- Dość. Nie będziesz mi już ciosać kołków na głowie! Kocham moją córkę i ona o tym wie. Gdybyś ty naprawdę ją kochała, nie nastawiałabyś jej przeciwko mnie przy każdej okazji. Czasem wyłazi z ciebie cholerna suka.

To zwróciło jej uwagę. Po raz pierwszy odezwał się do niej w ten sposób. Szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. Byrone uznał, że musi interweniować.

- Wystarczy, kolego - powiedział. - Wynoś się stąd! - Chwycił Michaela za ramię obiema rękami.

Nie mógł zrobić nic głupszego.

Michaels zareagował instynktownie. Uderzył Byrona łokciem w głowę, zginając mocno rękę, dokładnie tak, jak go uczyła Toni, jakby w zgięciu łokcia trzymał szklaną kulkę. Łokieć z trzaskiem lupnął w skroń! Byron upadł, jakby jakaś niewidzialna siła nagle podcięła mu nogi.

Jasna cholera! To działa!

Megan rzuciła się na kolana i potrząsała leżącym brodaczem. - Byron! Byron! Nic ci nie jest?

Dochodząca z pokoju kakofonia dźwięków świadczyła, że Susie gra na swoim syntetyzatorze,

na szczęście nieświadoma incydentu.

Byron zamrugał i próbował usiąść. - Co się stało? Poślizgnąłem się na czymś? Dlaczego ja leżę na podłodze...?

Nic mu się nie stało, był tylko oszołomiony.

Klęcząc przy leżącym mężczyźnie, Megan podniosła wzrok na Michaela. - Zamierzamy się pobrać! - powiedziała. - I Byron chce zaadoptować Susie!

Jej głos wprost ociekał jadem.

Michaela zatkało. Wreszcie się dowiedział, bez ogródek. Kochał tę kobietę bez miary, a ona robiła, co w jej mocy, żeby go zranić. Jak mógł być tak ślepy?

Kiedy odzyskał zdolność oddychania, zaczął mówić lodowatym tonem: - Moje gratulacje. Przyślę wam toster w prezencie. Ale Byron może zaadoptować Susie tylko po moim trupie. Wydam wszystkie pieniądze, jakie posiadam oraz jakie zdołam pożyczyć na prywatnych detektywów i prawników. A jeśli ten twój Byron spędzi jedną noc pod tym dachem zanim się pobierzecie, wytoczę ci taką batalię o prawo do opieki nad dzieckiem, że nawet nie potrafisz sobie tego wyobrazić. Chcesz grać brutalnie? Proszę bardzo.

Powiedziawszy to odwrócił się i wyszedł.

Powietrze było zimne. Gęste chmury wyglądały groźnie, jakby za chwilę miały sypnąć śniegiem. Wspaniale! Po prostu wspaniale!

Cóż, przecież szukałeś jakiegoś pretekstu, żeby wyjść, prawda? Następnym razem uważaj na swoje życzenia, Alex, bo mogą się spełnić.

Cholera! Nie mógł uwierzyć, że zrobił to, co zrobił. Że do tego stopnia stracił panowanie nad sobą.

Cholera!

Czuł się w tej chwili tak, że terroryści, kradnący materiały rozszczepialne, nie wydawali się tacy najgorsi.

Tonopah, Arizona

Michaels był w drodze do miejsca na autostradzie nr 10, gdzie dokonano napadu, jakieś sześćdziesiąt kilometrów na zachód od Phoenix. Najpierw doleciał śmigłowcem na lotnisko w Boise, gdzie przesiadł się do małego wojskowego odrzutowca. Lot był spokojny i szybki. Teraz Michaels znów był na pokładzie śmigłowca.

Niebo Arizony było bezchmurne. Pilot śmigłowca pokazał mu pasmo gór Bighorn. Lecieli prosto na nie.

John Howard wyruszył ze swoją grupą uderzeniową na pokładzie jednego z *Boeingów 747*, wynajętych przez Net Force. Organizował teraz punkt dowodzenia na stacji paliwowej dla ciężarówek w pobliżu Tonopah w Arizonie.

Pilot sprowadził śmigłowiec do lądowania niedaleko dwóch innych śmigłowców, które stały już na ziemi. Wyglądały na wielkie *Hueye*. Dookoła wrzało jak w ulu. Wszędzie pełno było samochodów, ciężarówek, żołnierzy, błyskały światła.

Z praktycznego punktu widzenia, Michaels powinien był raczej wrócić do centrali; od dyrektora takiej agencji jak Net Force oczekuje się, że będzie dowodził zza biurka - i płaci mu się za zdolności menedżerskie, a nie za osobisty udział w akcjach. Ale Alexowi nie podobała się perspektywa siedzenia w biurze przy komputerze i czekania, aż poinformują go, co się dzieje. Po tym, co zaszło w Boise, potrzebował czegoś konkretnego do roboty.

Ładujący śmigłowiec wzbił tumany kurzu. Michaels zobaczył Johna Howarda w mundurze polowym, przytrzymującego czapkę ręką, żeby wiatr mu jej nie porwał.

Michaels wysiadł ze śmigłowca i podszedł do miejsca, w którym stał Howard.

- Dzień dobry, dyrektorze.

- Witam, pułkowniku. Jak idzie?

- Proszę tędy, sir.

Howard poprowadził go w kierunku stacji paliwowej Texaco dla ciężarówek. Stało tam kilkanaście wielkich pojazdów, niewątpliwie z okolicy i kilka mniejszych ciężarówek Net Force, dostarczonych *Boeingiem 747* w wersji transportowej, z którego korzystała grupa uderzeniowa. Za budynkiem stacji rozstawiono kilka namiotów. Obok warczało sześć spalinowych generatorów, dostarczając do nich prąd grubymi kablami.

Wiał zimny wiatr, ale wewnątrz przenośnej jednostki taktycznej - namiotu wielkości małego domu jednorodzinnego, ze szkieletem z włókna szklanego - powietrze było ciepłe. Kilkunastu techników krzątało się przy różnych urządzeniach elektronicznych, głównie komputerach i sprzęcie łącznościowym. Kilkunastu żołnierzy z grupy uderzeniowej sprawdzało broń albo montowało sprzęt

polowy. Julio Fernandez uniósł wzrok, dostrzegł Michaela i zasalutował.

Howard podszedł do wielkiego, płaskiego ekranu na stojaku. Sięgnął po pilota. Na ekranie pojawił się obracający się powoli globus.

- Według naszych ustaleń - powiedział Howard - ktoś wysłał paramilitarnemu ugrupowaniu nazywającemu się Synami Patryka Henry'ego informacje o trasach zaplanowanych na dzisiaj czterech transportów plutonu.

Na globusie pojawiły się cztery czerwone, migające punkty. Francja, Niemcy, Floryda i Arizona.

- Wiadomość o przecieku dostaliśmy od Gridleya z centrali na krótko przed napadami, które miały się zacząć niemal równocześnie. Jak najszybciej zawiadomiliśmy konwoje. Na Florydzie i w Niemczech pojazdy pojechały trasami zastępczymi i nie napotkały na żadne kłopoty. We Francji atak już się rozpoczął, podobnie jak tutaj. Zaalarmowaliśmy władze francuskie, które dotarły na miejsce wystarczająco szybko, żeby skutecznie interweniować. Ośmiu napastników zginęło, czterech zostało ciężko rannych, wydaje się, że kilkunastu uciekło. Zginął kierowca francuskiej ciężarówki i czterech konwojentów, a trzech innych zostało rannych. Paru cywilów dostało się w krzyżowy ogień, sami miejscowi. Tu, w Arizonie za późno skontaktowaliśmy się z grupą transportową Armii. Kiedy na miejsce dotarła Gwardia Narodowa i policja stanowa, było już po wszystkim. Armia straciła dwóch kierowców i ośmiu żołnierzy konwoju. Wygląda na to, że rannych dobito strzałami w głowę. Terrorysty zabrali swoich rannych i zabitych, ale na szosie i w okolicy było dość śladów krwi, żeby stwierdzić, że żołnierze trafili przynajmniej paru napastników.

- Co zrobiły władze?

- Terrorysty podłożyli miny przeciwczołgowe, żeby spowolnić pościg. Policja stanowa straciła dwa wozy patrolowe i trzech funkcjonariuszy. W powietrze wyleciało też pięć samochodów cywilnych. Sześciu cywilów nie żyje, trzech jest w szpitalu i lekarze nie dają im większych szans. Biuro szeryfa i policja stanowa szuka terrorystów na ziemi i z powietrza.

- Jezu.

- Tę partię plutonu przewożono z Fort Davy Crockett w Teksasie do Long Beach w Kalifornii, skąd miała zostać dostarczona statkiem pełnomorskim do miejsca, którego Armia nie chce nam ujawnić. Ponad trzy kilo plutonu.

- Co wiemy o terrorystach?

- Wiemy, kim są i gdzie są.

- Powiadomiliście przedstawicieli władz lokalnych?

- Nie, sir. Wysłaliśmy ich fałszywym tropem. Przez jakiś czas będą zajęci. A gdyby zanadto się zbliżyli do właściwego miejsca, to się im każe zawrócić. - Nacisnął klawisz pilota. Na ekranie pojawiły się widziane z lotu ptaka zabudowania, otoczone parkanem. Obraz powiększał się skokowo,

aż stały się widoczne takie szczegóły, jak samochody, a nawet sylwetki ludzi.

- To najbliższa kryjówka Synów Henry'ego. Na północ od indiańskiego rezerwatu Gila Bend, niedaleko stąd. Wygląda na to, że ci ludzie posiadają nieruchomości w całym kraju, a ich organizacja ma oddziały na całym świecie. To miejsce obserwuje jeden z satelitów szpiegowskich *K-1 Albatross*; zwróciliśmy się do sił zbrojnych o przeniesienie drugiego na tę samą orbitę i właśnie to robią.

- Jaka jest jakość obserwacji satelitarnej?

- Nienajlepsza. Orbita geostacjonarna 36.000 kilometrów nad Ziemią. Z takiej wysokości rozróżnianie obiektów wielkości dwóch metrów - w paśmie widzialnym, czy w podczerwieni - jest problematyczne, zwłaszcza na gorącej pustyni. Satelity szpiegowskie, mogące śledzić biegających w kółko facetów, muszą się znajdować znacznie niżej, a to oznacza, że przesuwały się nad wybranym miejscem z dużą prędkością; nie mogą zawisnąć i obserwować. Zobaczymy naszych terrorystów, ale tylko przez chwilę. Resztą zajmą się komputery.

- Sądzi pan, że właśnie tam zabrali pluton?

Na ekranie pojawił się migający żółty kwadrat, obejmując jeden z budynków.

- W powłokę pojemnika z plutonem wbudowany jest nadajnik. NSA nikomu nie pozwala wysyłać czegoś takiego FedExem. Tak, sir, właśnie tam zabrali pluton. Według *GPS*, pojemnik znajduje się w południowo-zachodnim rogu tego budynku, o, tutaj. Ponieważ to sprzęt wojskowy, możemy określić lokalizację z dokładnością do półtora metra. Pluton tam jest. Wątpię, żeby przyszło im do głowy wyjąć go z pojemnika i trochę się nim pobawić.

- Gdzie jest wojsko?

- Koncentrują siły pięćdziesiąt kilometrów na południe od tej kryjówki, na starym poligonie Sił Powietrznych. Na razie nie wkraczają, ale wywiad wojskowy prowadzi spory kompetencyjne z FBI; kłócą się, kto ma jako pierwszy strzelać, więc wszyscy czekają, aż Waszyngton podejmie decyzję.

Michaels tylko machnął ręką. Tutaj nic nie mogli poradzić na tych palantów z wyższych szczebli. Ktoś w końcu wykombinuje przecież, co należy zrobić. A potem się zobaczy, komu przypadną laury.

- Jakie mamy opcje, z taktycznego punktu widzenia, jeśli dostaniemy zielone światło?

Howard uśmiechnął się przelotnie; białe zęby błysnęły mu w uśmiechu, kontrastując z czekoladową skórą.

- Trzeba działać szybko i bezlitośnie. Możemy zwrócić się do Sił Powietrznych, niech zrzucą wielką inteligentną bombę, która zmiażdży Synów Henry'ego, zanim zdążą się zorientować, że coś się dzieje. Ci z Armii też mają trochę takich zabawek i z przyjemnością by ich użyli. I problem byłby z głowy. Oczywiście, pluton zostałby rozrzucony po okolicy, co mogłoby się nie spodobać

miejscowej ludności. Stacje telewizyjne miałyby święto, jeśli by się o tym dowiedziały, a prawdopodobnie zorientowano by się, kiedy kozy zaczęłyby dawać mleko, które świeci w ciemnościach. Jeśli nie mają więcej plutonu, to nie zbudują bomby atomowej. A nawet jeśli mają dość, żeby wytworzyć masę krytyczną, to przecież nie mogą tak po prostu otworzyć pojemnika i przełożyć pluton do bomby, jakby wkładali baterie do latarki. Budowa bomby atomowej jest jednak dość skomplikowana, a bez względu na okoliczności, nie damy im na to czasu.

- Nie widzi pan żadnych możliwości negocjacji?

- Nie, sir. Mamy tu do czynienia ze wszystkimi zbrodniami, od zdrady stanu po zabójstwo pierwszego stopnia, nie mówiąc o dziesiątkach innych ciężkich przestępstw przeciw prawu lokalnemu, stanowemu i federalnemu. Dobrze wiedzą, że jeśli się poddadzą, będzie po nich. Ich manifest brzmi „Wolność albo śmierć”. Nie, nie poddadzą się, a my nie możemy tu sterczeć tak długo, żeby mieli czas na zastanowienie się i pomyślenie, co można by zrobić z plutonem, który sobie wypożyczyli.

- Rozumiem.

- Możliwe, że zabezpieczyli pojemnik konwencjonalnym ładunkiem wybuchowym na wypadek, gdyby ktoś im się chciał dostać do skóry. W takim wypadku konsekwencją byłyby podobne do tych, jakie spowodowałby atak z powietrza. Ale nasz psycholog uważa, że to mało prawdopodobne. Są wprawdzie paranoikami, ale pluton przedstawia dla nich wielką wartość i raczej nie zaryzykują pochopnie jego utraty. Tak przynajmniej uważa psycholog.

- Z tego, czego się zdołaliśmy dowiedzieć od miejscowych glin, wynika, że atak na transport nie był zbyt dobrze przygotowany. Wygląda na to, że nie działali na podstawie przemyślanego planu. Zgadza się to z tym, co ustalił Gridley, że informacje o transportach plutonu zostały przekazane niecałe dwa dni temu. Zorganizowali tę operację pośpiesznie, w biegu, i tylko jedna próba na cztery zakończyła się powodzeniem.

- Nie sądzi pan, że zaminowali pojemnik?

- Nie, sir. Mam przecucie, że działali w zbyt wielkim pośpiechu. Nie mieli czasu, żeby sobie wszystko dokładnie przemyśleć.

- W jaki sposób chce pan to rozegrać?

- Sądzę, że atak w ciemności daje nam największe szanse. Faceci są zwariowani na punkcie broni, więc pewnie mają tam noktowizory i czujniki ruchu, ale potrafimy podejść dostatecznie blisko, żeby to wszystko powylaczać i sięść im na karki, zanim zdążą się zorientować w sytuacji. Użyjemy *FEE* i urządzeń zakłócających.

- *FEE*?

- Fotonowe Emitery Epilepsyjne. Specjalne promieniowanie, wywołujące padaczkowe drgawki i nudności. A jeśli ktoś będzie akurat patrzył przez noktowizor, od razu przestanie widzieć

cokolwiek. Wartownicy, pilnujący w ciemnościach, dostaną drgawek, torsji albo zaczną po omacku wpadać na meble.

- A czujniki ruchu?

- Urządzenia zakłócające zablokują funkcjonowanie bezprzewodowych czujników. Jeśli nie mają czujników połączonych kablem, nie zorientują się na czas, skąd nadchodzimy. Zresztą, nawet gdyby wiedzieli, że coś się szykuje, nie oznacza to jeszcze, że byliby w stanie zorganizować obronę. Moi ludzie będą w kombinezonach *SİPE*. Tego nie przebije się z *Kałasznikowa*, *M-16*, nie mówiąc o broni krótkiej.

- A jeśli mają cięższą broń? Rakiety, pociski przeciwpancerne, czy coś w tym rodzaju?

- Mamy sześciu saperów-spadochroniarzy, którzy mogą tam dotrzeć na paralotniach. Są dobrzy. Potrafią wylądować na talerzu do zupy, skacząc z dwóch tysięcy metrów i posługując się noktowizorami. Mogą nam usunąć z drogi parkan. Mam w grupie uderzeniowej Zielone Berety, rangersów, komandosów SEAL, sami najlepsi z najlepszych. Ci kłowni nie mają szans, bez względu na uzbrojenie.

Michaels skinął głową. - Jeśli góra powierzy nam to zadanie, kiedy będziecie gotowi do działania?

- Już jesteśmy gotowi. Optymalny czas ataku, to wpół do trzeciej nad ranem. Większość terrorystów będzie wtedy spała. Przeanalizowałem z dziesięć scenariuszy komputerowych; średnia szans powodzenia wynosi osiemdziesiąt siedem procent. Realistyczny przedział wynosi od siedemdziesięciu pięciu do dziewięćdziesięciu czterech procent..

- Chce pan tej akcji, co, pułkowniku?

Znów uśmiech, tym razem szerszy. - O, tak, sir.

- Zadzwoń do dyrektora i spróbuję zorientować się w sytuacji.

Howard obserwował Michaela, który przeszedł w spokojniejszy kąt namiotu, żeby z virgila zadzwonić do dyrektora FBI. Pułkownik rozejrzał się po swoich ludziach, przekonany, że potrafią sobie poradzić. Wszyscy byli ochotnikami, a on był gotów poprowadzić ich do piekła, żeby pociągnąć diabła za ogon, wiedząc, że poszliby za nim bez mrugnięcia okiem.

Czy chce tej akcji? Jak cholera, niczego w tej chwili bardziej nie pragnął. Mógłby być teraz w domu, siedzieć na kanapie, trawić świąteczną szynkę i wysłuchiwać utyskiwań teściowej. Wobec takiej alternatywy szturm na gniazdo terrorystów, którzy rąbnęli materiał rozszczepialny do produkcji bomby atomowej, był łatwym i przyjemnym zadaniem..

- Sir, drugi satelita będzie zaraz online - zameldował Fernandez.

- Doskonale, sierżancie. Popatrzmy. Przełączyć na projektor holograficzny, żebyśmy wszyscy zobaczyli to w 3D.

- Rozkaz, panie pułkowniku - powiedział Fernandez. - Hej, Jeter, obraz trójwymiarowy!

Howard podszedł do składanego aluminiowego stolika, na który nastawiony był projektor holograficzny. Po chwili pojawił się obraz. Z początku był czarno-biały, ale zaraz komputer dodał sztuczną kolorystykę. Zebrani mieli wrażenie, że patrzą na makietę.

- Daj mi widok z wysokości trzydziestu metrów i z odległości stu metrów.

- Tak jest - potwierdził Jeter.

Punkt widzenia się zmienił. Wprowadzie komputer uzupełnił szczegóły na podstawie zapisanych w pamięci danych, ale interesujący ich obiekt został przedstawiony całkiem dokładnie. Piętrowy wiejski dom na środku posesji, ogrodzonej metalową siatką. Ogrodzenie miało jakieś trzy metry wysokości. Było też coś, co wyglądało na drewnianą stodołę, wiata i mniejsza szopa za domem. A przed domem stały cztery ciężarówki, dwa samochody osobowe i mały jednosilnikowy samolot. Bramy pilnowało dwóch wartowników - satelita albo komputer zdecydował, że obaj byli mężczyznami w czapkach baseballowych, mieli krótkie włosy, i byli uzbrojeni w przewieszane przez ramię karabiny i broń krótką w kaburach. Trzeci wartownik, z wielkim psem, patrolował ogrodzenie na tyłach. Czwarta postać, kobieta w sukience, stała obok czegoś, co wyglądało na stadko kur i sypała im karmę. Kamery nie były na tyle dobre, żeby z wysokości tylu tysięcy metrów pokazać ptactwo, ale dostatecznie dobre, żeby ustalić, że kobieta miała długie, czarne włosy i jasną karnację. Fascynujące.

- Julio, mamy jakieś pojęcie, ilu ich tam wszystkich jest?

Fernandez podszedł bliżej i pokręcił głową. - Nie, sir. Nie widzieliśmy nigdy więcej niż sześciu na raz, czterech mężczyzn i dwie kobiety. Żadnych dzieci, dzięki Bogu. W środku może ich tam być piętnastu, dwudziestu, sądząc po liczbie pojazdów. Podczerwień nienajlepiej się sprawdza przez dach. Sądzę, że tamci nie wiedzą, że my wiemy, gdzie oni są. - Zerknął na zegarek.

- Jest pan gdzieś umówiony, sierżancie?

- Miałem zadzwonić do matki po wyjściu z kościoła i dotąd tego nie zrobiłem.

- Zadzwon do niej zaraz, Julio. Mamy tu przecież telefony. Nie chcę, żeby twoja mama była na mnie wściekłą za to, że kazałem ci pracować w Boże Narodzenie.

Fernandez wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Dziękuję, sir.

Howard patrzył za swym najlepszym żołnierzem - i prawdopodobnie swym najlepszym przyjacielem - idącym w stronę stołu, na którym ustawiono aparaty telefoniczne.

Michaels wrócił, przypinając virgila z powrotem do paska, koło tasera.

Howard uniósł brwi.

Michaels pokręcił głową i westchnął. - Miałem już dzisiaj okazję wspomnieć takie stare

powiedzenie: „Uważaj na swoje życzenia, bo mogą ci się spełnić”. Pułkownikowi, pańskie życzenie się spełniło. Wesołych Świąt, dostał pan dokładnie to, czego pan chciał. Mam nadzieję, że nie będziemy wszyscy tego żałować.

16

Sobota, 25 grudnia 2010 roku, godzina 21.00

Bladensburg, Maryland

Hughes wszedł właśnie do bezpiecznego mieszkania. Zdażył właśnie się zorientować, że Platta jeszcze nie ma, kiedy zadzwonił jego virgil. Spojrzał na sygnaturę rozmówcy. Senator White. Poczul ukłucie niepokoju, chociaż zdawał sobie sprawę, że White w żaden sposób nie może wiedzieć, gdzie on jest i co tu robi.

- Cześć, Bob. Wesołych Świąt.

- Tom, słyszałem o jakichś kradzieżach materiałów nuklearnych. O co tu chodzi?

- Nic, co by nas dotyczyło bezpośrednio. Może z wyjątkiem tego, że podobno wiąże się to z kolejnym z tych rozmyślnych przecieków do Internetu.

- Boże święty!

- Albo jeszcze gorzej. Wiem ze swoich źródeł, że był to przeciek z centrali Net Force, znajdującej się przecież na terenie zamkniętym, należącym do samego FBI.

- Jeśli to prawda, dostanę głowę Michaela na tacy! I dupę Walta Carvera na deser!

To ci dopiero perspektywa.

- Można się do tego zabrać po świętach, Bob. W sumie terrorystom się nie udało. Tylko jeden napad zakończył się częściowym sukcesem i, o ile wiem, nasze siły zbrojne i agencje federalne już się tym zajęły. Szkody nie są duże. Baw się dobrze przez święta. Zajmiemy się tym, kiedy wrócisz, jeszcze zanim ruszy sesja. Trzymam rękę na pulsie, nie martw się.

- W porządku. Skoro tak mówisz...

Do mieszkania wszedł Platt. Parę razy dotknął ręką czoła, ust i serca, po czym karykaturalnie

pokłonił się Hughesowi, małpując muzułmański *salam*. Hughes tylko machnął ręką.

- Uściskaj ode mnie June, dziewczynki i wnuczki - powiedział Hughes do White'a.

- Oczywiście. Wesołych Świąt.

Kiedy wyłączył virgila, Platt parsknął śmiechem. - Co, nasza zabawa sprawiła, że twój szef nastroszył piórka ze strachu?

- Nie przejmuj się nim. Już się tym zająłem.

Platt podszedł do lodówki, otworzył ją i wyjął plastikową butelkę z sokiem jabłkowym. Otworzył ją i wypił połowę zawartości trzema wielkimi haustami. - Ale trochę szkoda. Żeby najpierw powiedzieć Synom tego, jak mu tam, o tych wszystkich transportach, a potem podkablować ich w FBI...

- Może. Ale nie zamierzałem dawać tym maniakom materiałów, z których mogliby zrobić bombę atomową. Gdyby im się udało, to jak sądzisz, w którym mieście by ją zdetonowali?

- Trudno byłoby o lepszy wybór - stwierdził Platt. - Waszyngton jest pełen nadętych dupków, którym się wydaje, że są lepsi niż reszta ludzi w tym kraju. - Beknął i pociągnął następny łyk soku. - Pycha - powiedział z lubością.

Hughes pokręcił głową. Plattowi zdecydowanie brakowało piątej klepki. Prędzej czy później narobi głupstw. - Nie jesteś patriotą. Waszyngton jest stolicą naszego kraju. Nie chcę go niszczyć.

- Chodzi tylko o pieniądze, co?

- Nie, chodzi także o władzę. Ale nie muszę być niebezpiecznym szaleńcem, żeby zdobyć to, czego pragnę.

- A co z facetami, którzy pilnowali tego, jak mu tam, uranu? Nie sądzisz, że zginęli przez ciebie? Przecież to ci twoi narwańcy ich załatwili.

- Osobiście nie pociągałem za spust. I nikomu nie mówiłem, że ma to robić. Jeśli dam ci nóż, a ty poderzniesz nim komuś gardło, zamiast ukroić sobie kawałek chleba, to twoja wina, nie moja.

- Chyba że dając mi go wiedziałeś, że nie zamierzam kroić chleba. Ale co tam nóż, ty im dałeś raczej katowski topór.

- O nic nie pytałem Synów, a oni nic mi nie mówili.

- Rozumiem! Informacje, które im przekazaliśmy, miały służyć do celów czysto naukowych.

- Nie, chodziło o to, żeby sprawy zaczęły się toczyć w pożądanym przeze mnie kierunku.

Tak naprawdę Hughes nie sądził, że potrafi to wyjaśnić Plattowi, ale w tej chwili miał chęć

spróbować. - Wiesz, jak Japończycy robili samurajskie miecze?

- Mam nóż z klingą ze stali damasceńskiej - powiedział Platt. - Wykonany w podobny sposób. Japońce przekuwały kawałek stali wiele razy, a potem hartowały ostrze tak, że było twardsze niż reszta klingi.

- Zgadza się. Ale czy wiesz, od czego japoński płatnerz rozpoczynał pracę? W jaki sposób rozpalał ogień w swojej kuźni?

- Nie mam pojęcia. Zapalniczką Zippo?

Hughes zignorował tę próbę dowcipu. - Kuł sztabę żelazną, aż rozgrzewała się do czerwoności. Wtedy wsuwał ją w strużyny z drewna cyprysowego, nasączone siarką.

- Nie chrzanisz? Trochę to musiało potrwać, żeby rozgrzać żelazo, wałąc w nie młotkiem.

- Dokładnie. Robienie najwspanialszych mieczy, jakie kiedykolwiek widział świat, to nie to samo, co zamówienie Whoppera w najbliższym Burger Kingu. To wymaga umiejętności, precyzji i cierpliwości. I nam też tego potrzeba. Naszym celem nie jest wysadzanie czegośkolwiek w powietrze. Nie wolno o tym zapominać.

- W porządku.

- Dobrze. Sądzę, że czas już, żeby wyrotowe ugrupowanie, odpowiedzialne za te wszystkie problemy w sieci, wyszło z cienia i pochwaliło się swymi dokonaniem. Pokażmy im manifest.

Platt wyszczerzył zęby. - Kurczę blade. Już się nie mogłem doczekać.

- Tylko nie dodawaj niczego od siebie, Platt. Ma być dokładnie tak, jak to napisałem.

- Nie ma sprawy. Manifest jest i tak wystarczająco nikczemny. Nie muszę już przy nim majstrować. Czarnuchy i inne brudasy po prostu wpadną w zachwyty!

Brak piątej klepki, a pozostałe cztery rozchwiane. Hughes pomyślał, że jeśli nie zneutralizuje Platta, i to szybko, ten wszystko mu spieprzy. Jeszcze parę tygodni, może miesiąc i będą mieli z górki, a wtedy Platta spotka tragiczny w skutkach wypadek. A może po prostu... zniknie.

Sobota, 25 grudnia 2010 roku, godzina 21.35

Nad południowym New Jersey

Toni siedziała po lewej stronie rejsowego samolotu, patrząc w ciemność nad oceanem w oddali. Nie widziała wody, ale widziała, gdzie kończą się światła na lądzie, jakby ucięte nożem.

Uśmiechnęła się w duchu na tę myśl. Było trochę problemów z zabraniami *krisa* na pokład. Do taserów nie mieli zastrzeżeń - większość linii lotniczych pozwalała na pokładach swoich samolotów federalnym stróżom prawa nosić tasery, a nawet broń palną - ale długi sztylet z falistym ostrzem najwyraźniej nie mieścił się w tej kategorii.

Toni ani myślała nadawać *krisa* na bagaż. Nieważne, ile pieniędzy był wart - był niepowtarzalny i niezastąpiony, a zgodnie z Prawem Murphy'ego, jeśli choć jedna sztuka bagażu z tego samolotu gdzieś by się zapodziała, to na pewno byłby to *kris*.

Personel linii lotniczych nie zamierzał jej pozwolić, żeby zabrała nóż na pokład, choć było to całkiem nielogiczne w świetle traktowania taserów i broni palnej. Toni nie powiedziała im, że mogłaby zabić kogoś gołymi rękami równie łatwo, co nożem. To by jej jednak zapewne nie pomogło. Ostatecznie, kiedy zagroziła, że zadzwoni do FBI i nie dopuści do startu samolotu ze względów bezpieczeństwa, przedstawiciele linii lotniczych ustąpili. Pozwolono jej zabrać nóż na pokład, pod warunkiem, że aż do lądowania będzie on pod opieką załogi. Na to mogła się zgodzić. *Kris* będzie z nią na pokładzie i wątpliwe, żeby załoga mogła go zgubić, kiedy drzwi będą zamknięte.

Drugi pilot obiecał, że będzie dobrze pilnował kartonowego pudełka.

Telefon od Jaya Gridleya zaskoczył ją, ale konieczność wyjścia trochę wcześniej z dorocznego spędu rodzinnego nie była aż tak wielką stratą. Zobaczyła się już z rodziną i guru DeBeers, wszyscy wymienili prezenty i zjedli nad wyraz sutą, włoską kolację świąteczną. Mama i tata poszli do kościoła na wieczorną mszę, zabierając ze sobą tylu krewnych, ilu udało im się do tego zmusić. Wesola część rodzinnego spotkania była już prawie skończona i lada chwila musiały się zacząć nieuniknione tarcia. Kochała swoją rodzinę, ale po paru dniach tłoczenia się z nimi wszystkimi pod jednym dachem atmosfera robiła się trochę napięta. Zostawiła ich w momencie, kiedy usiłowali przekonać ojca, żeby nie siadał za kierownicę, i wiedziała, że tę wojnę rodzina przegra.

Zaskoczyło ją też, że Alex skrócił wizytę w domu i poleciał z Boise do Arizony. Nie był agentem terenowym i martwiła się o niego. Oczywiście, John Howard nie pozwoli Alexowi robić nic niebezpiecznego - taką przynajmniej miała nadzieję - ale i tak czuła się nieswojo na myśl, że Alex jest na miejscu operacji zbrojnej. Powinien był wrócić do centrali, a grupa uderzeniowa powinna bez niego robić, co do niej należy.

Kiedy do niego zadzwoniła, powiedział, że nie ma potrzeby, żeby stawiała się w centrali, ale nie chciała tego słuchać. Jeśli dla niego sprawa była wystarczająco poważna, żeby udać się na miejsce akcji, to i ona powinna wrócić do pracy.

Odchyliła się w fotelu i wyglądała przez okno. Samolot był w połowie pusty. Niewielu ludzi podróżuje w Boże Narodzenie.

Sobota, 25 grudnia 2010 roku, godzina 23.15

Sugar Loaf Mountain, Boulder, Kolorado

Siedząc pod gołym niebem w ogrzewanej propanem, owalnej wannie z włókna szklanego, wpuszczonej w drewnianą podłogę tarasu za domkiem, Joan i Maudie patrzyły, jak płatki śniegu wpadają do gorącej wody i topnieją. Teras był osłonięty trzema ścianami z cedrowych desek, wysokimi na dwa i pół metra i wiklinowym parawanem dookoła, żeby od sąsiadów nic nie było widać. Domek stanowił czwartą ścianę. Wanna była tak wielka, że swobodnie mogło w niej usiąść sześciu ludzi, a może i ośmiu, jeśli byli w naprawdę zażyłych stosunkach. Na dwie kobiety, siedzące w parującej wodzie padał śnieg, grube, ciężkie płatki. Warstwa białego puchu na tarasie miała już ponad dwadzieścia centymetrów i była nietknięta, z wyjątkiem śladów stóp nagich kobiet.

Winthrop pociągnęła następny łyk z drugiej butelki szampana, którą kupiły już za własne pieniądze, wysączywszy prezent od wielbiciela Maudie.

Maudie uniosła kieliszek i przyglądała się, jak wpadają do niego płatki śniegu. - Cały problem w tym - powiedziała - że człowiek bardzo szybko przyzwyczaja się do tego, co dobre. Po tamtym drogim szampanie to wino musujące smakuje jak środek do czyszczenia kuchenki.

Winthrop zakręciła swoim kieliszkiem. - Patrzcie, patrzcie. - Stopą przyciągnęła pływający na powierzchni termometr. Wzięła go do ręki i spojrzała na skalę. - Czterdzieści jeden - powiedziała. - A temperatura powietrza? Kilka stopni poniżej zera?

- Coś koło tego.

Winthrop potrząsnęła głową. Topniejący śnieg spadł jej z włosów do wody z cichym pluskiem.

- Zastanawiam się, co w tej chwili robią biedni ludzie - powiedziała Maudie. - Wiesz, jest mi tak dobrze, że lepiej już być nie może. Przyjaciółka, Moet & Chandon, gorąca woda i śnieg.

- Amen, siostrze. No, może jeszcze przydałoby się dwóch młodych, dobrze zbudowanych facetów.

- W gorącej kąpieli nie byłoby z nich większego pożytku - powiedziała Maudie, wiosłując wolną ręką w wodzie. - Nigdy nie słyszałaś o Zjawisku Ugotowanego Makaronu?

Roześmiały się obie.

Z domku dobiegł świergotliwy sygnał.

- To mój aparat - powiedziała Winthrop. - Niech to szlag.

- Nie odbieraj. Gdyby ktoś żądał wyjaśnień, kiedy wrócisz do pracy, powiesz, że byliśmy poza zasięgiem. Wiesz, góry i tak dalej.

Joan zastanawiała się nad tym przez chwilę. - Nie, jednak odbiorę. Może to ktoś z rodziny.

Maudie wzruszyła ramionami i machnęła ręką w stronę drzwi. - Idź i nie grzesz więcej.

Winthrop wyszła z wody i niemal natychmiast poczuła chłód, mimo zaczerwienionej od gorącej kąpieli skóry. Ruszyła po śniegu do drzwi, gdzie pod daszkiem wisiały na wieszaku dwa grube, plażowe ręczniki.

- Niech to diabli, dziewczyno, gdybym miała skłonności do kobiet, wybrałabym ciebie - powiedziała Maudie. - Masz wspaniały tyłek. Oczywiście, mówię to jako ktoś, kto wie, ile trzeba się napracować, żeby osiągnąć takie kształty.

Winthrop skrzywiła się. - Uroda nie ma większego znaczenia - odparła, owijając się ręcznikiem. Było chłodno, ale nie za zimno.

- Święta prawda, ale zgrabny tyłek to zawsze powód do radości!

W domku w wielkim kamiennym kominku strzelał ogień. Winthrop przeszła po zimnej drewnianej podłodze na orientalny dywan i sięgnęła po komórkę.

Na wyświetlaczu odczytała, kto dzwoni. „Samotnik” Jay Gridley. Uśmiechnęła się, trochę wbrew sobie. - Tak?

- Pani porucznik, przypuszczam, że nie oglądała pani ostatnio wiadomości w telewizji?

- Rzeczywiście, nie. Ostatnio byłam zajęta szampanem w gorącej kąpieli.

- Tak myślałem, bo inaczej na pewno by pani zadzwoniła. Jest parę spraw, o których powinna pani wiedzieć.

Uważnie słuchała informacji o terrorystycznych atakach na konwoje z materiałami radioaktywnymi. Kiedy Jay skończył, powiedziała: - Łapię najbliższy samolot i wracam do centrali.

- Nie trzeba. Sądzę, że potrafimy się bez ciebie obejść jeszcze przez parę dni. Wracaj do gorącej kąpieli.

- Co ty przede mną ukrywasz, Gridley? O co chodzi?

- Nic takiego. Wspomniałem, że przeciek był najprawdopodobniej z Net Force?

- Tak.

- Wyszedł z twojego komputera.

- Co?

- Tak, proszę pani. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Oczywiście, nie było cię w centrali, kiedy to się stało i wszyscy wiemy, że nie miałaś z tym nic wspólnego, ale nie ukrywam, że cholernie się cieszę, że to nie był mój komputer. Cześć. Pogadamy później.

Rozłączył się.

Winthrop patrzyła na swój telefon komórkowy, jakby nagle zmienił się w szczura.

- A niech to szlag trafi!

17

Niedziela, 26 grudnia 2010 roku, godzina 1.50

Gila Bend, Arizona

Howard rozejrzał się dookoła. Ludzie z jego grupy uderzeniowej siedzieli w trzech samochodach terenowych, stojących na pustkowiu, pod częściowo zachmurzonym niebem. Gdyby nie reflektory, byłoby bardzo ciemno. Samochodami były zmodyfikowane Toyoty Land Cruiser; z oryginałów przejęto praktycznie tylko silniki, ramy i koła. Każdy z transporterów miał trudno wykrywalne przez radar, matowoczarne osłony z włókien węglowych. Skoro już mieli te wozy, to postanowili ich użyć, zwłaszcza że na radary bliskiego zasięgu mogło sobie pozwolić wielu ludzi. Na potrzeby takiego domu na rancho wystarczyłby dowolny radar, wymontowany z łodzi żaglowej, czy motorowej.

Sztuka polegała nie na tym, żeby pojazdy były zupełnie niewidzialne, lecz na tym, żeby przeciwnikowi trudno je było zauważyć i rozpoznać, aż do momentu, kiedy będzie już za późno. Nowe osłony z włókien węglowych nie były w stu procentach skuteczne w wypadku pojazdów lądowych, ale na ekranach radarów wyglądały nietypowo i operator mógł je wziąć za nierówność terenu albo nawet stado jeleni czy jakiejś innej zwierzyny. Tym razem takie osłony zapewne w ogóle nie były potrzebne; nie wykryli dotąd żadnego promieniowania radarowego, emitowanego z rancho, więc może terroryści nie mieli czasu na zdobycie radaru, albo, jeśli go nawet mieli, nie zdążyli go jeszcze podłączyć. Ale ostrożności nigdy za wiele.

W każdym transporterze było sześciu uzbrojonych ludzi w specjalnych kombinezonach. Były to zmodyfikowane wersje kombinezonów *SIP E* Armii, trochę lżejsze, ponieważ akcje grupy uderzeniowej były zwykle krótkie, przez co systemy umożliwiające przetrwanie w terenie bez zaopatrzenia przez dłuższy czas, nie były potrzebne. Te taktyczne kombinezony powinny wystarczyć jako ochrona przed wszystkim, z czego mogli strzelać przeciętni terroryści. Kamizelki i spodnie wykonano z superwytrzymałej plecionki z klonowanych włókien jedwabnych, z zachodzącymi na siebie łuskami ceramicznymi. Hełmy i buty były z kewlaru, z wkładkami tytanowymi.

Skomputeryzowany sprzęt łącznościowy, który każdy niósł w niewielkim plecaku, był odporny na wstrząsy i opancerzony. Mikroprocesor robił wszystko, od szyfrowania łączności radiowej

dalekiego zasięgu i taktycznych zestawów łącznościowych *LOSIR*, działających w paśmie podczerwieni, po sterowanie łączami satelitarnymi i wyświetlaczami refleksyjnymi, współpracującymi z czujnikami ruchu. Grupa uderzeniowa miała zachować ciszę radiową aż do czasu zabezpieczenia obiektu. Wyjątkiem były zestawy *LOSIR*, a ponieważ i ta forma łączności była szyfrowana, nawet gdyby terroryści mieli pełnozakresowy skaner, nie przechwyciliby niczego poza elektronicznym szumem. Poza tym, w momencie, kiedy grupa uderzeniowa znajdzie się tak blisko, że terroryści zdołają namierzyć skanerem *LOSIR*, będzie już za późno, nawet, gdyby potrafili rozszyfrować łączność.

Zdecydowali się na pistolety maszynowe *H&K* kalibru 9 mm i pistolety tej samej marki. Rozważano użycie karabinów *OICW* kalibru 5,65 mm z dwudziestomilimetrowym granatnikiem. Ta broń była wyposażona w doskonały laserowy znacznik i można z niej było precyzyjnie umieścić granat w okopie, nawet nie widząc wroga, ale Howard nie do końca jej ufał. Za dużo kamer, komputerów i innych gadżetów, a poza tym podczas tej operacji niczego nie chcieli wysadzać w powietrze. Wystarczy, że radia w kombinezonach *SIPE* zawodziły za każdym razem, kiedy w promieniu parseka przeszła burza, a komputery taktyczne dostawały czasem pomieszania zmysłów i trzeba je było resetować podczas akcji.

Howard dla siebie wybrał znacznie bardziej nieoficjalną broń, pistolet maszynowy *Thompsona* kalibru 0,45 cala z 1928 roku, należący kiedyś do jego dziadka. Ta klasyczna broń miała pięćdziesiąt pocisków w bębnowym magazynku i gangsterski przedni chwyt. Prawie nigdy nie zabierał tej bestii na akcję, bo ważyła prawie siedem kilogramów, ale do tej operacji *Thompson* wydał mu się najwłaściwszy. Normalnie wzięłby karabin kalibru 7,62 mm, ale - podobnie jak rewolwer *S&W*, który nosił na prawym biodrze, *Thompson* był czymś w rodzaju starego, ale wciąż sprawnego amuletu.

Antyczny rewolwer i „Chicagowska Maszyna Do Pisania”, jak potocznie nazywano *Thompsona*, w żadnym wypadku nie były reprezentatywne dla najnowocześniejszego sprzętu bojowego, jakim dysponowała Net Force i jakiego na pewno nie mieli ci zamaskowani kłowni.

Howard miał pojechać swym *Humvee*, również wyposażonym w osłony, utrudniające wykrycie przez radar. Obejrzał się w prawo na swój pojazd i spostrzegł Fernandeza, który wyszczerzył do niego zęby z siedzenia kierowcy. Twarz miał poczerniona szminką maskującą, a na głowie hełm, wchodzący w skład kombinezonu *SIPE*.

Na wojnie prędzej czy później musiało dojść do sytuacji, w której żołnierze stawali przeciw żołnierzom. Siły Powietrzne mogły zrzucić tony bomb, czy pocisków manewrujących, Marynarka mogła zasypać cel gradem pocisków artyleryjskich i rakiet z odległości pięćdziesięciu mil morskich od brzegu, ale w końcu do akcji musiała wejść piechota, żeby zająć i utrzymać teren.

Dyrektor Michaels, stojący obok Howarda, powiedział: - Chciałbym z wami pojechać, pułkowniku, ale żaden ze mnie żołnierz. Stale bym się o coś potykał i włąził komuś w drogę.

Howard wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Tak jest, sir. To dlatego tak dobrze nam pan płaci. Sądzę, że wicedyrektor Fiorella urwałaby mi klejnoty rodzinne, gdybym mimo wszystko pozwolił panu jechać z nami.

Michaels uśmiechnął się.

Howard spojrzął na zegarek. - Samolot transportowy nadleci nad strefę zrzutu za trzydzieści trzy minuty. Ma śmigła specjalnej konstrukcji, które nie robią zbyt wiele hałasu, ale na tym odludziu dźwięk niesie daleko. Więc samolot nie zwolni, bo nawet gdyby terroryści go usłyszeli, czekali by na zmianę odgłosów silników podczas zwalniania. Jeśli wszystko dobrze zgramy, nasze zespoły atakujące będą odwracać uwagę strażników, waląc w nich z *FEE*, żeby dostali drgawek i mdłości, podczas gdy nasi saperzy nadlecą na parolotniach i wylądują na terenie obiektu. Mam już na posterunku żołnierza, który w odpowiednim momencie przetnie kabel, pozbawiając rancho prądu. Jest tam co prawda w rezerwie mały generator prądu, gazowy, albo dieslowski, stoi koło szopy, ale nie włączy się automatycznie; ktoś będzie musiał zrobić to ręcznie. Kiedy podejdzie, nasi będą już na niego czekali.

- Co wiem o rozstawieniu przeciwnika?

- Mamy dobre rozpoznanie satelitarne tego obszaru, więc wiemy, gdzie znajduje się każdy z terrorystów. Na przewidywany czas akcji jest zapewniona ciągła obserwacja satelitarna, może nawet na trochę dłużej, tak na wszelki wypadek, gdyby nie wszystko poszło zgodnie z planem. Obiektu pilnuje trzech wartowników, dwóch od frontu i jeden na tyłach i, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zostaną zdjęci, zanim nasze dwa pojazdy dotrą do ogrodzenia. Brama główna jest od frontu, ale są też dwie mniejsze bramy na tyłach, w północnym i południowym narożniku. Zespół Alfa zaatakuję dom granatami obezwładniającymi, podczas gdy Zespół Beta zabezpieczy dom od tyłu, a także stodołę i szopę. Zespół Delta będzie patrolował na zewnątrz tego, co zostanie z ogrodzenia, na wypadek, gdyby komuś udało się wymknąć. Przy odrobinie szczęścia będziemy ich wszystkich mieli, zanim zdążą podciągnąć portki.

Michaels skinął głową.

- Oczywiście, żadna bitwa nie przebiega dokładnie tak, jak się ją zaplanowało i okazuje się to zazwyczaj już przy pierwszym kontakcie z przeciwnikiem, więc musimy tam po prostu wejść, a potem się zobaczy. - Howard ponownie spojrzął na zegarek. - Już czas! Uwaga, ruszamy!

- Powodzenia, pułkowniku. Dajcie im w kość.

- Dziękuję, sir. Nie omieszkamy.

Howard pobiegł do swego *Humvee*. Dzięki obserwacji satelitarnej dokładnie znali odległość, dzielącą ich od rancho. Mieli jechać bez świateł, korzystając z noktowizorów. Teren był prawie zupełnie płaski, z rzadka porośnięty krzakami, a trasę wytyczyli wcześniej, więc moment dotarcia do celu mogli zaplanować z dokładnością co do sekundy.

- Jedziemy, sierżancie. I niech pan wyłączy światła stopu. Nie chcę, żeby tamta banda zauważyła czerwoną poświatę tylko dlatego, że przyhamował pan, by nie rozjechać jaszczurki.

- Dawno wyłączyłem, sir. Bawiłem się kiedyś w te klocki.

Fernandez opuścił osłonę hełmu, włączył noktowizor, uruchomił silnik i ruszył. Howard podniósł z podłogi swój skomputeryzowany hełm, założył go, również opuścił osłonę i włączył noktowizor. Zapiął trzypunktowy pas bezpieczeństwa. Zatrząsk ze zmatowionej stali wydał charakterystyczny dźwięk.

Noktowizory, wzmacniające słabą poświatę gwiazd, wydobyły okolicę z zupełnych ciemności, przedstawiając ją w niesamowitych, bladozielonych odcieniach. Zaraz jednak włączyły się komputery w kombinezonach *SIPE*, dodając realistyczną kolorystykę, tak że jechało się jak w nieco zachmurzony i zamglony dzień.

- Nie wierzy pan chyba, że ta dziwna osłona naprawdę schowa nas przed radarem, prawda? - odezwał się Fernandez. - Toż to wstyd rujnować doskonały pojazd, obwieszając go takim paskudztwem.

- Nie sędzę, żeby ci na rancho mieli czas na zorganizowanie przyzwoitej kwatery głównej. Napad musieli zaplanować zaledwie w ciągu doby z kawałkiem. Zdziwiłbym się, gdyby zdążyli ściągnąć na miejsce jakiś radar.

- Proszę popatrzeć - powiedział Fernandez rozbawionym głosem. - Królik Bugs.

Królik przebiegł przez dróżkę, stanął, odwrócił się i obserwował mijające go pojazdy. Howard przez ramię obejrzał się na zwierzątko.

Ciekaw jestem, co taki królik sobie myśli, widząc koło swojej norki o drugiej nad ranem cztery czarne pojazdy, poobwieszane dziwnymi kawałkami plastiku.

- Nie co dzień widzi się coś takiego - powiedział Fernandez.

- Przepraszam?

- Tak sobie pewnie pomyślał ten królik.

Howard uśmiechnął się. Służyli razem już kawał czasu. To musi być telepatia...

Był podekscytowany, ale zarazem... miał uczucie znużenia, jakby chciał się wyciągnąć i uciąć sobie długą drzemkę, spać choćby i tydzień, chociaż i tak nie wstałby wypoczęty. Skąd u niego ten dziwny letarg? To było niepokojące. Cóż, będzie się tym musiał zająć później. W tej chwili miał co innego do roboty. Coś poważnego.

Alex Michaels wrócił do samochodu terenowego, który mu przydzielono, małego Subaru Outback. Grupa uderzeniowa znikła już w ciemnościach, udając się na spotkanie z czarnymi charakterami na rancho, oddalone o piętnaście kilometrów. Powinien był zostać w namiocie, w którym zorganizowano punkt dowodzenia, na stacji Texaco w Tonopah, ale nawet jeśli nie był żołnierzem, chciał jednak znaleźć się trochę bliżej miejsca akcji. Pomyślał, że kiedy wróci do Tonopah, atak Howarda będzie w toku, a może nawet już się skończy. Jeśli wszystko dobrze pójdzie.

Uruchomił silnik i zawrócił, kierując się do zwirowej drogi, odległej o jakieś półtora kilometra, która prowadziła do autostrady.

Atak na rancho był ryzykowny. Jeśli się nie uda, będzie prawdopodobnie musiał poszukać sobie innej pracy.

Zaśmiał się w duchu. Miał wrażenie, że ilekroć zrobi krok, jego posada staje się zagrożona. To była ta druga strona medalu. Steve Day, pierwszy dyrektor Net Force, nigdy mu o tym nie wspomniał. Może gdyby nie został zabity przez zamachowców, pracujących dla tego komputerowego geniusza z Czeczenii, w końcu powiedziałby Michaelsowi, jak to jest...

Panowały absolutne ciemności. Reflektory jego samochodu były jedynym źródłem światła. Mały samochód podskakiwał na nierównościach terenu. Michaelsowi wydawało się, że przejechał już więcej niż półtora kilometra. No, jest droga.

Wreszcie.

Przez chwilę nie był pewien, w którą stronę skręcić. Przypomniał sobie jednak, że kiedy zjeżdżał z tej drogi na pustkowie za *Humvee* Howarda, skręcili w prawo; powinien więc teraz skręcić w lewo, żeby pojechać w stronę autostrady. Nie spojrział wtedy na licznik, ale wydawało mu się, że było to coś około trzech, może pięciu kilometrów.

Zawahał się przez chwilę, po czym podjął decyzję. Wiedział, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, dla niego samego, ani dla grupy uderzeniowej pułkownika Howarda. Do obozu terrorystów było kilka kilometrów, przynajmniej siedem, więc mógł pojechać w tym kierunku. Gdyby po paru kilometrach nie dotarł do autostrady, zawróci i zadzwoni do sztabu akcji z *virgila*... Zrobiłby to niechętnie. Byłoby to przyznaniem się do porażki. Nie cierpiał pytać o drogę, miał to po ojcu, w jego rodzinie nawet orientowanie się według mapy było czymś niemęskim. Ojciec zawsze mówił, że Michaelsowie nie błądzą.

Skręcił w lewo i przyśpieszył trochę; w końcu znalazł się przecież na czymś, co przypominało drogę.

Wielki żuk roztrzaskał się na przedniej szybie na wysokości twarzy Alexa; została z niego zielonkawa plama, która nałożyła się na resztki kilku innych ciem, moskitów, żuków i czego tam jeszcze. Najwidoczniej owady nie zapadały tu w sen zimowy. W końcu nie jechał zbyt szybko; można by sądzić, że owady zauważą go z daleka, ale wciąż roztrzaskiwały się o przednią szybę. Włączył wycieraczki, rozsmarowując po szybie zielonkawą maź, uruchomił spryskiwacz i w końcu miał przed sobą kawałek szyby, przez który było coś widać.

Droga biegła w dół, a potem znowu w górę. Najechał na parę kamieni, wystających z ziemi. Samochód podskoczył tak bardzo, że Michaels omal nie wyrznął głową w dach.

Nie przypominał sobie takich wertepów. Otoczenie w ogóle wyglądało obco. Wprawdzie widział tylko to, co z ciemności wydobywały reflektory, ale powinien już być dojechać do autostrady.

Spojrzał na licznik. Od miejsca, w którym wjechał na piaszczystą drogę, do autostrady nie mogło być więcej niż pięć, sześć kilometrów. Na pewno pokonał już ten dystans, przecież jechał od dobrych dwudziestu minut. Dwadzieścia po drugiej. Za pięć minut Howard miał rozpocząć atak.

Może czas już skorzystać z *GPS*?

Nie, jeszcze nie. Jeszcze kilometr. A jeśli nie zobaczy autostrady, zawróci.

Michaels pokręcił głową. Rety, ależ by mieli używanie w centrali. „Słyszałeś, jak dyrektor zabłądził na pustyni?”

Nic z tego.

Droga prowadziła łukiem pod górkę. Był w połowie zakrętu, kiedy samochodem zarzuciło na piaszczystej nawierzchni, więc zwolnił. Po lewej stronie zobaczył kępę jakichś karłowatych drzew, może sosen, z których żadna nie miała więcej niż trzy metry wysokości. Zorientował się, że drzew jest więcej. Nieomal las.

Z karłowatych drzew wyszedł jakiś człowiek. Miał na sobie mundur polowy w pustynnych barwach maskujących, a broń, którą trzymał w rękach skierował w stronę samochodu Michaelsa. Machnął nią w niedwuznacznym geście: stać.

Kałasznikow?

Przez chwilę Alex myślał, że musi to być któryś z żołnierzy Howarda, ale zaraz zorientował się, że nic się nie zgadza. Nie ten mundur, nie ta broń, nie to miejsce.

Ogarnął go strach, kiedy zdał sobie sprawę, kim musi być ten człowiek.

To jeden z terrorystów!

O, cholera! Co ja narobiłem?

I co teraz zrobię?

18

Niedziela, 26 grudnia 2010 roku, godzina 2.24

Gila Bend, Arizona

Howard spojrział na zegarek. Dostał go w prezencie od żony na trzydzieste piąte urodziny, Bulova Field Grade Marine Star, z czarną tarczą i podświetlonymi wskazówkami, analogowy zegarek kwarcowy, którego akumulator doładowywał się przy każdym, nawet najmniejszym ruchu. Nie był to może najdroższy zegarek na świecie, ale Nadine oszczędzała przez rok, żeby go kupić. Chodził bardzo dokładnie, a w tej chwili pokazywał godzinę 2.25. Jeszcze trzydzieści sekund... Czas.

- Gotów, sierzancie?

- No to zaczynamy rock'n'rolla. Może mi pan mówić Elvis.

Cztery pojazdy ruszyły, niezbyt szybko, żeby dotrzeć na miejsce dokładnie o wyznaczonej porze. Rancho mieli tuż przed sobą. Umieszczone na ścianie stodoły reflektory rzucały jasne snopy światła. Ludzie Howarda mieli włączone filtry w noktowizorach. Reflektory powinny zgasnąć... teraz... Zapadła ciemność.

- Niech pan nie wyłącza filtra w noktowizorze, pułkowniku. Zaraz zacznie się iluminacja.

- Bawiłem się już kiedyś w te klocki, sierzancie.

Na twarzach obu mężczyzn pojawił się uśmiech.

Dla Alexa Michaela czas wyraźnie zwolnił, kiedy uzbrojony mężczyzna podchodził do jego samochodu. Wydawało mu się, że ma dni, tygodnie, miesiące na podjęcie decyzji. Tylko że miał wrażenie, że nie jest zdolny do najmniejszego ruchu. No, nie, był zdolny, ale prędkość każdego ruchu była spowolniona do tempa, w jakim tamten nadchodził. Samo zdjęcie ręki z kierownicy zdawało się trwać całą wieczność.

W ciągu zaledwie paru sekund, które jednak wydawały się nieskończenie długie, Alex przebiegł myślami wszystkie możliwości, jakie przyszły mu do głowy. Mógł spróbować pogadać z facetem, udawać, że znalazł się tu przypadkiem. Mógł wcisnąć pedał gazu do deski i uciekać, skuliwszy się, żeby nie zostać trafionym, kiedy tamten otworzy ogień. Mógł wyciągnąć taser w nadziei, że obezwładni terrorystę, zanim ten wpakuje w niego serię. Mógł się zesrać albo oślepnąć.

Tyle możliwości. Którą wybrać?

Uzbrojony człowiek był już o niecały metr od drzwi. Kiwnął lufą, dając Alexowi znać, żeby otworzył okno.

Wybieraj, Alex. Wybieraj!

Stroboskopowe światła emiterów *FEE* rozbłysły jak rozszalała burza. Filtry polaryzacyjne w

hełmach neutralizowały ich działanie, zresztą ludzie Howarda stali zwróceny tyłem do emiterów, więc nie byli narażeni na bezpośrednie promieniowanie.

- Brama przed nami! - krzyknął Fernandez. - Wygląda na to, że nasi saperzy zdjęli ją razem z wartownikami. Równie dobrze mogli przed nami rozwinąć czerwony dywanik.

- Nie chwał dnia przed zachodem słońca. *Humvee* przejechał przez bramę. Jeden z saperów pomachał ręką, kiedy go mijali.

- Zespół Alfa wylądował - rozległ się czyjś głos w słuchawkach *LOSIR*. - Jesteśmy pod drzwiami.

- Beta przy tylnych drzwiach - zameldował inny głos.

- Delta na pozycji - odezwał się trzeci.

Fernandez zatrzymał *Humvee* obok kurnika, niedaleko stodoły. Howard wyskoczył z *Thompsonem* gotowym do strzału, a Fernandez znalazł się obok niego w ciągu dwóch sekund.

- Nie zostawiłeś kluczyków w stacyjce, prawda?

- Na pewno nie.

- To dobrze. Nie znoszę, kiedy to robisz.

Prawdę mówiąc, Howard powinien był pozostać na zewnątrz ogrodzenia, na stanowisku dowodzenia i stamtąd kierować ruchem. Właściwie nie miał tu żadnego konkretnego zadania, może z wyjątkiem ubezpieczania Alfy, co nie powinno być potrzebne...

- Jesteśmy w środku, zakłócenia, bądźcie w pogotowiu...

Howard usłyszał strzały, zarówno w słuchawkach hełmu, jak i na żywo. Dochodziły z wnętrza domu.

- Dwaj terroryści zdjęci, dwaj zdjęci, Alfa bez strat! - zawołał dowódca zespołu Alfa. - Uwaga, cel w korytarzu. - Z domu dobiegły odgłosy kolejnych strzałów.

- Jak dotąd, wszystko... - zaczął Howard.

Poczuł uderzenia pocisków, zanim usłyszał strzały. Łup, łup, łup. Dostał mocno trzy razy, z lewej strony, ale kombinezon wytrzymał...

Cholera! Howard odwrócił się, zobaczył kobietę i mężczyznę we wrotach stodoły. Oświetlały ich jaskrawe, żółtopomarańczowe płomienie wylotowe z luf karabinów samoczynnych, z których strzelali seriami do niego i Fernanda.

Kolejny pocisk trafił Howarda w tułów. Pułkownik poczuł się, jakby go ktoś walnął młotem.

Cholera...!

Michaels głęboko zaczerpnął powietrza i lewą ręką nacisnął guzik, otwierający okno, podczas gdy prawą powoli odpinał taser od paska.

Terrorysta podszedł do samochodu.

- Przepraszam, panie władzo - powiedział Michaels. - O co chodzi?

Michaels trzymał już lewą rękę na klamce drzwi. Jeszcze raz głęboko odetchnął i powiódł wzrokiem w przestrzeń za terrorystą, gdzie pojawiły się błyski. Atak na rancho.

- A to co, u diabła? - spytał Michaels, patrząc w dal. Terrorysta też musiał dostrzec błyski kątem oka. Odwrócił wzrok od Michaela, żeby lepiej im się przyjrzeć...

Michaels szarpnął klamkę i rzucił się całym ciężarem ciała na drzwi, waląc nimi w zaskoczonego terrorystę. Uderzenie nie było wystarczająco silne, żeby go przewrócić, ale wystarczyło, by stracił równowagę.

- Jasna cholera! - zawołał uzbrojony mężczyzna i zamachał rękami, próbując odzyskać równowagę. Poślizgnął się na piaszczystej drodze, odzyskał równowagę na tyle, żeby odwrócić się z karabinem gotowym do strzału...

Michaels zamknął drzwi. Trochę zbyt gwałtownie, bo klamka została mu w ręku, ale nie miał teraz czasu, żeby się tym przejmować. Wysunął taser przez otwarte okno, włączył celownik laserowy, zobaczył czerwoną plamkę na piersi mężczyzny i strzelił. Czas zdawał się stać w miejscu...

Terrorysta zatrząsł się i zatoczył w stronę samochodu, podczas gdy igły tasera przepuszczały przez jego ciało ileś tam tysięcy woltów. Poderwał karabin ku niebu i strzelił pięć, może sześć razy. Z lufy buchnął czerwonopomarańczowy jęzor, a odgłosy kolejnych strzałów zlały się w jeden przeciągły huk, bynajmniej nie tak głośny, jak można by się spodziewać. Terrorysta zatoczył się w lewo, skulił i upadł na ziemię. Cały czas wstrząsały nim drgawki. Broń ścisnął mocno w rękach, ale już nie strzelał.

Michaels nie mógł otworzyć drzwi, od których przed chwilą oderwał klamkę, więc wydostał się z samochodu głową naprzód przez otwarte okno, zrobił przewrót do przodu i poderwał się na nogi obok leżącego mężczyzny. Pochylił się i wyrwał *Kałasznikowa* z bezwładnych rąk, cofnął się dwa kroki i wycelował do terrorysty z jego własnej broni.

Niech no tylko mrugnie, a pożałuje, że się w ogóle urodził!

Potraktowany taserem terrorysta sprawiał wrażenie, jakby stracił wszelkie zainteresowanie robieniem czegokolwiek.

Michaels odetchnął. Cholera...

Howard spojrział na kobietę i mężczyznę, którzy strzelali do niego i Fernandez. Przez głowę przebiegały mu dziwne myśli. Pociski smugowe. Pewnie co piąty albo co dziesiąty w magazynku. Co tych dwoje robiło w stodole? Dlaczego nikt nie namierzył ich skanerem podczerwieni?

Stojący koło niego Julio odwrócił się i skierował swego *H&K* w stronę strzelającej pary.

Howard też uniósł swą ciężką broń...

- Kurwa! - zaklął Julio. Opadł na kolano, a seria z jego pistoletu maszynowego przeorała ziemię o pięć metrów przed nim. - Dostałem - powiedział. Głos miał spokojny, jakby informował, co zamierza zjeść na śniadanie.

Któreś z terrorystów musiało strzelać pociskami przeciwpancernymi...

Nie strzelali z ukrycia, stali wyprostowani i pruli z biodra. Howard rozstawił nogi, uniósł *Thompsona* i strzelił do mężczyzny serią pięciu pocisków. *Tommygun* rzygnął pomarańczowym jęzorem ognia. Kompensator na końcu lufy skierował część płomienia wylotowego w niebo, tworząc w ciemnościach ognistą literę „L”, która łagodziła trochę siłę odrzutu i poderwanie lufy.

Nie czekając na efekt, jaki strzały wywrą na mężczyźnie, skierował broń na kobietę i znów ściągnął spust.

Upadli oboje, mężczyzna ułamek sekundy wcześniej niż kobieta.

Howard wykonał pełny obrót, rozglądając się za następnymi przeciwnikami. Czysto. W noktowizorze zobaczył sygnaturę jednego z saperów, który biegł w stronę leżących terrorystów. Saper pomachał ręką, dając pułkownikowi znać, że się nimi zajmie. Howard odwrócił się.

- Julio?

- Nic mi nie będzie, John - powiedział sierżant. - Dostałem w wewnętrzną stronę uda, tuż nad kolanem. Kość chyba cała. Oczywiście, mogę się mylić.

- Mamy towar - zameldował przez *LOSIR* dowódca Zespołu Alfa. - Ośmiu terrorystów wyeliminowanych, Alfa bez strat.

Howard odetchnął z ulgą. Dzięki Bogu. - Zrozumiałem, Alfa - powiedział. - Dobra robota. Doktorze, Julio dostał w nogę. Jesteśmy przy południowo-zachodnim narożniku kurnika. Niech pan tu natychmiast przyjdzie.

Nie widział swoich ludzi, ale też *LOSIR* nie był aż tak precyzyjny.

Lekarz był z Zespołem Delta. - Zaraz będę, sir, tylko wysadzę pasażerów. Czterdzieści pięć sekund. No, wysiadać, wysiadać!

Trzydzieści sekund później pojazd Zespołu Delta z doktorem za kierownicą staranował ogrodzenie, przewracając jego fragment i zatrzymał się trzy metry dalej. Lekarz wyskoczył i podbiegł do Julio, który siedział, przyciskając dłonie do dziury w kombinezonie.

Doktor włączył reflektorek w hełmie i specjalnymi nożycami odciął nogawkę kombinezonu rannego sierżanta. Podgiął zranioną nogę i spojrzał na ranę wylotową.

- Wygląda na 5,6 mm, duża szybkość, pocisk przeciwpancerny - powiedział doktor. - Kula przeszła na wylot, nie naruszając kości. Ładna, mała dziurka o średnicy słomki do napojów. Pocisk był wystarczająco gorący, żeby skoagulować ranę. Trzeba będzie usunąć z rany włókna kombinezonu, ale poza tym nie widzę żadnych problemów.

Doktor uśmiechnął się, zostawił w spokoju ranną nogę i spojrzał na Fernandez. - Jezu, czego to ludzie nie zrobią, żeby dostać parę dni zwolnienia.

- Człowiek robi, co może - przyznał Fernandez.

Howard z ulgą skinął głową. - Raporty - rozkazał przez *LOSIR*.

Zaczęły nadchodzić meldunki.

- Zupełnie jak spacer po parku, sir - zgłosił się dowódca Zespołu Alfa. - Sześciu terrorystów zabitych podczas akcji w domu, dwóch rannych, jeszcze żyją, dwóch całych, zatrzymanych. Pojemnik nienaruszony, żadnych przecieków, promieniowanie w normie. Proszę przysłać lekarza, kiedy będzie miał chwilę czasu.

- Nikt koło nas nie przechodził - powiedział dowódca Zespołu Delta.

- Trzech wartowników zdjętych, jeden nie żyje, dwaj lekko uszkodzeni - zameldował szef grupy saperów. - Nie tknęli nas palcem.

- Do diabła, cała zabawa nas ominęła - poskarżył się dowódca Zespołu Beta. - Nie mieliśmy nic do roboty. Równie dobrze mogliśmy siedzieć w domu i oglądać telewizję. Nawet nie będziemy musieli czyścić broni - dodał z obrzydzeniem.

Saper, który poszedł do stodoły, sprawdzić tę parę, która strzelała do Howarda i Fernandez, wrócił niosąc jakąś wielką, ciężką płachtę, czarną z jednej strony i srebrną z drugiej. - Znalazłem to w stodole, pułkowniku - powiedział.

Howard spojrzał i pokiwał głową. To dlatego czujniki podczerwieni nie wykryły terrorystów, ukrywających się w stodole. Byli osłonięci. Pomyślał o radarze, ale nie o osłonie termicznej. Błąd, ale na szczęście nie fatalny w skutkach.

Howard westchnął. Odzyskali skradziony materiał radioaktywny, a Julio powinien szybko dojść do siebie. Mogło być znacznie gorzej.

Czas zadzwonić do Michaela.

- Dyrektorze?

- Słucham, pułkowniku. Wszystko w porządku?

- Tak, sir. Cel osiągnięty, terroryści zneutralizowani, po naszej stronie tylko jeden lekko ranny. Sierżant Fernandez został ledwo draśnięty.

Siedząc na ziemi z zabandażowaną nogą i świeżo po zastrzyku przeciwbólowym, Fernandez powiedział: - Założę się, że inaczej byś mówił, gdyby to była twoja noga.

Howard tylko się uśmiechnął.

- Doskonale, pułkowniku! Gratulacje. I proszę je przekazać również swoim ludziom.

- Dziękuję, sir, nie omieszkam. Zobaczymy się na posterunku dowodzenia, kiedy tylko trochę tu posprzątam.

- Właśnie tam jadę - powiedział Michaels.

Howard zmarszczył brwi. - Jeszcze tam pana nie ma, sir?

- Hm, zrobiłem sobie małą przejażdżkę po okolicy - powiedział Michaels. - Zabrałem.. autostopowicza, z którym chyba chętnie pan porozmawia po powrocie.

- Sir?

- Nieważne, pułkowniku. Wszystko wyjaśnię, kiedy się zobaczymy. Wydobył nas pan z trudnej sytuacji. Doceniam to i dopilnuję, żeby cały kraj to docenił.

- Dziękuję, dyrektorze. Rozłączam się.

Howard zastanowił się przez chwilę nad swym stosunkiem do dyrektora Alexandra Michaela. Jak na cywila, to był niezły facet. Zupełnie niezły.

- Sir, moglibyśmy pośpieszyć się tutaj i wracać do domu? - zapytał Fernandez. - Mam lekcję tanga, której nie chciałbym opuścić.

Howard wybuchnął śmiechem.

Poniedziałek, 27 grudnia 2010 roku, godzina 13.30

Waszyngton, Dystrykt Columbia

Tyrone Howard pomyślał, że jeszcze trochę i eksploduje jak supernowa, rozpadając się na milion miliardów kawałków.

Siedział na łóżku Belli, trzymał ją w ramionach i całowali się. Wszystkiego, co wiedział o pocałunkach Bella nauczyła go przez ostatnie parę miesięcy i chyba rozumiał już, o co tu chodzi. Dłońmi wyczuwał żar, bijący od jej pleców, nawet przez bluzkę, za to nie wyczuwał żadnego zapięcia...

Przerwała pocałunek i odetchnęła głęboko. - Pora przestać, Tyrone. Mam dziś być u ciotki, ruszamy za jakieś dziesięć minut. Muszę się jeszcze przebrać.

- Aha - powiedział, pochylił się i znów zaczął ją całować. Po minucie, może dwóch, odchyliła się do tyłu.

- Tyrone, naprawdę muszę już się zbierać.

- Aha. - Pocałował ją jeszcze trochę. Niezbyt mocno się opierała, chyba nawet trzymała go rękami za głowę i przyciągała bliżej.

W końcu odsunęła się od niego i powiedziała: - Zobaczymy się jutro w centrum. Zrozumiałeś?

- Aha. Zrozumiałem. - Znów wyciągnął w jej stronę dłonie, ale tym razem przytrzymała go za rękę. - Daj spokój, Tyr.

- W porządku. - Odetchnął głęboko. - W porządku. Ale tak trudno odejść.

- Jasne, że trudno - powiedziała, uśmiechając się. - Czekał, spróbuję ci to trochę ułatwić. - Wzięła jego dłoń w swoje, złożyła na niej pocałunek i przycisnęła do lewej piersi.

Rozdziawił usta, mózg mu stanął, zapomniał, jak się oddycha. Z tymi wytrzeszczonymi oczyma musiał wyglądać jak wielka ropucha.

To była najbardziej podniecająca chwila w jego życiu.

Odsunęła jego dłoń od swego ciepłego ciała. Odsoniła zęby w szerokim uśmiechu i wstała. - No, uciekaj. Sio! - Pomachała mu rękami.

Wstał, jak w transie. Skoczyłby z wieżowca, gdyby tylko zechciała.

Poniedziałek, 27 grudnia 2010 roku, godzina 14.00

Quantico, Wirginia

Julio Fernandez był w miejscu, które w centrali Net Force uchodziło za izbę chorych. Nic okazałego, ot, parę łóżek, a on był jedynym pacjentem. Leżał na łóżku i pstrykał pilotem telewizora, przeskakując po komercyjnych kanałach rozrywkowych. Szukał czegoś, na czym udałoby mu się skupić uwagę. Niepotrzebnie go tu zostawili. Doktor zdezynfekował niewielką dziurę w nodze i zakleił sztuczną skórą, a potem dał mu zastrzyk przeciwtężcowy i doradził powstrzymanie się na kilka dni od przysiadów z obciążeniem i biegów maratońskich. Ale wewnętrzne przepisy Net Force wymagały obowiązkowego leczenia niektórych rodzajów obrażeń, co w wypadku ran postrzałowych oznaczało co najmniej dwudziestoczterogodzinną obserwację lekarską. Chodziło o odpowiedzialność za utratę zdrowia, ubezpieczenie i takie tam bzdury. Fernandez nie zamierzał nikogo podawać do sądu. On to wiedział i pułkownik to wiedział, ale czasy były takie, że mnóstwo ludzi skarżyło innych ludzi - w Dystrykcie Columbia było więcej prawników niż karaluchów - więc wpakowali go do łóżka, podali antybiotyki przez kroplówkę i wręczyli telewizyjnego pilota. Dostał też szpitalną koszulę, jedną z tych krótkich, zapinanych z tyłu.

Spojrzał na zegar w rogu ekranu telewizora. Kiedy wrócił z akcji i poddał się badaniom, było południe. Czyli musi tu jakoś wytrzymać do południa następnego dnia. Groziła mu nuda i jedzenie ze szpitalnej kuchni. Jezu.

Weszła pielęgniarka, a za nią pułkownik. Uśmiechał się naprawdę szeroko.

- Bardzo zabawne, sir. Niech pan poczeka, aż pan zostanie ranny.

- Nie ja to wymyśliłem, sierżancie Fernandez. Nie opracowuję przepisów, po prostu robię, co mi każą.

Howard usiadł na krawędzi łóżka i spojrzał w telewizor. - Jest coś dobrego?

- Najlepsze są powtórki „Kocham Lucy” i sporty walki. Właśnie oglądałem, jak północnoamerykański champion *sumo* wagi średniej - osiemdziesiąt, może dziewięćdziesiąt kilo - pokonał faceta wagi ciężkiej, dochodzącego do trzystu kilo. Grubas zaszarżował, a ten mały odszedł na bok i podstawił mu nogę. Tłuszcioch wypadł z ringu i walnął o ziemię z takim impetem, że aż zatrzęsły się kamery.

- Dawid i Goliat - powiedział Howard. - Jest już precedens.

- Dawid oszukał, posłużył się procą.

- Goliat miał miecz.

- No tak, a tylko głupek zabiera nóż, kiedy szykuje się strzelanina.

- Jak noga?

- Dobrze. Mógłbym pana w tej chwili pokonać na torze przeszkód.

- Wątpię. Nie wiem, czy nie wolałbym toru od pójścia do domu.

- Teściowa jeszcze u was jest?

- Do następnej niedzieli.

- Każdy ma to, na co zasługuje, sir.

- Zjrzałem do biura, jadąc tutaj. Jest tam chyba jakaś skarga na ciebie. Jeden z cywilnych instruktorów w FBI. Wiedziałeś, że jesteś „zły, brutalny, może nawet psychotyczny”? Że nie nadajesz się do Net Force, i że prawdopodobnie stanowisz zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego?

- Tak jest, sir. Sądzę, że to całkiem trafna charakterystyka.

- Coś ty zrobił temu Horowitzowi?

- Oparłem się o jego biurko i powiedziałem mu, że powinien mniej się troszczyć o to, jakie wywiera wrażenie na studentach, a bardziej o swoją pracę.

- Boże, sierżancie, i sądziliście, że takie zachowanie ujdzie wam na sucho? Co z was za dzikus?

- Niepoprawny dzikus, sir.

- Cóż, wyślę panu Horowitzowi wiadomość, że zgodnie z jego radą stosownie was ukarałem. - Howard sięgnął po telewizyjnego pilota, nie odwracając się, skierował go przez ramię w stronę odbiornika na ścianie i nacisnął czerwony guzik. - Przez najbliższą godzinę nie będziecie oglądać telewizji, sierżancie.

- Myślałem, że ma mnie pan ukarać, sir.

Uśmiechnęli się obaj.

Kiedy Joan Winthrop wróciła do centrali, wiedziała, że jest już po wszystkim. Terrorysty zdjęci, skradziony pluton odzyskany. Dla niej zostało już tylko ustalenie, kto dostał się do jej stacji roboczej i wysłał z niej Synom tego jak mu tam informacje o transportach.

Ale ktoś jej powiedział, że Julio Fernandez został ranny i leży na izbie chorych, więc zamiast zająć się swoim problemem kupiła kwiaty i poszła go odwiedzić.

Był jedynym pacjentem. Ponieważ na święta wyjechał prawie cały personel Net Force,

najwyraźniej łącznie z personelem medycznym, izba chorych sprawiała wrażenie opustoszałej.

- Dzień dobry, sierżancie.

- Dzień dobry, pani porucznik.

- Słyszałam, że cię postrzelili.

- Draśnięcie. Muszę tu zostać przez noc, bo tak każą przepisy, ale gdyby mi pozwolili, mógłbym pójść potańczyć.

Wstawiła kwiaty do wazonika na stole koło łóżka. - I tak leżysz, nic nie robiąc? Żadnych książek, nawet telewizor wyłączony?

- Pułkownik był tu przed chwilą, musieliście się minąć. To on wyłączył telewizor. Za karę.

Uniosła brwi. - Za to, że zostałeś ranny? Zachichotał. - Nie, nawet Howard nie jest taki surowy. Opowiedział jej o swoich zajęciach komputerowych. Kiedy skończył, wybuchła śmiechem. - Surowy dowódca, co?

- No. Naprawdę chciałem zobaczyć, jak ten zapaśnik wagi średniej poradzi sobie w następnej walce.

Roześmieli się oboje.

- No a co z tobą? - spytał Julio. - Słyszałem o tej sprawie z twoją stacją roboczą.

- Och, tym się nie przejmuj. Dowiem się, kto to zrobił.

- Podejrzewasz kogoś?

- Oczywiście, w pierwszej kolejności Jaya Gridleya. Nie lubi mnie. Myśli, że załatwiłam sobie tę robotę przez łóżko.

- Poważnie?

- Pytasz, czy Gridley poważnie myśli, że posłużyłam się kobiecymi sztuczkami? Czy że to on zaprogramował ten przeciek z mojego komputera? Odpowiedź na pierwsze pytanie brzmi: tak; na drugie: nie. Ale wyprę się, jeśli mu powiesz, że ja to powiedziałam.

- A mówiłaś coś?

- Możliwe, że ukrywa przede mną jakieś informacje, ale nie sądzę, żeby był na tyle podły - albo głupi - by obciążać mnie winą za przestępstwo federalne. Po tej operacji wracam do jednostki, więc nie stanowią dla niego zagrożenia. Poza tym, musi wiedzieć, że ustalę, kto to zrobił. To tylko kwestia czasu.

Przez chwilę żadne z nich nic nie mówiło.

- A jak tam było? - spytała. - Podczas tej akcji?

- Poszło jak z nut - powiedział. - Ci goście nie dorastali nam do pięt. Byliśmy sprytniejsi, lepiej zorganizowani i lepiej uzbrojeni. Jedyne błęd po naszej stronie przytrafił się mnie. Gdybym lepiej uważał, nie spędzałbym tej nocy tutaj, z nogą w bandażach. Jeden z tych palantów, kobieta, schowała się za osłoną, przez którą nie przechodziło promieniowanie podczerwone. Miała w magazynku parę pocisków przeciwpancernych. Na szczęście była albo bardzo zdenerwowana, albo nieobeznana z bronią. Wystrzeliła prawie cały magazynek, trzydzieści pocisków, a drasnęła mnie tylko raz. Facet, który był z nią, strzelał trochę lepiej, ale jego amunicja nie mogła przebić naszych kombinezonów.

- Żałuję, że mnie to ominęło - powiedziała.

- Wiem, uczestniczyłaś już w paru operacjach.

- Ale ostatnio nic takiego mi się nie trafiało. Pułkownik uważa, że większy ze mnie pożytek przy komputerze. Kiedy po raz ostatni brałam udział w operacji, siedziałam w punkcie dowodzenia, pięćdziesiąt kilometrów od miejsca akcji.

- Pułkownik ma rację - powiedział Fernandez. - Takich prostaków jak ja jest na pęczki, a geniusza komputerowego trudno zastąpić.

Uśmiechnęła się. - Muszę wracać do pracy. Może ci czegoś potrzeba?

Spostrzegła, że zawahał się przez chwilę i zastanawiała się, czy rzuci jakąś seksualną aluzję. Jeśli szukał okazji, to właśnie mu jej dostarczyła.

Pokręcił głową. - Nie, ale dzięki za troskę. Prześpię się trochę. Zobaczymy się, kiedy stąd wyjdę. - Posłał jej promienny uśmiech.

Powściągnęła nagle chęć pochylenia się i pocałowania go. Naprawdę zaczynała lubić tego faceta.

- Do zobaczenia, Julio. Porozmawiamy o komputerach, kiedy już uporamy się z całym tym bałaganem.

- Chętnie. Dzięki, że wpadłaś. - Znów moment wahania. - Jo.

Jay Gridley porzucił kowbojski scenariusz, bo wydawał mu się za wolny. Oczywiście, tempo w scenariuszu nie przekładało się na czas rzeczywisty, chodziło raczej o subiektywne odczucia. Człowiek się niecierpliwi, jadąc konno stępa, kiedy chciałby pognać na Harleyu.

Tym razem Jay sięgnął więc po jednego ze swych ulubionych bohaterów kina akcji,

zapożyczony z jednego z pierwszych, klasycznych filmów z Jamesem Bondem.

Leciał teraz nad ziemią, przecinając ze świstem powietrze dzięki słynnemu Pasowi Raketowemu Bella na plecach.

Oczywiście, w świecie realnym urządzenie Bella nie było żadnym pasem, lecz wielkim i bardzo ciężkim plecakiem. I jego zasięg też był w rzeczywistości bardzo ograniczony. Jay postudiował to zagadnienie, opracowując scenariusz. Oryginalny pas raketowy składał się z dwóch zbiorników z paliwem, paru dźwigni, przepustnicy i kilku dysz raketowych. Funkcjonował w ten sposób, że nadtlenek wodoru, rozpylany na drucianą siatkę o bardzo drobnych oczkach, wytwarzał bardzo gorącą parę, która wydobywała się z dysz, dając kilkaset kilo ciągu. Całość była głośna, niebezpieczna, a na lot miało się zaledwie dwadzieścia sekund, może trzydzieści - o ile mieszanka paliwowa była idealnie dobrana, a dysze świeżo wyregulowane. Człowiek pochylał się w stronę, w którą chciał lecieć. Później dodano parę dysz manewrowych, ale jeśli na wysokości trzydziestu metrów skończyło się paliwo, upadek był nieunikniony i przykry w konsekwencjach.

Późniejsza wersja, Pas Tylera, była trochę lepsza i zapewniała nieco dłuższy lot, ale i tak były to zaledwie podskoki. Opracowano w końcu model z małym silnikiem odrzutowym, zdolny zapewnić użytkownikowi pół godziny w powietrzu, ale amerykańskie siły zbrojne zastrzegły sobie ten nowy silnik na wyłączność do pocisków manewrujących *Cruise*.

W taki oto sposób koncepcja osobistego napędu raketowego w plecaku, wywodząca się z fantastyki naukowej, poszła w niepamięć. Istniejące pasy raketowe trafiły do muzeów albo do reklam telewizyjnych i filmów, i na tym koniec.

Pas raketowy Jaya miał tajne - ale teoretycznie możliwe do wyprodukowania - paliwo i miniaturowy silnik odrzutowy, zapewniający godzinę lotu, a także rezerwowy zbiorniczek paliwa, umożliwiający bezpieczne lądowanie, kiedy skończyło się paliwo w głównym zbiorniku. W rzeczywistości wirtualnej Jay mógł oczywiście dać swemu pasowi nieskończenie wielką moc, ale wtedy zabawa nie byłaby już tak dobra. W scenariuszach, które tworzył, zawsze trzymał się realistycznych parametrów. Każdy głupek potrafił bawić się w fantastykę; sztuka polegała na tym, żeby scenariusz był wiarygodny.

Tak, czy inaczej, chociaż pas nie był tak szybki jak odrzutowiec, czy nawet zrywny Viper, naprawdę cudownie było lecieć, kiedy wiatr wiał człowiekowi w twarz i targał włosy, przeskakiwać przez wysokie budynki dzięki urządzeniu, stanowiącemu techniczny ekwiwalent siedmiomilowych butów.

W tej chwili leciał nad nową, szesnastopasmową Autostradą Południowochińską, spod Xianggang w Hongkongu na północ, do Jiulong na kontynencie, rozglądając się za ciężarówkami Wong Electronics. Łatwo je było wypatrzeć z powietrza dzięki jaskrawym, pomarańczowym dachom, na których wymalowane były numery. W świecie rzeczywistym, poza VR, „ciężarówki” były pakietami binarnych informacji, zestawianymi i scalanymi w pliki na węzłach i przesyłane po sieci. Świat rzeczywisty był taki nudny.

Firma Wong Electronics produkowała sprzęt komputerowy, ale jej specjalnością było

oprogramowanie do przesyłania danych, czytniki i programy pocztowe, a także niektóre rodzaje programów zabezpieczających. Ten, kto włamał się do komputera porucznik Winthrop, ustawił w drodze powrotnej kilka ścian ognia i dwie elektroniczne zapadnie, żeby zabezpieczyć się przed wykryciem. Nawet bez fragmentów kodów identyfikacyjnych, sądząc po rodzaju i wielkości ścian oraz zapadni, Jay był pewien, że to najlepsze produkty Wong Electronics.

Gdyby udało mu się zlokalizować jedną z ciężarówek Wonga, zabrać się na nią i dostać się do ich bazy danych, może zdołałby ustalić, kto kupił te ściany ognia i zapadnie. Byłoby to brutalne włamanie, związane z koniecznością przetworzenia ogromnej liczby danych, ale dysponował odpowiednią mocą obliczeniową. Może włamywacz był nieostrożny i zostawił ślad, którym da się pójść?

Z wysokości kilkudziesięciu metrów, jakiś kilometr przed sobą, Jay spostrzegł ciężarówkę z pomarańczowym dachem. Postanowił wylądować na niej i pojechać na gapę. Otworzenie zamka w drzwiach ciężarówki było pestką dla faceta jego klasy.

Zmniejszył ciąg i zaczął obniżać wysokość. Bardzo prawdopodobne, że ustali, kto posłużył się komputerem Winthrop, zanim ona tego dokona. Ona straci twarz, a on okryje się chwałą. Cudownie. „Ach, to. Tak, wytropiłem tego faceta. Nie wspomniałem o tym? Nic wielkiego, dziwię się, że tobie się to dotąd nie udało. Nie, nie, proszę mi nie dziękować, pani porucznik, zrobiłem po prostu, co do mnie należało”.

Jay dotarł do tylnych drzwi ciężarówki, zrzucił z pleców swój odrzutowy napęd i sięgnął po zestaw wytrychów. Uporanie się z zamkiem zajęło mu czterdzieści pięć sekund. Ostrożnie zamknął drzwi za sobą.

Nazywam się Gridley. Jay Gridley...

Z wysokości trzystu metrów nad Jayem Gridleyem, Platt obserwował rozwój wypadków, lecąc powoli małym śmigłowcem, w którym znalazł się, kiedy wszedł do scenariusza Gridleya. Nawet podobał mu się ten scenariusz - fajna rakietka, którą facet ma na plecach, mnóstwo szczegółów, także w tle. Ten mały żółtek, półkrwi Azjata, co nieco potrafił.

Oczywiście i Platt nie był od macochy. W dodatku miał dostęp do wszelkiego rodzaju tajnych gadżetów, na których senator mógł położyć łapę. Wszystko, co było dostępne dla White'a, było dostępne także dla Hughesa, a Platt mógł się bawić wszystkim, co miał Hughes. Znajomość ściśle tajnych kodów naprawdę się przydawała. Platt mógł grasować po zasobach facetów, którzy zbudowali komputery Net Force, którzy odpowiadali za konfiguracje sprzętu i oprogramowanie, więc wiedzieli, gdzie ukryte są wszystkie tylne drzwi.

Facet, którego wynajęłaś, żeby wybudował ci zamek, będzie znał wszystkie tajne przejścia, bo przecież sam je robił.

Platt przypatrywał się, jak agent Net Force opuszcza się na pomarańczowy dach ciężarówki

Wong Electronics, jadącej autostradą. Facet zrzucił tę swoją raketę, otworzył tylne drzwi i wślizgnął się do środka.

To była świetna zabawa, prawie taka, jak czytanie cudzych myśli. Ten mały żółtek z raketowym plecakiem nie ma pojęcia, z kim ma do czynienia. Czeka go solidny kopniak w dupę; Platt z rozkoszą mu go wymierzy.

Śmigłowiec zszedł na niższy pułap.

Kiedy znalazł się nad ciężarówką na wysokości może dwudziestu metrów, otworzył okno śmigłowca i wychylił się, trzymając dziesięciokilogramowy ciężarek. Wymierzył dokładnie i wypuścił go z ręki.

Żelastwo uderzyło w kabinę ciężarówki. Kierowca gwałtownie zjechał na pas obok, z całej siły wcisnął hamulec i zatrzymał się z piskiem opon. Nikomu nic się nie stało, ale mały Jay najadł się pewnie strachu.

Platt zwiększył wysokość i odleciał. Zamierzał być daleko, kiedy Jay-Jay się pozbiera.

Nie ma co, świetna zabawa.

20

Piątek, 31 grudnia 2010 roku, godzina 16.00

Quantico, Wirginia

To Jay Gridley był posłańcem, przynoszącym złe wieści. Alexander Michaels cieszył się, że przez cały tydzień nie było żadnych przecieków ściśle tajnych informacji do sieci. Miał właśnie jechać do domu i w spokoju wypić parę piw. Zamierzał już spać, kiedy nadejdzie północ, a z nią rok 2011, z jego radościami i troskami. Ale kiedy szykował się do wyjścia z biura nieco wcześniej, żeby nie wpaść w popołudniowe korki, przyszedł Jay, ściskając w ręku kilka komputerowych wydruków.

- Sądzę, że powinien pan rzucić na to okiem, szefie.

- Coś pilnego? Nie może poczekać do poniedziałku?

- Raczej nie.

- Dlaczego mi się wydaje, że twój ton nie wróży nic dobrego?

Jay podał mu wydruki. Michaels spojrział na pierwszą kartkę i zaczął czytać na głos:

- Bestialscy Suwereni Ameryki! Wiedźcie, wy Bestie, że wasze dni są policzone. Wiedźcie, Ciężarze Ludu, że liczbą Bestii jest 666 i liczba ta szybko się zbliża. My, Reprezentanci Ludu, my, Frihedsakse, obalimy was, Łupieżców Ziemi, Mistrzów Tyranii.

Michaels uniósł wzrok znad wydruku i spojrział na Jaya. - *Fried Socks?* * *Freed Sex?* *

- No, niezupełnie. Nasz uniwersalny translator mówi, że to po duńsku. Znaczy tyle, co Oś Wolności.

- Po duńsku? Nigdy nie słyszałem o żadnych duńskich terrorystach! Dania to spokojny, cywilizowany kraj, gdzie możesz pozwolić własnej babci chodzić nocą na spacer bez obawy, że ktoś ją napadnie.

- Jasne. Nie zostanie napadnięta, ale może się poślizgnąć i zamarznąć i będą Lody Babuni - odparł Jay.

Michaels tylko pokręcił głową i wrócił do czytania:

- Bo złe są uczynki wasze, a tyle ich, co gwiazd na niebie, więc ujawnimy wszystkim wasze zepsucie. Niech wszyscy zobaczą, jacy jesteście źli i niech ostrze waszych grzesznych uczynków obróci się przeciwko wam, bo Potęga Wiedzy jest Światłem, przed którym drżą Wszystkie Demony i Potęga Wiedzy jest dana Ludowi.

- Bracie - powiedział Michaels, patrząc na Jaya. - Dlaczego nie odłożyłeś tego na stertę z pismami od innych wariatów, którzy biorą na siebie odpowiedzialność za te przecieki?

- Czytaj dalej, McDuffie* .

- Nie zdołacie się ukryć przed Światłem Sprawiedliwości ani uciec przed Karą Ludu i nie uchroni was Forteca, bo jesteście znieawidzeni przez Lud.

- Ta część wygląda z kolei na nieco swobodną interpretację Machiavellego - powiedział Jay.

- Przeciwno wam Lud rzuci Wszystko, co potrzebne, żeby was Pokonać. Koniec jest Bliski. Przygotujcie się na Sąd Ostateczny.

Tekst był podpisany „Frihedsakse”.

Michaels znów spojrział na Jaya.

- Następna strona - ponaglił Gridley.

Na następnej kartce widniała kolumna liczb.

- O ile wiemy, są to terminy wszystkich większych przecieków, w sprawie których prowadzimy śledztwo. Jest też kilka, które uszły naszej uwagi. Sprawdziliśmy i natknęliśmy się na mnóstwo różnych informacji, wprowadzonych do sieci w podanych terminach. Musieliśmy skorzystać z Super Craya, ale opłaciło się. Znaleźliśmy listę nowych posiadaczy kart American Express z zeszłego miesiąca, z nazwiskami i numerami. Natrafiliśmy na kody wszystkich sterowanych komputerowo sygnalizatorów kolejowych i nastawni na linii Waszyngton-Baltimore. Zdolny haker mógłby to wykorzystać do zmienienia kilku pociągów w dymiącą stertę poskręcane żelastwa, zanim ktokolwiek zorientowałby się, co się dzieje. Powiadomiliśmy American Express i Amtrak.

- Jezu.

- Szefie, jest zupełnie nieprawdopodobne, żeby ktoś postronny miał dostęp do takich informacji; sami je wpuścili do sieci, czy co?

Michaels spojrział na ostatnią pozycję w kolumnie:

12/31/10 - 11.59.59

- To dziś w nocy? 31 grudnia, jedna sekunda przed północą?

- Zgadza się. Jeśli to ci faceci, to kolejny przeciek zaplanowali na nadejście Nowego Roku. Nie sądzę, żeby to był przepis na grzane wino.

- O kurwa - wyszeptał Michaels.

- Słyszałem to, szefie.

- Jest jakiś sposób, żeby to prześledzić?

- Jasne. Już to zrobiliśmy. Zamieszczone w publicznym BBS-ie* z automatu telefonicznego na Grand Central Terminal w Nowym Jorku dziś o 15.15. Żadnego podpisu, żadnego identyfikatora, na telefonie żadnych resztek DNA z wtyczki modemu, żadnych odcisków palców. Automatów telefonicznych jest tam sześć, obok kawiarni. Sprawdziliśmy - między 15.00 a 15.20 z tych sześciu telefonów przeprowadzono trzydzieści siedem rozmów. Szukaj wiatru w polu.

- Lepiej powiedz swoim ludziom, że nie będą się bawić dziś w nocy.

- To już załatwione - powiedział Jay. - Skanujemy wszystkie duże podsieci, do których mamy dostęp, uruchomiliśmy wszystkie systemy przeszukujące sieć, wypuściliśmy roboty internetowe*, powiadomiliśmy wszystkich wielkich usługodawców komercyjnych, żeby przechwytywali wszystko,

co nadejdzie między 23.55 a 00.05. Pewnie dostaniemy mdłości od czytania „Szczęśliwego Nowego Roku!”, ale jeśli nasz człowiek umieści coś w którymś z dużych BBS-ów, czy węzłów, powinniśmy to dostać prawie natychmiast.

- Dobra robota, Jay - powiedział Michaels. - Chyba zostanę w biurze.
- Szczęśliwego Nowego Roku, szefie.
- A, tak, dziękuję.

II

SEKRETY UJAWNIONE

21

Sobota, 1 stycznia 2011 roku, godzina 0.03

Marietta, Georgia

Platt siedział w kuchni w swoim domu, który odziedziczył po matce. Ustawił laptopa na drewnianym stole przy lodówce. Pociągnął kolejny spory łyk burbona Southern Comfort z colą i z lodem i zachichotał. Namierzenie jego najnowszego przecieku zajęło tym patałachom z Net Force aż cztery minuty. Sądził, że uporają się z tym szybciej, biorąc pod uwagę, że wiedzieli dokładnie, o której się to stanie i tak dalej, ale cóż, w porządku, trzeba im okazać trochę wyrozumiałości; w końcu mieli do przeczesania wielki obszar. Dołączył do elektronicznej wiadomości „kapusia”* i umieścił całość w forum dyskusyjnym „Homoseksualni Tekszańczycy” na serwerze komercyjnego usługodawcy World OnLine (WOL).

Lubił tam zaglądać od czasu do czasu, żeby się zabawić gnębieniem pedałów w rzeczywistości wirtualnej. Miał wspinałego wirusa, konia trojańskiego, którego mógł zagnieździć w wiadomościach, przesyłanych e-mailem. Był to naprawdę doskonały program do zabawy z ciotami. Delikwent zaglądał do swojej skrzynki e-mailowej, czytał parę linijek bardzo zmysłowego tekstu i łup! wirus zarażał jego komputer. Jeśli taki ktoś nie miał zainstalowanej najnowszej wersji

oprogramowania antywirusowego, w ciągu dwóch dni tracił całą zawartość swego twardego dysku.

Dobrze im tak, pedałam.

Pociągnął kolejny łyk ze szklaneczki i znów się roześmiał. Przypomniawszy sobie, jak w rzeczywistości wirtualnej Jay Gridley wyskakiwał z ciężarówki, zastanawiając się, po jaką cholere nagle zahamowała na środku autostrady. Zanim się zorientował, co zaszło, było już za późno.

Korzystając z bezprzewodowego modemu, wysłał sygnał do serwera pocztowego, skąd został skierowany do małego, prostego komputerka, który Platt zainstalował w wynajętym pokoju w San Diego w Kalifornii. Komputer służył tylko do obsługi e-maila i był zaprogramowany tak, że zalogował się do WOL i przesłał wiadomość Platta dokładnie o 11.59.59 czasu Wschodniego Wybrzeża. Wkrótce potem odezwał się „kapuś”, przesyłając potwierdzenie odbioru do komputerka w San Diego, który przekierował je na przekaźnik i do laptopa Platta. Następnie komputer skasował zawartość swego twardego dysku i pamięci operacyjnej oraz pamięci modemu; wymazał wszystko naprawdę do czysta, tak, żeby nikt nigdy nie potrafił odtworzyć skasowanych informacji, po czym się wyłączył. Pewnie za godzinę, może dwie, agenci federalni kopniakiem wyważą drzwi do pokoju w San Diego, ale to już nie miało znaczenia. Stracą trochę czasu na szukanie, a tamten komputer na nic im się nie przyda. Nie znajdą niczego, co wskazywałoby na Platta, który siedział sobie pięć tysięcy kilometrów dalej, w Georgii i ryczał ze śmiechu.

Uniósł szklaneczkę, zadzwonił kostkami lodu i wygłosił toast: - Wasze zdrowie, dupki z Net Force. Szczęśliwego Nowego Roku, kurwa!

Dwoma wielkimi haustami wypił resztę ciemnobrązowego drinka, odstawił szklaneczkę na stół i wyłączył laptopa. Tym razem przeciek nie był spektakularny: lista wszystkich pacjentów z chorobami wenerycznymi, zgłoszonych do Centrum Sanitarno-Epidemiologicznego w Atlancie w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Prawo nakazywało zgłaszanie różnych rzeczy władzom stanowym, a niektóre informacje trafiały do Centrów Sanitarno-Epidemiologicznych. Na liście było trochę zaskakujących nazwisk: politycy, aktorzy i aktorki, paru rekinów wielkiej finansjery, a nawet kilka osobistości zagranicznych, w tym dwóch czarnuchów. Nie miało to praktycznie żadnej wartości taktycznej, ale paru facetów spoci się jak wszyscy diabli, próbując wyjaśnić żonom, jak to się stało, że właśnie leczyli się na syfa. Chodziło przede wszystkim o to, żeby zagrać na nosie tym z Net Force i pokazać, że tamten manifest, wysmażony przez Hughesa, był prawdziwy.

Chłodną noc Georgii wciąż rozjaśniały fajerwerki. Dochodziły też odgłosy strzałów.

- O, tak, chłopcy, dobrze się bawimy, co?

Sobota, 1 stycznia 2011 roku, godzina 1.00

Waszyngton, Dystrykt Columbia

Hughes siedział na łóżku, czytając najnowszą biografię Vidkuna Quislinga. Quisling, norweski oficer, którego nazwisko stało się później synonimem słowa „zdrajca”, pod koniec lat trzydziestych XX wieku założył w swoim kraju partię narodowosocjalistyczną, Nasjonal Samling. Partia nie zdziałała wiele, ale potem Niemcy rozpoczęły wojnę i po jakimś czasie najechały Norwegię. Jako minister wojny, Quisling próbował utworzyć rząd, który Niemcy obalili bardzo szybko, ale ponieważ był domorosłym narodowym socjalistą, który kiedyś spotkał się z Hitlerem, naziści widzieli w nim swojego człowieka. Quisling stał się kolaborantem, i ostatecznie obciążono go odpowiedzialnością za wysłanie setek Żydów do obozów zagłady, a także za próbę przekształcenia szkół i Kościołów w organizacje proniemieckie.

Jedną z pierwszych rzeczy, które Norwedzy zrobili po wyzwoleniu, było aresztowanie znaczniejszych kolaborantów. Szybko ich osądzono i równie szybko wykonano wyroki śmierci.

Quisling zajmował pierwsze miejsce na tej liście.

Autor biografii był przekonany, że to przez politykę Quislinga Niemcy przegrały wojnę. Gdyby Quisling nie próbował tak usilnie „znazyfikować” kraju, norweski ruch oporu byłby znacznie słabszy. Norwedzy byli na tyle sprytni, żeby przewidzieć, jak potoczą się losy wojny. Gdyby w ich kraju sytuacja nie była zła, pewnie postanowiliby przeczekać nawałnicę, ale polityka Quislinga potężnie ich wkurzyła.

Ich ruch oporu nigdy nie był czymś więcej niż drobnym cierniem w cielsku nazizmu, ale Norwedzy dokonali jednak wielu aktów sabotażu w obiektach przemysłowych. Najślynniejszy był atak na fabrykę ciężkiej wody w Rjukan. Autor biografii zakładał, że gdyby Niemcy mogli przyspieszyć swe eksperymenty atomowe, prawdopodobnie skonstruowałiby bombę atomową, zanim uczyniły to Stany Zjednoczone, i że taka broń przechyliłaby szalę zwycięstwa na ich stronę. Wystarczyłoby trochę rakiet V-2 z głowicami atomowymi, wystrzelonych z okrętów podwodnych na miasta amerykańskie.

Założenie wydawało się racjonalne. Potężny, dymiący krater w środku Nowego Jorku czy Waszyngtonu z pewnością dałby Amerykanom do myślenia.

Niemcom zabrakło jednak czasu. To Amerykanie zbudowali bomby atomowe, które wykończyły Japonię; nowa broń nie była nawet potrzebna do rozprawy z Niemcami.

Hughes uważał, że teoria o kluczowej roli Quislinga w przegraniu wojny przez Niemcy jest trochę naciągana; niemniej autor poruszył istotny aspekt historii: o klęsce może zadecydować drobiazg. Jeden człowiek, we właściwym miejscu i we właściwym czasie, może wpłynąć na losy całego świata. W literaturze fantastyczno-naukowej dość często pojawiał się taki wątek. Co by było, gdyby ktoś cofnął się w czasie i zgładził Hitlera jako małego chłopca? Albo gdyby jakiś fanatyczny chrześcijanin wybrał się w podróż w czasie i uratował Jezusa od śmierci na krzyżu? Albo jakiś niezdarny paleontolog cofnął się w czasie i przypadkiem zabił pierwszego protoplastę gatunku ludzkiego?

To, że dziś motyl pomacha skrzydłami w Kansas, przyczyni się do jutrzejszego tornado na Florydzie. Ta z kolei teoria głosiła, że wszystko jest ze sobą powiązane.

Hughes uśmiechnął się. Zagał róg i zamknął biografię. Zgasił światło, ułożył się na ortopedycznej poduszce z pianki i wpatrzył się w ciemność.

Quisling prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy, że wpływa na bieg historii. Na pewno nie chciał, żeby zapamiętano go jako zdrajcę. Ale przeciętni ludzie nie byli panami swego losu, a tym bardziej nie decydowali o tym, za kogo zostaną uznani po latach. W końcu historię piszą zwycięzcy.

Historia...

Hughes uwielbiał historię francuskiego profesora anatomii Josepha-Ignace Guillotina. *Le Docteur Guillotin*, człowiek łagodnego usposobienia był deputowanym francuskiego Zgromadzenia Narodowego. Jego główną ambicją polityczną zdawało się być sprawienie, żeby egzekucje nie były tak bolesne. Był świadkiem paru nieudolnie przeprowadzonych ścięć, kiedy katu pociły się dłonie albo kiedy przychodził na egzekucję pijany i musiał ciąć kilka razy w kark krzyczącej ofiary, zanim zdołał pozbawić ją głowy. Dla tak cywilizowanego narodu jak Francuzi było to barbarzyństwem. Anglicy posiadali mechaniczne urządzenia z ostrzami, służące do egzekucji, nazywane Szkołą Dziewicą. Ta prągotyna została po raz pierwszy użyta w 1561 roku na polecenie hrabiego Mortona, regenta szkockiego. Doktor dopomógł więc w uchwaleniu ustawy, nakazującej przeprowadzanie egzekucji za pomocą maszyny, która działałaby niezawodnie i w sposób bardziej humanitarny dla skazanych, ten sam dla biednych i dla bogatych. Być może inspiracją do tego typu inicjatywy poselskiej były skargi ze strony kata Charlesa-Henriego Sansona, który w marcu 1792 roku wystąpił z memorandum, w którym wyjaśniał, dlaczego potrzebne mu nowe urządzenie. Klinga jego miecza, dowodził, wymaga ciągłego ostrzenia, ponieważ tępiła się przy każdej ściętej głowie. Sanson posiadał tylko dwa miecze i często zdarzały się przypadki nieudanych egzekucji. Opisując swój model dekapitacyjnego mechanizmu, sympatyczny doktor zapewniał zgromadzonych posłów, że „...ostrze opada niczym błyskawica, odlatuje głowa, tryska krew, człowiek przestaje istnieć”.

Trudno przypuszczać, żeby *Le Docteur* chciał się zapisać na kartach historii jako odpowiedzialny za powstanie urządzenia do obcinania głów, zwanego pierwotnie *La Louissette*. Z całą pewnością nie chciał, żeby ta maszyna do zabijania, w której zaprojektowaniu w ogóle nie uczestniczył, została wkrótce nazwana, od jego nazwiska, gilotyną.

Cóż za wspaniała spuścizna dla potomków. Nazwisko, budzące odrazę, jakież to cudowne. I co za ironia losu, biorąc pod uwagę dobre chęci doktora Guillotina.

Ale ludzie pokroju Quislinga i Guillotina nie mieli wielkich wizji i nie byli obdarzeni taką inteligencją jak Hughes. Za kilka dni wybierał się do Gwinei Bissau na spotkanie z szefem tamtejszych władz, żeby ubić interes, który zapisze się w historii jako jeden z najśmielszych i najsprytniejszych spisków wszechczasów. Jeśli historię piszą zwycięzcy, to on, Hughes z pewnością będzie pisał swoją. Nie wątpił w to ani przez chwilę.

Sobota, 1 stycznia 2011 roku, godzina 7.00

Waszyngton, Dystrykt Columbia

Czekając w kuchni, aż zaparzy się kawa, Toni trzymała w obu rękach *krisa* w pochwie. Zgodnie z tradycją, adepci *silat* nie powinni się posługiwać „używanym” *krisem*. Jeśli się nie wiedziało, kto posiadał go przedtem albo do jakich celów go używał, można było odziedziczyć złe *hantu*; złe ostrze z jego *karmą* i przelaną krwią mogło połączyć nowego właściciela ze zmarłymi. Ale ponieważ ten *kris* pochodził z rodziny guru, jego reputacja z pewnością była bez skazy.

Może naprawdę miał w sobie dość magii, żeby pomóc jej z Alexem. Idąc spać, kładła *krisa* w drewnianej pochwie na nocnym stoliku, bacząc, by ostrze nie było skierowane w stronę jej głowy. Była gotowa spróbować wszystkiego, co tylko mogło pomóc...

Nawet jeśli w tej chwili była na niego wkurzona. Nie trwało długo, zanim dotarły do niej opowieści o jego drobnej przygodzie na pustyni podczas akcji przeciw terrorystom. Oczywiście, on jej o tym nie powiedział, ale też nie potrafiło długo, zanim się zorientował, co ona wie. Był dyrektorem Net Force, a nie zwykłym żołnierzem! Jak mógł narażać się na takie ryzyko?

Toni uśmiechnęła się, gdy ekspres do kawy wybrał właśnie ten moment, żeby zabalgotać, jakby się z niej naśmiewał.

Delikatnie odłożyła *krisa* na czystą ścierkę do naczyń na kuchennym blacie i wyjęła z szafki filiżankę. Cóż, życie nigdy nie jest nudne.

Sobota, 1 stycznia 2011 roku, godzina 7.00

Oro, Kalifornia

Joan Winthrop stała w ciepłym wiosennym słońcu, czekając na pociąg. Była ubrana w długą suknię w żółte wzory, czepek, a w rękę trzymała skórzany sakwojaż. Był rok 1916. Stała na dworcu kolejowym w Oro w północnej Kalifornii. Rosnące wokół sosny i olszyny wypuściły zielone pędy, obwieszczając powrót Kory ze świata zmarłych.

Jako mała dziewczynka Joan była zafascynowana mitem, opowiadającym, jak Hades, władca Świata Zmarłych porwał piękną Korę i jak jej matka Demeter, bogini urodzaju, przybita żalem odwróciła się od ludzkości, sprowadzając okrutną zimę, podczas której nie mogły rosnąć żadne rośliny.

Joan zawsze współczuła kobietom, które popadły w tarapaty przez swą urodę.

Zgodnie z mitologią, po roku klęski zimna Zeus interweniował wreszcie, wysyłając Hermesa, by poprosił władcę Świata Zmarłych o zwrócenie wolności Korze. Władca Świata Zmarłych nie był z tego zadowolony, bo na swój brutalny sposób kochał kobietę, którą porwał. Ale nie ryzykowało się pochopnie gniewu Zeusa, jeśli ktoś w ogóle śmiał podjąć takie ryzyko, więc na prośbę Zeusa Kora

została uwolniona. Radość Demeter była tak wielka, że zakwitły kwiaty, wyrosła trawa i przysła wiosna. Niestety, jej córka skosztowała pestek granatu podczas pobytu w Świecie Zmarłych - w takich historiach zawsze był jakiś haczyk - więc musiała tam powracać na część każdego roku. I za każdym razem żal Demeter, spowodowany utratą córki, sprowadzał na Ziemię zimę...

Cudowna, pobudzająca wyobraźnię opowieść, tłumacząca pory roku. Można by wprawdzie pomyśleć, że po paru tysiącach lat Demeter powinna przestać tak rozpaczać. Cóż, widocznie dla bogów czas biegnie inaczej.

Szkoda, że ona nie mogła poprosić Zeusa, by pomógł jej w odnalezieniu hakera, który posłużył się jej komputerem. Przydałaby się taka pomoc. Facet pozostawił ślady, ale bardzo niewyraźne, a w dodatku pełne pułapek. Zaczynała być naprawdę wkurzona. Miała nadzieję, że kiedy już odnajdzie faceta i przekaże go FBI, będzie miała okazję przynajmniej raz kopnąć go w jądra, zanim agenci go wyprowadzą. To, że ktoś wykorzystał jej rzekomo bezpieczny komputer do aktu sabotażu było dla niej, łagodnie mówiąc, żenujące.

Już to, że uważano ją za piękność, bardzo ją denerwowało. Ale gdyby w dodatku okazało się, że jest niekompetentna w swoim zawodzie...

Lokomotywa zbliżającego się do stacji pociągu zagwizdała dwukrotnie. W tym scenariuszu na peronie czekało niewielu pasażerów i żaden z nich nie zwracał na Joan uwagi. Lubiła te czasy; pozwalały jej nosić stroje, całkowicie ukrywające figurę i zasłaniające prawie całą twarz. Ludzie byli dla siebie uprzejmi w roku 1916, tuż przed przystąpieniem Ameryki do wielkiej wojny, a życie toczyło się bez pośpiechu.

Lokomotywa wjechała na stację, ciągnąc szesnaście wagonów. Buchała kłębami pary, a jej wielkie koła zapiszczały, kiedy pociąg stawał.

Cóż, obojętne, ile pułapek zastawił ten palant, Joan wiedziała, że i tak go dopadnie...

22

Poniedziałek, 3 stycznia 2011 roku, godzina 8.02

Quantico, Wirginia

Alex Michaels odchylił się na krześle, żałując, że nie jest w tej chwili gdzie indziej. Obojętne gdzie, byle nie musieć tu siedzieć i słuchać jednego z ludzi White'a, dudniącego w słuchawkę.

- Rozumie pan, chyba, nasz problem, prawda, dyrektorze?

O, tak, oczywiście, że rozumiał i to jak. Skwitował to krótkim chrząknięciem.

Senatorowie mieli jeszcze święta, ale ich pracownicy odwalali w tym czasie kawał roboty, korzystając z nieobecności szefów. Robili prawdopodobnie więcej niż zwykle, bo nikt nie włąził im w drogę. Prawda była taka, że Waszyngtonem rządził personel wielkich ludzi. Bez nich większość kongresmanów i senatorów nie miałaby pojęcia, co się naprawdę dzieje. Michaels zachodził w głowę, jak niektórym z najbardziej wpływowych ludzi w kraju w ogóle udało się wygrać wybory. Niektórych z tych kłownów trzeba było chyba prowadzić za rękę do łazienki i uczyć, jak rozpiąć rozporek.

- Więc mogę pana wpisać na posiedzenie komisji?

Michaels zastanawiał się przez chwilę. A gdyby powiedział, że nie? To by była draka. Musieliby go oficjalnie wezwać. Czy straż Net Force zdecydowałaby się nie wpuścić urzędnika federalnego z takim wezwaniem, gdyby Michaels o to poprosił? Prawdopodobnie, ale przecież kiedyś musiałyby wyjść z centrali. A szanowny senator narobiłby mnóstwo szumu wokół jego odmowy dobrowolnego stawienia się przed komisją. Czy dyrektor Net Force ma coś do ukrycia? Uczciwy człowiek nie będzie się bał paru pytań, czyż nie tak?

- Z przyjemnością porozmawiam z komisją senatora.

- Dziękuję panu. O ósmej rano w poniedziałek, dziesiątego. Prześlę potwierdzenie e-mailem.

- Zapowiada się kolejny maraton, co, Ron? Przynajmniej tydzień?

- Nie, sir. Senator wybiera się na wycieczkę - to znaczy, z misją humanitarną - do Etiopii. Odlatuje dwunastego, więc do wtorku musimy tę sprawę zakończyć.

Aha, czyli że w najgorszym wypadku będzie odpowiadał na pytania członków komisji przez dwa dni, nawet gdyby nie wezwano nikogo więcej. A najprawdopodobniej wezwą, więc on, Michaels nie będzie jedynym kozłem ofiarnym. Komisja White'a zawsze miała więcej ofiar, które usiłowała przyszpilić. Co za idiota.

Michaels odłożył słuchawkę. Czuł się zmęczony. Jakże chętnie wzięłby wolny dzień, wybrałby się na długą przejażdżkę na rowerze, rozkoszował zimnym, świeżym powietrzem poranka, pedałowując z zapalą. Albo może, skoro już zaczął marzyć, spędzić tydzień na Tahiti? Poleżeć na plaży, zatankować tyle słońca, ile przepuści ochronny olejek, pić koktajle z mleczka kokosowego, soku tropikalnych owoców i rumu. Słuchać szumu fal. Cóż za wspaniała perspektywa.

Uśmiechnął się. Miał mnóstwo roboty, tyle że nie uporałby się z nią, pracując przez miesiąc po dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale w miarę, jak spraw przybywało, miał coraz mniej ochoty zabrać się za nie. Czy była to normalna, ludzka reakcja, czy może jego wrodzona przekora? Jak pokusa wydawania pieniędzy, kiedy się jest zupełnym bankrutem?

Cóż, wiedziałeś przecież, że to niebezpieczna posada, kiedy ją przyjmowałeś, prawda?

Zgadza się.

Poniedziałek, 3 stycznia 2011 roku, godzina 11.15

Quantico, Wirginia

Pułkownik John Howard siedział na kozetce doktora Kyle'a w klinice bazy, przyglądając się, jak starszy pan wertuje komputerowe wydruki.

Kyle pokręcił głową. - Nie wiem, co ci powiedzieć, John. Prześwietlenia, EEG, EKG, MRI*, MEG* - wszystko w porządku. Twoje ciśnienie krwi odpowiada normie dla mężczyzn o połowę młodszych od ciebie, masz absolutnie prawidłowe odruchy, w żadnym ciemnym zakamarku nie rośnie nic, czego byśmy nie chcieli. Nie masz AIDS, żółtaczkę, raka prostaty, czy opryszczki. Niski poziom cholesterolu, enzymy wątrobowe w porządku, hormony w normie - cały twój obraz krwi jest absolutnie prawidłowy, może z wyjątkiem nieco zwiększonej liczby ciałek białych, co mogłoby wskazywać na jakąś infekcję wirusową. Ale równie dobrze mogli się pomylić w laboratorium, bo odstępstwo od normy jest minimalne. Jesteś najzdrowszym człowiekiem, jakiego widziałem od miesiąca.

- No to dlaczego jestem ciągle zmęczony?

Pułkownik Kyle miał sześćdziesiątkę. Howard był jego pacjentem od wielu lat. Doktor uśmiechnął się. - Cóż, nikt z nas nie robi się młodszy. Mężczyzna w twoim wieku musi sobie uświadomić, że nie będzie w nieskończoność dorównywał kondycją rekrutom.

- W moim wieku? Jezu, przecież ja wcale nie wyglądam na swoje lata!

Kule roześmiał się. - Daj spokój, kiedy się przekroczy czterdziestkę, trzeba się liczyć z koniecznością zwolnienia trochę tempa. Pewnie, właściwa dieta i ćwiczenia mogą zwolnić proces starzenia się, i to znacznie, ale masz już za sobą czasy, kiedy mogłeś balować całą noc - wiesz, wino, kobiety i śpiew - a rano chwytać plecak i biegać z nim przez cały dzień. To, co stanowiło lekką rozgrzewkę, kiedy byłeś rekrutem, oznacza przetrenowanie dla pułkownika w takim wieku, że mógłby być ojcem tamtego zucha.

- Więc mówisz, że powinienem trochę zwolnić?

- Nie „powinieneś”. Zwolnisz, czy ci się to podoba, czy nie, bo taka już jest natura organizmu ludzkiego. Jesteś w lepszej formie niż większość dwudziestolatków, z którymi mam tu do czynienia, bez dwóch zdań. Ale pozostaje faktem, że dwudziestolatek u szczytu formy biega szybciej, szybciej się regeneruje i ma więcej energii niż czterdziestolatek w doskonałej formie. Nie mówię, że masz zaparkować tyłek w bujanym fotelu, głośno mlaskać i czekać na starcze zniedołężnienie, ale musisz

zdać sobie sprawę z realiów. Jeśli trenujesz na siłowni cztery razy w tygodniu, to ogranicz się do dwóch razy. Jeśli biegasz piętnaście kilometrów dziennie, to zacznij biegać siedem. Więcej dbaj o rozgrzewkę, pamiętaj o ćwiczeniach na rozciąganie mięśni, zarówno przed większym wysiłkiem, jak i potem, daj sobie więcej czasu na regenerację. Nie dysponujesz już takimi rezerwami, jak kiedyś. Stary samolot można dość długo utrzymywać w doskonałym stanie, ale prędzej czy później wystąpi zmęczenie metalu, bez względu na to, ile razy przeprowadzisz remont kapitalny silnika czy układu hydraulicznego.

Howard wpatrywał się niego. W końcu doktor nie ogłaszał mu przecież wyroku śmierci...

Nieprawda, właśnie że ogłaszał. Dokładnie to. Przypominał mu, że trzeba kiedyś umrzeć i że czasu zostało już mniej niż kiedyś.

No tak, tego mi jeszcze było trzeba. Howard westchnął. - W porządku. Dziękuję, doktorze.

- Nie przejmuj się tak bardzo, chłopcze. Całkiem prawdopodobne, że zostało ci jeszcze parę dobrych lat. Mam ci wypisać receptę na suszone śliwki i Geritol?

Styczniowe niebo było bezchmurne, a powietrze zimne. Howard ruszył do biura, zastanawiając się nad tym, co powiedział mu Kyle. W porządku, ograniczy trochę ćwiczenia i przekona się, na ile to pomoże. Jeśli doktor miał rację, to powinien się poczuć lepiej.

Oczywiście, będzie się też czuł gorzej, wiedząc, że to nie jakaś zwykła bolączka, którą można szybko wyleczyć. Nikt nie wynalazł dotąd lekarstwa na starzenie się. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że i jego czas nie omija. Dotąd zawsze mu się wydawało, że nawet po dziewięćdziesiątce będzie wyglądał i czuł się tak samo jak wtedy, kiedy miał dwadzieścia, czy trzydzieści lat, nie licząc tych paru zmarszczek.

Może rzeczywiście coś przemawiało za tym, żeby zginąć w walce, zanim czas zmąci umysł i spojrzenie? Przynajmniej się człowiek nie męczył.

Poniedziałek, 3 stycznia 2011 roku, godzina 11.15

Waszyngton, Dystrykt Columbia

Dla Tyrone'a życie właśnie się skończyło.

Stał w sklepie CardioSports, między monitorami akcji serca a kolekcją stoperów w gablocie, spoglądając przez okno na centrum handlowe. On sam był nieźle zamaskowany, mając za sobą wieszak z kombinezonami narciarskimi, ale za to doskonale widział, co działo się przy restauracyjnych stolikach po drugiej stronie promenady. Widział Bellę, która siedziała przy jednym ze stolików.

Siedziała z kimś.

Belladonna Wright była w towarzystwie Jeffersona Bensona, siedziała przy białym owalnym stoliku naprzeciw niego, trzymała jego dłonie w swoich i uśmiechała się do niego.

Uśmiechała się do niego.

O Boże!

Poczuł, że robi mu się niedobrze, że zaraz zwymiotuje. Jakby ktoś uderzył go w spłot słoneczny tak mocno, że aż zaparło mu dech. Czuł jednocześnie ból i bezbrzeżną, bezsensowną wściekłość. Chciał krzyknąć, podbiec do stolika, przy którym siedziała Bella, walić Jeffersona pięściami po twarzy, skopać go tak, żeby połamać mu wszystkie kości. A potem splunąć na niego.

Natomiast ani przez chwilę nie chciał spojrzeć Belladonnie Wright w tę jej zakłamaną twarz.

Miał tego dnia lekcje po południu, tak jak ona, więc spytał ją, czy nie wybiera się do centrum. Mogliby się spotkać, zjeść coś i razem pójść do szkoły.

Nie, odpowiedziała. Nie dzisiaj. Ma jeszcze coś do załatwienia, więc nie wybiera się do centrum. Spotka się z nim po szkole.

Nie ma sprawy.

No i co? No i była tu jednak. Siedziała z Bensonem, trzymała te jego pieprzone łapska i uśmiechała się do niego.

Tyrone stał, udając, że ogląda stopery, niezdolny do oderwania wzroku od Belli. Czuł się jak na filmie, kiedy trafi się akurat jakaś głupia scena, tak głupia, że samo patrzenie na nią wprawia w zakłopotanie i człowiek chciałby odwrócić wzrok, ale nie może, ogląda mimo wszystko. Nie chciał tu być. Nie chciał wiedzieć, że Bella go okłamała. Nie chciał patrzeć, jak trzyma się za ręce z Bensonem. Ale nie mógł się ruszyć, nie potrafił odwrócić głowy. Musiał patrzeć, chociaż czuł się przy tym, jakby miał w żołądku coś żywego, coś z kłami i pazurami, próbującego wydostać się na zewnątrz.

Nic by nie wiedział, gdyby nie wszedł do tego sklepu sportowego, szukając prezentu urodzinowego dla ojca. Nigdy by nie pomyślał, że Bella będzie w centrum. Powiedziała, że nie przyjdzie i nigdy by nie podejrzewał, że może być inaczej. Naprawdę.

Okłamała go.

Stał tak i patrzył. Bella i Benson wstali. Podeszli do siebie. Benson się pochylił.

Tyrone chciał krzyknąć, bić się pięściami po głowie.

Nic gorszego nie był w stanie sobie wyobrazić. Benson ją pocałował.

Nie, jednak było coś gorszego - Bella oddała pocałunek. Tyrone widział, jak poruszają się ich usta i wiedział, że to namiętny pocałunek. Benson objął ją ręką od tyłu, położył jej łapę prosto na tyłku. Przyciągnął do siebie.

Bella na to pozwoliła.

To trwało całą wieczność. Miliony lat.

Wreszcie skończyli. Benson odwrócił się i poszedł w jedną stronę, a Bella w drugą.

Tyrone stał jak słup soli, jak stary spatynowany posąg z brązu, niezdolny choćby mrugnąć. Czuł się, jak wtedy na Florydzie, podczas skoku ze spadochronem. To niesamowite spadanie. Żołądek, podchodzący do gardła. Zewnętrzna powłoka miał sparaliżowaną, chociaż wnętrzności skręcały mu się, jak kłębowisko węży.

Co powinien zrobić? Dogonić ją, rzucić prawdę w twarz? Powiedzieć, że przypadkiem tędy przechodził? Zobaczyć, jak zareaguje? Okłamałaby go jeszcze raz?

Czy naprawdę chciał to wiedzieć?

Rety! Chciał umrzeć. Teraz, zaraz. Wylecieć w powietrze z błyskiem i hukem, nie żyć i nie musieć tego wiedzieć, nie musieć o tym myśleć, nie musieć się tym zajmować.

Bella go zdradziła. Tak, właśnie tak. Nie ma co owijać tego w bawełnę. Potrafiłaby może jakoś wytłumaczyć swoją obecność w centrum, może nawet wyjaśnić, że spotkała Bensa przypadkiem, ale w żaden sposób nie da rady wytłumaczyć tej ostatniej części. Pocałunku. Ręki na tyłku.

Nienawidził w tej chwili Jeffersona Bensa tak bardzo, że zabiłby go, gdyby znalazł sposób, jak to zrobić i nie dać się złapać. Może nawet gdyby wiedział, że go złapią. Ale to nie Benson był problemem. Tyrone zdawał sobie z tego sprawę. To ona, Bella. Najbardziej bolało go, że Bella pozwoliła się tamtemu pocałować. Że chciała, by ją pocałował. Że sprawiło jej to przyjemność.

Pożądała kogoś innego. Zamiast Tyrone'a.

I to było najgorsze.

Co dalej?

Jak z tym żyć?

W tej chwili nie widział wyjścia. Żadnego.

Poniedziałek, 3 stycznia 2011 roku, godzina 12.10

Quantico, Wirginia

Julio Fernandez stał na zimnie na linii startowej toru przeszkód, obok drążków do podciągania. Poranna zmiana była już po treningu, popołudniowa miała przyjść dopiero po lunchu. Teraz, w południe, na torze było paru cywilów z FBI i trochę starych wojaków, próbujących zachować kondycję. Ale przy drążkach oprócz Julio nie było w tej chwili nikogo.

Poświęcił pięć minut na rozgrzewkę, machając ramionami i kręcąc szyją. Gdyby tego nie zrobił, prawdopodobnie nadwerzęłoby trapezy*, a chodzenie ze sztywnym karkiem przez następny tydzień jakoś go nie pociągało, zwłaszcza że i tak już utykał.

Były tu cztery stanowiska, a na każdym trzy siedemdziesięciocentymetrowe drążki z twardego drewna, osadzone na różnych wysokościach w grubych drewnianych słupach. Najniższy drążek znajdował się na wysokości około dwóch metrów pięćdziesięciu centymetrów nad posypaną trocinami ziemią, środkowy był trzydzieści centymetrów wyżej, a najwyższy trzydzieści centymetrów nad środkowym. Zwykle bez najmniejszego trudu podskakiwał tak wysoko, żeby chwycić najwyższy drążek, ale teraz noga dokuczała mu bardziej niż się do tego przyznawał. Dopóki ból trochę nie ustąpi, nie ma mowy o pogranu w koszykówkę. Albo o podskakiwaniu, żeby chwycić najwyższy drążek. Ale ze środkowym nie powinno być żadnych problemów. Podskoczył więc i złapał mocno, z nachwytu. Odstęp między dłońmi był o jakieś dwadzieścia centymetrów większy niż szerokość ramion. Wysokość, na jakiej znajdował się drążek w zasadzie nie miała znaczenia, bo podciągając się pod brodę, podciągał też wyprostowane w kolanach nogi, żeby przy okazji popracować nad mięśniami brzucha. Trochę podobnie, jak na zawodach gimnastycznych, chociaż pewnie nie dostałby tam zbyt wielu punktów za styl. Palce nóg miał nie dość obciążone.

Ustawił nogi pod kątem prostym do tułowia - wystarczyło, żeby rana dała o sobie znać - i zaczął się podciągać w umiarkowanym tempie pod brodę i w tym samym tempie opuszczać się do całkowitego zwisu. Żaden inny sposób nie zapewniał wystarczającego obciążenia skrzydełek*.

Raz... dwa... trzy... cztery... Złapał rytm.

Robienie tego z podciągniętymi nogami, wyprostowanymi w kolanach, było trudniejsze, ale przecież o to właśnie chodziło. Nie próbował sprawdzić ile razy zdoła się podciągnąć, nie oszukiwał i za każdym razem opadał do całkowitego zwisu. Mięśnie miały pracować.

...pięć... sześć... siedem... osiem...

Niektórzy faceci niepoprawnie chwyтали drążek, obejmując go także kciukami, zamiast puścić

je pod drążkiem i zacisnąć na pozostałych palcach. A niektórzy korzystali z opasek na nadgarstki, wychodząc z założenia, że dłonie i mięśnie przedramion zmęczą się, zanim skrzydełka zostaną dostatecznie obciążone, a przecież to o te ostatnie chodziło przede wszystkim w tym ćwiczeniu.

...dziewięć... dziesięć... jedenaście...

Fernandez uważał, że nie ma sensu trenowanie mięśni grzbietu do tego stopnia, że ramiona nie będą nadażały. Po co komu skrzydełka jak u supermana, jeśli nie można z nich skorzystać z powodu niedostatecznej siły w rękach.

...dwanaście.

Opuścił nogi i zeskoczył na ziemię. Był teraz całkiem nieźle rozgrzany. Potrząsnął rękami, rozprostował palce, kilka razy zakręcił ramionami, po czym odwrócił ręce wewnętrzną stroną dłoni do siebie i złapał drążek z podchwytu, tym razem nie rozsuwając dłoni dalej niż na szerokość ramion.

Raz... dwa... trzy... cztery...

Pierwsze zaczęły piec bicepsy, ale zaraz dołączyły do nich przedramiona.

...pięć... sześć... siedem... osiem...

Zaczynało być coraz trudniej. Oddychał głęboko, pełną piersią.

...dziewięć.

No, dalej, Julio. Przecież dasz radę!

...dziesięć...

Opuścił się, wisiał przez chwilę na drążku, zeskoczył.

- Myślałam, że już nie dasz rady - rozległ się za nim kobiecy głos.

Odwrócił się. Joan Winthrop.

Wyszczerzył zęby. - Ja też. Oczywiście, gdybym wiedział, że mnie obserwujesz, podciągnąłbym się jeszcze parę razy. Nie chcę, żebyś myślała, że jestem mięczakiem.

Była w butach do biegania i w granatowym dresie, z logo Net Force na bluzie z kapturem.

- Raczej bym tak nie pomyślała. Dwanaście podciągnięć z nachwytu i dziesięć z podchwytu, no, no... Kiedy mam dobry dzień, potrafię zrobić sześć, ale jednych albo drugich.

- Nie chciałbym, żebyś wpadła w kompleksy, więc może damy sobie spokój z podciąganiem się na jednej ręce?

Roześmiała się. - Dzięki.

- Co cię tu sprowadza?

- Za dużo siedzę przy komputerze. Co jakiś czas muszę wyjść i pobiegać, żeby mi się rozjaśniło w głowie.

- To rozumiem.

- Jak noga?

- Mam odpowiedzieć jak *macho*, czy wolisz prawdę?

- Och, jedno i drugie, proszę.

- No więc najpierw wersja *macha*, żaden problem. Rana od takiej małej kulki to drobiazg dla prawdziwego mężczyzny. Do diabła, gorzej się kiedyś uszkodziłem, zakładając skarpetki. Właśnie zamierzałem pobiegać na torze przeszkód. Potem chyba zrobię jeszcze parę rund dookoła budynku, a kiedy skończę, rozejrzę się, może da się pograć w futbol.

- Rozumiem. A prawda?

- Ta cholerna noga boli, sztywnieje, a gdybym spróbował pobiegać na torze, w połowie drogi do pierwszej przeszkody upadłbym, klnąc jak szewc i wijąc się z bólu.

Znów się roześmiała. Lubił jej śmiech i lubił ją rozśmieszać. Odprężała się wtedy, a jej twarz łagodniała, traciła ten trochę nieprzystępny wyraz.

- Julio, co by sobie pomyśleli współcześni jaskiniowcy, słysząc, że się przyznajesz do czegoś takiego?

- Mam nadzieję, że dochowasz tajemnicy - powiedział, starając się przybrać możliwie poważny wyraz twarzy. - Gdyby się dowiedzieli, okrzyknęliby mnie mazgajem i wykluczyli z Towarzystwa Prawdziwych Mężczyzn.

- Będę milczeć jak grób.

Uśmiechnęli się do siebie. - Więc chcesz pobiegać?

- Po to tu przyszłam.

- Masz coś przeciw, żebym pokuśtykał za tobą i popatrzył?

- Jakoś to zniosę.

Zrobiła parę skłonów. On oparł się o jeden ze słupków i patrzył.

Poniedziałek, 3 stycznia 2011 roku, godzina 12.15

Quantico, Wirginia

Alex Michaels był trochę spóźniony. Kiedy wszedł na salę gimnastyczną, Toni, przebrana i już po rozgrzewce, ćwiczyła *sempok* i *depok*, opadając do siadu i podrywając się energicznie z powrotem do pozycji stojącej.

- Przepraszam - zawołał, ruszając do szatni. - Zatrzymał mnie telefon.

- Nic się nie stało.

Po chwili był z powrotem, przebrany w czarne bawełniane spodnie, wiązane sznurkiem w pasie, czarny podkoszulek i białą przepaskę na głowie. Założył też buty, jakie noszą zapaśnicy. Na macie nie powinno się ćwiczyć w obuwiu, które mogło zostawiać ślady.

Wymienili ukłony i Toni poleciła my ćwiczyć *djuru*. Poznał na razie tylko pierwsze, ale od razu się zorientowała, że musiał ćwiczyć w domu. Jeszcze miesiąc, może dwa, i będzie gotów do drugiego *djuru*. Szybko mu szło. Ona czekała cztery miesiące, zanim guru pokazała jej *djuru* numer dwa.

Po kwadransie dała mu znać, żeby przestał. Zdążył się już nieźle spocić. Koszulkę miał wilgotną, a przepaskę na głowie wręcz mokrą. Podeszła pod ścianę, gdzie położyła swój złożony zakiet, schyliła się i wyciągnęła spod ubrania pochwę z *krisem*.

Wróciła do Alexa i pokazała mu sztylet.

- Spójrz na to.

Uniósł brwi. - To indonezyjska broń?

- Tak. Nazywa się *kris*. Moja guru mi go podarowała, kiedy byłam w domu na Boże Narodzenie. Należał do jej pradziadka. Był w jej rodzinie od ponad dwustu lat. - Podała mu sztylet.

Wyciągnął go z drewnianej pochwy i spojrzał na ostrze. - Piękny. Jak osiągnięto taki kolor i taką fakturę?

- Kształt nazywa się *dapor*. To *kris luk*, faliste ostrze. Liczba fal jest zawsze nieparzysta. Są również proste *krisy*. Klingę robi się z kilku różnych rodzajów stali, przekuwanych w jedną całość. Potem trawi się ją za pomocą soku z cytryny i arszeniku, przyciemniając powierzchnię i wydobywając ten charakterystyczny wzór, zwany *pamor*. *Dapor* i *pamor* mają wielkie znaczenie, podobnie jak to, kto wykonał klingę i w jaki sposób.

- Strażnicy nic nie mówili, kiedy tu z tym przyszedłeś?

- Powiedziała im, że to przycisk do papierów. Dotknij klingi.

- Niezbyt ostra - powiedział, przejeżdżając kciukiem.

- To dlatego, że zadaje się nim przede wszystkim pchnięcia. *Krisa* nie używa się do prac kuchennych, a jedynie do walki z wrogiem albo z dzikim zwierzęciem. To w znacznej mierze broń paradna, chociaż w rękach kogoś, kto wie, co robi, z pewnością może zabijać. Przed długie lata dokonywano nią egzekucji.

Zważył *krisa* w rękę. - Ciekawe. Jest bardzo cenny?

- Jeśli myślisz o pieniądzach, to pewnie jest wart kilka tysięcy dolarów. Ale jego prawdziwa wartość, to zupełnie co innego. Wielu Indonezyjczyków uważa *krisy* za swego rodzaju element wyposażenia świątyni. Płatnerze, którzy je robią, nazywają się *Empu*. W zależności od zastosowanej metody i życzeń klienta, *kris* nabiera w procesie kucia pewnej... magii. Wiele tradycyjnych *krisów* zostało zaprojektowanych tak, żeby przynosić szczęście, na wojnie, w miłości, w interesach.

- A ten tutaj?

Wzruszyła ramionami. - Jeszcze nie jestem pewna. Moc magiczna najwyraźniej zmienia się trochę za każdym razem, kiedy *kris* przechodzi w inne ręce. - Miała nadzieję, że w jej przypadku to szczęście w miłości.

- Ale nie będziesz mnie nim dźgać, co?

Uśmiechnęła się. - I narazić się strażnikom? Nie, sądzę, że do treningu użyjemy drewnianej atrapy. Ale chciałam ci go pokazać.

Wsunął sztylet z powrotem do pochwy i podał Toni. - Dziękuję, że mi go pokazałaś.

Wzięła *krisa*, podeszła z powrotem do miejsca, w którym odłożyła żakiet i zawięła broń z powrotem.

Po chwili znów stanęła przed Alexem. - No, dobrze, popracujmy trochę nad zastosowaniem tego *djuru*. Wyprowadź cios, mierząc prosto tutaj. - Dotknęła palcem czubka nosa.

Zrobił krok do przodu i wyprowadził delikatny prawy prosty. Bez najmniejszego wysiłku wykonała podwójny blok. - To nie było uderzenie! I masz się chwycić lewą ręką za prawe przedramię. Szybkość prawie na tym nie cierpi, a pamiętaj, że ta ręka - uniosła prawą pięść - nigdy nie idzie do bitwy bez tej. - Chwyciła się lewą dłonią za prawe przedramię. - Tak, jak w *djuru*.

- Mogę o coś spytać?

- Jasne.

- Dlaczego?

- Ponieważ *silat* jest oparty na zasadach strukturalnych, a nie na brutalnej sile. Musisz mieć podstawę, kąt oraz dźwignię i musisz się posłużyć właściwą techniką, żeby je sobie zapewnić. Spójrz na nas. Jesteś wyższy i silniejszy ode mnie, i gdybyś uderzył naprawdę mocno, mogłabym nie dać rady odparować ciosu, korzystając z samej siły mięśni. Ale jeśli założę blok w ten sposób i odpowiednio skręcę biodra, zdobywam mechaniczną przewagę. Pamiętaj, *silat* ma ci służyć w potrzebie, nawet jeśli napastnik będzie wyższy, silniejszy, szybszy, prawdopodobnie uzbrojony, jeśli będzie ich czterech albo pięciu. I mogą być wyszkoleni równie dobrze, jak ty. Samą siłą możesz pokonać faceta twoich rozmiarów albo mniejszego, ale w ten sposób nic nie wskórasz, jeśli przeciwników będzie trzech czy czterech, w dodatku wyższych i silniejszych od ciebie.

- I szybszych - dodał oschłym tonem. - I równie dobrze wyszkolonych.

Roześmiała się. - Tak. Ale szybkość, siła, a nawet umiejętności nie są nawet w przybliżeniu tak ważne, jak wyczucie odpowiedniej chwili. Spytaj mnie, co jest najważniejsze w komedii.

- Słucham?

- No, spytaj.

- W porządku, co jest najważniejsze w...

- Wyczucie odpowiedniej chwili! - powiedziała, nie dając mu dokończyć.

Uśmiechnął się. - Rozumiem.

- Zrozumiesz, zrozumiesz. Doskonałość osiąga się przez ćwiczenia. No, to jeszcze raz. Uderzaj.

Wyprowadził prawy prosty, tym razem mocniej, pamiętając o chwyceniu przedramienia lewą ręką.

Zablokowała i zademonstrowała kontrę. - Tak się to robi - powiedziała. - Jeszcze raz.

Dobrze szło. Może ten *kris* rzeczywiście przynosił szczęście w miłości? Ależ by to było cudownie.

Bombaj, Indie

Jay Gridley wszedł do maleńkiej trafiki przy dźwiękach dzwonka, zawieszono na framudze drzwi. Dzwonek odezwał się ponownie, kiedy drzwi zamknęły się z dość głośnym trzaskiem. Trafika znajdowała się niedaleko Government House, przy jednej z zawilgoconych uliczek, wychodzących na zatokę Back. Były późne lata dziewięćdziesiąte dziewiętnastego stulecia i *British Raj** miał się jeszcze doskonale. Bombaj był, oczywiście, indyjski, ale brytyjska flaga potężnie łopotała nad tym miastem, podobnie jak nad całym krajem.

Rule Britannia.

Trafika była mroczna i pełna błękitnego, wonnego dymu. Człowiek za kontuarem miał ciemną skórę - tubylec, ubrany w białą koszulę i letni garnitur. W nieruchomym powietrzu wisiał ciężki, słodkawy zapach tytoniu z jego fajki. Pyknął z masywnej, rzeźbionej brujerki, powiększając i tak obfitą chmurę dymu.

Na kontuarze obok wielkiego słoja, pełnego tanich cygar, drewnianego pudełeczka z zapalnikami i metalowej tacy z drzazgami z cedrowego drewna leżał „London Times” sprzed miesiąca.

Jay miał na sobie lniany garnitur i beżowy kapelusz. Skinął głową sprzedawcy. - Nie macie innych gazet? - Machnął dłonią w stronę „Timesa”.

- Mamy, sir, na zapleczu, obok humidora* - powiedział sprzedawca z charakterystycznym akcentem Hindusa, który nauczył się angielskiego dopiero jako dorosły. Kiedy mówił, z ust wydobywał mu się dym.

Jay dotknął palcami runda kapelusza i podszedł do półek na lewo od kontuaru, obok zamkniętych szklanych drzwi, prowadzących do humidora. Spojrzał na gazety. „The Strand”, „New York Times” i coś z Hongkongu, po chińsku. Nie tego szukał... Chwileczkę, jest. „The Delhi Ledger”, skromna gazetka, wydawana po angielsku i kupowana głównie przez stęsknionych za krajem i królem Brytyjczyków w Indiach. A może za krajem i królową? Na pewno, to musiała być Wiktoria, ten okres nazywano przecież wiktoriańskim i tak dalej. Pomyślał, że jego wiedza o historii brytyjskiej ma jednak pewne luki.

Przerzucając strony gazety, pobrudził sobie palce farbą drukarską. Cóż, przynajmniej scenariusz był finezyjny.

Znalazł to, czego szukał. Artykuł, poświęcony Duńczykom, przebywającym z wizytą w Indiach, zawierał nazwę, na której Jayowi zależało: Frihedsakse.

Kiedyś Jay pomyślałby może, że znalezienie czegoś o Danii w indyjskiej sieci informacyjnej jest dość dziwne, ale teraz wcale się nie zdziwił. Informacje były jak kurz, ulatywały z wiatrem na wszystkie strony, pojawiając się w miejscach, w których nikt by ich nie podejrzewał. Logicznym miejscem rozpoczęcia poszukiwań informacji o duńskiej organizacji terrorystycznej była Dania albo

przynajmniej kraje skandynawskie i, oczywiście, Jay przeczesał tamte sieci, korzystając z najlepszych systemów i robotów internetowych, jakimi dysponowała Net Force, ale bez rezultatów. Rozszerzył więc zakres poszukiwań i oto miał pierwsze trafienie. Czas uciekał - od tygodnia brakowało jakichkolwiek konkretnych śladów - i chociaż w sieci panował spokój, nikt nie dałby gwarancji, że tak będzie zawsze.

Podszedł z gazetą do kontuaru, zapłacił i wyszedł z trafiki. Było pochmurne indyjskie popołudnie. Jaka to pora roku? Sezon monsunowy? Na stare lata robił się niedbały. Kiedyś taki szczególnie z pewnością nie uszedłby jego uwagi podczas przygotowywania scenariusza, nawet gdyby Jayowi bardzo się śpieszyło. No, cóż, czasy się zmieniły. Dopracowany scenariusz wciąż był ważny, ale bardziej liczyło się wykonanie zadania.

Wtorek, 11 stycznia 2011 roku, godzina 10.15

Blacktown, Nowa Południowa Walia, Australia

Jay przebrał się z lnianego garnituru, odpowiedniego dla tropików, w strój khaki z firmy Abercrombie&Fitch, składający się z szortów i koszuli z krótkimi rękawami, solidnych butów i kapelusza, jaki nosi się w australijskim buszu. Następnym etapem jego wędrówki była niewielka biblioteka w Blacktown na północny zachód od Sydney. Był tu sam środek upalnego lata, a biblioteka nie była klimatyzowana, mimo że ten scenariusz Jay osadził we współczesności.

Niezła odmiana, jak na parę minut pracy. - W czym mogę panu pomóc? - spytała bibliotekarka. Jay uwielbiał australijski akcent. Regularnie używał go do swych drugoplanowych postaci.

- Szukam tego czasopisma. - Położył kartkę na biurku bibliotekarki. Założyła okulary i spojrzała na nią.

- A, tak. W dziale magazynów, za kioskiem z płytami, po lewej stronie, gdzieś tak w połowie rzędu regałów.

- Dziękuję pani.

- Pan jest Amerykaninem, prawda?

- Tak, proszę pani.

- Miło mi pana poznać.

Jay uśmiechnął się, dotknął róna kapelusza i ruszył w stronę regałów z magazynami. Szukanie w taki sposób trwało zapewne trochę dłużej niż gdyby zrezygnował z rzeczywistości wirtualnej, ale czy miał sobie dlatego odmówić przyjemności?

Wtorek, 11 stycznia 2011 roku, godzina 10.30

Rangun, Birma

Jay znalazł wzmiankę o Frihedsakse w małej sieci informacyjnej, z której korzystało znane towarzystwo żeglugowe. Niewiele, tylko niepotwierdzone pogłoski, związane z zatonięciem tankowca. Cóż, wielkie lawiny powstają czasem z małych kul śniegowych. Zapisał znalezione informacje i ruszył dalej.

Wtorek, 11 stycznia 2011 roku, godzina 10.40

Johannesburg, Afryka Południowa

Na posterunku policji w Boksburgu odbywała się rewizja człowieka, aresztowanego za kradzież samochodu. W portfelu aresztowanego nie było nic oprócz wizytówki, na odwrocie której ktoś napisał ręcznie Frihedsakse. Obok tego słowa dopisany był jeszcze staromodny numer dostawcy usług internetowych. Numer prawdopodobnie był już od dawna nieaktualny, ale to nie miało znaczenia. Jeśli w ogóle był kiedyś czynny, istniały sposoby, żeby dowiedzieć się szczegółów.

Z daty wynikało, że te informacje znajdowały się w policyjnym systemie komputerowym od pięciu miesięcy. Zdjęcie wizytówki było opatrzone datą i godziną, na dowód dostarczenia go do akt, znajdujących się w Johannesburgu.

Jay skopiował zdjęcie wizytówki. Uśmiechnął się. Ci terroryści nie mieli pojęcia, z kim zadarli. Polował na nich sam Jay Gridley, człowiek, który pokonał tamtego szalonego czeczeńskiego programistę. Byli bez szans.

Wtorek, 11 stycznia 2011 roku, godzina 10.50

Kobe, Japonia

Ktoś włamał się do gospodarstwa hodowlanego w Kobe i ukradł... skrzynkę piwa, którym pojono tam bydło. Wezwani policjanci nie natrafili na żadne ślady, z wyjątkiem słowa Frihedsakse, nabazgranego w *kanji** na ścianie, koło dziesięciu skrzynek piwa, których nie ruszono.

Jay zapisał to sobie.

I tak było cały czas, tu jeden strzęp informacji, tam drugi. Niekiedy tak właśnie wyglądała praca z komputerowym sitem. Przesiewało się powoli, ale bardzo dokładnie. Jeśli robiło się to właściwie, zdarzało się uzyskanie wielu fragmentarycznych informacji, z których żadna nic nie znaczyła sama w sobie, ale ich zestawienie mogło do czegoś doprowadzić. Jay zbierał swoje okruchy. Zamierzał ułożyć je w rządki, kiedy już będzie ich miał wystarczająco dużo. I uzyskać odpowiedzi na niektóre pytania. A potem?

Cóż, zobaczymy. Dobiorę się do was, chłopcy...

Wtorek, 11 stycznia 2011 roku, godzina 11.15

Miami Beach, Floryda

Platt szedł wolnym krokiem jedną z turystycznych uliczek nad kanałem, ciesząc się piękną pogodą. Ludzie dookoła byli ubrani we wszystkie kolory tęczy. Widział też kilka jaskrawych barw, które nigdzie w naturze nie występują. Starzy, młodzi, biali, czarni, miejscowi i obcy. W Miami Beach zawsze się coś działo. Na północy, w Waszyngtonie, czy Nowym Jorku mogły szaleć śnieżyce, ale tu, w Krainie Grzechu praktycznie wciąż było lato.

Pewnie, życie jest cudowne, jeśli można w dowolnej chwili udać się tam, gdzie szorty i koszulka są odpowiednim strojem w środku zimy.

Platt włączył się bez celu, absorbował słońce i ciepło, korzystając z paru wolnych chwil. Niedługo będzie musiał wrócić do hotelu i zalogować się do sieci.

Popatrzył na czarnoskórą dziewczynę w króciutkiej bluzeczce i szortach; kiedy go minęła, uśmiechnął się na widok jej jędrnego tyłeczka. Fajna babka.

Obok, śmiejąc się, przejechał na łyżworolkach wysoki mężczyzna w fioletowym dresie. Rozrzucał dookoła ćwierćdolarówki; grupka dzieciaków biegła za nim, zbierając monety.

Przechodząc obok jednej z wystaw sklepowych, Platt minął dwie starsze panie, obie w zielono-różowych szortach i bluzkach, obie ze spaloną słońcem, pomarszczoną skórą koloru przypalonej grzanki i silikonowymi piersiami, które u obu były jedyną jędrną częścią ciała. Babcie musiały mieć po siedemdziesiąt, może osiemdziesiąt lat, ale chirurg plastyczny tak naprężył im skórę na twarzach, że silikonowe cycki podskakiwały za każdym razem, kiedy któraś z nich się uśmiechnęła.

Gdyby jakaś wielka katastrofa zniszczyła prawie cały dorobek cywilizacji, to później, może za tysiąc lat, jakiś naukowiec, badający stare cmentarze, mógłby się podrapać w głowę, nie mając pojęcia, dlaczego w tylu trumnach oprócz garstki kości znajdują się dwa woreczki z żelatyną.

Silikonowe cycki nie rajcowały Platta. Nieważne, jakie są wielkie, jeśli nie są prawdziwe. Do cholery, gdyby chciał się czymś takim pobawić, równie dobrze mógłby pójść do najbliższego sklepu z artykułami budowlanymi i kupić sobie parę puszek uszczelnacza do armatury. W domu wrzuciłby to do miski, uformował dwa wielkie cycki, poczekał, aż wyschną... Paskudztwo.

Platt uśmiechnął się do siebie. Zdawał sobie sprawę, że gapi się na ludzi, bo nie chce mu się wracać do roboty. Westchnął. Cóż, jak trzeba, to trzeba.

Nie miał złudzeń co do swojej sprawności w sieci. Był niezły, ale daleko mu było do prawdziwych ekspertów. W rzeczywistości wirtualnej nie miał szans w bezpośredniej konfrontacji z zawodnikami z Net Force. Rzecz jednak w tym, że najlepszy zawodnik, który grał uczciwie, musiał przegrać z facetem, który może nie był tak dobry, ale za to nie wahał się oszukiwać. A w dodatku te palanty z Net Force były takie pewne siebie; Plattowi bardzo ułatwiało to robotę.

Kiedyś, jeszcze jako młody człowiek, wkrótce po tym, kiedy opuścił dom rodzinny, Platt spotkał starego Jamesa Treemore'a Vaughna. Wołali na niego Jimmy T. Dobiegał już chyba do siedemdziesiątki, miał siwe włosy i wygląd miłego, budzącego zaufanie dziadka. Sprawiał wrażenie faceta, któremu można powierzyć żonę, dzieci, pieniądze. Ale Jimmy T. był oszustem. Zajmował się drobiazgami, kiedy Platt go spotkał, ale w swych najlepszych czasach uczestniczył w wielu oszustwach na dużą skalę. Miał z tego wielkie pieniądze, ale też przepuścił je co do grosza i na starość był goły jak święty turecki. Ale wiedział o ludziach więcej niż cała armia psychiatrów, dziwek i barmanów razem wziętych. Potrafił podejść swą ofiarę, oskubać ją i wyprawić w drogę przekonaną, że Jimmy T. zrobił jej wielką przysługę.

Jimmy T. miał słabość do dobrej whisky. Siedzieli kiedyś w barze w Kansas City, knajpa nazywała się „U Wielkiego Billa Barlowa”. To właśnie tam stary oszust udzielił Plattowi nieocenionej lekcji.

- Rzecz w tym, chłopcze, że jeśli odpowiednio podejdziesz do sprawy, jeleń wykona za ciebie prawie całą robotę. Pewnie, możesz sobie upatrzeć gościa, zbajerować go, orznąć i prysnąć, ale kiedy się zorientuje, że został zrobiony w konia, prędzej czy później zacznie drzeć mordę. Dobre oszustwo przyniesie ci forszę. Genialne oszustwo przyniesie forszę, a ofiara nie będzie sobie zdawać sprawy, że została oszukana.

Platt był zafascynowany. - Naprawdę? - Skinął na barmana, który podszedł i napełnił Jimmiemu T. szklaneczkę.

- Widzisz, wszędzie dookoła jest pełno facetów, którzy są szybsi, bystrzejsi, silniejsi i podlejsi od ciebie. Jeśli wlezie ci w drogę jakiś wielki drab, nie próbuj go zatrzymać siłą. Skieruj go raczej odrobinę w bok. Popchnij lekko i zejdz mu z drogi. Sztuka polega na tym, żeby tamten był przekonany, że cały czas chciał iść właśnie w tę stronę. Jeśli będziesz to potrafił, nikogo nie musisz się już obawiać.

W słońcu było przyjemnie ciepło. Platt znów się uśmiechnął. Stary Jimmy T. już dawno nie żył. Ile to będzie? Pięć lat? Sześć? Ale Platt nigdy nie zapomniał tamtej lekcji.

Faceci z Net Force szukali terrorystów, bo to ich najbardziej się obawiali. No więc Platt z Hughesem podrzucili im paru terrorystów. A sztuka polegała na tym, żeby pochować drobne wskazówki tu i tam, pochować je na tyle dobrze, żeby psy gończe Net Force, kiedy już zaczną węszyć, miały kłopoty ze znalezieniem tych zajaczków w ich ukrytych norkach. Jeśli się szuka czegoś, o czym się wie na pewno, że gdzieś jest i nie może się tego znaleźć, cóż, szuka się wtedy jeszcze intensywniej.

Cała ta duńska bzdura była pomysłem Hughesa, ale zupełnie niezłym pomysłem. Platt rozpoczął podrzucanie wskazówek o Frihedsakse przed pięcioma czy sześcioma miesiącami, więc niektóre mogły teraz wytrzymać każdą próbę. Ci z Net Force mogli sobie sprawdzać te informacje na wszelkie możliwe sposoby, a i tak musieli w końcu dojść do wniosku, że są autentyczne, a przynajmniej na tyle autentyczne, że z pewnością znajdowały się w czyichś bazach danych na kilka miesięcy przed pojawieniem się manifestu.

Część wskazówek miała dopiero zostać podrzucona, ale kiedy to nastąpi, zostaną antydatowane, żeby się wydawało, że zostały wprowadzone do baz całe miesiące albo i lata temu. Kiedy już dotrą do nich te palanty z Net Force, będą mieli za sobą sprawdzanie wcześniej podrzuconych wskazówek, które uznają za autentyczne. Wmówią więc sobie, że i to, co znaleźli później, też jest w porządku. Pewnie nawet nie będą sprawdzać, a jeśli już, to pobieżnie, bo przecież znajdują to, czego od dawna szukali i w co zdążyli już uwierzyć.

Jeśli coś wygląda jak królik, pachnie jak królik i skacze jak królik, to, do diabła, musi to być królik, prawda?

Jeśli się da facetowi sakiewkę, a on wsadzi do niej łapę i, nie patrząc, wyciągnie osiem czy dziesięć monet, które bez wyjątku okażą się wybite ze szczerego, 24-karatowego złota, to gość musi uwierzyć, że wszystkie pozostałe monety też są prawdziwe. Uzna, że przecież nikt nie mógł przewidzieć, które monety wyciągnie z sakiewki, zrobił to na chybił trafił, więc nie może być mowy o żadnej manipulacji.

Taki facet kompletnie zapominałby o iluzjonistach, których kiedyś widział, nie pamiętałby, że są mistrzowie sztuczek karcianych, którzy potrafią potasować talię, pozwolić mu wyciągnąć jakąś kartę - zupełnie dowolną - wiedząc, która to będzie karta, jeszcze zanim jeleń zdąży jej dotknąć.

Ręka nie musi być szybsza niż oko - jeśli oko nie wie, na co patrzeć.

Sztuka polegała na tym, jak mówił Jimmy T., żeby nie przesadzić. Ustaw faceta w odpowiednim kierunku i zejdź mu z drogi. Im będzie sprytniejszy, tym szybciej sam się zrobi w konia. O ile zrobisz wszystko jak należy.

Ludzie z Net Force szli obiecującym śladem duńskiego ugrupowania terrorystycznego. Platt wiedział o tym, ponieważ kilka bardzo drogich i praktycznie niewykrywalnych programów powiadomiło go, że federalni zaczęli wreszcie odnajdywać wskazówki, które dla nich zostawił. Wskazówki pochowane wystarczająco dobrze, żeby się napracowali podczas ich szukania i wystarczająco tajemnicze, żeby nie przestawali łamać sobie głowy.

Byli nieufni. Większość ludzi uważa, że jeśli coś jest za darmo, to nie jest nic warte. Ale jeśli muszą brnąć przez moczary, opędzając się od moskitów i wreszcie znajdą coś w zmurszałym pniu trzeciego cyprysa od lewej, to przecież, do diabła, po to tu w końcu przyszli, prawda?

Nieprawda. Ale oni o tym nie wiedzieli.

Kiedy ogary zwęszyły zapach zwierzyny, kiedy miały już pewność, że są na właściwym tropie, Platt mógł im pokazać zająca. Kiedy zwierzątko rzuci się do ucieczki, popędzą za nim. Ale nigdy go nie złapią, ponieważ nie był prawdziwy. Był zjawą, duchem, złudą.

Cóż to będzie za przyjemność, patrzeć, jak się za nim uganiają.

Musiał oczywiście dopilnować, żeby psy nie straciły zainteresowania tą zwierzyną. Dziś po południu zamierzał więc podsycić ich zainteresowanie. Dać im naprawdę dobry powód do kontynuowania łowów...

25

Środa, 12 stycznia 2011 roku, godzina 18.15

Waszyngton, Dystrykt Columbia

Tyrone Howard nie chciał już żyć.

Leżał na swoim łóżku, gapiąc się w sufit, niezdolny do zrzucenia z siebie ciężaru, jaki włożyła mu na barki Bella. W myślach powtarzał w kółko ich ostatnią rozmowę i zawsze wychodziło na to samo. Tu nie było miejsca na interpretację. Trzeba było spojrzeć prawdzie w oczy - rzuciła go i kropka.

Zobaczył się z nią w szkole. Zachowywała się jak zwykle i choć powtarzał sobie, że nic nie powie, w końcu nie wytrzymał i wyrzucił to z siebie, jakby ktoś uderzył go w żołądek i ten cios wypchnął mu z gardła te wszystkie słowa.

- No i co, spotkałaś ostatnio kogoś interesującego w centrum?

Musiał przyznać, że nie była głupia i nie próbowała udawać, że nie wie, o co mu chodzi. Na środku korytarza, przy wejściu do jego klasy, bez ogródek powiedziała mu, co myśli.

- Może i spotkałam? Co ci do tego?

Łup! Jeszcze jeden cios w żołądek. - Co mi do tego? Jezu, Bella, myślałem, że my... że ty i ja... to znaczy, że my jesteśmy...

- Czym? Małżeństwem? Uwaga, Tyrone, nie jesteśmy małżeństwem. Lubię cię, jesteś bystry, ale mam też innych przyjaciół, kapujesz? I spotykam się z nimi kiedy zechcę i gdzie zechcę. Masz z tym jakiś problem?

Był zbyt zaszokowany, żeby odpowiedzieć. Może gdyby miał trochę czasu, żeby pomyśleć, zastanowić się nad tym, co powiedziała, wpadłby na coś, ale nie dysponował tym czasem. - Tak, dla mnie to rzeczywiście jest problem.

Spiorunowała go wzrokiem, jakby ją spoliczkował. - O? Naprawdę? Cóż, to moja gra i moje reguły. Chcesz grać, to się ich trzymaj.

I wtedy już nie zdzierzył. - Nie sędzę - wycedził.

Tym razem naprawdę jej dopiekl. Przez chwilę myślał, że dziewczyna splunie mu w twarz. A potem powiedziała: - Wiesz co, spływaj. Po prostu zgub mój numer, dobrze? Nie mam czasu trzymać cię za rączkę, chłopczyku.

Odwróciła się i odeszła. Jego świat nagle poszarzał. Nie słyszał kolegów dookoła, nic nie widział, nic nie czuł - oprócz skurczów żołądka. Jakby spadał z dachu bardzo wysokiego budynku. A ziemia zbliżała się w zastraszającym tempie...

Leżąc na łóżku, raz po raz odtwarzał w myślach tę scenę, szukał jakiegoś punktu zaczepienia, słowa, mogącego mieć podwójne znaczenie, które jemu umknęło, magicznego słowa. Kiedy na nie wpadnie, wszystko się odwróci, cała tamta rozmowa będzie znaczyć coś zupełnie innego. Ale nie mógł go znaleźć, tego magicznego słowa. Po prostu go nie było.

- Nic ci nie jest, synu?

Tyrone spojrzał w stronę drzwi. Stał tam jego ojciec.

- Mama martwi się o ciebie. Jest coś, w czym moglibyśmy pomóc?

Najchętniej zbyłby ojca jak najszybciej. „Nie, nic. Nic mi nie jest, to tylko zmęczenie, żaden problem”. Ale był tak załamany, że nawet nie chciało mu się kłamać. - Bella i ja... Zerwaliśmy ze sobą - powiedział. Ojciec wszedł do pokoju. Oparł się o ścianę obok komputera Tyrone'a. - Zakładam, że to nie był twój pomysł?

- Nie, nie mój.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- Nie, wolałbym nie. - Ale zaraz, tak jak wtedy z Bellą, jakaś siła zaczęła z niego wyrzucać słowa. Opowiedział ojcu o wszystkim. O tym, jak ją zobaczył w centrum, jak całowała się z tamtym palantem, o spotkaniu na korytarzu w szkole. Słowa wylewały się z niego jak jakaś kwaśno-gorzka

ciecz.

John Howard słuchał słów syna, współczuł mu, cierpiał razem z nim. Gdyby mógł stanąć między swym dzieckiem a światem, osłaniając je przed wszystkim co boli, zrobiłby to natychmiast, ale wiedział, że tak nie można. Są rzeczy, przez które trzeba przejść samemu. Czasem trzeba znieść ból. Jeśli człowiek ma być zahartowany, musi przejść przez ogień, rozpalić się do czerwoności, zanurzyć w zimnej wodzie i znów rozpalić. Ale jakże trudno było patrzeć na cierpienie własnego dziecka. Trudniej, niż mógłby to sobie wyobrazić.

Chłopiec znalazł się w ślepej uliczce. Zawładnął nim potężny żal, wypełniał mu cały świat. Tyrone nie widział żadnej drogi wyjścia.

Pułkownik wiedział, że żadne słowa pociechy nie zagoją tej rany. Lekarstwem na złamane serce może być tylko czas. Tyrone wcale nie chciał w tej chwili usłyszeć, że kiedyś dramatyczny koniec jego pierwszej, szczenięcej miłości będzie tylko wyblakłym wspomnieniem, maleńką blizną na duszy. Przeżyjesz, otrząśniesz się. Była to prawda, ale w tej chwili nie stanowiłaby żadnej pociechy. Tyle że Howard nie miał nic innego do zaoferowania.

Westchnął ciężko. - Kiedy miałem szesnaście lat zakochałem się - rozpoczął. - W dziewczynie z mojej klasy, Lizbeth Toland. Wszystkie wolne chwile spędzaliśmy razem. Podarowałem jej mój sygnet z gimnazjum. Chodziliśmy ze sobą, tak się to wtedy nazywało. Rozmawialiśmy o pójściu razem do koledżu, o małżeństwie, dzieciach. To była całkiem poważna sprawa.

Tyrone patrzył na ojca w milczeniu.

- Trudno ci wyobrazić mnie sobie z jakąś inną kobietą, a nie z mamą, prawda?

Tyrone skinął głową. - Tak. - Zaraz potem zdał sobie chyba sprawę, że nie zabrzmiało to najlepiej, bo powiedział: - To znaczy, nie... chciałem powiedzieć, że... Właściwie, to nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

- Nie ma sprawy. Przez bardzo długi czas myślałem, że moi rodzice musieli mnie znaleźć pod drzwiami albo w kapuście - to, że mogli ze sobą uprawiać seks było dla mnie zupełnie nie do pomyślenia.

Tyrone pokręcił głową, a Howard niemal czytał mu w myślach: „Dziadek i babcia? Seks? Niedobrze się robi”.

- W czasie następnych wakacji pojechałem na obóz, połączony ze szkoleniem wojskowym. Pisaliśmy do siebie z Lizbeth codziennie i to głównie w tradycyjny sposób, na papierze, a nie e-mailem. Rozmawialiśmy też przez telefon, kiedy tylko się dało. Mówiła, że tęskni, że nie może się doczekać, aż wrócę, a ja czułem się tak samo. A potem zadzwonił do mnie najlepszy przyjaciel. Rusty Stephens. Wybrał się pewnego wieczoru z kolegami na piwo do baru. Zobaczyli tam Lizbeth, doskonale bawiącą się z kimś, kogo mój przyjaciel nie znał.

- To straszne - powiedział Tyrone.

Howard skinął głową, wiedząc, że jego syn na pewno wie, jak on się czuł, kiedy to usłyszał.

- Tak, to samo wtedy pomyślałem. Zadzwoiłem do niej i spytałem, jak to było. Miała absolutnie wiarygodne wytłumaczenie. Tak, była w barze, ale facet, z którym ją widziano, to jej kuzyn. Przyjechał do rodziny i matka poprosiła ją, żeby się nim zajęła. No więc była w barze z kimś z rodziny, sprawa jest bez znaczenia, w końcu to tylko kuzyn. - Howard pokręcił głową. - Uwierzyłem jej. Jak mógłbym nie uwierzyć? Kochaliśmy się, mieliśmy do siebie zaufanie. I bardzo chciałem usłyszeć wyjaśnienie, które rozwiałoby moje najgorsze obawy, więc byłem szczęśliwy.

- I co było dalej?

- Dni mijały. Rusty znów zadzwonił. Znów widział Lizbeth w barze. Piła, tańczyła. Z innym facetem, w innym lokalu. Rusty postanowił ich śledzić, kiedy wyjdą. Pojechali samochodem na Cypel Miłości, zaparkowali, a potem, w połowie lipca, okna samochodu zaparowały.

- O rety! - jęknął Tyrone.

- Czulem to samo, ale użyłem wtedy mniej parlamentarnych słów, kiedy się dowiedziałem, co i jak. Zadzwoiłem do Lizbeth i spytałem wprost. Zaprzeczyła. Powiedziała, że ten, kto mi to opowiada, jest kłamcą. No i stanąłem przed wyborem: albo moja dziewczyna mnie zdradza, albo mój najlepszy przyjaciel kłamie.

Tyrone pokręcił głową. - I co zrobiłeś?

- Sprawdziłem. Zadzwoiłem do paru chłopaków, którzy, jak mówił Rusty, też widzieli Lizbeth. Potwierdzili jego słowa, przynajmniej częściowo.

- No to koniec - powiedział Tyrone.

- Aha. Ale potem zrobiło się jeszcze gorzej.

Jego syn uniósł brwi. - Jak mogło być jeszcze gorzej?

- Zadzwoiłem do Rusty'ego. Powiedziałem mu, żeby poszedł do Lizbeth i odebrał mój sygnet. Skoro mnie oszukiwała, to wszystko skończone.

- I zrobił to?

- W pewnym sensie. Poszedł się z nią zobaczyć, powtórzył jej, co powiedziałem. Nie chciała mu oddać sygnetu, ale rozmawiali przez dłuższy czas. Powiedziała o mnie... trochę nieprzyjemnych rzeczy.

Tyrone zachęcił go spojrzeniem

- Nazwała mnie „głupim gówniarzem”. Rusty mi powiedział.

- Jezu.

- No więc podziękowałem Rusty'emu za jego starania i powiedziałem, że sam się tym zajmę. Zaczekałem na długi weekend w sierpniu, kiedy w obozie nie było akurat zbyt wiele do roboty, kupiłem bilet na pociąg i pojechałem do domu. Dotarłem na miejsce w piątek późnym wieczorem. Złapałem taksówkę i pojechałem do Lizbeth. Przed jej domem stał zaparkowany stary Chevrolet Rusty'ego. Pomyślałem, że postanowił porozmawiać z nią jeszcze raz. Może nawet odebrać mój sygnet. Pocziwy Rusty. Wysiadłem z taksówki, podszedłem do drzwi frontowych i wtedy usłyszałem jakieś odgłosy, dochodzące z Chevroleta. Cofnąłem się i zajrzałem do środka. Zobaczyłem Rusty'ego i Lizbeth, ściskających się na tylnym siedzeniu. Oboje byli mocno roznegliżowani.

- O kurwa - nie wytrzymał Tyrone.

Pułkownik Howard chciał coś powiedzieć na temat przeklinania, ale uznał, że moment nie jest odpowiedni. Cóż wobec wieczności znaczy jedno brzydkie słowo... - Nawet nie miałem czasu tak o niej pomyśleć - powiedział. - Myślałem, że padnę trupem na miejscu. Nie wiedziałem, czy mam wywlec Rusty'ego z samochodu i powybić mu zęby, czy odwrócić się i odejść, zanim mnie zauważą.

- I co się stało?

- Stałem tam Bóg wie, jak długo, coś koło miliona lat i patrzyłem, jak się całują i obmacują. Miałem wrażenie, że to jakiś koszmarny sen. A potem, zupełnie niespodziewanie, zrobiło mi się zimno. Naprawdę zimno, jakbym zmienił się w sople lodu. Był sierpień, parny, upalny, co najmniej trzydzieści stopni Celsjusza, a mnie zrobiło się zimno. Wyciągnąłem rękę i zastukałem w okno od strony kierowcy. Oboje podskoczyli, jak oparzeni. Kiedy odwrócili głowy i spojrzeli na mnie, uśmiechnąłem się, pomachałem im i odszedłem. Taksówka już odjechała, więc ruszyłem do domu na piechotę.

Rusty dogonił mnie po kilkudziesięciu metrach, też pieszo.

- Zawołał: John, potrafię wszystko wyjaśnić!”.

- Spojrzałem na niego i powiedziałem: „Nie, nie potrafisz”. Byłem jak bryła lodu. Z jednej strony chciałem dać mu w pysk, ale z drugiej... byłem jakby daleko od tego wszystkiego. Jakby to był jakiś sen, przywidzenie, a nie rzeczywistość. Powiedziałem: „Nie jesteś już moim przyjacielem, Rusty. Nie odzywaj się do mnie, nigdy”.

- Jezu, tato.

- Cóż, za jednym zamachem straciłem dziewczynę i najlepszego przyjaciela. Nie wiedziałem wtedy, że takie rzeczy zdarzają się nagminnie, tak często, że stały się wręcz banalne. Nie sądzę zresztą, żeby miało to dla mnie wtedy jakieś znaczenie. Oboje byli parszywymi kłamcami; zasługiwali na siebie nawzajem. Mógłbym co prawda powybić Rusty'emu zęby, ale uznałem, że - jak mówiła moja mama - los już się na nich zemści. Ludzie, którzy tak postępują, pewnego dnia dostaną za swoje. Nie chciałem już mieć z nimi nic wspólnego, do tego stopnia, że nawet nie

przylałem Rusty'emu w ten jego kłamliwy pysk. Rozumiem więc, jak ty się musisz teraz czuć, Tyrone, i mogę tylko powiedzieć, że w końcu się z tym uporasz. W tej chwili wszystko jest straszne, ale z czasem nie będzie już tak boleć.

- Czyżby? Przecież wciąż dobrze pamiętasz, co ci się wtedy przytrafiło.

- Nie powiedziałem, że zapomnisz. Takich rzeczy się nie zapomina, ale z czasem sprawiają nam mniejszy ból. Z czasem zostanie tylko mała blizna na sercu, która boli tylko, jeśli mocno ją nacisnąć. Wiem, że w tej chwili niewiele ci to może pomóc, ale taka jest prawda.

Zapadła cisza. Howard czekał, zastanawiając się, czy powinien już odejść, czy też może chłopiec chciałby jeszcze porozmawiać. W końcu Tyrone spytał: - I co się z nimi stało? Z Rustym i Lizbeth? Los się na nich zemścił? Wpadli pod autobus, czy coś w tym rodzaju?

Howard uśmiechnął się. - Niezupełnie. Pobrali się zaraz po skończeniu szkoły. Poszli do koledżu. On jest teraz doktorem nauk medycznych, a ona nauczycielką angielskiego, mają troje dzieci i z tego, co mówi moja rodzina, która informuje mnie na bieżąco, co się dzieje w mieście, są świetnym małżeństwem.

- Niezła mi sprawiedliwość losu.

- Z losem tak już bywa. Czasem mu się nie śpieszy - powiedział Howard.

- Świetnie.

- Co się stało, to się nie odstanie, Tyr. Nie cofniesz tego, co widziałeś, co powiedziałaś, a gdybyś na przykład sprawił, że Bellę i jej nowego przyjaciela przygniótłby fortepian, wcale nie poczułbyś się przez to lepiej. Zemsta rzadko przynosi spokój ducha. Poza tym, gdybym się nie rozstał z Lizbeth, nigdy nie poznałbym twojej mamy. Myślę, że zrobiłem świetny interes. - Uśmiechnął się szeroko.

I zobaczył uśmiech na twarzy syna.

- Zjesz kolację?

- Chyba nie, nie jestem głodny.

- Dobra, jakoś wytłumaczę cię przed mamą.

- Dzięki, tato. I dziękuję, że mi to opowiedziałeś.

- Nie ma sprawy, synu.

Środa, 12 stycznia 2011 roku, godzina 19.00

Waszyngton, Dystrykt Columbia

Garaż wydawał się taki pusty.

Michaels stał w drzwiach swego garażu, spoglądając na większy z dwóch metalowych wózków z narzędziami. Samochodu, nad którym ostatnio pracował, Forda Prowlera, już tu nie było. Michaels sprzedał go kilka dni po zakończeniu remontu. Wyczyścił tego Prowlera i przejechał się nim zaledwie parę razy, nie opuszczając dachu - było za zimno i za mokro, żeby jeździć tym małym kabrioletem w sposób, do jakiego został stworzony - kiedy zatelefonował potencjalny nabywca. Tak to zwykle było; sporo ludzi wiedziało, że Michaels restauruje stare samochody. Ktoś wspomniał przyjacielowi, ten powiedział komuś innemu i rozchodziła się wiadomość, że pewien facet kończy właśnie pracę nad restauracją samochodu, więc nie ma co czekać na ogłoszenie w sieci, bo wtedy może już być za późno.

Michaels uśmiechnął się i wrócił do domu. Pomyślał, że równie dobrze może sobie zrobić kolację.

Wszedł do kuchni i pogrzebał w lodówce. Zorientował się, że ma do wyboru hamburgery i kanapki z kurczakiem *teriyaki**. Wiedział, że hamburgery z pewnością zgniją, jeśli ich szybko nie zje, ale co tam, miał ochotę na kurczaka. Rozerwał plastikowe opakowanie i wsadził kanapki do kuchenki mikrofalowej, żeby je rozmrozić.

No więc tak się to odbyło. Pewnego wieczoru zadzwonił facet z mnóstwem forsy, który był znajomym czyjś znajomego i spytał o Prowlera.

Michaels obliczył, ile kosztował go samochód, ile zapłacił za części i ile pracy wymagał remont silnika, skrzyni biegów, zawieszenia i karoserii. Dodał do tego trzydzieści procent i podał cenę.

Potencjalny nabywca zaakceptował ją tak szybko, że Alex zdał sobie sprawę, że mógł spokojnie zażądać więcej. Z drugiej strony, nie zarabiał przecież na życie restaurowaniem starych samochodów - chociaż dobrze było wiedzieć, że jeśli kiedyś postanowiłby rzucić Net Force, nie zginąłby z głodu. Potrzebował tylko garażu i trochę narzędzi, a miał już jedno i drugie...

Rozległ się rytmiczny sygnał kuchenki mikrofalowej, a kiedy do niej podszedł, zadzwonił telefon.

- Słucham.

- Dzień dobry, szukam Alexa Michaela, tego, co robi przy samochodach.

O wilku mowa. - Znalazł go pan.

- O, fajnie. Nazywam się Greg Scates, Todd Jackson mi o panu powiedział.

Prowlera kupił właśnie Todd Jackson.

- Witam, panie Scates. Czym mogę panu służyć?

- Mam taki stary samochód. Todd pomyślał, że może byłby pan zainteresowany.

- Co to za samochód?

- Mazda MX-5 z 1995 roku.

Michaels uniósł brwi. Ten wóz był w Stanach znany pod nazwa Miata. Mały, dwumiejscowy kabriolet, o wiele mniejszy niż Prowler. Niezbyt lubił japońskie wozy - co Detroit, to Detroit - ale Miata? Zawsze uważał, że ta Mazda dorównuje małemu MG Midget. Fajny wózek. A w dodatku w 1995 roku robiono go jeszcze w wersji z chowanymi reflektorami.

- Niech mi pan powie coś więcej o tym samochodziku.

- Będę z panem szczery, panie Michaels, niewiele o nim wiem. Należał do mojego ojca, który zmarł w listopadzie. Ojciec kupił go prosto z fabryki, kiedy już z nim nie mieszkałem. Jeździł nim przez parę miesięcy, ale to już nie był samochód dla kogoś w jego wieku. Matka się bała, że kiedyś się zabije, więc po jakimś czasie odstawił go do garażu.

Ciekawe. - A w jakim jest stanie?

- Właściwie, to nie wiem. Tato zdjął opony i ustawił go na kołkach w swoim garażu - rodzice mieszkali w Fredericksburgu - spuścił wszystkie płyny, co się dało zakonserwował smarem i nakrył plandeką. Opony leżą w garażu w plastikowych workach. O ile wiem, samochód stoi w takim stanie od piętnastu lat.

Michaels poczuł przyływ zainteresowania. Słyszało się czasem o czymś takim: samochód, którym prawie nie jeżdżono, stojący w jakiejś szopie całymi latami. Sam nigdy dotąd na nic takiego nie trafił, ale samochodziarze bez przerwy opowiadali o takich okazjach - rzadki model, w idealnym stanie, odziedziczony przez kogoś, kto nie miał pojęcia, ile taki pojazd jest wart i był gotów sprzedać go za grosze.

Alex przeszedł do kuchennego terminala komputerowego obok spiżarni i wywołał na ekran katalog klasycznych pojazdów. Chociaż ta Mazda miała dopiero piętnaście lat, a więc formalnie nie była klasykiem, powinna tam jednak być opisana. Biorąc pod uwagę przeciętny okres eksploatacji samochodu od lat osiemdziesiątych, piętnaście lat robiło wrażenie. Mazda, Mazda, aha, jest...

- Jak pan sądzi, panie Scates, ile jest wart ten samochód?

- Proszę mi mówić Greg. Nie mam pojęcia. Ale Todd powiedział, że jeśli będzie pan zainteresowany, zaferuje pan przyzwoitą cenę.

Michaels spojrział na ekran. Hmm. Z katalogu wynikało, że ten kabriolecik nie jest tani, jeśli rzeczywiście został wyprodukowany w 1995 roku i jest w dobrym stanie. A taki, który stał na kołkach, to znaczy został przyzwoicie zakonserwowany, będzie wart jeszcze więcej. Ale przecież było go stać, dzięki temu, co zarobił na Prowlerze. Oczywiście, najpierw będzie musiał to cudo zobaczyć.

- Jestem zainteresowany, Greg. Chciałbym go obejrzeć. Ale do Fredericksburga będę mógł pojechać dopiero w niedzielę. Może go pan zatrzymać do tego czasu?

- Żaden problem. Stoi w garażu od lat, więc może postać jeszcze parę dni.

Michaels skinął głową niewidzialnemu rozmówcy. - Doskonale.

Spytał o adres, umówił się na konkretną godzinę i od-' łożył słuchawkę.

Ciekawe, bardzo ciekawe. Przy odrobinie szczęścia już wkrótce zacznie pracować nad nowym samochodem. Garaż przestanie być taki pusty. I zawsze dobrze było mieć jakiś cel, nie związany z pracą zawodową.

Czas na teriyaki...

Hughes jechał opancerzonym Cadillakiem z hotelu do nowego pałacu prezydenckiego i nie była to zbyt fascynująca jazda. Mimo że były prezydent Joao Bernardo Vieira ze swą Afrykańską Partią Niepodległości Gwinei Bissau i Zielonego Przylądka na siłę wciągnął opierających się i wrzeszczących tubylców we współczesność, wciąż był to kraj Trzeciego Świata. A właściwie, czwartego albo piątego. Półnaczy tubylcy pracowali i handlowali pod gołym niebem. Na ulicach, między biurkami, pełno było straganów, warsztatów i sklepików. Nawet wzdłuż głównych ulic ścieki spływały cuchnącymi rynsztokami, a dróg o utwardzonej nawierzchni było bardzo mało. Znalezienie sprawnego automatu telefonicznego graniczyło z cudem.

Filarami gospodarki były rolnictwo i rybołówstwo - dziewięćdziesiąt procent półtoramilionowej ludności pracowało na farmach lub na łodziach albo przy przetwórstwie płodów rolnych i owoców morza. Głównym towarem eksportowym były orzeszki ziemne, orzechy nerkowca i olej palmowy. Import był czterokrotnie większy od importu, co zresztą nie znaczyło wiele. Głównym miejscowym wyrobem nierolniczym były napoje gazowane i piwo. Kraj był bardzo zadłużony, a eksploatacja bogactw naturalnych - minimalna. Krótko mówiąc, Gwinea Bissau należała do najbiedniejszych krajów na świecie. Większość ludzi odżywiała się tu ryżem, a ci, którzy mieli go wystarczająco dużo, uważali się za szczęściarzy. Nieliczni dociągali do pięćdziesiątki. Mniej niż czterdzieści procent ludności potrafiło czytać i pisać, przy czym w większości byli to mężczyźni. Nie zwracano tu sobie głowy posyłaniem dziewcząt do szkoły. Może co czwarta kobieta potrafiła napisać coś więcej niż własne nazwisko.

Nie było kolei, tylko kilkaset kilometrów dróg o fatalnej nawierzchni, jedno lotnisko dostatecznie duże, żeby obsługiwać loty międzynarodowe, a używanie miejscowej waluty - peso -

jako papieru toaletowego wypadalo taniej niz kupno tego papieru.

Majac mozliwosc wyboru, chyba zaden cywilizowany czlowiek nie zamieszkalby w Gwinei Bissau. Chyba ze znajdowal sie na gorze lancucha pokarmowego. Na samej gorze.

Dobrze przynajmniej, ze byla teraz pora sucha. Podczas monsunow nie chodzilo sie po ulicach, lecz brodzilo.

Hughes rozparl sie wygodnie na siedzeniu samochodu i patrzyl na zalosnych przedstawicieli gatunku ludzkiego, idacych ulica lub stojacych bez celu i gapiacych sie na przejezdzaaca limuzyne. Jechal na spotkanie z prezydentem Fernandesem Domingosem, niezbyt rozgarnietym facetem, ktory jednak jakos dochrapal sie wladzy. Na szczescie Domingos byl przynajmniej na tyle bystry, zeby zweszyc dobry interes, kiedy mu sie go podsunelo pod nos. *El Presidente* spdzil sporo czasu za granica, w Johannesburgu, Londynie i Paryzu, i zasmakowal tam w rzeczach, ktorymi w swoim kraju nie mogl sie cieszy bez znacznie wiekszych pieniedzy niz te, ktore obecnie udawalo mu sie kraac. Byly to drogie wina, jeszcze drozsze kobiety i kosztowne wieczory w kasynach w Monako.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, dzięki Hughesowi Domingos stanie się bogatszy, niż mógłby przypuszczać w najśmielszych marzeniach. Będzie też mógł korzystać z uciech życia w przyjemniejszych miejscach niż brudne ulice Gwinei. Z kolei dzięki Domingosowi Hughes stanie się praktycznie właścicielem tego całego kraju.

Nawet taka dziura jak Gwinea Bissau miała nieocenioną wartość - lub raczej mogła mieć, we właściwych rękach. Sam azyl polityczny był wart fortunę, nie wspominając już o bogactwach, jakie kryła tu ziemia. Tak, Gwinea Bissau miała niewątpliwie wielki potencjał - pod warunkiem, że znajdzie się we właściwych rękach.

W jego, Hughesa, rękach.

- Zaraz dojeżdżamy, sir - powiedział kierowca. Był wysoki, dobrze zbudowany, biały i mówił z akcentem, charakterystycznym dla angielskich wyższych sfer. Na siedzeniu obok niego leżał pistolet maszynowy, a Hughes wiedział, że pod kurtką liberii kierowca ma jeszcze pistolet i że doskonale potrafi posługiwać się jednym i drugim. Kierowca służył kiedyś w armii brytyjskiej; tutaj wynajęto go, żeby cało dowoził specjalnych gości prezydenta tam, dokąd mieli się udać. Miejscowa ludność raczej nie stanowiła zagrożenia, ale kraje sąsiednie, takie jak Senegal i Gwinea, wciąż kłóciły się o coś z Gwineą Bissau albo między sobą, wysyłając przez źle strzeżone granice swe obdarne armie, żeby grabiły i gwałciły. Istniało też - choć niewielkie - prawdopodobieństwo aktów sabotażu i terroryzmu.

Ponieważ oficjalnie Hughesa wcale tu nie było, wolał za bardzo nie rzucać się w oczy i z pewnością nie zależało mu na żadnej strzelaninie. Na szczęście ambasador USA na tym zadupiu miał wobec niego spory dług wdzięczności i, nawet jeśli nie siedział Hughesowi w kieszeni, to zachowywał się w najwyższym stopniu oględnie. Nie zostaje się ambasadorem, nie wiedząc, skąd wieje wiatr i nie ustawiając odpowiednio własnych żagli.

Hughes spojrzal na palac prezydencki. Glówny, dwupiętrowy budynek był wielki, ostentacyjny,

wzniesiony z jakiegoś miejscowego kamienia o różowawym zabarwieniu. Dach pokryty był niebieskimi płytkami ceramicznymi. Styl architektoniczny sprawiał wrażenie kiepskiej mieszaniny willi śródziemnomorskiej i kolonialnej rezydencji. Cały obiekt pałacowy, kilkanaście budynków, zajmował około dziesięciu akrów i był otoczony pięciometrowym murem z tego samego kamienia, z odłamkami szkła na szczycie.

Hughes pokręcił głową. Wszędzie na świecie widział takie szastanie pieniędzmi. Im biedniejszy kraj, tym większym luksusem otaczali się jego przywódcy. Bogaci stawali się bogatsi, a biedni biednieli jeszcze bardziej. Dawno już przestało go to dziwić.

Limuzyna podjechała pod wielką, elektrycznie otwieraną bramę w różowym murze. Dwóch strażników z karabinami podeszło i pochyliło się, zaglądając do samochodu. Brytyjczyk skinął im głową. Było oczywiste, że go znają, ale i tak im się wylegitymował. Strażnicy sprawdzili kartę identyfikacyjną, po czym dali znak koledze, który, również uzbrojony, stał w małej budce wartowniczej po wewnętrznej stronie muru. Brama otwarła się na zewnątrz.

Podjazd był kręty, wił się ostrymi zakosami między sadzawkami i sztucznymi pagórkami, porośniętymi trawą. Platt wyjaśnił to Hughesowi. Gdyby się komuś udało sforsować bramę samochodem pełnym materiałów wybuchowych, i tak nie zdołałby się wystarczająco rozpędzić, żeby przebić się następnie przez ścianę pałacu.

Prezydent był uwielbiany, ale najwidoczniej nie przez wszystkich.

W końcu limuzyna podjechała do głównego budynku. Przed wysokimi drzwiami z rzeźbionego drewna stał prezydent Fernandes Domingos w towarzystwie dwóch ochroniarzy i szczupłej blondyny z wielkim biustem, ubranej w białą bluzkę, krótką, czarną spódniczkę i buty na dziesięciocentymetrowych obcasach. Bardzo atrakcyjna kobieta. Kochanka Domingosa?

Hughes wysiadł z limuzyny, gdy kierowca otworzył mu drzwi. Uśmiechnął się do Domingosa, który w odpowiedzi błysnął garniturem idealnych zębów.

- Ach, Thomas! Jakże miło znów cię zobaczyć! - Domingos dobrze mówił po angielsku, z akcentem, którego nabył podczas studiów w Afryce Południowej. Na uniwersytecie, na którym wykładano chyba głównie seks, hazard i pijaństwo.

Uścisnęli sobie dłonie. Prezydent był niski i krępy, a na nosie i policzkach, mimo ciemnej karnacji, widać mu było siatkę popękanych naczynek krwionośnych. Prawdopodobnie była to oznaka pierwszego stadium alkoholizmu. W wieku pięćdziesięciu lat wyglądał na starego hulakę. Jego przodkowie byli Portugalczykami, ale po drodze musiały się przydarzyć jakieś kontakty z miejscową ludnością, bo Domingos miał ciemniejszą skórę niż większość Europejczyków, a to, co zostało mu z rzędzących, ufarbowanych na czarno włosów, było bardzo kręcone. Ale rysy twarzy nie były negroidalne, bez względu na to, co mówił ten rasista Platt.

- Panie prezydencie, jestem zaszczycony.

Domingos zamachał rękami. - Nie, nie, skończ z tym prezydentem, jesteśmy przyjaciółmi!

Proszę, wejdź w moje skromne progi. I poznaj pannę Monique Louis, która właśnie wróciła z Paryża. Jestem pewien, że będzie wam ze sobą cudownie!

Hughes zerknął na blondynę, która uśmiechnęła się do niego leniwie, ale uwodzicielsko zarazem. - *Bonjur* - powiedziała. - Bardzo mi miło pana poznać.

Hughes na chwilę zapomniał języka w gębie. Jeśli się nie mylił, to stary, poczciwy prezydent podstawiał mu właśnie... towarzyszkę. Cóż, na pewno była atrakcyjna. A Domingos niewątpliwie miał w tych sprawach dość praktyki, żeby wybrać doświadczoną dziwkę. Dlaczego nie? Negocjacje bywały czasem żmudne, więc kiedy już się skończą, przyjemnie się będzie odprężyć - ale dopiero, jak się skończą.

Wysokie skrzydła drzwi zdobiły płaskorzeźby, przedstawiające tubylców - dumne twarze i młode ciała, przeważnie nagie, coś w rodzaju galerii afrykańskich typów. Platt musiał być zachwycony, kiedy to zobaczył. Hughes wyobrażał sobie, jak ten szurnięty rasista musiał kręcić głową z niesmakiem. Oczywiście, nie kręcił nosem na nagie, czarne kobiety.

Skrzydła drzwi rozchyliły się bezszelestnie, każde ciągnięte przez Murzyna w absolutnie białej liberii. Monique wzięła Hughesa pod rękę, uśmiechnęła się do niego i ruszyła za prezydentem do pałacu. Ochroniarze trzymali się kilka kroków z tyłu.

Zapowiada się interesująco, pomyślał Hughes.

27

Piątek, 14 stycznia 2011 roku, godzina 6.00

Nowy Jork

U Maca, w ostatniej tradycyjnej siłowni na Manhattanie, Platt sapał, wykonując przysiady z obciążeniem. Tutaj nie było donic z paprociami, z głośników nie dochodziła muzyka New Age, nie było chromów, trenażerów z ławeczkami, obitymi czerwoną skórą, czy najróżniejszych bieżni ze scenerią w rzeczywistości wirtualnej - tylko mnóstwo stojaków z żelazem - hantle, sztangi - i proste ławeczki na betonowej posadzce z kilkoma piankowymi matami. Na ścianach lustra, dobre oświetlenie - niczego więcej nie było trzeba. To się nie przychodziło dla fasonu - tu się przychodziło, żeby złać się potem i poznać, co to ból.

Korzystał z bezpiecznego stojaka, więc ciężar, który miał na ramionach nie mógł spaść i zmiażdżyć mu tyłka, ale dla mięśni ud była to niewielka pociecha. Piekły, jakby stał zanurzony do

pasa w roztopionej lawie. Sto osiemdziesiąt kilo na sztandze; pierwsza seria jeszcze jakoś poszła, ale potem każdy przysiad był męczarnią. Nienawidził przysiadów. Po kilku seriach z dużym obciążeniem był zupełnie wypruty z sił. Nieraz porzygał się po przysiadach. Mięśnie bolały go do tego stopnia, że nie mógł nawet wstać bez pomocy, ale tak właśnie być powinno. Jeśli ktoś chce być silny, musi dźwigać wielkie ciężary. Platta zawsze śmieszyli mięczakowaci faceci, którzy kucali z dwudziestokilogramowym ciężarkiem i nazywali to treningiem. Ale nie pokazywali się tutaj. Mac wyśmiałyby ich i kazał zabierać dupę w troki.

„Przepraszam pana, ale gdzie tu są bieżnie z monitorowaniem akcji serca?”

„Cóż, proszę wyjść frontowymi drzwiami i przejść kilka kilometrów w tym kierunku. Proszę szukać łaźni pełnej mięczaków, to coś dla pana.”

Następny przysiad. Mięśnie Platta gotowały się w sosie własnym.

I do góry. Dygotał, sapał, w żyłach i tętnicach krążył mu żywy ogień, paląc w mięśniach, aż do kości.

Jeszcze trzy przysiady i wreszcie, resztką sił, odłożył sztangę na stojak. Chwycił ręcznik, otarł pot z twarzy i karku, i poszedł wypłukać usta. Zewsząd dochodził huk ciężarów, uderzających o posadzkę, sapanie i stękanie mężczyzn, pompujących żelazo. Było tu także parę kobiet-kulturystek na sterydach, więc wyglądały jak mężczyźni. Ten typ kobiety w ogóle go nie podniecał. Lubił, kiedy kobieta była wysportowana, ale brzydził się babami o męskich sylwetkach, umięśnionymi dzięki sterydom, od których omal wyrastały im fiuty.

No, wystarczy. Jeszcze prysznic i musiał ruszać do mieszkania w Queens, gdzie podłączył tamten komputer jednorazowego użytku. Federalnych czeka następna niespodzianka dzięki uprzejmości Frihedsakse. Tym razem będzie to wielka niespodzianka.

Platt parsknął śmiechem. Życie było piękne.

Piątek, 14 stycznia 2011 roku, godzina 8.00

Czerski, Syberia

Jay Gridley walczył z lodowatym huraganem, wiejącym od Morza Wschodniosyberyjskiego. Wiatr był tak silny i mroźny, że zabiłby nieosłoniętego człowieka w ciągu paru sekund. Tak silny, że skały wzdłuż brzegu były nagie, bez śniegu, mimo że przez ostatnie dwa miesiące napadało go tu ze trzy metry. Wichura porwała śnieg jak garstkę rozsypanego cukru-pudru. Miejscowi chętnie żartowali sobie, opowiadając o mrozie. Na Alasce czy w Kanadzie ludzie przechwalali się, że jeśli chluśnie się w górę wrzątkiem z garnka, woda zamarźnie, zanim spadnie na ziemię. Ale na Syberii, powiadali, wrzątek zamarzlby, zanim zdążyłoby się machnąć garnkiem. Czasem zamarzał, kiedy jeszcze garnek

stał na ogniu, da?

Było to chyba ostatnie miejsce, w którym ktoś szukałby śladów duńskiej organizacji terrorystycznej, ale cóż, Jay miał przed sobą przerębel, z którego korzystały foki, żeby zaczerpnąć powietrza i jedna z tych „fok” była pakietem informacji, na którym Gridleyowi zależało. Był dobrze zabezpieczony przed zimnem - elektrycznie podgrzewana bielizna, skarpety, czapka i rękawice, a na to jeszcze cztery warstwy tkaniny - polipropylen, jedwab, wełna i sztuczne futro - a do tego kominiarka osłaniająca twarz, no i ciężkie buty. Mimo wszystko czuł, jak mróz próbuje przedostać się przez kominiarkę i wcisnąć w najmniejsze szwy ubrania. Zaprogramował ten scenariusz, wprowadzając warunki atmosferyczne, w jakich naprawdę żyła miejscowa ludność i teraz zastanawiał się, jak oni to wytrzymywali. Wszystkie domy były tu dobrze opatrzone, z potrójnymi oknami i drzwiami, z podwójnymi ścianami, rozdzielonymi pustą przestrzenią, zapewniającą dobrą izolację cieplną. Mimo to, w nieogrzewanych pomieszczeniach żywność można tu było przechowywać przez całą zimę.

Brrr.

Nagle rozległ się głośny, przenikliwy ryk klaksonu. Co, u diabła? Kto tak trąbi? Odwrócił się plecami do wiatru i zobaczył w oddali wieżę.

Jay przełączył się w myślach z VR na świat realny i zdał sobie sprawę, że ten klakson, to ingerencja jego stacji roboczej. Musiało się stać coś niedobrego; zaprogramował swój komputer tak, że tylko naprawdę poważne sprawy mogły spowodować przerwanie scenariusza VR. Pożar w budynku, większa awaria systemu, samochód, którym dowożono pizzę złapał gumę...

Trzeba szybko sprawdzić, co się stało.

Jay wylogował się z rzeczywistości wirtualnej.

Piątek, 14 stycznia 2011 roku, godzina 8.05

Quantico, Wirginia

Toni przeglądała właśnie stertę elektronicznej korespondencji, kiedy jej stacja robocza padła. Jeszcze przed sekundą czytała notatkę z zaopatrzenia z informacją, że Net Force przekroczyła miesięczną normę zużycia akumulatorów do telefonów komórkowych i virgili, a teraz miała przed sobą ciemny ekran.

Cholera, jeszcze tylko tego jej było trzeba. Awaria komputera...

Komputer zresetował się po kilku sekundach, ale notatka z wydziału zaopatrzenia znikła, a na jej miejscu pojawił się rysunek męskiej dłoni, zaciśniętej w pięść, ale z wystawionym palcem środkowym. Dłoń obracała się powoli i nie było wątpliwości, że jej intencją jest pokazanie starego,

obraźliwego gestu.

Usłyszała śmiech sekretarki.

- Co się dzieje? - wrzasnęła.

- Mój komputer pokazuje mi palec! - krzyknęła w odpowiedzi sekretarka.

Toni pomyślała nagle, że jeśli przeczucie jej nie myli, rysunek pojawił się nie tylko na tych dwóch monitorach.

Po chwili dowiedziała się, że przeczucie było słuszne.

Boże święty! Ktoś włamał się do systemu komputerowego Net Force i naigrawał się z nich.

Toni spotkała Gridleya w drodze do sali konferencyjnej. Joan Winthrop przybiegła pół sekundy wcześniej. Alex już tam był. Nawet nie zaczekał, aż usiądą.

- No, dobra, co się, do diabła, stało?

- Friehedsakse - odpowiedzieli jednocześnie Jay i Joan. Spojrzeli na siebie złym wzrokiem i oboje próbowali mówić dalej.

- Ustaliłam, że...

- Włamali się przez...

- Po kolei - przerwała im Toni, zanim Alex zdążył zareagować. - Jay?

- Dostali się przez podsystem w kadrach FBI. To bezpośrednia linia dedykowana, wykorzystywana do przesyłania życiorysów i podań o przyjęcie do pracy. Teoretycznie nie powinna być połączona z bezpiecznymi systemami bez bramki, żądającej hasła przy każdej transmisji danych, ale w praktyce wciąż się zdarza, że ci z kadr nie przerywają połączenia na czas szukania akt w bazie danych, bo nie chce im się tracić pięciu minut na ponowne zalogowanie się za każdym razem, kiedy muszą przesłać następny plik. Tą drogą ktoś się dostał do naszego głównego komputera.

Toni spostrzegła, że Joan Winthrop aż się pali, żeby coś powiedzieć. - Poruczniku?

- Nasze programy antywirusowe niemal natychmiast wychwyciły intruza. Nie doszło do uszkodzeń sprzętu i oprogramowania. Plik z obracającą się ręką był już w naszym systemie od jakiegoś czasu; wygląda na to, że celem włamania było uruchomienie go jako sygnału naszego Systemu Wczesnego Ostrzegania. O ile wiem - o ile Jay i ja wiemy - nikt nie stracił żadnych danych. Wirus nie zrobił nic więcej.

- Prowadzimy w tej chwili pełną diagnostykę systemu - dodał Jay - ale mogę zagwarantować,

że nie znajdziemy dalszych infekcji. W sumie to drobiazg, prosty programik w rodzaju tych, jakich młodzi hakerzy używają, żeby pokazać, co potrafią. Ot, pokazali nam palec. Nic wielkiego.

Alex pokręcił głową. - Nie masz racji, Jay. To bardzo groźny atak.

Jay zmarszczył brwi, nie rozumiejąc. Natomiast z wyrazu twarzy Joan Toni wyczytała, że pani porucznik rozumie.

Toni powiedziała: - Net Force jest strażnikiem systemów komputerowych naszego kraju. Jeśli ta grupa potrafi włamać się do naszego, rzekomo bezpiecznego systemu, to w jakim świetle nas to stawia? Jak to wpłynie na zaufanie naszych klientów, zatroskanych o bezpieczeństwo własnych systemów?

- Ale przecież to bez znaczenia, że się włamali - zaprotestował Jay. - Niczego więcej nie mogli wskórać! Nasze programy zabezpieczające automatycznie przygwoździły ich wirusa po kilku sekundach. I co ten wirus zrobił? Otworzył plik graficzny, który mieliśmy już w naszych zasobach. No i rysunek się pojawił, pokręcił i nic więcej. Wirus w żadnym wypadku nie mógł wyrządzić szkód. Byliśmy z powrotem online, zanim większość ludzi zorientowała się, że coś się wydarzyło. To był drobiazg, nie ma co załamywać rąk.

- Tu nie chodzi o programy komputerowe - powiedział Alex. - Chodzi o politykę. Nie jest ważne, że terroryści nie wyrządzili żadnych szkód, ważne jest natomiast, że w ogóle zdołali się włamać do naszego systemu. Nawet jeśli my wiemy, że nic wielkiego się nie stało, ludzie, nie znający się na komputerach, zaczną się bać. Jasne, powiedzą, ci z Net Force zapewniają, że to drobiazg, ale skoro to drobiazg, to dlaczego w ogóle do niego dopuścili?

Jay pokręcił głową. - Ale... ale...

- Toni, zorientuj się, co można zrobić, żeby zminimalizować straty - polecił jej Alex. Zwracając się następnie do Jaya i Joan powiedział: - Zajmijcie się tym, zorientujcie się, czy są jakieś ślady. Mam przeczucie, że popadniemy w poważne tarapaty, jeśli nie wyświetlimy tej sprawy, i to szybko. Do roboty.

Kiedy Jay i Joan wyszli, Toni i Alex zostali sami.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

- Tak, oczywiście. Nic mi nie jest. Ale to wszystko... - machnął ręką w geście, obejmującym Net Force i jej wszystkie problemy.

Jednak Toni widziała, że z Alexem coś się dzieje. Od czasu, kiedy wrócił po Bożym Narodzeniu był strasznie spięty. Najpierw myślała, że to z powodu tej przygody w Arizonie, o której nie chciał z nią rozmawiać. Ale nie, nie gryzłby się czymś takim, a przynajmniej nie aż tak. W końcu został wtedy zwycięzcą, złapał jednego z tamtych drani, nie tylko nie stracił twarzy, ale nawet został kimś w rodzaju bohatera. Mężczyźni podziwiali innych mężczyzn za takie czyny.

Nie spytała go o spotkanie z córką i byłą żoną, a on nie poruszał tego tematu i Toni

podejrzewała, że mogła to być niezbyt udana wizyta. Miało się wrażenie, że nawet po rozwodzie tamta kobieta miała wielki wpływ na życie Alexa i Toni nienawidziła jej za to. Zresztą, tamta kobieta musiała być głupia; gdyby było inaczej, nigdy nie pozwoliłaby Alexowi odejść.

Ale wiedziała, że nie wypada jej go o to pytać. Ich stosunki były ściśle zawodowe. Mogła jedynie zatroszczyć się o to, żeby miał okazję pogadać. Jeśli nie będzie chciał, cóż, trudno, nie mogła go zmusić.

- W porządku - powiedziała. - Wiesz, gdzie mnie znaleźć. Spróbuję zakopać cały ten incydent tak głęboko, żeby nikt się o niego nie potknął.

Ruszyła do wyjścia.

- Toni?

- Tak?

- Wybieram się jutro obejrzeć nowy samochód - oczywiście jeśli przedtem niebo nie zwali mi się na głowę. To stary samochód i zastanawiam się nad jego kupnem, zakładając, że do tego czasu diabli nie wezmą Net Force. To mała Mazda Miata, stoi w garażu we Fredericksburgu przy autostradzie I-95, parę kilometrów stąd na południe.

- No i?

- Cóż, tyle wiesz o samochodach i w ogóle... Zastanawiam się, czy... to znaczy, chciałabyś pojechać ze mną i pomóc mi ocenić to cacko?

Toni osłupiała. Spadło to na nią, jak grom z jasnego nieba. Co go tak nagle naszło? Stała przez chwilę ogłupiała, jakby ją ktoś trzepnął w głowę. Ale zaraz odezwał się natarczywie jej wewnętrzny głosik, który wołał:

O rety! On się chce z tobą umówić! Ostrożnie, nie spłosz go!

Zdołała wreszcie odetchnąć. - O, tak, chętnie. Mówisz, że to Miata, tak? Jeden z moich braci kiedyś nią jeździł.

- A, tak - powiedział pośpiesznie. - Pamiętam, wspominałaś coś o tym. Naprawdę mogłabyś mi pomóc. No, wiesz...

Miała chęć uśmiechnąć się z rozbawieniem, ale zmusiła się do zachowania na twarzy wyrazu uprzejmego zainteresowania. Przypominał czternastolatka, który zaprasza dziewczynę na pierwszą randkę - było to widać na jego twarzy i słychać w głosie. Był zdenerwowany. Bał się, że Toni odmówi.

Jakby to w ogóle było możliwe.

Przez to zdenerwowanie był jeszcze bardziej uroczy.

- Chciałbym... ee... wyjechać wcześniej rano - powiedział. - Mógłbym wpaść po ciebie koło siódmej?

- Siódma mi pasuje. - A gdzie ty... ee... mieszkasz? Nigdy u ciebie nie byłem. Podała mu adres i wyjaśniła, jak dojechać, wciąż zachodząc w głowę, co się właściwie dzieje.

Nie wyciągaj pochopnych wniosków, dziewczyno. Zaprosił cię na obejrzenie starego samochodu, a nie na weekend w Paryżu.

Zamknij się! - rozkazała swemu wewnętrznemu głosowi.

- Powinnaś się chyba ubrać w jakieś stare ciuchy - powiedział. - W starym garażu może być brudno. Zabiorę trochę narzędzi. Może da się ten samochód uruchomić. O ile nie będziesz miała nic przeciwko temu, żeby zaczekać, kiedy będę pracował.

- Żaden problem - zapewniła.

Przez dłuższą chwilę - przynajmniej przez parę tysiącleci - wpatrywała się w niego, nie dając po sobie poznać euforii. Chciało jej się podskakiwać i krzyczeć. W końcu się opanowała.

- No, pójdę się zająć tym włamaniem do systemu - powiedziała.

Kiedy wyszła z sali konferencyjnej, nie potrafiła już powściągnąć uśmiechu. Tak! Tak!

W wieku trzynastu lat Alex Michaels przejechał się największą na świecie - wtedy - kolejką górską. Nazywała się Tyler Texas Tornado. Nigdy nie zapomniał tamtych wrażeń. Stan nieważkości, żołądek podchodzący do gardła, kiedy wagonik runął w dół i siła przyciągania ziemskiego została zniwelowana. Gdyby nie barierka zabezpieczająca, wyleciałby z siedzenia.

I tak samo czuł się w tej chwili, jak podczas szaleńczego zjazdu kolejki górskiej. Żołądek podchodził mu do gardła, serce waliło dwa razy szybciej niż normalnie, czuł suchość w ustach i szybko oddychał.

Boże święty! Coś ty zrobił? Zaprosiłeś na randkę Toni Fiorellę, swoją zastępczynię?

Nie, nie, to nie randka! Mamy tylko obejrzeć ten samochód. Ona się zna na samochodach - pamiętasz, jak przyszła do ciebie i zobaczyła Prowlera? Wiedziała wszystko o silniku, hydraulice i tak dalej! Mieszkała w domu pełnym braci, zafascynowanych samochodami!

Aha, na pewno. Komu ty chcesz wcisnąć kit, stary? Wszystko widziałem, pamiętam, jak gapiłeś się na jej tyłek, kiedy rozmawiałeś przez telefon z córką. I pamiętam te treningi *silat*, mój drogi. Kiedy się obejmujecie i przyciągacie. Wiem co czujesz, kiedy ona przyciska się do ciebie całym ciałem, żeby za chwilę cisnąć twoim durnym tyłkiem o ziemię.

Wiedział. Wiedział, że postępuje niemądrze. Toni była jego podwładną. Zgoda, dawała mu do

zrozumienia, że nie jest dla niej odrażający, ale wkraczał na niebezpieczny teren. Toni była inteligentna, świetna w tym, co robiła. Pewnie, że byłoby strasznie fajnie zbliżyć się do niej jeszcze bardziej niż na treningu *silat*. Z jego wyobraźnią wszystko było w porządku - po prostu nieczęsto dawał jej się ponieść od czasu, kiedy rozszedł się z Megan. Ale ta wizyta, cała ta scena z byłą żoną i jej nowym przyjacielem... To był już chyba ostatni gwóźdź do trumny, czyż nie tak? Ich małżeństwo przestało istnieć, nigdy do siebie nie wróca. Kiedy już ochłonął i wszystko sobie przemyślał, doszedł do wniosku, że wcale nie chce być znów z kobietą, która potraktowała go w taki sposób. Megan potrafiła być podła i, choć nie zdarzało jej się to zbyt często, za każdym razem podupadał na duchu. Nie chciał być z kimś, kto w każdej chwili mógł go zranić. Co to za życie, musieć zawsze spać z otwartymi oczyma.

Od tak dawna żył jak mnich. Całą energię poświęcał pracy przy samochodzie, przebiegał i przejeżdżał na rowerze tysiące kilometrów, żeby się zmęczyć do upadłego, a przecież towarzystwo atrakcyjnej kobiety nie jest w końcu grzechem.

W końcu nie musiał się posuwać za daleko. Nie musiał ryzykować, że utraci Toni jako przyjaciela i współpracownika, usiłując doprowadzić do romansu. Mógł trzymać łapy przy sobie, rozporek zapięty, ograniczyć się do platonicznego związku.

Jasne. To dlatego zaprosiłeś ją na tę przejażdżkę do Fredericksburga? Żeby kultywować platoniczny związek?

Zamknij się, powiedział sam do siebie. Nic się nie stało i nic się nie stanie. Jesteśmy przyjaciółmi, to wszystko.

Jego wewnętrzny głos ryczał ze śmiechu przez całą drogę do biura.

28

Piątek, 14 stycznia 2011 roku, godzina 8.20

Quantico, Wirginia

Kiedy Joan Winthrop spojrzała na przechodzącą Toni Fiorellę, jej podejrzenia zamieniły się w pewność.

Panna Toni jest zadurzona w swoim szefie.

Nietrudno było to zauważyć - Fiorella wręcz rozkwitała jak cieplarniana orchidea za każdym

razem, kiedy w pobliżu pojawiał się Alex Michaels. Sprawiał wrażenie, że tego nie dostrzega i nic dziwnego. Mężczyźni zwykle byli w tych sprawach głupi - zresztą nie tylko w tych. Mimo wszystko był fajnym facetem i prawdę mówiąc, Winthrop parę razy pofantazjowała sobie na jego temat. Ale to było, zanim jeszcze zaczęła szukać pretekstów, żeby się zobaczyć z Julio Fernandezem. Michaels był w porządku, ale Julio? Julio był prawdziwym skarbem.

Pomyślała, że prawdopodobnie będzie mogła urwać się jutro trochę wcześniej z pracy, żeby się z nim spotkać i pomóc mu trochę z komputerem. Wciąż chciał się tego nauczyć, a ona coraz lepiej się czuła w jego towarzystwie. Ten facet sprawiał wrażenie, że jest wyzbyty wszelkiej zarozumiałości, przynajmniej wobec kobiet, i wciąż ją zaskakiwał tym, co mówił i jak to mówił.

Uśmiechnęła się do siebie. Tak, niech Toni usycha sobie z tęsknoty za szefem. Prawdopodobnie lepiej do siebie pasowali. Winthrop stwierdziła, że bardzo zasmakowała ostatnio w... latynoamerykańskiej kuchni.

Piątek, 14 stycznia 2011 roku, godzina 5.45

Na pustyni we wschodnim Oregonie

Na dworze było jeszcze ciemno. Ciemno i zimno, ale przynajmniej śnieg znów zaczął padać.

John Howard leżał w śpiworze w wąskim, jednoosobowym namiocie. Nie było mu zbyt ciepło, ale też nie marzł, a osłona na twarz zapobiegała odmrożeniu nosa. Nie chciało mu się wyłazić ze śpiwora i wstawać, ale parcie na pęcherz stawiało go w przymusowej sytuacji. Do świtu było jeszcze daleko, ale przynajmniej nie musiał szukać ustronnego miejsca - był zupełnie sam. Jak mawiał jego dziadek, był tak daleko, że słońce wschodziło między nim a miastem...

Zamierzał zaaplikować sobie weekendowy trening przetrwania w warunkach zimowych w stanie Waszyngton, po wspólnych ćwiczeniach wojskowych Net Force i sił zbrojnych na północno-zachodnim wybrzeżu Pacyfiku, ale wynikły jakieś problemy w magazynie broni biochemicznej w Umatilla. Najprawdopodobniej wyciek z głowicy pocisku raketowego z gazem atakującym system nerwowy. Niewielki wyciek, nie stanowiący zagrożenia, ale Armia dostała kręćka, usiłując ukryć całą sprawę przed mediami, co jej się oczywiście nie udało. W rezultacie przerażona ludność cywilna w pobliżu magazynu była przekonana, że śmiertelna chmura lada chwila dotrze do miasta, zabijając wszystkich mężczyzn, kobiety, dzieci i psy. Mnóstwo ludzi wpadło nagle na pomysł odwiedzenia krewnych, mieszkających gdzieś daleko, zrobił się wielki ruch, więc Net Force i wojsko odwołały ćwiczenia. Armia uznała, że widok bandy facetów w rynsztunku bojowym, biegających po okolicy nie był w tej chwili pożądany. Miejscowi na pewno by się wystraszyli; nikt by nie uwierzył, że to tylko ćwiczenia, które przypadkiem zbiegły się z incydentem w magazynie broni. Mimo wszystko Howard nie chciał rezygnować ze swego prywatnego treningu przetrwania, więc postanowił wpaść do Oregonu. Różnice w ukształtowaniu terenu między wschodnim Oregonem a wschodnim Waszyngtonem po obu stronach rzeki Columbia wcale nie były zbyt duże.

Howard wysunął się ze śpiwora, mając na sobie kalesony, skarpety i grubą wełnianą koszulę. Sięgnął po drugą parę skarpet, którą poprzedniego wieczora wepchnął do butów, żeby nie wlażyły do nich skorpiony, czy pająki; była wprawdzie zima, ale przezorność nie zawadzi. Naciągnął buty, sprawdziwszy mimo wszystko, czy nie ma w nich jakichś nieproszonych gości - cholera, ależ były zimne! - chwycił kurtkę, czapkę i szybko wyszedł z namiotu.

Jeszcze nie zaczęło świtać. Niebo było bezchmurne, krystalicznie czyste, gwiazdy świeciły jasno. Widać było Mleczną Drogę i te wszystkie gwiazdozbiory, których nie sposób dostrzec w mieście.

Przeszedł parę metrów szlakiem, który wydeptał poprzedniego dnia przed rozbiciem namiotu i wypisał swe imię na śniegowym pagórku, pod którym przeczekiwały zimę karłowate krzewy.

Wrócił do namiotu, zapalił lampę naftową i rozstawił jednopalnikową kuchenkę gazową. Rurowaty namiot był tak niski, że przy wejściu można było co najwyżej usiąść. Został uszyty z dwóch warstw wytrzymałego Gortexu, zapewniającego mikrowentylację, więc człowiek nie budził się oszroniony. W dawnych czasach poszukałby drewna na opał i rozpałił przed namiotem niewielkie ognisko, żeby zagotować wodę na kawę i do przygotowania liofilizowanej żywności, ale obecnie panujące obyczaje biwakowania wykluczały jakąkolwiek ingerencję w środowisko naturalne. Nie było już mowy o ścinaniu drzew czy oczyszczaniu terenu z krzaków, żadnego okopywania namiotów, rozpalania ognisk, latryny nie mogły być głębokie, a przed zwinięciem obozu trzeba je było zasypać i mocno udeptać ziemię.

Uśmiechnął się, patrząc, jak śnieg topi się w garnku na kuchence. Był już na paru biwakach, gdzie ochronę środowiska traktowano tak rygorystycznie, że nawet własne odchody musieli wrzucać do plastikowych worków i zabierać ze sobą. Żołnierze kpili z tego, ile wlezie: „Hej, sierżancie, zostawiłem panu na deser parę rogalików”. „Tak? Co za zbieg okoliczności, ja mam dla was trochę budyniu czekoladowego, kapralu...”

To zadziwiające, z czego potrafią żartować żołnierze.

Było w tej chwili około dziesięciu stopni Celsjusza poniżej zera, przemarznięta ziemia twarda jak skała, więc dołek można było wykopać tylko w śniegu, ale przynajmniej Howard miał ze sobą specjalny papier toaletowy, rozkładający się przy zetknięciu z wodą. Do wiosny ślady jego obecności tutaj dawno znikną, a raczej trudno było oczekiwać, że do tego czasu ktoś przyjdzie tu bawić się na śniegu...

Czekała go dzisiaj mała przechadzka, zaledwie piętnaście kilometrów. Ale z raketami śnieżnymi na butach i z plecakiem powinno go to trochę zmęczyć. Miał odbiornik *GPS* na wypadek, gdyby zabłądził, jednak zamierzał odszukać miejsce następnego obozowiska w tradycyjny sposób, za pomocą kompasu i charakterystycznych punktów na trasie. Nie było to, oczywiście takie proste, jak *GPS*, gdzie wystarczyło tylko nacisnąć parę klawiszy i człowiek dowiadywał się dokładnie, gdzie jest i w którym kierunku ma iść. Ale baterie mogły się wyczerpać, satelity mogły spaść, a na kompasie zawsze można było polegać, jeśli się wiedziało, co to jest magnetyczna północ i tak dalej. Jeśli się zgubiło kompas, były jeszcze gwiazdy, w tym Słońce. A jeśli było akurat pochmurno, szło się na wyczucie, choć ta metoda była najmniej dokładna.

Prawdę mówiąc, już dawno nie zdarzyło mu się zabłądzić. Miał dobre wyczucie kierunku.

O szóstej rano sięgnął po virgila i zgłosił się, wystukując swój kod. Także za pomocą virgila mógł odnaleźć drogę, a w razie potrzeby ściągnąć pomoc. Gdyby jednak coś się stało i nie mógłby zadzwonić, ludzie z Net Force albo inni ratownicy odnaleźliby go dzięki wbudowanemu w to urządzenie sygnalizatorowi, zasilanemu z osobnej baterii. Nie był wprawdzie w sytuacji Lewisa i Clarka*, miliony mil od cywilizacji, ale jednak był mróz, pół metra świeżego śniegu, a Howard był sam na tym pustkowiu. Gdyby coś mu się stało, pomoc nie dotarłaby natychmiast.

Istniało więc konkretne ryzyko. I oczywiście o to właśnie chodziło. Człowiek mógł sprawdzić, ile jest wart tylko w obliczu prawdziwego zagrożenia. Rzeczywistość wirtualna nie mogła tego zastąpić. Człowiek zawsze wiedział, że w VR nie można zginąć. Natomiast w prawdziwym życiu sprawy przybierały czasem diabelnie niepomyślny obrót i żeby przeżyć, trzeba się było posłużyć rozumem i umiejętnościami. Ta krótka, trzydniowa wyprawa nie była niczym nadzwyczajnym. Howard miał już za sobą kilkutygodniowe ekspedycje w najróżniejszych warunkach, od pustyni do dżungli. Dobrze było mieć świadomość, że jeśli się wyjdzie cało z katastrofy samolotu gdzieś na pustkowiu, człowiek potrafi przeżyć dostatecznie długo, żeby doczekać się przybycia ekip ratowniczych. Pod warunkiem, że ktoś będzie szukał...

„Skąd ci przyszło do głowy, żeby włączyć na tę wysoką górę?”

„Cóż, stała mi na drodze...”

Woda zaczęła wrzeć. Howard sięgnął do plecaka po liofilizowaną kawę.

Słyszał kiedyś o zakonie mnichów buddyjskich - zen, czy coś w tym rodzaju, którzy mieszkali wysoko na zboczu górskim gdzieś na Dalekim Wschodzie. Mieli tam kawiarenkę i kiedy zatrzymywali się u nich wspinacze, sprzedawali im kawę. Były dwie ceny: dwa dolary za filiżankę i dwieście dolarów za filiżankę. Kiedy ktoś spytał, jaka jest między nimi różnica, mnich uśmiechał się i odpowiadał: „Stu dziewięćdziesięciu ośmiu dolarów”. Napar był ten sam, filiżanki takie same, ale zawsze znalazł się ktoś, kto zamawiał tę droższą kawę. I przysięgał, że lepiej smakowała.

Howard potrafił to zrozumieć. To, czego miał się za chwilę napić, nie miało tej samej klasy, co świeżo palona i świeżo zmielona kawa, precedzona przez złoty filtr i podana w delikatnej porcelanowej filiżance przez doświadczonego i uprzejmego kelnera, ale przecież pierwszy kubek kawy na biwaku zawsze smakował lepiej niż to, co podają w restauracjach. Zawsze.

Piątek, 14 stycznia 2011 roku, godzina 11.00

Bissau, Gwinea Bissau

Hughes przekreślił się na wielkim łożu i obserwował Monique, idącą do łazienki po puszystym

dywanie, w który jej stopy zapadały się po kostki. Widok gołej pupy był przyjemny i Hughes rozkoszował się nim, dopóki dziewczyna nie weszła do łazienki, cicho zamykając za sobą drzwi. Nie była naturalną blondynką, tak samo, jak jej piersi nie były prawdziwe, ale w niczym nie pomniejszało to faktu, że była doświadczoną kochanką. Po trzech numerkach - zeszłej nocy, w południe i dziś w nocy - był doszczętnie wyczerpany, ale też naprawdę odprężony, po raz pierwszy od lat. To był jeden z przywilejów zamożności - doświadczona kochanka. Zastanawiał się nad wynajęciem Monique na stałe. Teraz było go już na nią stać, a wkrótce będzie go stać na tysiąc takich jak ona.

Ale... może raczej nie. Lepiej unikać wszelkich komplikacji, zanim nie osiągnie swego wielkiego celu. Nawet jeśli komplikacje sprawiały tyle przyjemności, co Monique.

Spojrzał na zegarek. Parę minut po jedenastej. Która to będzie w Waszyngtonie? Pięć godzin wcześniej, czy cztery?

Nie miało to większego znaczenia. Platt był na miejscu, radośnie dolewając oliwy do różnych ognisk, przygotowując scenografię do końcowej fazy projektu. Hughes nie dzwonił do niego, od kiedy był tutaj, ale na tym etapie nie było to konieczne.

Negocjacje z Domingosem poszły bardzo dobrze, lepiej, niż się spodziewał. Powód, dla którego prezydent nie dobił targu z Plattem był prosty - Domingos chciał więcej pieniędzy. Hughes od początku to przewidywał i był nawet zdziwiony, że prezydent nie wyszedł z tym wcześniej. Nie była to więc żadna nieoczekiwana przeszkoda. Raczej coś, co pojawiło się później niż przewidywał. Dla zachowania pozorów Hughes targował się, udawał obrażonego, stanowczo sprzeciwiając się wszelkim zmianom w umowie. W odpowiedniej chwili, kiedy Domingos nabrał przekonania, że jest lepszy niż banda arabskich handlarzy koni, Hughes dał się przekonać. Dorzucił kolejne trzydzieści milionów, co oznaczało, że łapówka dla prezydenta wynosiła teraz okrągłe sto milionów amerykańskich dolarów. Oczywiście, gdyby Domingos wołał inną walutę, mógł całą sumę dostać we frankach francuskich, japońskich jenach, w funtach szterlingach, czy nawet w pesetach Gwinei Bissau.

Prezydent łaskawie zgodził się na dolary.

Hughes uśmiechnął się, kiedy Monique wyszła z łazienki i ruszyła do łóżka przez gesty dywan. Uznał, że z przodu widok jest jeszcze lepszy. Te ufarbowane na blond włosy łonowe, przystryżone w kształcie serduszka... Nawet sztucznie powiększone piersi nie były takie złe. Musiał je robić dobry chirurg, bo sprawiały wrażenie naturalnych, także w dotyku.

Był wprawdzie znużony, ale na jej widok coś w nim drgnęło.

- O, widzę, że już nie śpisz.

- Nie cały się już rozbudziłem.

- Ach, na pewno znajdę na to sposób, *qui?*

Zachichotał. Nie miał wątpliwości, że Monique da sobie radę.

- Spróbujmy więc - powiedział.

29

Sobota, 15 stycznia 2011 roku, godzina 7.25

Autostrada I-295, okolice Indian Springs, Wirginia

- Chcesz, żebyśmy zatrzymali się na kawę? - spytał Alex, wskazując ręką stację benzynową po prawej stronie.

- Nie, dziękuję - powiedziała Toni. - Wypiłam dziś już dwie.

Dzień był chłodny, ale bezchmurny, a na szosie nie było zbyt dużego ruchu. Wewnątrz furgonetki było odrobinę za ciepło.

Uśmiechnął się do niej, ale jakby trochę niezręcznie.

- Tak, ja też - powiedział.

Toni odniosła wrażenie, że Alex żałuje, że zaprosił ją do obejrzenia tej Miary. Jechali samochodem wypożyczonym z firmy, furgonetką z politycznie poprawnym napędem hybrydowym - elektrycznym i wodorowym. Każdy, kto choć raz jechał takim pojazdem, wiedział, co to za ociężała maszyna. Miała przyspieszenie żółwia z połamanymi łapami. Prędkość maksymalna wynosiła sto pięć kilometrów na godzinę, ale tylko z górki, z wiatrem w plecy i pod warunkiem, że dobry Bóg zlitował się nad kierowcą. Osiągnięcie tej prędkości pochłaniało masę czasu. Zasięg takiej furgonetki wynosił nieco ponad trzysta kilometrów, przy wykorzystaniu obu rodzajów napędu. Potem trzeba było stanąć i podłączyć się do prądu albo zorganizować nową butlę z wodorem. Alex miał przyznany miesięczny limit kilometrów w celach prywatnych, ale rzadko go wykorzystywał. Nietrudno było zrozumieć, dlaczego. W agencji mówiło się, że można szybciej dojechać dokądkolwiek, siadając na wrotce i odpychając się rękoma; w dodatku po przyjeździe mniej będzie bolał tyłek.

Alex zabrał ze sobą sporą skrzynkę z narzędziami, akumulator samochodowy, kilka puszek oleju silnikowego, oleju przekładniowego i płynu hamulcowego.

- Rozmawiałaś dziś rano z Jayem? - spytała.

- Odsłuchałem tylko meldunek, który mi zostawił w poczcie głosowej.

Toni też się z nim zapoznała, ale żeby podtrzymać rozmowę, udawała, że nic nie wie. - Coś nowego?

- Nie. Ani złego, ani dobrego. Nie namierzyliśmy dotąd terrorystów, chociaż mamy mnóstwo najróżniejszych śladów. Żadnych nowych draństw w naszych systemach, a przynajmniej nic do nas nie dotarło. Ale boję się, że to tylko kwestia czasu. Ci faceci chcą nam coś zwalić na głowę, czuję to. - Spojrzał na nią. - I czuję się trochę nie w porządku, że wziąłem wolny dzień.

- Przecież w biurze i tak nic byś teraz nie zdziałał.

- Wiem, ale mimo wszystko...

Wyprzedziła ich wielka wywrotka, jadąc z dużą szybkością. Furgonetka zakołysała się od podmuchu powietrza.

- Gliniarzy z drogówki nigdy nie ma, kiedy mogliby się przydać - powiedziała Toni.

Uśmiechnął się na tę uwagę.

- Ukryłam fakt włamania do naszego systemu najlepiej, jak potrafiłam, ale na wszelki wypadek powinniśmy jednak zastanowić się, co będziemy mówili, kiedy sprawa przestanie być tajemnicą.

Zerknął na nią, po czym znów skierował wzrok przed siebie. - Stawiam moje pobory przeciw czerstwej bułce, że senator White dowie się o wszystkim do poniedziałku - o ile jeszcze się nie dowiedział.

- Zastanawiałeś się, co powiesz, kiedy cię wezwie w tej sprawie?

- Pewnie. Powiem prawdę. Łatwiej będzie zapamiętać. - Znów się uśmiechnął. - Dorzucę całą tę gadaninę Jaya, ale nie będzie to miało znaczenia. White chciałby się nas pozbyć na dobre i udawać, że nigdy nie istnieliśmy. Dla niego każdy pretekst będzie dobry.

- Moglibyśmy wyznaczyć kozła ofiarnego - powiedziała półzartem. - Kogoś dostatecznie wysoko w hierarchii służbowej, żeby ofiara mogła zostać przyjęta.

Tym razem spojrzął na nią bez uśmiechu. - Masz kogoś konkretnego na myśli?

W porządku, skoro się powiedziało „A”... Nabrała głęboko powietrza i zaczęła mówić. - Cóż, pomyślałam, że może ja...

- Nie ma mowy - przerwał. - Nawet o tym nie myśl. Nie chcę o tym słyszeć. Nikogo nie rzucimy lwom na pożarcie, a już na pewno nie ciebie!

Żarliwość, z jaką to powiedział, zaskoczyła ją. Była zdezorientowana.

- Zawsze będą jacyś idioci w rodzaju White'a - powiedział. - Zawsze jakiś wilk będzie kłapał paszczą i wył, żądając naszej krwi. Będziemy sobie z tym radzić, ale na pewno nie poświęcimy

nikogo z naszych ludzi, zrozumiano?

- W porządku.

Uśmiechnął się blado, próbując złagodzić ostre słowa. - Poza tym, gdyby coś ci się przytrafiło, byłbym jak dziecko we mgle.

W porządku, to był komplement. Spróbuj pójść dalej tą drogą. Ruszaj...

Usłyszała syrenę i w lusterku wstecznym zobaczyła wóz policyjny, który szybko się zbliżał. Dźwięk syreny nasilał się. Kierowca policyjnego wozu musiał wciskać gaz do deski; wprost frunął.

Alex zjechał na szerokie pobocze i zwolnił.

Wóz policji stanu Wirginia przemknął obok, oświetlając mu przez chwilę twarz stroboskopowym niebieskim światłem.

- Goni ciężarówkę - powiedział Alex. - Popatrz, jest jednak jakaś sprawiedliwość na tym świecie.

Skinęła głową. Była w samochodzie z Alexem i jechali dokądś nie w sprawach służbowych. Może rzeczywiście była jakaś sprawiedliwość.

Albo może *kris* jej guru zachował magiczną moc, zaklętą w czarnym, falistym ostrzu. Uśmiechnęła się.

- Co cię rozbawiło?

- Nic takiego, coś sobie pomyślałam - odpowiedziała.

Sobota, 15 stycznia 2011 roku, godzina 7.45

Quantico, Wirginia

Joan miała dziś wolne, ale i tak pojechała do centrali. Nie złapała dotąd tego sukinsyna, który posłużył się jej komputerem, żeby wprowadzić do sieci przeciek z informacjami o trasach konwojów z plutonem. Doszła do wniosku, że ten ktoś musiał to zrobić zdalnie, a nie osobiście, ale niczego innego i tak się nie spodziewała. To ostatnie włamanie z palcem, wysuniętym w obscenicznym geście, wkurzyło ją jeszcze bardziej, chociaż tym razem jej komputer nie miał z tym nic wspólnego. To był policzek, wyzwanie rzucone Net Force. Joan wzięła to sobie bardzo do serca. Zamierzała solidnie pozełgować po sieci i znaleźć tych palantów.

A przynajmniej takie miała plany. Jednak kiedy wchodziła do budynku, spostrzegła Julio

Fernandeza w dresie. Kuśtykał od strony toru przeszkód.

Nie widziała się z nim od kilku dni, zostawiali sobie tylko krótkie wiadomości w poczcie elektronicznej, a teraz pojawił się osobiście. Nie zaszkodzi się przywitać. Może uda się jej upiec dwie pieczenie na jednym ogniu?

Zobaczył ją, uśmiechnął się i skinął głową. - Dzień dobry, pani porucznik.

- Dzień dobry, sierżancie. Na służbie?

- Nie, proszę pani. Właśnie skończyłem poranny trening kondycyjny. Wezmę prysznic i jadę do domu.

- Chcę trochę popracować w sieci - powiedziała, wskazując ręką w stronę głównego budynku. - Chciałbyś popatrzeć? Mogłabym ci zademonstrować parę ciekawych aspektów rzeczywistości wirtualnej.

- Chętnie, ale najpierw muszę iść pod prysznic. Zrobiłem się trochę nieświeży.

Pociągnęła nosem. - Nie jest aż tak źle. Chyba wytrzymam z tobą w jednym pomieszczeniu. Chodź.

- Tak jest, proszę pani.

Uśmiechnęli się oboje.

Prawda była taka, że wcale nie przeszkadzało jej, że mężczyzna pachniał jak mężczyzna, zamiast roztaćzać woń owocowej wody po goleniu. Co w tym złego, że facet się trochę spoci? Prawdopodobnie oddziaływały na nią te wszystkie feromony...

Sobota, 15 stycznia 2011 roku, godzina 9.00

Waszyngton, Dystrykt Columbia

Tyrone zaczął dochodzić do wniosku, że dłuższe leżenie w łóżku i gapienie się w sufit robi się nudne. Naprawdę nudne.

Tysiące razy odtworzył w myślach to, co on powiedział, co ona powiedziała, wszystkie szczegóły tego, co zaszło między Bellą a nim. Wiedział, że niczego nie zmieni. To było jak wielka skała - choćby ją nie wiadomo ile razy naciskał palcem, i tak pozostanie skałą.

Westchnął, zsunął się z łóżka i ruszył do łazienki. Machnął palcami przed sensorem w ścianie i na ekranie pojawił się ustawiony domyślnie kanał informacyjny. Tata tak to zaprogramował,

wychodząc z założenia, że nikomu nic się nie stanie, jeśli od czasu do czasu obejrzą sobie wiadomości. Tyrone miał zamiar zmienić domyślne ustawienia - zabezpieczenia były śmieszne dla każdego, kto miał o tym choć trochę pojęcia - ale nie zdążył się odtąd za to zabrać.

W programie były właśnie multimedialne wiadomości lokalne. Sytuacja na drogach. Najpierw świat rzeczywisty, ulice, autostrady, potem ruch wirtualny - które obszary sieci były mało zatłoczone, gdzie pojawiały się wąskie gardła, które podserwery miały awarie.

Już w łazience, słuchał wiadomości jednym uchem.

Tato pojechał na swój trening przetrwania. Mama umówiła się na śniadanie z przyjaciółkami - Boginiami, jak się nawzajem nazywały - i na pewno nie wróci przed jedenastą. Miał więc dom dla siebie. Leżąc w łóżku nie rozwiąże żadnych problemów, więc równie dobrze może się za coś zabrać.

Miał chęć zalogować się do sieci i popracować nad swoją grą komputerową. Przez ostatnich parę miesięcy nie zrobił prawie nic; wszystko kręciło się wokół Belli, Belli, Belli. Gdy się teraz nad tym zastanowił, doszedł do wniosku, że właściwie nie robił nic oprócz zajmowania się Bellą. Kiedy nie byli razem, marzył o niej, myślał o niej, mówił o niej.

W przebłysku świadomości zdał sobie sprawę, jakim nudziarzem musiał się wydawać innym. Wciąż tylko Bella. Bella to, Bella tamto. Przyjaciele musieli go okrzyknąć Królem Nudziarzy i Głupków już w pierwszym głosowaniu. Zwłaszcza Jimmy-Joe należały się wielkie przeprosiny. Pamiętał, jak powiedział mu o swoim wielkim przedsięwzięciu komputerowym, że „to tylko gra” i pamiętał wyraz przerażenia na twarzy przyjaciela.

Rety, co za blokada danych. Głupota do dziesiątej potęgi.

No, dobrze, dobrze. Co było, to było, liczy się to, co jest teraz.

Ale pomysł zajęcia miejsca przed komputerem i wejścia w rzeczywistość wirtualną jakoś przestał mu się podobać. Chciał zrobić coś konkretnego, ale nie na komputerze.

Tylko co? Co jeszcze można by zrobić?

Uśmiechnął się z politowaniem. Czyżby w jego życiu liczyły się tylko komputery i zakłamaną dziewczyna, z którą w dodatku już się rozstał?

Mógłby pójść do centrum handlowego. Nie. Bella praktycznie mieszkała w tym przeklętym centrum. Mógłby iść na spacer, tyle że jego dzielnica była mniej więcej tak samo ciekawa, jak papierowa torba z kocimi odchodami. Może poszukać czegoś w telewizji...

Nie, nie, chciał przecież coś zrobić, a nie siedzieć i wchłaniać dane, czy to z VR, czy z wideo, czy skądkolwiek. Ale co robić w taki mroźny, słoneczny dzień?

- A teraz wiadomości lokalne - dobiegł go głos z głośnika. - Członkowie orkiestry marszowej z Kennedy High School organizują mycie samochodów, żeby zdobyć pieniądze na nowe instrumenty. Zapraszają do Centrum Lincolna w sobotę od południa do godziny szesnastej.

Mycie samochodów, ależ to interesujące.

Głośnik dudnił dalej: - W Bibliotece Dziecięcej w Foggy Bottom pisarka Wendy Heroumin będzie czytała fragmenty swej najnowszej książki pt. „Purpurowy Pingwin”.

Hej, książka dla dzieci, hura! Można dostać palpacji!

- Szósty doroczny turniej bumerangowy rozpoczyna się w Parku Lonesdale w sobotę o ósmej rano i potrwa do piątej po południu w niedzielę.

Tyrone kończył właśnie myć ręce, kiedy usłyszał te ostatnią zapowiedź. Turniej bumerangowy? Co to właściwie jest bumerang? Jakiś zakrzywiony patyk, którym rzucali australijscy aborygeni?

Hej, dysk ci się zaciął? Dlaczego nie pójdziesz tam i nie dowiesz się?

Uśmiechnął się. Jasne, dlaczego nie. Nowy park był zaledwie o kilkanaście przecznic dalej, więc nawet nie będzie musiał jechać transem. Może się tam przejść i zobaczyć, co to za turniej bumerangowy. Jedno było pewne - nie ma szans, że natknie się tam na Bellę. Albo w ogóle na kogoś ze znajomych.

Dlaczego nie? Nigdy dotąd nie widział bumerangu, z wyjątkiem rzeczywistości wirtualnej, a i tam tylko w tle. Dlaczego nie?

Przysadzisty facet stał na środku boiska piłkarskiego. Zamachnął się jaskrawopomarańczowym bumerangiem, który trzymał za koniec, wyrzuceniem od siebie i rzucił tak mocno, że aż dotknął dłonią ziemi.

Bumerang przeleciał w linii prostej dobre pięćdziesiąt metrów, koziółkując w powietrzu, po czym zaczął skręcać w lewo. Unosił się przy tym coraz wyżej, zwrócony teraz płaską stroną do ziemi i wirował, zataczając krąg wokół faceta na wysokości może dziesięciu metrów. Znalazł się za nim, potem znów przed nim, dopełniając krąg i ruszył prosto na niego - wirujący pomarańczowy trójkąt. Facet stał z dłońmi na wysokości klatki piersiowej, rozsuniętymi na kilkanaście centymetrów. Kiedy bumerang miał go uderzyć, złożył dłonie, jakby klasnął i chwycił go w locie.

Przez cały czas stał nieruchomo. Nie musiał zmieniać pozycji, to bumerang wrócił do niego.

To robiło wrażenie.

Muszę mieć taki bumerang!

Tyrone przyglądał się pokazom przez dobrą godzinę. To było fantastyczne. Faceci i babki robili rzeczy, w które trudno było uwierzyć. Bumerangi wlatywały i opadały, zataczały kręgi, wirowały. Niektórzy rzucali po kilka, jeden po drugim i uganiali się potem za nimi śmiejąc się, potykając. Świetna zabawa.

Szczególnie spodobał mu się pokaz bumerangu wojennego, zapowiedziany przez konferansjerkę. W odróżnieniu od modeli myśliwskich, ten bumerang nie był zaprojektowany, żeby wracać do rzucającego. Mężczyzna, który nim rzucał, był wysoki i szczupły. Zamachnął się, wkładając w rzut całą energię i bumerang - prawie prosty i dwa razy większy niż modele myśliwskie - poleciał jak strzała, w linii prostej, jakieś półtora metra nad ziemią. Leciał i leciał i leciał...

Niesamowite!

Kiedy wreszcie spadł, Tyrone nie wierzył własnym oczom. Taki dystans? Co najmniej dwieście dwadzieścia metrów! Zupełnie jakby miał wmontowany silniczek odrzutowy.

Ogłoszono przerwę w pokazach. Tyrone poszedł do stolików, przy których odbywała się sprzedaż. Oferowano około dwudziestu modeli w różnych kształtach, kolorach i rozmiarach. Nie miał pojęcia, co oznaczały te wszystkie różnice.

- Nie potrafisz się w tym rozeznąć, stary? - spytał mężczyzna przy jednym ze stolików. Akcent miał taki, że można by go kroić nożem. Australijczyk.

- Aha - przytaknął Tyrone. - Ale chcę się tego nauczyć.

- W porządku. Ile forsy zamierzasz na to przeznaczyć?

Tyrone wyciągnął z kieszeni kartę kredytową i sprawdził stan swych finansów. Przepuścił masę forsy na Bellę, ale zostało mu jeszcze pięćdziesiąt dolarów.

Podał sumę sprzedawcy. Na co jeszcze mogłyby mu być potrzebne te pieniądze?

- Hej, za to możesz mieć każdy z tych modeli na stole. Ale na początek polecałbym coś prostego i wytrzymałego. - Australijczyk wybrał beżowy bumerang, który miał jeden koniec pomalowany na biało. Podał go Tyrone'owi.

- Trzymaj go za ten biały koniec, jeśli jesteś praworęczny, tak, właśnie tak, jakbyś zaciskał dłoń w pięść, z kciukiem na zewnątrz. Rzucaj prosto przed siebie, trochę z nadgarstka. Musisz uwzględnić siłę wiatru i tak dalej, ale nie przejmuj się, dołączamy broszurę, z której dowiesz się wszystkiego, co potrzebne na początek.

Tyrone uważnie obejrzał bumerang. Był zrobiony ze sklejki, cały płaski, z wyjątkiem zaokrąglenia pod białą farbą, a tylko końce miał wyprofilowane. Krawędź wewnętrzna była tępa, natomiast zewnętrzna - zastrzona. Część stanowiąca uchwyt była lustrzanym odbiciem zewnętrznej krawędzi - gruba na zewnątrz i cienka wewnątrz. Tyrone ocenił, że bumerang ma jakieś pół metra długości i centymetr grubości w części środkowej. Zakrzywiony pod kątem czterdziestu pięciu, może pięćdziesięciu stopni. Odwrócił go na drugą stronę. Był tam wypalony laserem rysunek, przedstawiający czarnego człowieka z bumerangiem w rękę, gotowego do rzutu. Był też napis: GUNDAWARRA BOOMERANGS - WYKONANO W WEDDERBURN, WIKTORIA, AUSTRALIA.

- Zanim nauczysz się rzucać, nie raz walniesz nim mocno o ziemię. Modele ze sklejki są trochę

wytrzymalsze niż te z litego drewna. I tańsze. Ten kosztuje dwadzieścia dolarów.

Tyrone zważył bumerang w rękę. Uświadomił sobie, że od kiedy tutaj przyszedł, tylko raz pomyślał o Belli i to tylko przez chwilę.

- W cenie jest członkostwo w Międzynarodowym Związku Bumerangowym. Mamy wspaniałą witrynę internetową.

Tyrone uśmiechnął się. - Biorę go.

30

Sobota, 15 stycznia 2011 roku, godzina 11.55

Wschodni Oregon

Howard znalazł nasłonecznione miejsce, w którym postanowił zrobić przerwę na drugie śniadanie. Teren był tu prawie zupełnie płaski, zaśnieżony i osłonięty od wschodu sosnami Douglasa i karłowatymi krzewami. Drzewa były ubrane w grube śniegowe czapy. Kilka mniejszych sosen pochylało się niebezpiecznie pod ciężarem śniegu, zwieszając gałęzie ku ziemi.

Niebo było bezchmurne i zrobiło się trochę cieplej, stopień, może dwa powyżej zera. Wielkie płaty mokrego śniegu spadały z drzew na ziemię. Pac, pac.

Howard wybrał sobie miejsce na przygotowanie posiłku obok płaskiego głazu, z dala od zwisających gałęzi. Wydeptał raketami koło w śniegu. Sięgnął po virgila, nadał sygnał, żeby potwierdzić, że jeszcze żyje, ściągnął plecak, odpiął rakiety śnieżne i ustawił kocher na kamieniu. Wrzucił parę garści śniegu do garnka i czekał, aż się rozpuści. Zamierzał przygotować sobie liofilizowanego kurczaka z warzywami.

Czekając, aż woda się zagrzeje, przeszedł się dookoła, wydeptując ścieżkę w niezbyt głębokim śniegu. Rozglądał się, szukając śladów zwierząt, a przy okazji sprawdzał, czy nie pozostawili tu czegoś ludzie. Nie znalazł niczego, co wskazywałoby na obecność zwierząt czy ludzi. Był tu zupełnie sam.

Sam, daleko od domu. Podobało mu się to uczucie, że jest panem wszystkiego w zasięgu wzroku.

Pokręcił ramionami i szyją, zrobił parę przysiadów i skłonów. Od poprzedniej przerwy minęły

dwie godziny, a dwie godziny marszu w rakietach śnieżnych to już spory wysiłek. Bez względu na wiek...

W garnku zaczęła bulgotać woda. Ruszył z powrotem do kochera, przechodząc pod gałęziami. Kiedy unióś głowę, zobaczył wielki płat topniejącego śniegu, spadający z wysokiej gałęzi prosto na niego.

- O, nie! - zawołał ze śmiechem i odsunął się na bok. Płat mokrego śniegu minął go o pół metra, ale Howard potknął się i chwycił ręką za pień drzewa, żeby utrzymać równowagę. To był błąd. Ciężar jego ciała okazał się wystarczająco duży, żeby potrząsnąć drzewem i wywołać całą lawinę.

Znów się zaśmiał i odskoczył na drugą stronę pnia, zadowolony, bo udało mu się uniknąć większości lodowatego prysznicu.

Ale to uczucie zadowolenia natychmiast minęło.

Uwolnione od ciężaru śniegu drzewo rozprostowało się jak sprężyna i mocno uderzyło w drzewo obok, które przełamało się z trzaskiem na wysokości trzech metrów nad ziemią.

Zupełnie, jakby ktoś złamał ołówek.

Śnieg nie był zbyt głęboki, ale za głęboki, żeby po nim szybko biec.

Howard zdążył jedynie unieść ręce nad głowę, zanim spadło na niego złamane drzewo.

Sobota, 15 stycznia 2011 roku, godzina 15.05

Fredericksburg, Wirginia

Pochylony nad silnikiem Miaty, Michaels powiedział: - W porządku, spróbuj jeszcze raz.

- Już się robi - zawołała Toni, siedząca za kierownicą i przekręciła kluczyk w stacyjce. Silnik zakaszłał, bardziej basowo niż przedtem.

- Dodaj trochę gazu, zapompuj pedałem!

Tak zrobiła i po chwili silnik zaskoczył.

- Hura! - zawołali oboje jednocześnie.

Byli sami w garażu. Greg Scates, były właściciel Mazdy, już sobie poszedł.

Zaczął się od tego, że Alex, rzuciwszy okiem na licznik kilometrów, powiedział do Toni: -

Jezu, niecałe półtora tysiąca kilometrów!

Od razu zaproponował cenę. Greg był zaskoczony; nie spodziewał się, że dostanie tak dużo. O wiele więcej, niż myślał.

Alex od razu przelał całą sumę ze swej karty kredytowej na konto Grega, po czym oboje pomachali mu na pożegnanie.

Michaels zamknął maskę, wytarł ręce w czerwoną szmatę i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Pracowali przy tym samochodzie od kilku godzin. Znaleźli zapakowane do plastikowych worków koła z oponami i okazało się, że są one w nadspodziewanie dobrym stanie. Napompowali je za pomocą kompresora, podłączonego do akumulatora furgonetki i założyli z powrotem. Wlali trochę paliwa do baku, olej do silnika i do skrzyni biegów, płyn hamulcowy, płyn chłodniczy, wtłoczyli smar do wyznaczonych punktów, wymienili akumulator i podregulowali wtryskiwacz paliwa. Alex sprawdził świece i kable, oczyścił różne podzespoły z ochronnej warstwy smaru, to coś dokręcił, tam docisnął i wreszcie silnik kabrioletu zamruczał.

Alex powiedział Toni, że zamierza wrócić Miatą do domu, bez względu na to, że termin ostatniego przeglądu technicznego minął wiele lat temu.

- Niech tam, w razie czego zapłacę mandat - powiedział.

Oczyścił ręce ze smaru, podszedł do otwartych drzwi kierowcy i spojrzał na Toni. - Będę musiał zdobyć nowy dach - zaczął wyliczać - nowe pasy bezpieczeństwa, przewody wysokiego napięcia do świec i jeszcze parę drobiazgów. Lakier jest w całkiem niezłym stanie, ale ten czerwony kolor niezbyt mi się podoba. Może by tak szmaragd?

Uśmiechnęła się do niego. Też miała trochę brudu za paznokciami. Najpierw pomogła mu założyć koła, a potem podawała narzędzia. Alex był jak mały chłopiec. Podekscytowany, co chwila coś jej pokazywał. - Spójrz tylko! Popatrz na to! - Praca tak go pochłonęła, że zapomniał o bożym świecie, jakby zrzucił z ramion cały ciężar odpowiedzialności, wszystkie problemy.

Przyglądała mu się z przyjemnością. Był taki odprężony i rozradowany.

- No, przejedźmy się kawałek - zaproponował.

Zaczęła wysiadać z samochodu.

- Nie, nie, zostań. Ty prowadzisz. Poradzisz sobie z ręczną skrzynią biegów, prawda?

- Jasne.

Wytarł ręce do czysta, obszedł samochód dookoła i wsiadł po stronie pasażera. Brama garażu była już otwarta, a słoneczne popołudnie zachęcało do przejażdżki. Toni wrzuciła wsteczny bieg i ostrożnie wyjechała na ulicę. Wyprostowała koła i zaczęła wrzucać jedynekę.

- Chwileczkę - powiedział Alex. Odwrócił się do tyłu, odsunął zamek błyskawiczny tylnego okna z szybą z cienkiego plastiku, opuścił je i zabezpieczył, otworzył zamki, mocujące otwierany dach i odsunął go do tyłu. Tkanina złożyła się w harmonijkę.

- *Voilà!*- zawołał. - Kabriolet! Nie będzie ci za zimno?

- Oczywiście, że nie.

- W porządku. Ruszaj, zobaczymy, jak się prowadzi.

Toni zwolniła sprzęgło - było trochę sztywne, a pedał skrzypiał - i Miata wyrwała do przodu. Krótka dźwignia zapewniała łatwą i szybką zmianę biegów i po chwili jechali już setką po czteropasmowej autostradzie. Miata doskonale reagowała na najmniejszy ruch kierownicą i wciśnięcie pedału gazu. Zakręty pokonywała fantastycznie. Toni bez żadnych problemów wzięła z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę zakręt, na którym obowiązywało ograniczenie do pięćdziesięciu.

- Jest cichszy niż myślałam - powiedziała. - I wcale za bardzo nie wieje.

- Przyspiesz do stu dwudziestu, a dopiero się zdziwisz.

Ruch był niewielki, więc Toni dodała trochę gazu. Przy stu dwudziestu kilometrach na godzinę podmuch wiatru jakby zelżał i zrobiło się jeszcze ciszej.

- To sprawa aerodynamicznego kształtu nadwozia. Czyż to nie wspaniałe? - Uśmiechnął się do autostrady, nawijającej się na koła.

Kilka kilometrów dalej Toni zjechała na parking supermarketu.

- Coś nie w porządku? - spytał.

- Nie, teraz twoja kolej. Aż się rwiesz do kierownicy, od kiedy ruszyliśmy.

Znów się uśmiechnął. Uwielbiała jego uśmiech. Wskoczył z samochodu i podbiegł do drzwi kierowcy, podczas gdy ona przesiadała się na miejsce pasażera.

Usiadł za kierownicą, sprawdził ustawienie zewnętrznego lusterka po swojej stronie, potem wewnętrznego. Następnie spojrział w lusterko po stronie pasażera. - Trzeba je trochę przesunąć - powiedział.

Wyciągnęła rękę, żeby poprawić lusterko.

- Czekaaj, poradzę sobie. Popatrz. To jedna z zalet takiego małego samochodu. - Pochylił się i chwycił ręką lusterko po jej stronie. - Widzisz? W tej żółtawatej furgonetce nie dałoby się tego zrobić.

Jego twarz była w tym momencie o kilka centymetrów od jej twarzy.

Toni poczuła w nozdrzach zapach jego potu i wody kolońskiej. Łokciem prawie dotykał jej piersi, a usta miał tak blisko, że mogła go pocałować.

I bez zastanowienia właśnie to zrobiła. Pochyliła się trochę do przodu, dotknęła wargami jego warg i pocałowała.

Czyś ty zwariowała, Toni?

Pod wpływem paniki zeszywniała nagle. Och, nie! Co ja narobiłam?

Cofnęła się, żeby przerwać pocałunek.

Alex zdjął rękę z lusterka i ujął Toni za głowę. Poruszył ustami, rozchylił wargi i poszukał jej języka swoim.

Bóg musi istnieć, pomyślała.

Sobota, 15 stycznia 2011 roku, godzina 12.15

Wschodni Oregon

Howard znalazł się w pułapce.

Miał szczęście, że sosna, gruba jak człowiek w pasie, miała dość gałęzi, by osłabić upadek złamanej części pnia, która w przeciwnym razie zrobiłaby z niego miazgę. Ale pień przygniótł mu łydkę. Howard, leżący twarzą do ziemi, nie mógł wyswobodzić nogi. Zdołał wprawdzie pościągać sobie gałęzie z pleców i usiąść, jednak lewa noga była uwięziona, prawą miał wyciągniętą przed siebie.

Odpoczywał już w wygodniejszej pozycji. Przyciśnięta noga nie bolała. To dobrze, czy źle?

Mógł poruszać lewą stopą, nie stracił w niej czucia i to było pocieszające. Może nawet nie doszło do złamania piszczeli, czy kości strzałkowej, ale w tej chwili było to bez znaczenia.

Znaczenie miało to, że jego virgil był bezpiecznie przypięty karabińczykiem do kółka przy plecaku, leżącym koło kochera. Do plecaka Howard miał nie więcej niż trzy metry, ale w obecnej sytuacji mogło to być równie dobrze dziesięć milionów kilometrów.

Spróbował unieść pień, a potem odepchnąć go, zapierając się wolną nogą, ale na próżno. Nawet w mniej niewygodnej pozycji takiej masy drewna prawdopodobnie nie dałby rady poruszyć samą siłą mięśni. Pień, który przygniatał mu łydkę, miał w tym miejscu grubość słupa telefonicznego.

Paskudna sytuacja.

Był na pustkowiu, przyciśnięty do zaśnieżonej ziemi i nie mógł dosięgnąć virgila. Był wprawdzie odpowiednio ubrany, ale po zachodzie słońca zrobi się bardzo zimno, a spanie twarzą do ziemi w temperaturze poniżej zera nie było najlepszym pomysłem.

Oczywiście, jeśli nie nada swego sygnału przez dwadzieścia cztery godziny, wywołają go, a kiedy się nie zgłosi, znajdą virgila i jego, tyle że do tego czasu zdąży pewnie zamarznąć na kość. A nie zaczną szukać do jutra w południe.

Nie, sytuacja zdecydowanie nie była dobra.

Nabrał głęboko powietrza, wypuścił je i przyglądał się obłoczki pary. Wcale nie było tak ciepło. Prawdę mówiąc, miał wrażenie, że temperatura spadła o dwadzieścia stopni od chwili, kiedy parę minut temu popadł w tarapaty.

- W porządku, John - powiedział do siebie głośno. - Rozważmy sytuację. Masz coś, co mogłoby ci się teraz przydać?

Miał zapalniczkę w kieszeni kurtki. Dookoła było pełno suchych igieł sosnowych i mnóstwo gałęzi, wprawdzie trochę mokrych, ale był pewien, że potrafi rozpalić ogień. Więc nie zamarznie, jeśli zrobi to jak należy. Może nawet mógłby przepalić pień. Podzielić jego ciężar na dwie części i zepchnąć go z nogi.

Albo wywołać mały pożar lasu i usmażyć się przy okazji.

Hm. Wstrzymajmy się z tym na razie.

Co jeszcze?

Miał nóż. Sięgnął ręką do prawego biodra, odczuł ulgę, natrafiwszy na rękojeść i wyciągnął nóż z pochwy.

Był to bagnet, zwany *tanto*, z racji zakrzywionego czubka, podobnego do japońskich mieczy. Miał dwadzieścia osiem centymetrów długości, z czego trzynaście przypadało na klingę, która w najgrubszym miejscu miała dziewięć i pół milimetra. Rękojeść była gumowa, zapewniająca pewny chwyt, garda z mosiądzu. Świetna broń. Ten, kto potrafił się z nią obchodzić, mógł zabić człowieka jednym pchnięciem, ale nie była przystosowana do rąbania grubych pni. Mimo wszystko wiedział, że jeśli zdoła się przekręcić i wytrzyma w tej pozycji dostatecznie długo, w końcu przerąbie pień. Może to długo potrwać, ale przecież i tak nie miał nic innego do roboty...

Poczuł się lepiej, wiedząc, że ma co najmniej dwie możliwości.

Nawet trzy. Przecież zawsze mógł sobie odrąbać nogę poniżej kolana, prawda?

Uśmiechnął się do siebie.

- W porządku, John. Co jeszcze można by zrobić? Może pociąć kurtkę na pasy, zrobić lasso i spróbować przyciągnąć plecak? W końcu to tylko trzy metry, powinno się udać i miałbyś z powrotem

virgila.

Aha, dopiero by było. Stary Howard pozwala, żeby drzewo zważyło mu się na dupę i musi wzywać pomoc. Szkoda, że bez kurtki zamarzył na śmierć, zanim udało się znaleźć wolny śmigłowiec i odszukać go...

No, może nie byłoby tak źle. Postanowił umieścić tę możliwość na liście przed podpalaniem zwałonego drzewa. Chwileczkę, była jeszcze jedna możliwość. Metoda TD.

Tylne Drzwi.

Jeśli nie udaje się rozwiązać problemu, wchodząc frontowymi drzwiami, trzeba spróbować od tyłu. Jeśli wróg okaże się zbyt silny, żeby go atakować frontalnie, wyjściem z sytuacji jest czasem zajście go z flanki.

Howard spojrział na swą nogę i uśmiechnął się. Pień wcisnął ją w śnieg, tak że musiała teraz leżeć prawie na ziemi. Ale przecież ziemia, choćby i zmarznięta, nie jest tak twarda, jak drewno. Zwłaszcza, jeśli ogrzeje ją ciepłutka ludzka noga.

Musi więc po prostu wykopać dołek pod przygniecioną nogą, zaczynając z boku. Kiedy łydka osunie się do dołka, pień pozostanie oparty o jego brzegi i będzie można wyswobodzić nogę.

Metoda TD.

Brzmiało to całkiem rozsądnie. Znacznie rozsądniej, niż udawanie Paula Bunyana* z bagnetem zamiast topora albo zabawa z ogniem.

Roześmiał się. - Kop, chłopcze, kop! Spisz się dobrze, a nikt nigdy nie dowie się, co ci się przytrafiło.

Zmienił trochę pozycję i odgarnął śnieg obok przygniezionej nogi, aż do ziemi. Nie dostrzegł śladów krwi. Bardzo dobrze.

Pod cienką warstwą piasku była twarda glina, i to zamrznięta, ale wyswobodzenie się zajęło mu mniej niż godzinę. Pod koniec najbardziej martwił się już tym, że garnek na ogniu może się przepalić, kiedy woda się wygotuje, ale zdążył wrzucić go w śnieg, żeby ostygł.

Kostka nie była skręcona. Śnieg zamortyzował uderzenie pniem drzewa na tyle, że nawet nogawka spodni nie była rozdarta. Stopa trochę go bolała, ale nie tak bardzo, żeby nie mógł iść. Jedząc spóźniony posiłek, Howard był z siebie ogromnie zadowolony.

W porządku, przybyło mu lat. Ale słabszą kondycję mógł przecież rekompensować sprytem i doświadczeniem. Starzenie się mogło być straszne, ale przecież i tak lepsze to niż jedyna alternatywa, prawda?

Filozof z ciebie, John.

Zgadza się.

Nic tak nie poprawia samopoczucia, jak sukces. Nawet jeśli był iluzoryczny. Howard czuł się w tej chwili doskonale.

31

Sobota, 15 stycznia 2011 roku, godzina 15.20

Fredericksburg, Wirginia

Kierowca przejeżdżającego samochodu zderzył się i roześmiał się, ale Alex wcale się tym nie przejmował. Pożądanie, o którym myślał, że zamarzło w nim, od kiedy rozstał się z Megan, odżyło nagle z całą mocą. Boże, jakże cudownie było trzymać Toni w ramionach. Jej wargi były ciepłe, miękkie. Zarzuciła mu ręce na plecy i przyciągała do siebie, czuł jej piersi, kiedy się do niego tuliła...

Zacwierkał virgil, grając klasyczny kawałek z „Czterech Pór Roku”, sygnalizujący pilną rozmowę.

Niech to diabli!

Przerwał pocałunek, odsunął się trochę i sięgnął po virgila.

- O rany - powiedziała Toni. Twarz miała zaróżowioną. Oddychała szybko.

- Zaczekaj, zaraz do ciebie wrócę, dobrze?

Nacisnął klawisz przyjęcia rozmowy.

- Michaels.

- Dyrektorze, tu Jay Gridley. Przepraszam, że panu przeszkadzam, szefie, ale, jak by to powiedzieć, gówno wpadło właśnie w wentylator.

- Co się stało?

- Ci faceci z Friehedsakse spowodowali właśnie awarię systemu komputerowego Banku Internetowego USA. Mam nadzieję, że ma pan w kieszeni trochę gotówki, bo czeku nie udałoby się panu dzisiaj zrealizować.

- O kurwa!

- Tak jest, szefie, to słówko słychać tu bez przerwy. Ci z banku toczą pianę z pysków, a w sieci zaczęła się panika. Kto żyw stawia dodatkowe ściany ognia i inne bariery, cała sieć NorAM* zaczyna przypominać dom wariatów.

- Staramy się jakoś ograniczyć skutki?

- Polewamy płomienie wodą, ale to naprawdę ogromny pożar lasu, szefie. Jest gorąco i paskudnie, a z każdą chwilą robi się jeszcze goręcej i paskudniej. Będziemy musieli wyłączyć kilka wielkich systemów i pozamykać masę serwerów sieci federalnej.

- Róbcie, co się da, rzuć do tego naszych wszystkich ludzi. Już do was jedziemy... już tam jadę - powiedział Michaels i rozłączył się.

Spojrzał na Toni. - Przykro mi - powiedział. Potrząsnęła głową. - Mam nadzieję, że mówisz o tym, co usłyszałeś.

- Tak, zgadza się. Ale... to... - wskazał gestem ją i siebie - chyba nie było zbyt rozsądne.

- Wiem o tym.

- Jestem twoim szefem. Takie sprawy powodują masę problemów.

- Jakie sprawy?

Wytrzeszczył na nią oczy. - Toni, przecież wiesz, o czym mówię. Biurowy romans. Szefowie sypiający z podwładnymi.

Uśmiechnęła się szeroko. Pierwszy raz widział ją uśmiechającą się w ten sposób. - O rety - powiedziała rozmarzonym głosem.

- Co?

- Chcesz się ze mną przespać?

- Tak, oczywiście, ale w tych okolicznościach...

- Odejdę z Net Force - powiedziała.

- Co takiego?

- Jeśli zaczniemy ze sobą sypiać, podam się do dymisji.

- Toni...

- Mówię poważnie. Jeśli to, że jesteś moim zwierzchnikiem, ma być dla ciebie problemem, to

przecież możemy temu zaradzić. Uwielbiam z tobą pracować, Alex, ale bez trudu mogę sobie znaleźć inną pracę. W tej chwili osobisty związek z tobą jest dla mnie ważniejszy niż stosunki służbowe.

Zamrugał, oszołomiony tym, co powiedziała. - Zrezygnowałabyś z pracy dla seksu ze mną?

- Bez namysłu.

- Dlaczego? Ja wcale nie jestem taki atrakcyjny.

- Nie doceniasz się. Mówię poważnie.

Pokręcił głową. - Jezu, musimy wracać do biura i zająć się tą katastrofą. Możemy porozmawiać o tym później?

- Kiedy tylko zechcesz. Wracamy po furgonetkę?

- Niech tam zostanie. Wyślę po nią kogoś.

Uruchomił silnik Miaty.

Jasny gwint. Że też człowiek nigdy nie może mieć chwili spokoju.

Sobota, 15 stycznia 2011 roku, godzina 15.25

Hana, Maui, Hawaje

Winthrop była w sieci z Julio, pokazując mu parę ciekawszych aspektów rzeczywistości wirtualnej. Pozwoliła mu wybrać lokalizację, a on zdecydował się na hawajską plażę na Maui, koło Hany. Byli w tym scenariuszu sobą, on w spodenkach, ona w skąpym kostiumie kąpielowym. Szli boso po czarnym, wulkanicznym piasku plaży, słuchali załamujących się fal, krzyku mew. Wiała leciutka bryza, morze było ciepłe, słońce pieściło ich odsłoniętą skórę.

- No i jak ci się podoba?

- Nieźle, jak na starego wiarusa. Dlaczego wybrałeś właśnie to miejsce?

- Byłem tu kiedyś, to znaczy w świecie rzeczywistym. Zostało mi trochę miłych wspomnień. Poza tym, chciałem zobaczyć, jak wyglądasz w kostiumie kąpielowym.

- Założę się, że mówisz to wszystkim dziewczynom.

- Jasne, że tak. Ale mam uczciwe zamiary, wiesz, mógłbym przecież wyczarować sobie plażę dla nudystów.

Roześmiała się.

Omijali właśnie wielką skałę w miejscu, gdzie morze głębiej wrzynało się w ląd, kiedy Joan zauważyła coś dziwnego. Morze jakby się cofało, stawało się coraz płytsze. Odpływ był tak gwałtowny, że na odsłoniętym dnie podskakiwały ryby. Wielki węgorz wił się rozpaczliwie, usiłując dogonić cofającą się wodę.

- Dobry efekt - powiedziała. - Ale co oznacza?

Pokręcił głową. - Nie mam pojęcia. To nie moja robota.

Woda cofała się coraz dalej. Joan widziała już ogromny

kawał odsłoniętego dna morskiego.

- O rany!

- Co?

- Właśnie zrozumiałam, co się dzieje. Widzisz to?

Julio zmrużył oczy, spoglądając pod słońce. - To mi wygląda na jakąś wielką falę.

- Bo to jest wielka fala, i stanie się jeszcze o wiele większa, kiedy zbliży się do brzegu. To *tsunami*.

- Fala pływowa?

- Tak się mówi, ale nazwa wprowadza w błąd. Takie fale nie mają nic wspólnego z przyptykami i odpływami morza. Powstają zwykle w wyniku trzęsień ziemi lub wybuchów podwodnych wulkanów, a czasem także, kiedy w powierzchnię oceanu uderzy wielki meteor. Może ją też spowodować ktoś, kto bawi się wielkimi ładunkami nuklearnymi.

- Ale skąd w moim scenariuszu wzięła się nagle fala *tsunami*?

- Nie mam pojęcia, ale wygląda na to, że nadciągają kłopoty. Coś wielkiego wydarzyło się w sieci. Przykro mi, ale musimy przerwać lekcję. Wychodzimy ze scenariusza. Zobaczymy, jak to wygląda w świecie realnym.

- Tak jest, proszę pani. To ty jesteś ekspertem.

- Uważaj...

Sobota, 15 stycznia 2011 roku, godzina 15.30

Quantico, Wirginia

Fernandez znów znalazł się w sali komputerowej, siedząc koło Joan. Ruchami obu dłoni sterowała swą stacją roboczą, wywołując szybko zmieniające się obrazy, słowa i liczby, które projektor holograficzny wyświetlał w trzech wymiarach. I klęła przy tym jak szewc.

- Jasna cholera! Jak to się, u diabła, mogło stać?

Znów zamachała rękami, po czym zaczęła wściekle stukać w klawiaturę.

Fernandez milczał, zdając sobie sprawę, że nie czas teraz zawracać jej głowę głupimi pytaniami.

Nie miał pojęcia, co się działo, ale nie wyglądało to dobrze.

- Nie, nie, nie, ty sukinsynie! Omiń ten *ruter**, rozwalisz... szlag by to trafił! Stop!

Jay Gridley wpadł biegiem do sali komputerowej, a sądząc po tym, jaki był podniecony, musiał już wiedzieć, że stało się coś niedobrego.

- Winthrop, wiesz już, co się, u diabła, dzieje?

- Wiem. Jezus, Maria!

Gridley opadł na krzesło przy innej stacji roboczej. - O rany! Właśnie padły zabezpieczenia w Fed Jeden.

- Jay, musimy ściągnąć paru programistów...

- Już to zrobiłem. Szef jest w drodze, reszta też.

- Dzwoniłeś do Fiorelli?

Oderwał na chwilę wzrok od migających obrazów, wyświetlanych przez projektor holograficzny i spojrzał na nią. - Nie musiałem. Namierzyłem jej virgila. Znajdował się tuż obok virgila szefa. Są razem. - Zatrzepotał powiekami. - Czy to nie jest interesujące?

- Żadna nowość - powiedziała Joan. - Powinieneś zwracać więcej uwagi na to, co dzieje się dookoła ciebie w świecie rzeczywistym, Gridley.

- Pieprz się, Winthrop.

- Chciałbyś, patafianie! Możesz sobie tylko pomarzyć.

- To nie marzenie, to koszmar.

Fernandez czuł się jak piąte koło u wozu. Nie wiedział, co się działo i nie zamierzał pytać, ale na pewno nie było to nic dobrego.

- Zapadnie w Fed Dwa właśnie się zatrzasnęły - powiedziała Joan.

- Widzę - warknął Gridley. - Może dałoby się przekierować... kurwa! Fed Trzy też pływa do góry brzuchem. Mamy tam wielką infekcję!

- Wirus? - spytał Fernandez.

- Nie wirus, ale cała cholerna epidemia! - powiedział Gridley. - Ktoś przedostał się przez nasze najlepsze zabezpieczenia antywirusowe i podrzucił bombę z replikatorem. Wirusy reprodukuja się i szerzą w federalnych systemach finansowych jak pożar buszu. Jedyne sposoby, żeby to powstrzymać, to wyłączenie wszystkich zainfekowanych systemów i oczyszczanie ich po kolei.

- Gówno - mruknęła Joan. - Gówno, gówno, gówno! - Odchyliła się na krześle i patrzyła na obrazy, które Fernandezowi nic nie mówiły.

- Cóż, jedno muszę ci przyznać - powiedział Fernandez. - Potrafisz zapewnić chłopakowi dobrą zabawę.

- Zaczekaj, zaczekaj - zawołała Joan. - Mam coś!

- Możesz to powstrzymać? - spytał Julio.

- Nie, nie mogę. Ale chyba potrafię ustalić, skąd się wzięło. Rety, aż nie mogę uwierzyć, że ten facet jest taki głupi! Jay?

- Widzę! Mam zamiar! Jak tyś to zrobiła, Winthrop?

- Znalazłam ducha* w mojej stacji; pojawił się w momencie włamania. Na wszelki wypadek zeskanowałam go i porównałam.

- A co to znaczy? - spytał Fernandez, chociaż był zdecydowany nie zadawać głupich pytań.

- To znaczy, że możemy pójść śladem tego drania... jeśli się pośpieszymy i jeśli uda nam się ustalić jego sygnaturę.

- Dobra robota, Winthrop - powiedział Gridley. - Ruszasz za nim?

- Bardzo chciałabym osobiście dać mu kopa w dupę, ale niestety muszę przyznać, że w tej dziedzinie jesteś lepszy ode mnie, Gridley. Ruszaj! Złap go!

Gridley uśmiechnął się. - Wiesz, nawet nie jesteś taka najgorsza, jak na białą dziewczynę. Ruszam.

Kiedy Toni i Alex dotarli do centrali, w ośrodku komputerowym panowało wielkie poruszenie. Byli tam już Jay, Joan i połowa programistów, wszyscy przed stacjami roboczymi i bardzo zajęci. Julio Fernandez siedział przy drzwiach i patrzył.

- Dzień dobry, sierzancie - powitała go Toni. - Jak idzie?

- Pyta pani niewłaściwego faceta. Rozumiem mniej więcej jedno słowo na dwadzieścia. Ale to na pewno paskudna sprawa. Gridley nazwał ją bombą z replikatorem.

- O cholera - zaklęli jednocześnie Toni i Alex.

- Ale Jo i Gridley najprawdopodobniej namierzili tego, który podłożył tę bombę. Gridley go teraz jakoś ściga. Z tej części prawie nic nie zrozumiałem.

- Dzięki, sierzancie - powiedziała Toni.

- Nie ma za co, pani dyrektor.

Alex podszedł do Joan. Toni zamierzała właśnie pójść do swego gabinetu i przejrzeć meldunki o uszkodzeniach, ale powstrzymał ją uśmiech Fernanda. - Coś zabawnego uszło mojej uwagi? - spytała. - Chętnie bym się też pośmiała.

- Nie, proszę pani, nic zabawnego.

- To skąd ten uśmiech?

- Och, wie pani, tak sobie rozmyślałem.

- O czym?

- Nie o czym, tylko o kim. O pani i dyrektorze.

Toni poczuła, że się rumieni. - O mnie i o dyrektorze?

- Tak, proszę pani.

Boże, tak to po mnie widać? Przecież jeszcze do niczego nie doszło!

- A co pan o nas myślał, sierzancie?

- Nic takiego, proszę pani. Że dobrze się stało, że oboje dotarliście tutaj tak szybko.

- Nie umiesz kłamać, Julio.

- Tak jest, proszę pani. Chyba powinienem trochę poćwiczyć.

- Muszę pędzić - powiedziała.

Szybkim krokiem poszła korytarzem. Sierżant wiedział. Ale skąd? Skąd mógł się dowiedzieć? To drobne przejęzyczenie, kiedy Alex powiedział „Jedziemy” zamiast „jadę”? Nie, niemożliwe. Zresztą, rozmawiał wtedy z Jayem, a nie z Fernandezem.

No, dobrze, potem się zobaczy. Teraz mieli na głowie poważny kryzys.

Nie wszystko naraz, dziewczyno, nie wszystko na raz...

32

Sobota, 15 stycznia 2011 roku, godzina 15.40

Marietta, Georgia

Platt był bardzo zadowolony ze swego najnowszego draństwa w sieci. Fascynujące, ile można zdziałać, kiedy ma się plik tajnych kodów i haseł, dzięki uprzejmości kogoś, kto ma dostęp do senatora Stanów Zjednoczonych. Można na przykład sparaliżować znaczną część całego elektronicznego systemu bankowego Stanów Zjednoczonych. Klik i gotowe. Ci biedacy z FBI biegali w kółko, jak kurczaki z poobcinanymi łbami, gorączkowo próbując zapobiec awarii systemów finansowych. Ale na próżno, nie uda im się. Najpierw będą musieli wyłączyć znaczną część systemu bankowego, i o to właśnie chodziło. Bo część tego systemu, którą będą musieli wyłączyć, była elektronicznym odpowiednikiem starego, dobrego sejfu, uniemożliwiającego cybernetycznym bandytom obrabowanie banku. Kiedy drzwi sejfu staną otworem, zrobi się naprawdę interesująco...

Był w łazience, kiedy usłyszał sygnał alarmowy. W pierwszej chwili pomyślał, że to czujnik przeciwpożarowy, ale zaraz zorientował się, że sygnał nadaje jego komputer, stojący na stole w kuchni.

- Co, u diabła...?!

Pobiegł do kuchni.

Zgadza się, głośnik przenośnego komputera wył jak oszalały.

Platt stał przez chwile nieruchomo, ze wzrokiem wbitym w komputer. Coś takiego w ogóle nie powinno się było zdarzyć, ale jeśli to nie jakaś niesprawność oprogramowania, to znaczy, że ktoś namierzył jego główny sygnał wejściowy. Mogli to zrobić jedynie z satelity, jeszcze przed retransmisją, a to oznaczało, że musieli tam czekać na ten sygnał, wiedząc, czego szukają.

Niemożliwe. Przecież nie pozostawił tak wyraźnych śladów.

Pośpiesznie zabrał się do pracy. Wprowadził z klawiatury kod potwierdzający. Może to tylko błąd programu, jakiś drobiazg, który wywołał alarm...

Cholera, to nie sprawa oprogramowania!

Prześledzili jego sygnał. A jeśli wiedzieli, gdzie się znajduje, bardzo prędko dowiedzą się też, kim jest. Pewnie już są w drodze, żeby z nim sobie pogadać.

Platt wyłączył komputer. Musiał stąd zniknąć, i to zaraz!

Jak, u diabła, mogło do tego dojść? Co wiedzieli ci cholerni faceci z Net Force, czego on nie wiedział? Jakaś nowa technologia? Niech to szlag!

Później się tym będziesz martwił, stary. W tej chwili musisz brać dupę w troki, jeśli nie chcesz rozmyślać nad tym w celi jakiegoś więzienia federalnego!

Sobota, 15 stycznia 2011 roku, godzina 21.15

Bissau, Gwinea Bissau

Hughes uśmiechnął się do siedzącego po drugiej stronie stołu Domingosa i uniósł kieliszek z winem. Byli sami w oficjalnej sali jadalnej, przy trzecim spośród siedmiu dań kolacji. Sala wydawała się pusta - mogła bez trudu pomieścić setkę gości i Hughes czuł się trochę dziwnie, siedząc naprzeciw Domingosa przy wielkim owalnym stole, jednym z sześciu, które tu ustawiono.

Następnym daniem była jakaś miejscowa ryba, więc przeszli na białe wino, australijskie Pinot Gris, rocznik 2003. Lepszego Hughes nie miał dotąd okazji spróbować. Domingos był dumny ze swej piwniczki i z kucharza, i miał ku temu podstawy.

Hughes pochwalił wino.

- Jesteś nazbyt uprzejmy - powiedział prezydent, ale było widać, że komplement sprawił mu przyjemność.

Popijali wino, przyglądając się kelnerom, którzy zabrali talerze i nakryli do następnego dania.

- Więc wszystko idzie dobrze, tak? - spytał prezydent.

Hughes zerknął na zegarek. - Właśnie w tej chwili, ekscelencjo, kiedy my tu rozmawiamy, moi agencji finalizują sprawy. Za kilka dni będziemy mogli przeprowadzić transfery. Nie przewiduję żadnych problemów.

- Doskonale! - Domingos uniósł kieliszek. - Za przyszłość!

- Z przyjemnością spełnię ten toast.

Hughes uśmiechnął się, sącząc wino. Właśnie w tej chwili jego agent Platt powinien, ku swemu wielkiemu zaskoczeniu, znaleźć się w opałach. Dobry był ten Platt, pożyteczny, ale nie był jedynym agentem, zatrudnianym przez Hughesa.

Hughes był pewien, że jego podstęp nie doprowadzi do aresztowania Platta - tamten był zbyt sprytny, żeby dać się tak łatwo złapać. Był też jednak przekonany, że ten zwariowany rasista zorientuje się, że z Hughesem nie ma żartów. W żadnym wypadku nie chciał, żeby Platt trafił za kratki, gdzie mógłby wypaplać wszystko, co wiedział o tej sprawie. Chciał natomiast, żeby ten prostak stracił trochę pewności siebie, zaczął się trochę bać i z wdzięcznością skorzystał z pomocnej dłoni pracodawcy.

Jeśli ktoś myśli, że podaje mu się rękę, żeby pomóc mu się wydostać z głębokiego dołu, może nie zauważyć noża w drugiej ręce rzekomego wybawcy.

Platt nie był niezastąpiony; co więcej - musiał zniknąć. Jego użyteczność była już prawie wyczerpana... ale jeszcze nie całkiem.

Podano rybę, jeden półmisek z czymś, co wyglądało na dziesięciokilogramowego okonia morskiego, przyrządzonego w całości. Pachniał cudownie.

- Sztuka polega na dodaniu francuskiego masła z prażonymi orzechami laskowymi - powiedział Domingos. - Teraz rozumiesz, dlaczego zabieram Bertila ze sobą, kiedy udaję się do Paryża, prawda?

Hughes uśmiechnął się. Zabieranie kucharza do Paryża wydało mu się wożeniem drzewa do lasu, ale jeśli Domingos tak sobie życzył... Z pewnością będzie go na to stać.

Sobota, 15 stycznia 2011 roku, godzina 16.30

Waszyngton, Dystrykt Columbia

Po zakupie bumerangu, Tyrone spędził następne kilka godzin, bawiąc się nim w parku. Było trochę trudniej, niż mogłoby się wydawać, ale już po paru minutach opanował swój bumerang na tyle, że nie musiał wciąż za nim biegać. No, przynajmniej niezbyt daleko. Kilka razy bumerang wrócił nawet tak blisko, że Tyrone mógł go złapać, nie musząc robić więcej niż dwóch kroków.

Nigdy nie był zafascynowany ćwiczeniami fizycznymi, ale rzucanie bumerangiem zdecydowanie mu się spodobało.

Zanim ramię opadło mu z sił i był gotów wracać do domu, opanował sporo aspektów tej sztuki,

takich jak prawidłowe ustawienie się wobec wiatru i określenie, skąd wieje. Obserwował, jak inni biorą do ręki trochę żdźbeł trawy, otwierają dłoń i patrzą, jak dryfują z wiatrem. Zdążył też dość dokładnie ustalić, jaki ruch nadgarstkiem jest niezbędny do najprostszego rzutu. Naprawdę świetna zabawa.

Zaćwierkał jego telefon komórkowy. Tyrone odpiął go od paska. - Słucham.

- Cześć, synu. Jak leci?

- Tata? Myślałem, że jesteś gdzieś w krainie wiecznego śniegu.

- Bo jestem. Oprócz mnie w promieniu stu kilometrów nie ma nikogo.

- I wszystko w porządku? Zwykle nie dzwonisz z takich wypraw.

- Wszystko w porządku.

Na chwilę zaległa cisza. Tyrone czuł, że ojciec chce coś jeszcze powiedzieć, więc nie się odzywał.

- Prawdę mówiąc, miałem dzisiaj małą przygodę. Ale musisz mi obiecać, że nic nie powiesz mamie, dobrze?

O? A to co znowu? - Jasne, tato. Co jest grane?

- Upadło na mnie drzewo.

- Drzewo? Nic ci się nie stało?

- Nie, wszystko w porządku. Sosna złamała się pod ciężarem śniegu. Miałem szczęście, ale dało mi to do myślenia, no i postanowiłem do ciebie zadzwonić. Jak się czujesz?

- Rety, tato! Spada na ciebie drzewo, a ty pytasz, jak ja się czuję?

- Ojcowie tacy już są, Tyr.

- U mnie wszystko w porządku. Właśnie kupiłem sobie bumerang.

- Naprawdę? Model bojowy czy myśliwski?

Tyrone uniósł brwi. - Znasz się na bumerangach?

- Trochę. Służą jako broń myśliwska albo jako oręż, w zależności od rodzaju. Nie chciałbym dostać czymś takim w głowę, nawet tym na ptaszki.

- Na ptaszki?

- Tak się mówi o modelach myśliwskich. Bumerang nie wróci do ciebie, jeśli w coś uderzy,

ale ekspert potrafi strącić ptaka w locie z wysokości czterdziestu, pięćdziesięciu metrów. Bawiliśmy się tym trochę na obozie wojskowym, kiedy byłem chłopcem. Mojego bumerangu od lat nie miałem w rękach, ale na pewno leży gdzieś u dziadka na strychu.

Fascynujące. Ojciec zdawał się wiedzieć wszystko o wszystkim. I też miał bumerang. Fascynujące.

- Ja mam model myśliwski. Niedaleko od nas był turniej; wpadłem tam i kupiłem go sobie.

- Świetnie. Kiedy wrócę, przypomnisz mi, jak się tym rzuca. Wyszedłem z wprawy.

- Jasne, tato.

- Miło się z tobą rozmawia, synu. Zadzwoń jeszcze do mamy. I pamiętaj, Tyr, niech ta historia ze zwalonym drzewem zostanie między nami.

- Oczywiście. Uważaj na siebie. Dzięki, że zadzwoniłeś.

Kiedy się rozłączyli, Tyrone uśmiechnął się. Ojciec zadzwonił do niego zanim porozmawiał z mamą. Zdradził mu tajemnicę, powiedział coś w zaufaniu. A jako chłopiec bawił się bumerangiem. Rety. Coś niesamowitego.

Sobota, 15 stycznia 2011 roku, godzina 18.30

Quantico, Wirginia

Michaels siedział w swym biurze, martwiąc się tuzinem różnych spraw. Nagle powód jednego ze zmartwień pojawił się osobiście.

- Alex?

- Cześć, Toni. Co się stało?

- FBI i chłopaki z policji stanowej w Georgii sprawdzili adres pod Mariettą. Stary dom, należy do rodziny nazwiskiem Platt. Ojciec nie pojawił się tam od trzydziestu lat, matka zmarła, pozostawiając dom synowi.

Położyła mu na biurku komputerowy wydruk z dossier, zawierającym fotografię. - To on.

Michaels spojrzał na zdjęcie. Przedstawiało wysokiego, muskularnego chłopaka w białej, bawełnianej koszulce i džinsach. Wyglądał na jakieś szesnaście lat. - Trochę za młody, nie sądzisz?

- Jedyne zdjęcie, jakie nam się udało znaleźć. Zrobione piętnaście, może szesnaście lat temu.

Teraz ten Platt ma trzydzieści parę lat. Możemy go postarzyć na tym zdjęciu. Cray sprawdza, czy nie ma gdzieś czegoś na temat pana Platta. Sąsiedzi mówią, że mieszka w tym starym domu, ale że wiele podróżuje.

- Trochę to naciągane, nie sądzisz? - powiedział. - Od duńskich terrorystów po jakiegoś szurniętego faceta z Georgii?

- Mogę usiąść?

- Jezu, przecież nie musisz pytać.

Usiadła i posłała mu blady uśmiech.

Wyglądała przy tym tak uroczo, że poczuł ogarniające go podniecenie.

- Zastanawiałam się nad tym - powiedziała. - Trochę to dziwne, że nikt nie słyszał o tej Frihedsakse, zanim się to wszystko zaczęło.

- Co masz na myśli? Jay wygrzebał mnóstwo informacji o tej grupie, datowanych całe lata wcześniej niż ten ich manifest.

- To niezupełnie tak. Kazałam Jayowi wszystko jeszcze raz sprawdzić. Strzępy informacji, które możemy zweryfikować z całą pewnością, mają nie więcej niż sześć miesięcy. Pochodzenie wszystkiego, co ma wcześniejszą datę jest, jak to ujął Jay, „trochę niejasne”.

Michaels odchylił się na krześle i zastanawiał się nad tym przez chwilę. - Ale dlaczego? O co tu chodzi?

- Dobrze pytanie.

- A co ty sądzisz?

Pokręciła głową. - Nie mam pewności. Ale założmy, czysto teoretycznie, że sześć miesięcy temu ci duńscy terroryści jeszcze nie istnieli. Po co mieliby sobie zadawać trud podrzucania informacji, sugerujących, że istnieją znacznie dłużej? W porządku, powstali sześć miesięcy temu, co za różnica? Zależy im na prestiżu? Na udokumentowaniu swych korzeni? Chcą sobie zapewnić miejsce w annałach terroryzmu?

Michaels skinął głową. - Masz rację. Po co mieliby sobie tym zawracać głowę?

- A może to wcale nie oni? - powiedziała. - Może to ktoś inny?

Nagle rozjaśniło mu się w głowie. - O rety! Tak, zaczyna mi coś świtać. Może w ogóle nie ma takiego ugrupowania. Może komuś zależało, żebyśmy szukali terrorystów, którzy nie istnieją. Zostawiają dokładnie tyle śladów, żebyśmy pomyśleli, że na coś natrafiliśmy, żebyśmy nie stracili zainteresowania, a my kręcimy się w kółko. Może rzeczywiście nie było żadnych terrorystów.

- To tylko teoria - powiedziała.

Pokręcił głową, nagle zły na siebie. - Ale powinniśmy to byli wcześniej sprawdzić. Nie szukaliśmy innego celu, bo ten wielki, tłusty indyk spadł nam prosto pod nogi. Zbyt łatwo nam poszło.

- Ale jeśli to nie terroryści, to kto? - spytała Toni. - I czego ten ktoś chce? Trudno mi uwierzyć, że jakiś niedokończony absolwent z małego miasteczka w Georgii dysponuje środkami, żeby coś takiego zorganizować i wykonać.

- Przestańmy się na razie zajmować tą Frihedsakse - powiedział Michaels. - Sprawdź, które systemy zostały zaatakowane i kto mógł na tym skorzystać.

Toni wstała. - Pójdę pogadać z Jayem i Joan.

- Dobrze.

Ruszyła do drzwi. Nie mógł jej pozwolić tak odejść, bez powiedzenia czegoś więcej. - Toni?

Odwróciła się. - Tak?

- A propos tego... no, tego w Miacie...

- Chcesz zapomnieć, że to się w ogóle stało, Alex? Ja nie potrafię zapomnieć, ale mogę udawać, że nic się nie stało, jeśli tego chcesz...

- Nie - powiedział. - Nie chcę zapomnieć. Jeśli wyjdziemy cało z tego kryzysu, to myślę, że powinniśmy się położyć i... chciałem powiedzieć, że powinniśmy usiąść i porozmawiać.

Jezu, Michaels, aleś ty durny. Nic lepszego nie przyszło ci do głowy? Idiota!

Uśmiech na twarzy Toni powiedział mu jednak, że dziewczyna nie tylko zwróciła uwagę na freudowskie przejęzyczenie, ale także ani trochę nie poczuła się dotknięta.

Kiepski pomysł, Michaels. Bardzo kiepski. Nie kala się własnego gniazda. Ojciec zawsze mówił, że nie wolno sypiać z podwładnymi. To nigdy nie wychodzi na dobre.

Ale kiedy tak patrzył na Toni, nie miał wrażenia, że popełnia błąd. Była inteligentna, piękna i tak sprawna fizycznie, że mogła nakopać mu w tyłek, kiedy tylko przyjdzie jej ochota. Z jakiegoś powodu, wszystkie te cechy razem nieodparcie go pociągały. I przecież to ona pierwsza go pocałowała, czyż nie tak?

Aha, ona cię uwiodła i jeśli się z nią nie prześpisz, skopie ci dupę, tak? Z kogo ty chcesz zrobić wariata, stary? Nikt ci w to nie uwierzy.

Michaels odprowadził Toni wzrokiem. Kiedy znikła za drzwiami, otrząsnął się i westchnął ciężko. Później będzie się tym martwił. W tej chwili miał większe problemy na głowie.

Zadzwoił telefon. - Tak?

- Pańska żona na trzeciej linii - powiedziała sekretarka.

Michaels parsknął śmiechem. Jakże by inaczej!

- Niech zostawi wiadomość - powiedział.

33

Sobota, 15 stycznia 2011 roku, godzina 23.45

Kansas City, Kansas

- Są - powiedziała Winthrop.

- Szczury - prychnął Jay. - Musiałś wybrać szczury?

- A co, wolałbyś kocięta albo śliczne szczeniaki? Jest coś, o czym powinnam wiedzieć, Gridley?

Jay potrząsnął głową i uniósł do ramienia powtarzalną strzelbę *Mossberga*, dwunastkę* z magazynkiem rurowym, mieszczącym dziesięć naboí. Pod elastyczną taśmą na kolbie było jeszcze dziesięć naboí.

Obok niego w słabo oświetlonej uliczce Winthrop uniosła swoją broń, południowoafrykańskiego *Streetsweepera**, też dwunastkę, ale samopowtarzalną, z magazynkiem bębnowym, który mieścił całą paczkę amunicji. Na strzelbie miała zamontowaną latarkę i celownik laserowy.

Brunatne szczury, wielkie jak spaniele, z paszczami pełnymi długich, pożółkłych zębów, kręciły się przez parę sekund w kółko w ślepych zaułku, zanim zdały sobie sprawę, że nie mają dokąd uciec. Wielkie gryzonie rozglądały się dookoła, ale jedyną drogę ucieczki blokowali Winthrop i Gridley.

Bez trudu można było zgadnąć, jak się zachowają.

- Ruszyły! - krzyknął Jay.

Szczury, a było ich co najmniej dwadzieścia, natarły na nich niczym futrzasta fala.

Winthrop strzeliła pierwsza. Zdążyła oddać dwa strzały, zanim Jay ściągnął spust swojej broni.

Śrut nr 4 rozrywał wielkie szczury, zmieniając je w krwawą, drgającą miazgę. Padło już pięć, osiem, dwanaście nacierających zwierząt. Reszta parła dalej.

- Uważaj z lewej! - krzyknęła Winthrop. Strzelała raz po raz. Jeden ze szczurów, trafiony z bliska wiązką śrucin, potoczył się jak piłka futbolowa.

Jay spostrzegł dwa szczury, próbujące zejść go od lewej. Strzelił, trafił jednego, zarepetował strzelbę, znów strzelił, spudłował...

Winthrop rozwaliła tego, który jemu się wymknął, po czym strzeliła jeszcze dwa razy i dwa kolejne szczury zrułowały w ogniu.

Jay wziął na cel ostatniego szczura, który się jeszcze ruszał, naprowadził mu czerwoną plamkę laserowego celownika na łeb i strzelił...

Odetchnął z ulgą. Strzelanie do roznoszących zarazę szczurów z pewnością było bardziej podniecające niż wyszukiwanie i niszczenie kodów programowych wirusów w świecie realnym. W rzeczywistości szczury były pętlami programowymi, zaopatrzonymi w możliwość wymykania się normalnym programom antywirusowym i pożerającymi wolną pamięć systemu komputerowego Banku Rezerw Federalnych w Kansas City. Miasto ewakuowano - czyli komputer został odłączony od sieci - aby eksterminatorzy mogli wejść i oczyścić go z zarazy. Najczęściej wywoływało to fale protestów, ale innego sposobu nie było.

W Kansas City i tak nie było najgorzej. Kilka innych systemów bankowych musiano całkowicie wyłączyć. Nikomu się to nie podobało.

Winthrop ponownie załadowała strzelbę, wyjmując naboje z torby, którą miała przy pasku. Jay musiał przyznać, że choć jej nie cierpiał, pani porucznik wyglądała dość podniecająco, kiedy tak stała, wsuwając naboje do magazynka swej wielkiej strzelby, podczas gdy dookoła unosił się zapach prochu. Atrakcyjne kobiety z bronią w rękach miały w sobie coś seksownego.

Pomyślał, że za próbę rozwikłania tej symboliki psychoanalitik wzięłby pewnie równowartość jego miesięcznych poborów. Dobrze, że nie zawracał sobie głowy psychoanalitikami. Chodziłby wiecznie bez grosza.

Winthrop włączyła swój mikrofon. - Oczyszciliśmy uliczkę na tyłach banku - powiedziała. - Przenosimy się w okolice tej tajskiej restauracji od strony południowej.

Jay wyszczerzył zęby w ironicznym uśmiechu. - To na moją cześć?

- Wyglądasz na takiego, który wie, jak wygląda w środku tajska restauracja.

- Oczywiście. Lubisz sos orzechowy? A może przyrządę pyszne *satay** ze szczura?

- Pewnie byłbyś do tego zdolny. No, chodźmy.

- Jak pani rozkaże - powiedział Jay. - Wiesz, powinnaś się była ubrać w coś skórzanego. Pasowałyby do broni.

Kiedy przechodzili przez ulicę, kierując się w stronę tajskiej restauracji, Joan powiedziała: - Aha, przy okazji, dotarcie do tego Platta to była dobra robota.

- Drobiazg, o pani, wzmianki niewart.

- Nie ta *persona**, Gridley.

- Ach, dziękuję za skorygowanie mego błędu. Jesteśmy w teraźniejszości, więc powinienem raczej powiedzieć: „Zapro, kobieto”.

- Tak już lepiej.

- Nigdy bym go nie odnalazł, gdybyś nie wykryła jego ducha. Aż trudno uwierzyć, że facet popełnił taki głupi błąd.

- Nawet najcwańsi faceci czasem głupieją - odparła. - Nie mam nic przeciwko temu, żeby dopomógł mi czasem szczęśliwy traf.

- Amen. Mam nadzieję, że federalni złapią skurczybyka.

- Uwaga, szczury przed nami.

- Jestem gotów. Zostajesz po prawej stronie, czy wolisz tym razem lewą?

- Lewą. Po prawej ta twoja strzelba wyrzucała mi łuski prosto w twarz.

- Zawsze coś nie tak, prawda? Ale to SF, Winthrop.

Uśmiechnęła się. SF oznaczało „Scenariusz z Frankensteinem” i było skrótowym wyrażeniem koncepcji „Jeśli coś stworzyłeś, to ponosisz za to odpowiedzialność. Odpowiadasz za wszelkie problemy w twoim scenariuszu”.

- Świetnie. Następny scenariusz będzie twój.

- Chętnie. Lubisz węże?

- Chwytałam je, kiedy byłam małą dziewczynką - powiedziała. - Przyciskałam je do ziemi długim, rozwidlonym na końcu kijem, pakowałam do brezentowego worka i sprzedawałam potem w sklepach zoologicznych. Węże są wspaniałe.

Szkoda, pomyślał Jay. Cóż, musi być jakieś paskudztwo, którego ona nie cierpi. Skala zawirusowania federalnego systemu bankowego była tak wielka, że jeszcze przez jakiś czas będą mieć pełne ręce roboty. Zanim skończą, na pewno uda mu się wpaść na coś, co wywołuje u niej gęsią skórę...

Niedziela, 16 stycznia 2011 roku, godzina 1.15

Atlanta, Georgia

Platt wiedział, że Hughes nie cierpi, kiedy budzi się go wcześnie rano. W tamtym zwariowanym kraiku była szósta, a może siódma rano, ale chciał się upewnić, że złapie go, kiedy Hughes nie będzie zajęty. Plattowi wolno się było kontaktować z Hughesem tylko w sytuacjach nadzwyczajnych. Technicznie rzecz biorąc, teraz sytuacja nie była chyba nadzwyczajna, bo Plattowi bez większego trudu udało się uciec, ale niech to diabli, postanowił, że i tak zadzwoni.

Żałował utraty domu, który dostał w spadku po mamusi, ale cóż, stało się. Wiedział, że już tam nie wróci.

Zadzwonił z automatu w holu motelu obok Stonewall Jackson Memorial na skraju College Park, przy szosie I-285, korzystając ze skramblera jednorazowego użytku. Virgil Hughesa był wyposażony w wojskowy deszyfrator, więc nie istniało ryzyko, że ktoś przechwyci ich rozmowę. Po tym telefonie Platt musiał ruszać dalej. Atlanta była wprawdzie wielkim miastem, ale leżała zdecydowanie za blisko Marietty. Do rana chciał już być o tysiąc kilometrów dalej i musiał się pośpieszyć, żeby tego dokonać. Na lotnisku czekał wycarterowany samolot i Platt wiedział, że poczuje się znacznie lepiej, kiedy już będzie w powietrzu.

- Czego? - warknął Hughes.

Aha, telefon wyrwał go ze snu.

- Cześć, szefie. Zaszło tu coś, o czym powinien pan wiedzieć.

- Zaczekaj chwilę.

Hughes przełączył go na czekanie. Platt wyszczerzył zęby w uśmiechu. Szósta rano, Hughes był jeszcze w łóżku, więc skoro kazał mu czekać, to znaczy, że nie jest sam. Platt był się gotów założyć, że jakaś dziewczyna została właśnie posłana do łazienki.

- W porządku. Co się stało?

- Przykro mi, jeśli w czymś przeszkodziłem - powiedział Platt, chociaż ani trochę nie było mu przykro.

- Nie przejmuj się tym. Co to za problem?

- Federalni nie są tacy głupi, na jakich wyglądają. Prześledzili sygnał do domu mojej mamusi.

- Co takiego? Jak to się mogło stać?

- Za cholere nie wiem. Może mają jakąś nową zabawkę, o której jeszcze nie słyszałem. Tak, czy inaczej, jednak im się udało. Musiałem stamtąd pryskać.

- Ale udało ci się uciec bez większych problemów?

- I tak, i nie. Nie widzieli mnie, zwałem na długo przed ich przybyciem, ale ten dom był na moje prawdziwe nazwisko. Muszę się postarać o nową tożsamość.

- Masz z tym jakieś problemy?

- Nie, właściwie żadnych. Mam w rezerwie kilka lewych paszportów na wszelki wypadek.

- A co z tamtym zadaniem?

- Ach, tamto. Poszło jak z płatka. Nasz bankier - zaraz, gdzie my go mamy? W Minnesocie? W Iowie? - wszystko jedno, powinien bez trudu zrobić, co do niego należy. Spodziewam się, że skontaktuje się ze mną jutro w południe. Właściwie, to już dzisiaj.

- Dobrze. Potrzebujesz czegoś?

- Będę musiał opróżnić jedną ze skrytek - powiedział Platt. - Potrzeba mi trochę gotówki.

- Nie ma sprawy, weź, ile potrzebujesz. Słuchaj, gdyby były jakieś problemy ze zmianą tożsamości, daj mi znać. Coś wykombinuję, żebyś mógł wydostać się ze Stanów.

Platt uśmiechnął się. - O, dziękuję, szefie. Doceniam to. Dobrze wiedzieć, że w tej dżungli jest ktoś, na kim można polegać. Zadzwoń do pana, kiedy tylko skontaktuje się ze mną nasz facet z banku.

- W porządku. To na razie.

Platt rozłączył się, ściągnął skrambler ze słuchawki i wsunął go do kieszeni. Zamierzał wyrzucić go potem do jeziora. Hmm. Spodziewał się, że Hughes będzie bardziej poruszony wiadomością, że federalni wykurzyli Platta z jego domu. Ma facet zimną krew. Może za zimną? Prawda była taka, że Platt nie miał do niego za grosz zaufania.

Kiedy ten facet z banku wykona zadanie, Hughes będzie miał forsy jak lodu, przynajmniej przez jakiś czas i może nie będzie już potrzebował kogoś takiego, jak Platt? Albo może zechce pozbyć się starego, wiernego psa i kupić sobie nowego?

Platt nauczył się, że w takich momentach trzeba szczególnie uważać. Ludzie zawsze dbali

przede wszystkim o własne interesy. A już wkrótce interesy Platta i Hughesa nie będą zbieżne. Kiedy się to stanie, może się zrobić niebezpiecznie. Ale mama Platt nie wychowała syna na głupka.

Poszedł do swojego pokoju. Chciał zabrać parę drobiazgów przed wyjazdem na lotnisko.

Niedziela, 16 stycznia 2011 roku, godzina 1.45

Quantico, Wirginia

Dyrektor Michaels zwołał ich do sali konferencyjnej na naradę. Joan Winthrop rozejrzała się dookoła. Oprócz niej był tu już Michaels, Fiorella, Gridley, a na korytarzu, tuż przy drzwiach, stał Julio, który cały czas spędzał w centrali, chociaż nie potrafił nic zrobić online. Uśmiechnął się do niej, kiedy wchodziła do sali konferencyjnej i trochę podniosło ją to na duchu. Była zmęczona - wszyscy byli zmęczeni. Prawie nie wychodzili z rzeczywistości wirtualnej, naprawiając uszkodzone systemy. Miała wrażenie, że minęły już całe miesiące. Korzystali oczywiście z pomocy programistów FBI, ale usuwanie skutków tak rozległej infekcji było mrówczą, nużącą pracą. Posuwali się naprzód małymi krokami, wiele ich to kosztowało, ale przecież jakoś sobie radzili. Większość szkód powinna zostać usunięta w ciągu najbliższych dwóch dni. Największym problemem będą koszty, związane z wyłączeniem całych systemów. Stracony czas, transakcje, które nie doszły do skutku i tak dalej.

No i wisiała jeszcze nad nimi ta terrorystyczna grupa, Frihedsakse. Albo i nie. Była coraz bardziej przekonana, że ktoś ich wpuścił w maliny. Gridley był tym potwornie wkurzony, bo to on natrafił na ten duński ślad, ale równie dobrze mogła to być ona. Przynęta została dobrze przygotowana. Skwierczała jak stek na patelni, prawie czuło się jego zapach w nozdrzach, ale nic nie było widać. Długo jeszcze pozwoliliby się wodzić za nos, gdyby nie Fiorella, która wzięła pod uwagę inne możliwości. Może nie była najlepszą programistką, ale potrafiła myśleć logicznie i patrzeć perspektywicznie; mnóstwo technokratów nie było obdarzonych tymi zdolnościami.

- ...Federalne systemy bankowe są wciąż zagrożone, ale trwa wymiana wszystkich zabezpieczeń, więc stare hasła na nic się już facetowi nie przydadzą - powiedział Michaels.

- Zdobył te stare - wtrącił Gridley - więc kto zagwarantuje, że nie uda mu się zdobyć nowych?

Winthrop pomyślała prawie dokładnie to samo.

- Programiści bankowi posługują się nowym systemem znaczników. Jeśli ktoś się włamie, będziemy od razu wiedzieli, gdzie był przeciek hasła.

Gridley skinął głową. - Tak, przez jakiś czas będzie to skuteczne, ale w końcu jakiś bystrzak wykombinuje, jak to obejść.

- W końcu wszyscy musimy umrzeć, Jay - powiedział Michaels.

Odpowiedzią było kilka zmęczonych uśmiechów.

- Dalej. Jak wygląda sprawa tego Platta? Joan?

Spojrzała na ekran swojego laptopa i wywołała raport. - Cray odcedził nam trochę informacji na jego temat. Platt rzucił liceum już w pierwszym roku nauki. Jako młodociany, wszedł parę razy w kłójkę z prawem - kradzieże samochodów, napaść, picie alkoholu, drobne kradzieże, w sumie nic wielkiego. Nie trafił do domu poprawczego, ani do więzienia. Na następne cztery lata nasz chłopiec zniknął. Kiedy miał dwadzieścia lat, został aresztowany w Phoenix w Arizonie. Wydało się jakieś oszustwo, a on pobił ofiarę. Zwolniono go za kaucją i uciekł. Następna wzmianka to aresztowanie za pobicie w Nowym Orleanie. Platt miał wtedy dwadzieścia cztery lata. Bez żadnego powodu napadł na człowieka na ulicy i pobił go do utraty przytomności. Nikt nie zwrócił uwagi na stary nakaz aresztowania z Phoenix. Platt wpłacił kaucję i nie stawiał się na procesie. W 2006 roku Platta aresztowano w Trenton w stanie New Jersey za pijaństwo i zakłócenie porządku. Wmaszerował do baru i wszczął burdę. Czterech facetów wyładowało w szpitalu. Jakimś cudem sprawy z Phoenix i Nowego Orleanu nie znalazły się w jego aktach, więc wpłacił kaucję po raz trzeci...

- Niech zgadnę - wtrącił Michaels. - Wyjechał w nieznanym kierunku.

- Brawo - powiedziała Winthrop.

- Ostatnie, co o nim mamy, to aresztowanie w Miami Beach trzy lata temu. Znowu pobicie. Napadł na dwóch mężczyzn przy budce z hot-dogami, znowu bez żadnego powodu. Kiedy zjawiała się policja, został zatrzymany, ale uciekł z radiowozu w drodze do aresztu. Obaj policjanci, którzy go przewozili, doznali obrażeń, wymagających hospitalizacji.

Winthrop uniosła wzrok znad ekranu. - To wszystko, co wiemy o panu Platcie. Żadnej historii kont bankowych, zatrudnienia, nie ma prawa jazdy. Oficjalnie posiada na własność ten dom pod Mariettą. Nigdy nie płacił składek ubezpieczeniowych, nie składał deklaracji podatkowych, nie występował o paszport. A przynajmniej nie pod nazwiskiem Platt. Jeszcze jeden z tych wolnych strzelców, którzy nie pozostawiają za sobą śladów, papierowych, ani elektronicznych.

- Zwyczajny zbir - powiedziała Fiorella. - Trudno przypuszczać, żeby to on był tym geniuszem, odpowiedzialnym za włamania do systemów komputerowych.

- Czy jego przestępstwa mają jakiś wspólny mianownik? - spytał Michaels.

Winthrop skinęła głową. - Charakterystyka ofiar. Dwie cechy rzucają się w oczy. Wszystkich dziesięciu mężczyzn, na których Platt napadł, łącznie z tymi dwoma policjantami w Miami, było Afro-Amerykanami. Średnia waga ofiary wynosiła prawie sto kilo. Facet pobity w Nowym Orleanie był obrońcą w drużynie futbolowej „Saints” - ważył ponad sto trzydzieści kilo.

- Ooo - odezwał się Gridley. - Więc gość jest rasistą. Bije tylko czarnych facetów.

- Wielkich czarnych facetów - dodała Fiorella. - Są jakieś informacje o znajomości sztuk walki?

- Żadnych - powiedziała Winthrop.

- Czyż to nie piękne? - ironizował Gridley. - Mamy do czynienia z zabijaką, który stał się geniuszem komputerowym. W jakiś sposób zdobył najróżniejsze tajne hasła i procedury logowania, po czym wykorzystał je, żeby włamać się do najnowocześniejszych systemów komputerowych w kraju. I jest na tyle sprytny, żeby wodzić nas za nos, kazać nam uganiać się za jakimiś duńskimi terrorystami. Podzielam opinię Toni. Coś tu nie gra.

Michaels przytaknął skinieniem głowy i przetarł oczy. - W porządku, Platt korzystał z czyjejś pomocy. Jeśli go znajdziemy, poprosimy, żeby nam powiedział, kto to jest. Co robimy, żeby go znaleźć?

Gridley odpowiedział: - Przesiewamy elektronicznie informacje ze wszystkich agencji wynajmu samochodów, z dworców autobusowych i kolejowych w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów, poszukując samotnego białego, który załatwiał tam coś w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin. FBI ma zdjęcie i rysopis; sprawdzają hotele, motele i pokoje do wynajęcia na tym obszarze.

- Który obejmuje całą Atlantę - wtrąciła Fiorella. - Powodzenia.

- Prawdopodobnie nie jest taki głupi, żeby nadal posługiwać się nazwiskiem Platt, ale może ktoś rozpozna jego twarz - powiedział Gridley.

- Oczywiście równie dobrze może już być gdzieś na dalekiej północy w Kanadzie - powiedziała Winthrop.

- W porządku, przerwa dla wszystkich - ogłosił Michaels. - Jedźcie do domu, prześpijcie się i bądźcie tu jutro rano, możliwie jak najwcześniej. Aha, Jay, to nie oznacza położenia się na dwie godziny na kozetce w biurze. Jeśli nie będziesz wypoczęty, staniesz się częścią problemu, a nie jego rozwiązaniem.

- Zrozumiano, szefie.

- Dziękuję wam. Wszyscy odwaliliście kawał dobrej roboty.

Michaels wstał. Narada była zakończona.

W holu Julio stał oparty o ścianę, oszczędzając zranioną nogę. - Z powrotem na front? - spytał Joan.

- Nic z tych rzeczy - odparła. - Szef powiedział, żeby jechać do domu i trochę się przespać.

- Brzmi rozsądnie.

- Może i tak, ale jestem zbyt podekscytowana, żeby się teraz odprężyć. Pewnie mi to nie minie do świtu. - Spojrzała na niego, posyłając mu najbardziej niewinny z uśmiechów. - Masz jakiś sposób na to, żeby się odprężyć, Julio?

Odwzajemnił uśmiech. - Tak jest, proszę pani. Sądzę, że mogę zaproponować parę ćwiczeń. Ja sam zawsze szybko po nich zasypiam.

- W porządku, jedziemy. Pokażesz mi u mnie w domu.

Wyprostował się, stanął na baczność i dziarsko zasalutował. - Tak jest. Wszystko co tylko pani porucznik rozkaże.

- Wszystko? Wielkie słowa, jak na kontuzjowanego sierżanta.

- Mam ukryte talenty.

- Przekonamy się.

Ruszyli do wyjścia.

34

Niedziela, 16 stycznia 2011 roku, godzina 6.00

St. Louis, Missouri

Bezpieczny telefon Platta odezwał się sygnałem, przypominającym europejską syrenę policyjną. Sygnał ten oznaczał, że dzwoni facet z banku.

- Tak?

- Zrobione - rozległ się głos w słuchawce. Facet nazywał się Peterson, Jamal Peterson. I nie pochodził z Iowy, ani z Minnesoty, lecz z Południowej Dakoty. Platt wiedział o tym, ale w kontaktach z Hughesem wolał udawać głupszego, niż był. Nigdy nie wiadomo, czy kiedyś mu się to do czegoś nie przyda.

Jamal zaczął pracować dla Hughesa i Platta, bo zdarzyło mu się zdefraudować kilkaset tysięcy dolarów w miejscu pracy, gdzieś w Dakocie. Federalni dostali całą sumę z powrotem. Dla Hughesa był to drobiazg. Od tego czasu Peterson był właściwym człowiekiem, kiedy trzeba było zrobić machinacje finansowe.

- Jakies kłopoty?

- Żadnych. Miałem dwie godziny od momentu, kiedy zapewniłeś mi dostęp. Podczas tego całego zamieszania podłożyłem miny, podniosłem mosty zwodzone i unieszkodliwiłem znaczniki. Podebrałem forszę z ponad pięciuset wielkich kont rządowych i firmowych, z każdego tyle, żeby nikt się od razu nie zdziwił. Kiedy się w końcu zorientują i wpadną w panikę, wszystkie transfery zostaną już przepuszczone przez filtry. Nawet gdyby przesłędzili je poza Kajmany i te dwa konta w Szwajcarii - co im się zresztą nie uda - zatrzymają się na Denpasar Trust na Bali, chyba że ktoś zjawi się tam z naprawdę wielką łapówką. Do tego czasu po transakcjach elektronicznych nie będzie już śladu, jeśli nasz pryncypał podejmie pieniądze zgodnie z planem.

- Ile tego jest? - spytał Platt.

Tamten milczał przez chwilę. - Sto osiemdziesiąt milionów, tak jak uzgodniliśmy - powiedział w końcu.

Platt pokręcił głową, uśmiechając się ironicznie, czego jednak Jamal nie mógł widzieć. Kłamię sukinsyn, to pewne, jak amen w pacierzu. Hughes potrzebował stu czterdziestu milionów, a Peterson miał dostać dwadzieścia, więc i dla Platta zostawało dwadzieścia. Ale Platt gotów był postawić swoje dwadzieścia przeciw orzechom, że Peterson wziął sobie jeszcze małą premię. A może wcale nie taką małą. Co za kretyn. W końcu ile pieniędzy człowiek potrzebuje?

Problem polegał na tym, że Peterson nie był prawdziwym przestępcą. Nie miał odpowiedniej psychiki. Nie wiedział, z jakimi konsekwencjami trzeba się liczyć, kiedy się kradnie wielkie pieniądze.

Jeśli łup jest naprawdę wielki, nie psów policyjnych trzeba się bać, lecz wilków.

- W porządku - powiedział Platt. - Jedź, dokąd masz jechać. Skontaktuję się z tobą jutro.

Platt rozłączył się. Biedaczysko. Jamal nie miał przed sobą wielkiej przyszłości.

Telefonując, żeby się upewnić, że Peterson był wobec niego przynajmniej częściowo uczciwy, Platt zastanawiał się nad czarną przeszłością, jaka czekała tego faceta.

Dawno temu Jimmy T. opowiedział mu o pewnym napadzie rabunkowym w jego rodzinnym mieście. Wszystko wskazywało na to, że strażnik, który pracował w banku od dwudziestu lat - cieszący się powszechną sympatią i zaufaniem - pewnego ranka obezwładnił dyrektora banku, kiedy ten przyszedł do pracy, związał go i wymaszerował z czterema milionami w używanych dwudziestkach i pięćdziesiątkach. Wydawało się, że to czysta robota.

Rzecz w tym, że facet nie wiedział, że nie wolno mu było zwracać na siebie uwagi. Gliny znalazły go trzy miesiące później, sztywnego jak zaschnięte psie gówno. Ktoś zakradł się do jego nowego domu w Cancun i poderznął mu gardło.

Po skradzionych pieniądzach nie było ani śladu.

Zawodowiec, mówił Jimmy T., dorobiłby sobie legendę na wiele miesięcy, czy nawet lat przed skokiem. Postarałby się o odpowiedni życiorys, poznał się z sąsiadami, opracował wiarygodny

powód, żeby pewnego dnia pojawić się w wybranym miejscu i pozostać tam na stałe. Na przykład mógłby rozgłosić, że przechodzi na wcześniejszą emeryturę po latach pracy na stanowisku, które nikogo z sąsiadów nie powinno specjalnie interesować. Zadbaj o to, żeby pewnego pięknego dnia nikt nie zadał mu w barze kłopotliwych pytań w rodzaju „Hej, pamiętasz tego starego Brooksa?”, albo „Ale była heca, kiedy tego faceta z Rady Miejskiej przyłapano z dziwką. Wiesz, o kim mówię, prawda? Zaraz, jak on się nazywał?”

Trzeba przewidzieć takie sytuacje i wiedzieć, jak im zapobiec.

I trzeba też znaleźć sposób na wypranie takiej masy forsy. Nie można przecież wyjąć z walizeczki sterty pięćdziesięciodolarowych banknotów i zapłacić nimi za dom. Nawet kupno samochodu za gotówkę jest ryzykowne. I oczywiście nie można zdeponować takiej forsy w banku, a przynajmniej nie wszystkiego na raz. Do diabła, wszystko powyżej dziesięciu tysięcy jest zgłaszane do IRS^{*}. Nie obchodzi ich, skąd ktoś ma pieniądze, pod warunkiem, że płaci od nich podatki.

Istniało mnóstwo sposobów na wypranie pieniędzy, ale większość z nich wymagała posunięć, które uczciwym ludziom nigdy by nie przyszły na myśl.

Przede wszystkim trzeba się zabezpieczyć, mówił Jimmy T. Gliny, jeśli cię złapią, po prostu wpakują cię do pierdła, ale jeśli zaczniesz uciekać z czterema milionami dolarów w kieszeni, po piętach będą ci deptać łowcy złota. Wilki. Jeśli cię złapią, ich łupem padnie wszystko, co masz i prawdopodobnie stracisz życie. Jeśli cię złapią, przystawią ci lufę do ucha i poddasz się. A jeśli akurat nie będzie im się chciało cię zabijać i po prostu odejdą, nie będziesz im mógł przeszkodzić. Komu się poskarżysz, że cię ograbiono? Glinom? Przepraszam, panie władzo, ale ten człowiek ukradł mi pieniądze, które zrabowałem z banku. No, tak.

Nie, po zrobieniu dużego skoku postępuje się inaczej. Bierzesz forszę i zakładasz jakąś małą firmę albo prowadzisz skromne życie emeryta, jeździsz kilkuletnim samochodem, mieszkasz w przyjemnym, typowym dla klasy średniej domku. Nie wysyłasz byłej żonie kartek z życzeniami świątecznymi. Nie idziesz na pogrzeb matki. Nie dzwonisz do siostrzeńca, żeby mu pogratulować dostania się na studia. Nieodwracalnie zrywasz z przeszłością i nigdy nie patrzysz wstecz.

Jeśli masz chęć zagrać w kasynie, czy na wyścigach albo poszaleć z panienką w łóżku wodnym, robisz to bez rozgłosu. Nie lecisz do Las Vegas, Gulf Coast, czy Atlantic City i nie stawiasz plików studolarówek, grając w kości, czy w ruletkę. Nie wynajmujesz apartamentu w hotelu Trumpa, czy w Hard Rock, nie urządzasz parad girlasek, nie zamawiasz Moet & Chandon skrzynkami, bo gliny nie są głupie i wilki też nie. Jeśli za bardzo wychylisz głowę, ktoś ją zauważy i przybiegnie, żeby ją uciąć.

Jamal nie miał o tym wszystkim pojęcia. Tak, potrafił się wślizgnąć do banku online i uciec z paroma milionami dolarów w kieszeni, ale Jamala nie wychowała ulica.

Więc jeśli nawet Platt nie wyda go glinom - a miał szczyry zamiar to zrobić - i tak ktoś go dopadnie, i to niedługo. Ten głupek nie dysponował niczym, co mógłby zaoferować glinom, żeby się z tego wykręcić. Nikogo nie mógł wsypać. Człowiek, którego znał jako Platta, był już kimś innym. Nie wiedział nawet, dla kogo on sam i Platt pracowali; zasugerowano mu tylko, że to bogaty przedstawiciel jakiejś dużej firmy.

Więc kiedy Petersona złapią, bank odzyska część swoich utraconych milionów. Hughes w tym afrykańskim kraiku robi, co mu się będzie podobało ze swymi stu czterdziestoma milionami. A Platt?

To było proste. Platt zamierzał kupić przyzwoitą, tradycyjną siłownię w Kona na Hawajach. Miał ją na oku od paru lat. Siłownia miała prawie tysiąc metrów kwadratowych powierzchni, była wyposażona we wszelkiego rodzaju sprzęt - sztangi, hantle, trenażery, bieżnie i tak dalej. Zaglądali tam co jakiś czas kulturyści światowej sławy, pojawiały się modelki, kiedy akurat miały zdjęcia na Hawajach, nie brakowało też turystów. Świetny biznes. Siłownia była dobrze zarządzana, więc Platt niczego nie będzie musiał zmieniać. Zamierzał wynająć domek lub apartament, ćwiczyć, kiedy przyjdzie mu ochota, może pouczyć trochę innych i niczym się nie przejmować. Klimat był idealny, nie trzeba było instalować ani ogrzewania, ani klimatyzacji. No i będzie przebywał z takimi ludźmi, jakich lubił: sprawnymi, zdrowymi, silnymi. Mógł mieć tę siłownię za milion dwieście, więc zostanie mu jeszcze mnóstwo forsy na przyjemności i jako zabezpieczenie. Nie potrzebował niczego więcej. Gdyby interes nie szedł najlepiej, zawsze będzie mógł wpompować w niego kilkaset tysięcy, żeby poprawić sytuację. Stać go było na to. Trzeba wielu lat, żeby przepuścić w ten sposób osiemnaście milionów z groszami...

Pewnie, Hughes miał wielkie plany, chciał zostać panem świata, ale po co? W końcu spać można przecież tylko w jednym łóżku na raz, jechać tylko jednym samochodem na raz, zjeść tylko tyle, ile pomieści żołądek. Walka o władzę nie pociągała Platta w najmniejszym stopniu. Wdawał się czasem w bijatykę, przyłożył komuś, ale to było coś osobistego, twarzą w twarz. Ale decydować o czyichś losach z drugiej półkuli? Nie, dziękuję.

Jeszcze kilka tygodni i będzie na Hawajach, w ciepłych promieniach słońca, wśród opalonych turystów - uśmiechnięty, szacowny biznesmen. Niczego więcej nie chciał od życia.

A więc Jamal nie kłamał, transfer został dokonany. Czas przysmażyć mu pięty. Platt nagrał już donos na Jamala. Wystarczy, że wykręci odpowiedni numer i odwiesi słuchawkę, a zdalnie sterowane urządzenie samo zadzwoni do federalnych i poda im wielkiego złodzieja na talerzu.

Adios, Jamal.

A teraz jeszcze jeden telefon.

- Tak?

- Zrobione, szefie.

Wyobrażał sobie, jak na twarzy Hughesa rozkwita uśmiech. - Dobrze. Reszta też w porządku?

- Żadnych problemów. Proszę nie gasić światła, niedługo do pana wpadnę.

Platt rozłączył się, uruchomił laptopa i nadał w sieć jeden krótki sygnał. Nie zapomniał lekcji, jakich udzielał mu stary Jimmy T. Przygotował się, licząc na sukces, ale był też przygotowany na porażkę. Nie lekceważył Net Force, nie ufał czarnemu prezydentowi tego zacofanego afrykańskiego

państewka, a przede wszystkim nie miał zaufania do starego, poczciwego pana Hughesa. Zabezpieczył się więc, i to na kilka sposobów. Nigdy nie wiadomo...

Niedziela, 16 stycznia 2011 roku, godzina 7.00

Quantico, Wirginia

Nagi Fernandez przekręcił się na łóżku, kontemplując swe wielkie szczęście.

Obok niego zaspana Joan, też nago, zamrugła powiekami. - Która to godzina?

- Koło siódmej. Spytaj, czy mnie to obchodzi.

Uniósł kołdrę i spojrzał na nią.

- Co robisz? - spytała.

- Patrzę na ciebie. Wiem, że nie lubisz tego słuchać, ale jesteś naprawdę piękna.

- Nie zawsze nie lubię. Zależy, kto to mówi i kiedy. - Uśmiechnęła się do niego. - Masz za dużo blizn, żeby cię uznać za pięknego, ale nie narzekam.

Pogłaskał ją po policzku. - Tej nocy byłaś wspaniała, nie znam żadnej kobiety, która mogłaby się z tobą równać.

- Założę się, że mówisz to każdej dziewczynie.

- Nie, Jo, tylko tobie.

Usiadła. Kołdra opadła, odsłaniając jej piersi. Objęła go i uściskała. - Dziękuję ci. Możesz mi to powtarzać, ile razy zechcesz. I wiesz co? Ja też nie pamiętam lepszej rozbieranej randki.

- Mówiłem ci, że mam ukryte talenty.

- Idziesz pod prysznic?

- Nie, o pani. Chcę tylko leżeć z tobą w tym łóżku, dopóki nie przyjdą, żeby nas odwieźć do domu starców. Ale nieźle się spociłem, więc może prysznic to rzeczywiście nienajgorszy pomysł.

- No to ruszaj. I zawołaj, gdybyś chciał, żebym do ciebie przyszła.

- No to od razu wołam.

- Nie, nie, najpierw puść ciepłą wodę. Po co dziewczynie kochanek, jeśli nie odkręci dla niej

prysznic?

- Nie myślałem o tym w ten sposób - powiedział. Wstał z łóżka i ruszył do łazienki.

- Julio?

Zatrzymał się. - Tak?

- Odwróć się, proszę.

Uśmiechnął się, uniósł ręce i wykonał coś w rodzaju piruetu. - Tak dobrze?

- Dobrze. Nadajesz się. Odkręć prysznic.

- Tak jest, proszę pani. Już pędzę.

35

Niedziela, 16 stycznia 2011 roku, godzina 7.40

Quantico, Wirginia

Jay „Samotnik” Gridley był wciąż zmęczony, bo zdołał złapać zaledwie godzinę snu, ale czuł się dobrze. Mimo przestróg szefa, zdrzemnął się na kanapie w swoim biurze, wstał wcześniej i wyruszył w kolejną wędrówkę po sieci.

Platt był kluczem do tego wszystkiego i chociaż znikł, nie pozostawiając żadnych śladów, być może nie był aż taki cwany, jak mu się wydawało. Tylko nieliczni rzeczywiście są tak cwani, jak im się wydaje, a Platt popełnił niewybaczalny błąd - śmiało rzucił wyzwanie Net Force.

Jest kilka powszechnie znanych błędów, których lepiej unikać. Nie sika się pod wiatr, nie jada w knajpie, nazywającej się „U Mamy” i nie zadziera z wielkim programistą, „Samotnikiem” Jayem Gridleyem. Nikomu nie wychodzi to na dobre.

Marietta, Georgia

W biurze telegrafisty unosił się zapach tytoniu fajkowego. Żeliwny, węglowy piecyk ze stalową rurą, ustawiony pośrodku pomieszczenia promieniował ciepłem, które pozwalało przetrzymać nawet najgorsze mrozy, ale mimo wszystko było tu dość chłodno. Za kontuarem siedział mały człowieczek, pykając z fajki z kaczana kukurydzy. Ubrany był w długi wełniany płaszcz, a na nosie miał okulary w grubej złotej oprawie.

- Dzień dobry panu. Czym mogę służyć?

Jay posłał telegrafście uśmiech i uchylił kapelusza. - Dzień dobry.

Gridley miał na sobie mundur kapitana konfederatów, z miękkiej, szarej wełny; większość zwykłych żołnierzy nosiła beżowe mundury. Wielu oficerów szyło sobie mundury na miarę, według własnych projektów, więc umundurowanie w szeregach konfederatów było dość zróżnicowane. Na tak wczesnym etapie wojny, w roku 1862, Południe nie tylko nie było jeszcze pokonane, ale nawet mogło się poszczycić znaczącymi zwycięstwami w walce z Północą. Pierwsze Manassas* - bitwa nad Bull Run - było pogromem. Południowcy spuścili wtedy Jankesom niezłe lanie. Po Perryville* sytuacja zaczęła się robić niekorzystna dla konfederatów, ale w tej chwili większość ludzi na Południu całkiem niezłe oceniała swe szanse zwycięstwa w wojnie z Unią.

Dbając o południowy akcent, Jay powiedział: - Jestem kapitan Jay Gridley ze sztabu generała Lee. Może pan oddać wielką przysługę swemu stanowi i Konfederacji. Szukamy jankeskiego szpiega, posługującego się nazwiskiem Platt. Podejrzewamy, że wysyłał z tego obszaru zaszyfrowane meldunki telegraficzne do swych mocodawców na Północy.

- Niech mnie kule biją! - zawołał telegrafista. - Jak to możliwe?

- Cóż, proszę pana, nie sądzimy wprawdzie, że jest na tyle głupi, by dokonywać tych zdradzieckich aktów pod własnym nazwiskiem, ale kto wie... czy mógłby pan sprawdzić to dla nas?

- Z ogromną przyjemnością.

Mili ludzie, ci południowcy.

Po minucie wertowania żółtych kartek, telegrafista pokręcił głową. - Kapitanie, obawiam się, że nikt nazwiskiem Platt nie wysyłał stąd ani nie odbierał żadnych wiadomości.

- Spodziewałem się tego, proszę pana. Proszę pozwolić, że opiszę panu zdrajcę i pokażę jego portret pamięciowy. Mógł się posłużyć innym nazwiskiem.

Jay wyrecytował rysopis Platta, po czym wyjął z kieszeni kurtki wykonany tuszem rysunek.

Telegrafista spojrzał i ściągnął brwi. - Przykro mi, ale ani na podstawie opisu, ani wizerunku nie rozpoznaję tego człowieka. Ale gdyby zechciał pan chwile zaczekać...

Telegrafista podszedł do zakratowanego okna naprzeciwko drzwi wejściowych, zamkniętego z powodu zimna, otworzył je i zawołał: - Buford! Odłóż no tę miotłę i chodź tu zaraz!

Chwilę później do biura wszedł wysoki, chudy chłopak, mający może trzynaście lat, ubrany w szare wełniane spodnie, podtrzymywane przez skórzane szelki, w szarą koszulę ze zgrzebnego płótna i znoszone brązowe buty. - Słucham pana?

- To jest kapitan Gridley ze sztabu generała Lee. Chce cię o coś spytać. - Zwracając się do Jaya, telegrafista powiedział: - Buford pilnuje czasem biura, kiedy mam przerwę na kolację. Nieźle sobie radzi z telegrafem, jak na takiego młodego chłopaka, ale zamierza się zaciągnąć, kiedy tylko skończy czternaście lat.

Jay miał chęć pokręcić głową. Rzeczywiście tak było podczas wojny secesyjnej.

Wielu nie wróciło. Wojna. Jakie to głupie.

Jay powtórzył rysopis i pokazał chłopcu rysunek.

- O tak, panie kapitanie, przypominam go sobie. Wysoki, postawny, ale nie nazywał się Platt. Pamiętam, że przedstawił się jako Rogers. - Chłopak spojrział na telegrafistę, a potem na Jaya. - Był tu nie dalej jak wczoraj, proszę pana.

Jay dostrzegł coś na twarzy chłopca, ale nie bardzo wiedział, jak to zakwalifikować. Spytał więc: - Czy ten pan Rogers wysyłał albo odbierał jakieś telegramy?

Chłopiec zawahał się. - Chyba tak, proszę pana. Nie jestem pewien. Wczoraj wieczorem był tu spory ruch.

Telegrafista zaczął wertować telegramy z poprzedniego dnia. - Nie widzę tu nic od, czy do Rogersa, chłopcze. Zachowałeś przecież kopię, prawda?

Chłopak obliznął wargi, które nagle zrobiły się bardzo suche. - Nnn... nie pamiętam, proszę pana. Ale musiałem to zrobić, jeśli nadawał albo odbierał telegram.

- Ale tu jej nie ma.

Jay spojrział chłopakowi w oczy. - Buford, kochasz swój kraj, prawda?

- O, tak, proszę pana!

- Więc lepiej powiedz prawdę. Z tym Rogersem było coś dziwnego, tak?

Chłopak wyglądał, jakby za chwilę miał się rozplakać. Przybrał ponury wyraz twarzy, a do oczu napływały mu pierwsze łzy.

- Ppp... proszę pana, pan Rogers wysłał telegram i... dał mi pięciocentówkę za kopię. Zabrał ją ze sobą. Pójdę teraz do więzienia?

- Co? Jak mogłeś coś takiego zrobić, Buford? To jest sprzeczne z regulaminem!

Jay uniósł rękę, uciszając telegrafistę. - Nie obchodzi mnie te pięć centów, ani to, co zrobiłeś, chłopcze. Możesz wszystko naprawić, jeśli potrafisz mi odpowiedzieć na jedno pytanie. Pamiętasz, do kogo pan Rogers wysłał telegram?. Nazwisko? Miejscowość?

- Ttt... tak, proszę pana, pamiętam urząd telegraficzny.

Jay uśmiechnął się. Ha! Mam cię, Platt!

Niedziela, 16 stycznia 2011 roku, godzina 8.05

Quantico, Wirginia

Jay wpadł do biura Michaela, machając wydrukiem komputerowym i wołając: - Szefie, mam go! Mam go!

- Spokojnie, Jay. Kogo masz?

- Platta! Wiem, dla kogo pracuje! Nie uwierzy pan! - Podsunął wydruk Michaelowi. - Widzi pan, facet był na tyle cwany, żeby się nie posługiwać własnym nazwiskiem, ale nie dość cwany, żeby zmienić wygląd. Przeszukałem wszystkie firmy łącznościowe w Georgii - numery tymczasowe, komórki, nowi abonenci - pod kątem klienta, odpowiadającego charakterystyce Platta. Uznałem, że skoro musi uciekać i nie może się posługiwać swoim nazwiskiem, będzie mu potrzebne jakieś urządzenie łącznościowe pod nowym nazwiskiem. Odrzuciłem kobiety, firmy, a potem sprawdziłem rejestry sklepów z aparatami telefonicznymi w całym stanie. Trochę to potrwało, ale w końcu poszukiwania zawęziły się do kilku możliwości i kiedy zacząłem je sprawdzać, natrafiłem na ujęcie z kamery bezpieczeństwa w jednym z takich sklepów. Widać go na nim, kiedy kupuje nowy telefon komórkowy!

Michael słuchał tylko jednym uchem. Na liście, którą przyniósł Jay, było kilkanaście numerów. Jeden z nich był obwiedziony na czerwono, a obok znajdowało się imię i nazwisko:

THOMAS HUGHES

Wydawało się znajome, ale Michael nie mógł sobie przypomnieć, kto to taki. Na pewno znał to nazwisko. Ale skąd?

- No więc miałem jego nowy numer i sprawdziłem wszystkie rozmowy...

- Jay - przerwał mu Michael. - Przejdź do sedna. Kto to jest ten Hughes, którego zakreśliłeś na czerwono?

Jay uśmiechnął się i wyprostował. - Jest szefem kancelarii jednego z senatorów Stanów Zjednoczonych.

Michaels skojarzył. Oczywiście! - White'a? Ten facet jest szefem kancelarii Roberta White'a?

- Zgadza się, sir! Czy to nie ciekawe, że nasz komputerowy zbir dzwoni do Hughesa? Jak pan sądzi, co może ich łączyć?

- Jezu! - powiedział Michaels.

Niedziela, 16 stycznia 2011 roku, godzina 8.55

Quantico, Wirginia

Toni spotkała się z Alexem i Jayem w sali konferencyjnej. Wypiła przed chwilą czwartą filiżankę kawy, ale i tak nie całkiem się jeszcze rozbudziła. Źle spała, martwiąc się, ale wcale nie o sprawy służbowe. Co najmniej sto razy odtworzyła w myślach tamten długi, namiętny pocałunek w Miacie. Alex jej pragnął, nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Pytanie tylko, czy pozwoli sobie na to uczucie? Czy też zdusi je w sobie i zacznie demonstrować chłodną obojętność?

- Co mamy, Toni?

- Trudno byłoby w tej chwili porozmawiać z Hughesem. Wyjechał w podróż z senatorem.

- Do Afryki? - spytał Michaels. - Etiopia?

Spojrzała na niego. - Skąd wiesz?

- Od faceta z jego kancelarii. Dzwonił do mnie, żeby ustalić termin, w jakim mam się stawić przed komisją.

Pokręciła głową. - Cóż, postaraliśmy się to sprawdzić. Senator rzeczywiście jest w Etiopii, uczestniczy w spotkaniach, wygłasza przemówienia, ale Hughesa z nim nie ma. Wiemy, że tam był, rozmawiał z dziennikarzami na pokładzie samolotu i wkrótce po wylądowaniu, ale od tego czasu nikt go nie widział.

- Hej, przecież mamy jego prywatny numer - wtrącił Jay. - Nie ma większego znaczenia, w której części Czarnego Łądu akurat przebywa. Jeśli ma ze sobą virgila, to znaczy, że można się z nim skontaktować.

- Problem w tym, Jay - odpowiedział mu Alex - że nie chcemy z nim rozmawiać przez virgila. Takie sprawy należy załatwiać osobiście.

- Myślicie, że ucieknie, jeśli się zorientuje, że coś na niego mamy?

- Jeśli nasze podejrzenia okazałyby się słuszne, grozi mu nie tylko złamanie kariery, ale także

piętnaście lat w więzieniu federalnym - zakładając, że Platt działa pod jego kierownictwem. Mógłby dojść do wniosku, że lepiej będzie zniknąć. A jeśli jest gdzieś w Afryce, z ekstradycją mogłyby być kłopoty.

- I musimy brać pod uwagę, że White też może być w to zamieszany.

- Pobożne życzenia - mruknęła Toni.

- Prawdopodobnie, ale pewności nie mamy. Może będziemy mieli szczęście - odparł z uśmiechem Alex.

- Nie rozumiem, co Hughes może na tym zyskać - powiedziała Toni. - W porządku, nadaje swemu szefowi temat, robi z Net Force chłopca do bicia, ale czy jest to warte takich ciężkich przestępstw?

- Sądzę, że znam odpowiedź - odezwała się Joan.

Wszystkie głowy odwróciły się w jej stronę.

Machnęła dłonią, włączając swój przenośny komputer. - Wracam właśnie ze spotkania z facetami, których zadaniem jest pilnowanie rządowych pieniędzy. Wczoraj, kiedy my biegaliśmy w kółko, gasząc kolejne pożary w bankowych systemach komputerowych, ktoś się tam wślizgnął i podprowadził prawie dwieście milionów dolarów.

- Co za zbieg okoliczności - powiedział Jay z przekąsem.

- Niech to diabli! - zawołał Alex. - Oczywiście! To był manewr odwracający uwagę! Sądziliśmy, że komuś zależy na spowodowaniu awarii systemu, a tymczasem chodziło nie o zamach terrorystyczny, lecz o pieniądze!

- To znaczy, że White jest czysty - powiedział Alex. - Ma pewnie większą sumę na rachunku osobistym.

- Udało się prześledzić drogę części skradzionych pieniędzy - ciągnęła Joan. - Przeszły przez jeden z banków na Karaibach i dwa konta numerowe w Szwajcarii. Ale dalsze poszukiwania rozbijają się o pewien indonezyjski fundusz powierniczy.

- Część pieniędzy? - spytał Alex.

- Sto sześćdziesiąt milionów - odpowiedziała Joan. - Czterdzieści powędrowało gdzie indziej.

Toni skinęła głową. - Całkiem niezły powód, żeby włamać się do paru komputerów i narobić potwornego bałaganu.

- To jeszcze nie koniec - powiedziała Joan i spojrzała na ekran swego komputera. - Dzięki anonimowemu donosowi do FBI aresztowano właśnie niejakiego Jamala S. Petersona, byłego pracownika banku, poszukiwanego za podobną kradzież w Południowej Dakocie w zeszłym

miesiącu. Odzyskali tamte pieniądze, kilkaset tysięcy, ale Petersona wtedy nie zatrzymano. Anonimowy donosiciel twierdzi, że Peterson jest odpowiedzialny także za te dwieście milionów.

- I został ujęty?

- Jakieś piętnaście minut temu. Zanim tu przyszedłam, rozmawiałam przez telefon z agentem FBI, który kieruje tą sprawą. Peterson miał fałszywy paszport, bilet do Rio w jedną stronę, a także nowe konto w Szwajcarii, na które wczoraj przelane zostało czterdzieści milionów dolarów.

- Czyli mamy jasność co do całej skradzionej sumy - powiedział Jay.

- Niezupełnie. Sto sześćdziesiąt milionów trafiło do banku na Bali, ale istnieje duże prawdopodobieństwo, że tylko na chwilę. Ten bank ma długą historię takich transakcji.

- Więc Hughes, jeśli to jego robota, prawdopodobnie ma już w rękach więcej pieniędzy niż wy i ja, i wszyscy w naszym wydziale zarobimy przez resztę życia - powiedział Alex.

- Można się o to spokojnie założyć - przytaknęła Joan.

Alex westchnął. - Jasna cholera.

- Nie chciałabym krakać - odezwała się Toni - ale komuś z takimi pieniędzmi niejeden afrykański kraj z radością udzieli azylu politycznego. Może nie Etiopczycy, ale prezydenci niektórych krajów Trzeciego Świata na pewno nie oparliby się pokusie. Powiedzmy, za pięćdziesiąt procent.

- I tak właśnie może wyglądać jego plan - powiedział Alex. - Może siedzi już w swej nowej willi w Sierra Leone, pociąga rum z sokiem bananowym i śmieje się z nas w kułak.

- To jeszcze nie koniec złych wieści, szefie - powiedział Jay. - Na wszystkie strony analizujemy te włamania do systemów komputerowych, badając nawet najdrobniejsze ślady i chyba natknęliśmy się na pewien problem.

Michaels spojrział na niego. - Jakoś mnie to nie dziwi. O co chodzi?

- Podejrzewamy, że Platt zorganizował to sobie w ten sposób, że w określonych porach musi się logować do różnych systemów. Jeśli tego nie zrobi i nie prześle właściwego sygnału, to zapewne czeka nas jeszcze kilka przykrych niespodzianek.

- Zabezpieczył się - powiedział Alex.

Jay skinął głową. - Na to wygląda. Staramy się, jak możemy, i z czasem znajdziemy wszystko, co podłożył, ale jeśli coś się przytrafi Plattowi, zanim się z tym uporamy...

Alex spojrział na Joan, a potem z powrotem na Jaya. - Róbcie, co się da - powiedział - i dajcie mi zaraz znać, kiedy wszystko unieszkodliwicie.

- Jasne, szefie.

- Pozostali zajmą się przede wszystkim ustaleniem, gdzie w tej chwili przebywa Hughes. Potem się będziemy martwić o jego immunitet i tak dalej.

Alex wyglądał na zamyślonego. - Toni, spróbuj złapać pułkownika Howarda w domu, dobrze?

- Nie ma go w domu - powiedziała Joan. - Jest na treningu przetrwania w Oregonie.

Wszyscy odwrócili się i spojrzeli na Joan. - No, obito mi się o uszy - powiedziała.

Jay wyszczerzył zęby w ironicznym uśmiechu.

- Rozumiem - odezwał się - powiedział ci to pewien sierżant, którego wszyscy znamy i kochamy?

Błada zwykle twarz Joan zrobiła się różowa.

- Oczywiście, niektórzy z nas najwyraźniej znają go bliżej i kochają bardziej niż inni - ciągnął Jay lodowatym tonem.

- Do roboty, znajdźcie mi tego złodzieja - powiedział Alex, oszczędzając Joan dalszego zażenowania. - Aha, jak dotąd, świetnie się spisujecie. Wy czworo jesteście najlepsi i nie wiercie nikomu, kto twierdziłby, że tak nie jest.

- Szefie, ale kto poleci na Hawaje? - spytał Jay.

- Do roboty, Jay. Jeszcze nie skończyliśmy. I zdobądź mi wszystko, co się da na temat Hughesa. Trzeba sprawdzić, z kim naprawdę mamy do czynienia.

36

Niedziela, 16 stycznia 2011 roku, godzina 6.15

Wschodni Oregon

John Howard przeszedł już tego ranka półtora kilometra, kiedy zaćwierkał jego virgil.

O, o! Zostawił instrukcje, żeby kontaktować się z nim tylko w sytuacjach nadzwyczajnych. Odpiął virgila od paska - o, tak, to, co się niedawno stało, było dobrą nauczka - i spojrzął na identyfikator, migający na ekranie.

Wicedyrektor Net Force Toni Fiorella.

Wcisnął klawisz. - Howard - powiedział.

- Pułkowniku, obawiam się, że będzie pan musiał skrócić trening. Mamy tu problem i Alex - dyrektor Michaels - chce, żeby pan wracał do centrali i postawił swe zespoły w stan gotowości.

- Zrozumiałem.

- Niech pan znajdzie jakiś płaski teren. Śmigłowiec przyleci po pana, kiedy tylko będzie to możliwe.

- Potwierdzam. Może pani powiedzieć, o co chodzi?

- Być może trzeba będzie kogoś skądś wydostać, pułkowniku, ale za wcześnie na razie na konkrety. Jeśli zdołamy zlokalizować klienta, prawdopodobnie nie będzie pan musiał pakować zimowego ubrania.

- Zrozumiałem. Już szukam lądowiska.

- Proszę do mnie wpaść, kiedy pan przyleci, pułkowniku. Wprowadzimy pana w tę sprawę. Do zobaczenia.

Kiedy połączenie zostało przerwane, Howard zaczął się rozglądać za miejscem, w którym mógłby wylądować śmigłowiec. Wiedział, że namierzą jego virgila, więc jeśli maszyna wystartuje z najbliższej bazy wojskowej, powinna tu być w ciągu godziny.

Ani trochę nie żałował, że musi przerwać trening. Żadne ćwiczenia czy treningi kondycyjne nie zastąpią prawdziwej akcji.

Niedziela, 16 stycznia 2011 roku, godzina 14.15

Bissau, Gwinea Bissau

Sieć pokrywała cały świat, nawet taką dziurę, a na połączenie się przez ekranowany modem przenośnego komputera z przelatującym właśnie nad głową satelitą komunikacyjnym potrzeba było zaledwie kilku minut. Jeszcze minuta i zakodowane hasło oraz 160 milionów elektronicznych dolarów przeleciało z Bali do Bissau, do państwowego Banco Primero de Bissau. Teraz pieniądze były już bezpieczne. Z punktu widzenia władz amerykańskich równie dobrze mogłyby się znajdować na powierzchni Saturna.

W swoim pokoju, siedząc po turecku na łóżku, Hughes głęboko nabrał powietrza i wypuścił je powoli. Uśmiechał się. Okazało się, że wcale nie tak trudno jest ukraść więcej pieniędzy niż

większość ludzi kiedykolwiek zobaczy. Dla większości ludzi 160 milionów dolarów było abstrakcją; jedyną szansą posiadania kiedykolwiek takiej sumy była wielka wygrana na loterii. Dla Hughesa pieniądze były jednak tylko środkiem, służącym osiągnięciu właściwego celu. Narzędziem, niczym więcej. Zdobył pełną swobodę działania. Miał pieniądze, a tamci nie mieli pojęcia, kto je ukradł. Może teraz wracać do Stanów z White'em, zakończyć parę spraw, wykonać kilka telefonów i ruszać w drogę. Nawet gdyby w jakiś sposób wszystko się wydało, wciąż będzie miał czterdzieści milionów, po zapłaceniu prezydentowi. Niezła suma na czarną godzinę. Obejmowała oczywiście te dwadzieścia milionów, które miał dostać Platt, ale Plattowi te pieniądze nie będą już potrzebne.

Tak łatwo poszło. Fascynujące.

Zadzwonił telefon.

- Tak?

Sekretarz prezydenta. - Dzień dobry, panie Hughes. Prezydent Domingos przesyła pozdrowienia i pyta, czy zechciałby pan wypić z nim drinka w sali Błękitnej, powiedzmy za pół godziny?

- Ależ z przyjemnością - odpowiedział Hughes. - Za pół godziny.

Znów się uśmiechnął. Jego ekscelencja nie tracił czasu. Postanowił wziąć przed wyjściem prysznic i przebrać się w świeże ubranie.

Niedziela, 16 stycznia 2011 roku, godzina 10.00

Quantico, Wirginia

- Gwinea Bissau? - upewnił się Alex. - Nie pomyśl sobie o mnie źle, ale gdzie to jest, u diabła?

- Afryka Zachodnia - odpowiedziała Toni. - Między Senegalem a Gwineą.

- No, to już teraz wszystko wiem.

Byli w jego gabinecie, sami, a ona właśnie przekazała mu informację o miejscu pobytu Hughesa.

- Jest w Bissau - powiedziała Toni. - Uwierz mi na słowo.

- Skąd to wiemy?

- Mam kogoś w CIA. Sprawdził to dla mnie. Mają nawet agenta w tym kraju. Złożył w tej

sprawie meldunek.

- Po co CIA agent w takim kraju? Tej całej Gwinei Bissau nie ma nawet na mapach CIA. Jakże może mieć znaczenie to miejsce, jeśli nawet nie zaznaczyli go na mapie?

Toni wzruszyła ramionami. - A kto może wiedzieć, jakimi motywami kierują się szpiedzy?

Zajrzał do materiałów, które mu dostarczyła. - Na kurort też to nie wygląda. Co on tam robi?

- Szpiedzy nie palą się do udzielania informacji. Moje źródło mówi o jakimś interesie między prezydentem tego kraju a Hughesem, ale niczego więcej nie wiedzą. Albo, co bardziej prawdopodobne, niczego więcej nie chcą powiedzieć.

Alex odchylił się na krześle i zaczął się bawić piórem świetlnym.

Rozległo się pukanie i w drzwiach stanęła Joan.

- Dobre wiadomości, mam nadzieję? - zapytał Alex.

- Cóż, dobrze, że udało nam się ustalić, że jest niedobrze.

- Cudownie. Proszę mówić dalej.

- Federalni uiścili opłatę wejściową - pan i ja nazwalibyśmy to łapówką - bankowcom na Bali i dotarli do rachunku, na którym były te pieniądze.

Alex westchnął ciężko. - Były. Rozumiem, że to kluczowe słowo?

- Słusznie. Konto zostało opróżnione niespełna godzinę temu. Pieniądze przeszły do jakiegoś Banco Primero de Bissau. To w...

- W Gwinei Bissau - dokończył za nią Alex.

- Jestem pod wrażeniem, sir. Nigdy przedtem nie słyszałam o takim kraju.

- Szefowie wszystko widzą i wszystko wiedzą, Joan - powiedział, smutno się przy tym uśmiechając. - A więc nasz złodziej jest, wraz z milionami, które ukradł, w kraju, z którym prawdopodobnie nie mamy umowy o ekstradycji, bo dotychczas żaden z naszych przestępców nie próbował tam uciekać, tak? A gdybyśmy nawet mieli umowę, to i tak nic nie wskóramy, bo Hughes i tamtejszy kacyk już coś wykombinują? Może ktoś zechciałby mi powiedzieć, że nie mam racji?

Joan i Toni pokręciły głowami.

Alex wstał, odłożył świetlne pióro i zaczął się przechadzać w tę i z powrotem, nie wychodząc zza biurka. Po paru sekundach powiedział: - W porządku. Czy miałoby to jakiś sens, gdybym zadzwonił do Departamentu Stanu i powiedział im, że chcemy ściągnąć tu tego faceta?

Toni znów pokręciła głową. - Jeśli Hughes będzie myślał, że zostanie aresztowany, kiedy tylko wyjdzie z samolotu, to prawdopodobnie nie. Departament Stanu nie może go zmusić do powrotu, jeśli facet ma w kieszeni tamtego prezydenta.

Toni mówiła dalej. - Z drugiej strony, chodzi o szefa kancelarii senatora Stanów Zjednoczonych. Prawdopodobnie może wytoczyć przeciw nam ciężką artylerię. Politycy są mu pewnie winni niejedną przysługę. Może wróci, a White weźmie go w obronę?

- Może - powiedział Alex. - Ale nie można wspiąć się na najwyższe szczeble w hierarchii politycznej, jeśli się nie wie, które robaki można rozdeptać, a które lepiej ominąć. Mamy tu do czynienia z wielką kradzieżą, a nie z jakąś gafą polityczną. To nie mrówka, lecz cuchnący żuk gnojnik. Hughesowi bardzo trudno byłoby zwalić winę na opozycję, zarzucając jej, że próbuje przedstawić go w złym świetle. Założę się, że White pozbedzie się Hughesa, jakby to był odbezpieczony granat.

- Ale do czego to wszystko prowadzi, panie dyrektorze? - spytała Joan.

- Chyba do tego, że jeśli chcemy Hughesa, to musimy sami go tu ściągnąć - powiedział Alex.

- Chwileczkę - wtrąciła się Toni. - Przecież on nie wie, że my wiemy, że jest złodziejem. White wraca do kraju w przyszłym tygodniu. Może Hughes po prostu wróci ze swoim senatorem? Może się mylę, ale przecież ma miejsce w czarterowym samolocie White'a. Dlaczego nie miałby wrócić? Jest przecież przekonany, że nikt go o nic nie podejrzewa. To by nam bardzo ułatwiło sprawę. Zaczekamy, aż wyląduje na lotnisku Dullesa i zgarniemy go bez trudu.

Alex spojrział na nią i uśmiechnął się. - Masz rację. Przecież on nie wie, że go szukamy. I podejrzewam, że teraz, kiedy kradzież została już dokonana, jego sługus nie będzie dokonywał kolejnych aktów sabotażu w sieci. Nie ma pośpiechu, możemy poczekać kilka dni. W ten sposób nie będę musiał wyjaśniać szefowi FBI, dlaczego dokonałem inwazji na kraj Trzeciego Świata i porwałem stamtąd kogoś. Genialnie, Toni.

Posłała mu uśmiech. Zawsze była szczęśliwa, kiedy mogła u niego wywołać taką reakcję.

- Ale może warto poprosić CIA o drobną pomoc w obserwowaniu tego faceta, na wypadek, gdyby jednak postanowił udać się gdzie indziej?

- Z przyjemnością nam pomogą - powiedziała Toni. - Stracili trochę ludzi, kiedy tamta lista szpiegów znalazła się w sieci. Chcą dostać tego faceta. Obawiam się, że jeśli my go szybko nie dostaniemy, może mu się przydarzyć jakiś nieszczęśliwy wypadek.

- To by było niedobrze - powiedział Alex. - Jest nam potrzebny żywy, przynajmniej dopóki Jay i Joan nie rozbiorą tych jego bomb z opóźnionym zapłonem.

- Wiem - powiedziała. - Wspomniałam, że chcemy go żywego.

Niedziela, 16 stycznia 2011 roku, godzina 10.00

Chicago, Illinois

Platt zarezerwował sobie miejsce w rejsowej maszynie z O'Hare na Heathrow, skąd, już innymi liniami, zamierzał polecieć do Afryki Północnej. Ostatni odcinek, do tego zwariowanego kraiku, w którym był Hughes, miał zamiar pokonać samolotem linii miejscowych. Ruszał w tę podróż na pokładzie wielkiego, wygodnego *M-11*, miał się przesiąść na *DC-9*, a w końcu na turbośmigłowego *DeHavillanda*. Ponieważ zarezerwował miejsce w klasie turystycznej na całej trasie, nie oczekiwał wygodnych foteli. Pocieszał się, że już niedługo będzie mógł latać pierwszą klasą, kiedy tylko przyjdzie mu ochota.

Samolot odlatywał po południu, więc Platt musiał jakoś zabić ponad sześć godzin. Zastanawiał się nad wynajęciem pokoju w hotelu, żeby się trochę przespać, ale uznał, że spać może także w samolotach, jeśli dadzą mu dwie, czy trzy poduszki, a nie chciał ryzykować, że zaśpi i spóźni się na samolot. Postanowił więc zaczekać na lotnisku. Będzie się mógł powłóczyć, kupić najnowsze wydania pism kulturystycznych - „Flex”, „Muscular Development”, „MuscleMag” - zjeść coś przyzwoitego i tak dalej. Miał ze sobą tylko torbę podróżną, więc będzie ją mógł zostawić w schowku na bagaż. Nie ma sprawy.

Ponieważ było jeszcze bardzo wcześnie, nie śpieszył się z odprawą. Zjadł śniadanie, spędził trochę czasu w kiosku z czasopismami, poszedł do toalety, a potem znalazł sobie miejsce obok wyjścia do samolotu, usiadł i postanowił poczytać.

Wypatrzył dwóch federalnych zaraz potem, jak weszli do hali odpraw. Szukali kogoś, ale nie zwracał na to specjalnej uwagi. Po prostu podświadomie zarejestrował ich obecność. Ale potem spostrzegł, że mu się przyglądają, zorientował się, że go rozpoznali, po czym natychmiast zaczęli udawać, że to nie o niego im chodzi.

O, cholera!

Dwaj federalni odeszli szybkim krokiem, ignorując go, ale było już za późno. Platt miał pewność. To jego szukali. Przyszli wcześniej, żeby ustalić, gdzie się na niego zasadzić; nie oczekiwali, że już tu będzie.

Jak do niego dotarli? Skoro przyszli do wyjścia dla pasażerów lotu międzynarodowego, musieli wiedzieć, że zarezerwował miejsce w samolocie tych, a nie innych linii. A skoro to wiedzieli, to musieli też wiedzieć, pod jakim nazwiskiem będzie podróżował, z jakim paszportem i tak dalej. Mogli się o tym dowiedzieć tylko z jednego źródła. Platt nie informował o tym nikogo, z wyjątkiem Hughesa.

A Hughes go wydał.

Tak jak Platt wydał Petersona.

Cholera. Nie docenił Hughesa. Powinien być bardziej czujny. Co za sukinsyn!

Odłożył czasopismo. Musiał się stąd wynosić, i to szybko. Ci dwaj federalni wzywają pewnie w tej chwili posiłki i za parę minut port lotniczy zmieni się w pułapkę, o ile już się tak nie stało.

Może federalni nie zorientowali się, że ich zauważył. To może mu dać dodatkowo parę minut. Ale i tak nie mógł ryzykować wyjścia frontowymi drzwiami. Mogły tam już biec lotniskowe gliny.

Wstał i poszedł do drzwi, za którymi znajdowały się wyjścia do samolotów. Drzwi były zamknięte na zamek cyfrowy, ale w pobliżu akurat nikogo nie było, więc uznał, że może się oprzeć ramieniem i nacisnąć. Przedtem spojrzął jednak uważniej i przekonał się, że te przeklęte drzwi otwierały się oczywiście do wewnątrz. Nie da rady wyważyć ich ramieniem. Szlag by to trafił!

Rozejrzał się dookoła. Dwie hostessy otwierały właśnie stanowisko komputerowe przy jednym z wyjść. Ruszył w tamtą stronę.

- Przepraszam bardzo, nie chciałbym sprawiać kłopotów, ale właśnie widziałem kogoś, wchodzącego tamtymi drzwiami. - Pokazał ręką.

Pracownicy linii lotniczych spojrzały na niego zdziwione. Jedna z nich była wysoką, tlenioną blondynką, druga, niższa i tęgawa, miała rude włosy, pewnie też farbowane.

- Te drzwi z napisem „Przejścia Nie Ma”, o, tam. Były uchylone i jakaś dziewczynka, osiem, może dziewięć lat, sam nie wiem, weszła do środka i zamknęła je za sobą.

- Ja się tym zajmę, Marcie - powiedziała ruda.

- To tutaj, tuż obok - powiedział Platt z uśmiechem.

Kiedy kobieta wybrała kombinację cyfrowego zamka, Platt jeszcze raz rozważył możliwości. Złapać ją, wciągnąć do środka, dać w łeb i uciekać? A może zapamiętać kombinację, zaczekać, aż pójdzie, szukając dziecka, które nie istniało i wślizgnąć się tam po cichu?

Gdyby miał więcej czasu, wybrałby tę drugą możliwość. Mniej zamieszania. Ale może właśnie w tej chwili FBI i miejscowa policja zarzucają sieć na tę część portu lotniczego? Mogą się liczyć sekundy.

Podszedł do niej od tyłu, objął za szyję i mocno ścisnął. Opierała się i próbowała krzyczeć, ale z gardła wydobyło jej się tylko rżenie. Trzydzieści sekund później była już nieprzytomna, bo do jej mózgu przestała dopływać krew. Gdyby ścisnął ją trochę mocniej, wyzionęłaby ducha, ale nie był jeszcze na tyle zdesperowany. Zresztą, po co miałyby to robić - i tak wiedzieli już, kim jest. Nie ma sensu dokładać zabójstwa do tego, co już na niego mieli. Kiedy zemdląca, ściągnął z niej bluzkę, podarł na pasy, związał kobiecie ręce i nogi, wcisnął do ust kawałek tkaniny i obwiązał jej twarz chustką, którą miała na szyi, po czym podniósł ją i przerzucił sobie przez ramię. Poszedł do końca korytarzem, położył ją na podłodze za zakrętem, gdzie nikt nie mógł jej zobaczyć, otworzył drzwi awaryjne i zszedł po drabince na betonową płytę lotniska. Kobieta zaczęła odzyskiwać przytomność, kiedy odchodził. Nic jej nie będzie.

Na zewnątrz było strasznie głośno.

Dwa wyjścia dalej rozładowywano właśnie jakiś samolot. Platt szybko poszedł w tamtą stronę. Minął go facet jadący wózkiem bagażowym. Platt pomachał do niego, dając mu znać, żeby się zatrzymał.

- O co chodzi? - wykrzyknął facet. Miał słuchawki na uszach.

Platt uśmiechnął się. Chwycił tamtego, rąbnął go w brzuch, a potem jeszcze od góry w głowę, pozbawiając faceta przytomności. Ściągnął mu słuchawki i wskoczył na wózek. Przesunął dźwignię i odjechał.

Prawdopodobnie już wkrótce policja poustawia blokady na drogach dojazdowych do lotniska.

Myśl, Platt, myśl!

W porządku. Miał awaryjny paszport i około dwudziestu tysięcy dolarów z pieniędzy Hughesa - tysiąc w gotówce, a resztę na koncie, mógł je podjąć, korzystając z karty bankomatowej. I miał jeszcze sto tysięcy dolarów, odłożone jako żelazna rezerwa na innym koncie, na nazwisko, którego nikt oprócz niego nie znał.

Ale najpierw musi się stąd wydostać, i to zaraz.

Miał przed sobą tę część lotniska, na której parkowały maszyny transportowe.

Uśmiechnął się, kiedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

- Dzień dobry panu - powiedział kierownik biura frachtu lotniczego. - W czym mogę panu pomóc? - Platt zorientował się, że to jeszcze dzieciak; liczył sobie nie więcej niż dwadzieścia cztery, może dwadzieścia pięć lat. Miał na sobie białą koszulę i granatowy krawat.

Platt uśmiechnął się. - Widzi pan, mam pewien problem. Nazywam się Herbert George Wells. W Londynie czeka na mnie gotowa do transportu, wielka partia części do maszyn rolniczych, ale nijak nie mogę tego ściągnąć do domu. - Dokładał wszelkich starań, żeby zrobić wrażenie zdeterminowanego, a zarazem niezbyt bystrego faceta.

- Chętnie panu pomożemy. Od tego tu jesteśmy.

- No tak, ale co z tymi liniami, u których zamówiłem transport? Olali mnie, silnik im nawalił, czy co. Żeby skorzystać z ulgi podatkowej, musiałem zapłacić im za wyczarterowanie samolotu do 31 grudnia zeszłego roku.

Kierownik uniósł brwi.

- Widzi pan, zaoszczędzę dziesięć tysięcy dolarów, jeśli będę mógł wykazać, że wpłaciłem te pieniądze trzy tygodnie temu. Rozumie pan?

- Chyba tak.

- Chciałbym wynająć jeden z waszych samolotów, żeby tam poleciał i zabrał moje części - nie ma w tym nic nielegalnego, mam wszystkie papiery - ale jeśli nie skorzystam z maszyny, którą przedtem wyczarterowałem, stracę dziesięć tysięcy. Z drugiej strony, pilnie potrzebuję tych części, słono kosztuje mnie każdy dzień, kiedy czekają tam, w Anglii, a ja nie mogę ich dostarczyć do Mobile w Alabamie. Jak najszybciej muszę je mieć w Mobile.

- To rzeczywiście kłopot, proszę pana.

- No jasne. Ale przecież te moje maszyny naprawdę są zupełnie w porządku. A co by pan powiedział, gdybyśmy, dajmy na to, załatwili to w ten sposób, że przyjął pan de mnie zlecenie gdzieś w okolicach Bożego Narodzenia. Czy to by był duży problem?

Kierownik rozejrzał się dookoła, po czym skierował wzrok na Platta. Był przekonany, że ma przed sobą wysokiego, umięśnionego mechanika w tarapatach. - Hm, gdybym przyjął zlecenie i jakoś zapomniał wprowadzić je do komputera, byłby to mój błąd. Mógłbym go... ee... naprawić, wypełniając dokumenty, wstawić wcześniejszą datę, tak, żeby wszystko się zgadzało z terminem, w którym przyjąłem zlecenie.

Platt posłał mu konfidencjonalny uśmiech, jak światowiec światowcowi. - Cóż, gdyby pan tak zrobił, byłbym ogromnie wdzięczny. A pan Franklin też byłby bardzo zadowolony, razem z całą drużyną baseballową swoich braci-bliźniaków. - Platt sięgnął do kieszeni w koszuli, rozejrzał się dookoła, po czym wyciągnął dziesięć złożonych na pół setek. Położył banknoty na biurku i przesunął je w stronę dzieciaka.

Kierownik nakrył je dłonią, otworzył szufladę biurka, zgarnął do niej pieniądze i zamknął z powrotem. Uśmiechnął się do Platta. - W porządku, panie Wells, więc co to są za części?

Platt też się uśmiechnął. Wiedział już, jak się stąd wydostanie.

A kiedy już wyląduje w Anglii, dostanie się do Afryki będzie proste.

I wreszcie zamieni sobie parę słów z panem Thomasem Hughesem.

Quantico, Virginia

Michaels jadł jakąś chińską potrawę, którą dostarczono mu do biura. Posługiwał się pałeczkami jednorazowego użytku, nabierając jedzenie prosto z pojemników. Nie zawracał sobie głowy papierową tacką, którą wsunięto do torby. Zamówił kurczaka na ostro z makaronem, słodkokwaśne tofu, ale i jedno i drugie wydawało się dziś mdłe. Jadł, żeby zaspokoić głód, a nie dla smaku. Miał inne rzeczy na głowie.

Do gabinetu weszła Toni. Uniósł wzrok. Twarz miała może nie ponurą, ale na pewno poważną.
- Kolejne dobre wieści? - spytał.

- Niewykluczone, że jednak nie będziemy mogli poczekać, aż czarterowy samolot White'a dostarczy nam pana Thomasa Hughesa.

Michaels odłożył pojemnik z jedzeniem. - Jak już coś się wali, to wszystko na raz. Co się stało?

- Wygląda na to, że jakąś godzinę temu spaprali robotę agenci FBI, którzy na lotnisku O'Hare w Chicago mieli się zająć na Platta. Zamierzali dyskretnie obserwować wyjście, którym Platt miał wejść na pokład samolotu, odlatującego do Anglii.

- Spaprali robotę. Ładne sformułowanie. Skąd wiedzieli, że Platt tam będzie?

- Kiedy już się dowiedzieliśmy, kogo szukamy, natrafiliśmy na kilka kont, założonych przez Hughesa, nic wielkiego, mniej niż dwadzieścia-trzydzieści tysięcy dolarów na każdym. Otwierając te konta, Hughes starał się zatrzeć za sobą ślady, ale niezbyt usilnie. Pieniędźmi z jednego z tych kont Platt zapłacił za bilet lotniczy, oczywiście pod fałszywym nazwiskiem.

- To skąd wiesz, że to był Platt?

- A kto inny sięgałby w tym momencie do takiego tajnego konta, żeby kupić bilet lotniczy za granicę? Daliśmy znać FBI. Przyjechali do portu lotniczego na kilka godzin przed odlotem maszyny Platta, ale on już czekał w hali odpraw. Zauważył ich.

- I uciekł, prawda?

- Agenci nie są jeszcze gotowi przyznać się do porażki. Ale na pewno uciekł z budynku dworca, obezwładniając pracownicę linii lotniczych i kierowcę wózka bagażowego. Ukradł wózek i zniknął. FBI wciąż go szuka, ale to jest wielkie lotnisko.

- Tak, pasuje do tego określenie „spaprali robotę”. I co dalej? W najgorszym i w najlepszym wypadku?

Toni oparła się o ścianę. - W najlepszym wypadku znajdą go za pięć minut, schowanego gdzieś w magazynie za stertą kosiarek do trawy, zatrzymają go, a on wszystko wyśpiewa, dając

prokuratorowi tyle materiału dowodowego, że wystarczyłoby na zatopienie lotniskowca. Hughes wróci, zdejmujemy go, dostanie pięćdziesiąt lat i umrze w więzieniu jako stulatak.

Michaels uśmiechnął się do niej. - To mi się podoba.

- W najgorszym wypadku Platt zdoła uciec i zadzwoni - albo dostanie się jakoś - do Afryki i powiadomi Hughesa, że gra skończona, i że szykujemy się na niego. Hughes, który ma forsy jak lodu, postanowi nie wracać i będzie odtąd żył szczęśliwie, mieszkając w pokoju gościnnym w pałacu prezydenckim. Też umrze w wieku stu lat, z przejedzenia kawiozem.

- To już mniej mi się podoba. Ale coś mi mówi, że ta druga ewentualność jest bardziej prawdopodobna.

- Może jednak uda im się złapać Platta.

Michaels pokręcił głową. - Dziwnym trafem, moja wiara w agentów FBI nie jest już taka wielka, jak kiedyś. - Przerwał na chwilę, wpatrując się w stygnący makaron i tofu. - Gdzie jest pułkownik Howard?

- Na pokładzie samolotu wojskowego. Powinien tu być za parę godzin. Więc co robimy?

- Czy w tej chwili moglibyśmy powstrzymać Platta, gdyby postanowił podnieść słuchawkę i zatelefonować do Hughesa?

- Jay mówi, że tak. Jeśli ten virgil, na który Platt dzwonił przedtem, jest jedynym, jaki Hughes ma do dyspozycji, możemy go zakłócić tak, że nie będzie sygnalizował przychodzących rozmów. Ale w Bissau są jeszcze inne telefony i niektóre podobno nawet działają. Wszystkich nie zdołamy zablokować.

- Powiedziałaś pułkownikowi, o co chodzi?

- Jeszcze nie.

- Więc zadzwoń do niego i powiedz. Powiedz mu, żeby przygotował scenariusze operacji. Niech ustali, jakie mamy szansę uprowadzić stamtąd Hughesa.

- Alex, naprawdę chcemy to zrobić?

- Ten facet sterroryzował cały kraj. Przez niego zginęli ludzie. Omal nie podarował materiałów rozszczepialnych bandzie głupków. No i ukradł masę pieniędzy. Chcę go zobaczyć za kratkami. Jeśli zrobimy to, jak należy, będzie po wszystkim, zanim ktokolwiek się zorientuje i pan Thomas Hughes znajdzie się w naszych rękach.

- Zadzwonię do pułkownika.

Rozległ się sygnał interkomu. - Tak? - Sir, dzwoni adwokat pańskiej żony. Cudownie. - Niech zostawi swój numer. I powiedz mojemu adwokatowi, żeby do niego zadzwonił.

Toni spojrzała na niego pytająco.

- To długa historia. Opowiem ci ją, kiedy będziemy mieć trochę więcej czasu.

Niedziela, 16 stycznia 2011 roku, godzina 17.00

Bissau, Gwinea Bissau

Hughes stał na wielkim balkonie, oglądając różowe budynki dookoła. W Afryce wcale nie było tu tak źle - o ile mieszkało się w takich warunkach. W tym kraju można sobie zbudować przyzwoity dom już za dwadzieścia tysięcy dolarów, a rezydencję za niecałe sto tysięcy. On miał czterdzieści milionów. Poradzi sobie, nie ma obawy.

Oparł się o poręcz balkonu, obserwując rozebranego do pasa ogrodnika, który motyką oczyszczał rabatę z chwastów. Takiego kogoś można tu sobie wynająć za dwadzieścia dolarów miesięcznie.

Tak. Będzie się potrafił tutaj urządzić.

Interes z Domingosem udało się ubić bez żadnych problemów. Sto milionów dolarów trafiło na prywatne konto *El Presidente* w Szwajcarii, a Hughes uzyskał wyłączne prawo do eksploatacji wszystkich bogactw naturalnych w całej Gwinei Bissau przez następne dziewięćdziesiąt dziewięć lat. Sama ropa naftowa, boksyty i fosfaty były warte miliardy - tak przynajmniej powiedzieli Hughesowi jego geolodzy i nafciarze. A do tego jeszcze złoto, srebro, miedź i co tam jeszcze może kryć tutejsza ziemia, której zasobów nikt dotąd nie zbadał. Ten kraj nigdy nie miał dość pieniędzy, żeby przeprowadzić poważniejszą eksplorację, a wielkie korporacje międzynarodowe uważały, że zaangażowanie się w Gwinei Bissau byłoby zbyt wielkim ryzykiem. Żadna firma nie wyda kilkuset milionów dolarów na wejście do takiego kraju, gdzie musiałyby się obawiać, że tubylcy zadźgają jej personel dzidami i wszystko zagarną.

Ale sytuacja zmieni się diametralnie, kiedy Hughes wejdzie w posiadanie praw do eksploatacji tutejszych surowców naturalnych. Był wykształconym Amerykaninem; z kimś takim jak on wielkie firmy naftowe i górnicze nie będą się bały robić interesów. Miał wielkie doświadczenie w prowadzeniu skomplikowanych negocjacji na wysokich szczeblach; zdobył je dzięki pracy u White'a. Powie swym przyszłym partnerom, że zrezygnował z kierowania kancelarią senatora i przeniósł się tutaj, żeby zrobić majątek. Do licha, nawet gdyby wiedzieli, że obrabował bank, nie miałyby to żadnego znaczenia. Jeśli ktoś się spodziewa, że interesy z nimi przyniosą mu miliardy, prawdopodobnie będzie gotów przymknąć oko na ciemne sprawy z przeszłości. Nie raz się zdarzyło, że faceci, ścigani w Stanach za przestępstwa, robili karierę i pieniądze w innych krajach. Na przykład ten reżyser, który uciekł gdzieś do Europy, chyba do Francji i pozostał tam, ponieważ miejscowi podziwiali jego twórczość i odmówili wydania go władzom amerykańskim.

Grunt to forsa. A na poziomie miliardów dolarów zasady etyczne stawały się bardzo elastyczne.

Hughes jeszcze raz przejrzał całkowicie legalne elektroniczne kopie świeżo podpisanych umów, których oryginały znajdowały się w bezpiecznym miejscu.

Kilka wielkich korporacji dobijało się już do niego, oferując wielkie pieniądze za licencje na badania geologiczne.

Oczywiście i z tego kapnie coś Domingosowi, oprócz „zaliczki”, którą już zainkasował. Ale kiedy w grę wchodzi miliardy, spokojnie można się dzielić z prezydentem. Zresztą, przy tym hulaszczym trybie życia Domingos prawdopodobnie umrze wkrótce na zawał serca albo wylew. A gdyby zbyt długo z tym zwlekał, zawsze można coś... zaaranżować.

Thomas Hughes uznał, że w pełni panuje nad sytuacją. Sprawy układały się prawie idealnie.

Kiedy zjawi się Platt, będzie go czekała mała niespodzianka. Domingos chętnie odkomenderuje strzelca wyborowego, który zdmuchnie Platta, gdy tylko go zobaczy. A gdyby nawet Domingos nie kwapił się do pomocy, to przecież w tym kraju jest tylu biedaków, że można sobie wynająć całą armię tubylców, gotowych zadźgać każdego. Kosztowałyby to mniej niż obiad dla dwóch osób w dobrej waszyngtońskiej restauracji.

Platt przejdzie do historii wkrótce po tym, kiedy się tu pojawi. Liczy na to, że odbierze swoje dwadzieścia milionów i zniknie.

Cóż, częściowo miał rację.

Hughes wyprostował się i ruszył z powrotem do pokoju. Monique przyjdzie wkrótce na popołudniowe igraszki.

Dobrze jest być królem, ale być szarą eminencją jest prawie tak samo dobrze - i na pewno znacznie bezpieczniej.

Niedziela, 16 stycznia 2011 roku, godzina 15.00

Nad Północnym Atlantykiem

Platt miał całego *Boeinga 767* dla siebie, nie licząc pilotów. Nie było co prawda stewardesy, która podałaby mu drinka, czy zaproponowała członkostwo w klubie pasażerów, często latających klasą biznesową, ale za to mógł się wyciągnąć na hamaku, który ktoś rozwiesił w pustym luku bagażowym, a to już było coś. Był w drodze do Wesołej Starej Anglii i praktycznie nie musiał się już obawiać pościgu. Nawet gdyby federalni natrafili przypadkiem na tamtego dzieciaka z firmy spedycyjnej i przesłuchali go, facet wiedział, że jeśli wyda Platta, straci tysiąc dolarów i będzie się

musiał mocno tłumaczyć ze sfałszowania dokumentów.

Przed startem Platt zdążył jeszcze skorzystać z bankomatu, więc miał teraz dość pieniędzy, żeby polecieć do Senegalu, wynająć samochód i kupić sobie parę zabawek. Wolał nie lądować w Bissau. *El Presidente* zaraz by się o tym dowiedział, szepnąłby słówko Hughesowi, a to by było bardzo niedobrze. Hughes był przekonany, że Platt jest już w federalnym areszcie śledczym; Platt pragnął, żeby jego pojawienie się stanowiło wielką niespodziankę.

Przedostanie się na strzeżony teren pałacu prezydenckiego może być oczywiście nieco ryzykowne, ale przecież nawet czarnuchy nie widzą w ciemnościach. Platt jeszcze jako dziecko nauczył się chodzić po lesie, a afrykańska dżungla nie mogła być o wiele gorsza niż bagna w jego rodzinnych stronach. Kiedy już znajdzie się po drugiej stronie muru, reszta powinna pójść jak z płatka.

Miał ogromną ochotę rozerwać Hughesa na strzępy, kiedy go tylko dopadnie, ale tak naprawdę zależało mu tylko na jego dwudziestu milionach. No, może jeszcze jakaś premia za krzywdy moralne, w końcu coś mu się przecież należy. Gdyby Hughes nie chciał zapłacić, cóż, trzeba go będzie przekonać. W ostateczności mógłby zabić sukinsyna i uciec, ale to nie było dobre wyjście - zostałby bez grosza, ścigany przez prawo. Jak by na to patrzeć, posiadanie siłowni na Hawajach było znacznie lepsze niż uciekanie przed organami ścigania.

Tak to sobie zaplanował. Załatwi jakąś pukawkę, przemknie się przez granicę, pogada z panem Hughesem i zniknie z pieniędzmi. Może trzeba będzie skombinować puszkę pasty do butów, żeby za bardzo nie rzucać się w oczy.

Zabawne. On, udający czarnucha.

Uśmiechnął się. Im więcej o tym myślał, tym bardziej podobał mu się ten plan. Hughesa zatka, kiedy zobaczy, że przez okno włazi jakieś wielkie straszdyło, wyglądem przypominające Platta.

Roześmiał się w głos. O, tak...

Niedziela, 16 stycznia 2011 roku, godzina 15.35

Nad Wirginią

Howard, lecący do domu wojskową maszyną transportową, połączył się bezpieczną linią z sierżantem Julio Fernandezem w centrali Net Force.

- Nawet na kilka dni nie mogę zostawić was samych, co, sierzancie?

- Nie, panie pułkowniku. Myszy harcują, gdy kota nie czują.

- Powiedz mi, Julio, co to za sprawa w tej Afryce? Coś poważnego?

- O ile wiem, to tak. I bardzo dobrze. Ostatnio zrobiło się tu trochę nudno.

- Mów, co wiesz.

Julio zaczął recytować podręcznikowe informacje o kraju, języku, ludziach, warunkach geograficznych. Howard przerwał mu po chwili. - Wiesz co, prześlij mi to wszystko e-mailem, poczytam później. Przejdźmy do spraw praktycznych. Z czym musimy się liczyć, kiedy niezapowiedziani zajrzemy do Republiki Gwinei Bissau?

- Sir, kraju strzeże coś, co nazywa się Ludowo-Rewolucyjnymi Siłami Zbrojnymi, miejscowi posługują się skrótem FARP. Składa się to z niewielkich sił lądowych, dziewięć łajb tworzy marynarkę wojenną, a siły powietrzne to kilka samolotów śmigłowych i parę helikopterów, aha, i jeszcze nieuzbrojony *Learjet* prezydenta. Mają formację paramilitarną. W kraju jest podobno kilkaset tysięcy nadających się do wojska mężczyzn, ale w siłach zbrojnych służy zaledwie jedna dwudziesta. Żołnierze są słabo uzbrojeni i niewykształceni. Prawdopodobnie zaledwie połowa potrafiłaby zawiązać sobie sznurowadła - gdyby mieli buty.

- Rozumem. Co jeszcze?

- Kolei w ogóle tam nie ma, w całym kraju jest zaledwie kilkaset kilometrów dróg o utwardzonej nawierzchni. Trzydzieści pięć lotnisk, ale tylko dwa z pasami wystarczającej długości, żeby mogło wylądować coś więcej niż awionetka. Musielibyśmy dolecieć z naszym sprzętem do Senegalu, na północ od tego kraju, a dalej śmigłowcem albo łodem - albo może zeskoczyć ze spadochronami. W całym kraju jest mniej niż cztery tysiące telefonów; trzy, może cztery aparaty na tysiąc mieszkańców i połowa nie działa.

- Połowa telefonów, sierżancie, czy mieszkańców?

- Jedno i drugie, sir. Średni dochód w przeliczeniu na jednego mieszkańca wynosi dwieście dolarów. Rocznie.

- Rozumiem.

- Mają trzy stacje radiowe, nadające na falach ultrakrótkich i cztery na średnich; lubią rocka, muzykę country i mnóstwo bezsensownej paplaniny. Są dwie stacje telewizyjne; jedna z nich zaczyna nadawanie dopiero po zmroku. To dlatego, że telewizorów jest mniej więcej tyle samo, co telefonów. A komputerów osobistych jest prawdopodobnie o połowę mniej i może co trzeci jest podłączony do sieci.

- To mi wygląda na miejsce, gdzie mógłbym zorganizować następny trening przetrwania.

- Jeśli będziemy przelatywać nad tym krajem na wysokości większej niż trzydzieści metrów, nic nam nie będzie groziło, bo żaden z tubylców nie potrafi tak wysoko dorzucić dzidą. Proszę mi dać kompanię naszych rezerwistów, a zeskoczymy tam kiedyś w nocy ze spadochronami i do rana będziemy już rządzić tym krajem i nawet się nie spocimy.

- Brak pewności siebie nigdy nie należał do twoich wad, Julio.

- Nie, sir.

- Odnoszę wrażenie, że jesteś strasznie zadowolony, jak na faceta, który siedzi w nudnej bazie i dochodzi do siebie po ranie postrzałowej nogi. Kim jest ta dziewczyna?

- Z całą pewnością nie mam pojęcia, o czym pan pułkownik mówi.

- Pójdziecie do piekła za te łgarstwa, sierzancie.

- Tak jest, sir. Ktoś musi przygotować lądowisko na pańskie przybycie.

Howard parsknął śmiechem. - W porządku, przejrzę materiały, które mi przyslesz i przeanalizuję scenariusze na moim systemie taktycznym. Powinniśmy lądować - zerknął na zegarek - za jakieś pół godziny. Czekać na mnie na lotnisku.

- Tak jest.

- Zapakujcie wyposażenie tropikalne, sierzancie, i pocałujcie swoją dziewczynę na do widzenia.

- Żaden problem, sir. - Roześmiał się.

- Co cię tak rozbawiło?

- Nic takiego, po prostu przypomniał mi się stary dowcip.

- Za pół godziny, Julio.

- Tak jest, sir.

38

Poniedziałek, 17 stycznia 2011 roku, godzina 11.00

Quantico, Wirginia

- W porządku, sądzę, że to już wszystko. Są jakieś pytania? - zapytał Michaels.

Rozejrzał się po obecnych w sali konferencyjnej: Howard, Fernandez, Winthrop, Gridley i Toni.

Toni spytała: - Mamy na to zgodę dyrektora FBI?

- W tej chwili dyrektor woli nie wchodzić w szczegóły - odparł Michaels. - Jeśli dostarczymy Hughesa, niewiele go będzie obchodziło, co musieliśmy zrobić, żeby to osiągnąć. A pewni senatorowie, którzy w normalnych warunkach narobiliby wrzasku, w tym wypadku nabiorą, jak sędzę, wody w usta. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Poza tym, CIA jest nam gotowa trochę pomóc, nieoficjalnie. Możemy się do nich zwrócić, o co chcemy. Coś jeszcze?

Nikt się nie zgłosił.

- Dobrze. Wszyscy otrzymaliście zadania. Biercie się do roboty.

Wyszli wszyscy z wyjątkiem Toni.

- To nie jest dobry pomysł, Alex.

- Słyszałaś, co powiedział pułkownik. Powinno się udać.

- To wiem. Nie chodzi mi o samą operację. Nie podoba mi się, że ty chcesz tam polecieć.

- Stanowisko ma swe przywileje, Toni. Byłem kiedyś niezłym agentem terenowym. Muszę się od czasu do czasu przewietrzyć. Mam już po dziurki w nosie spraw administracyjnych i polityki.

- To niebezpieczne.

- Przechodzenie przez ulicę też jest niebezpieczne.

Zorientował się, że ona naprawdę martwi się o niego i natychmiast zaprzestał kpiny. - Co mogę zrobić, żebyś przestała się martwić? - spytał.

- Nie lecieć tam.

- A oprócz tego?

Spojrzała mu prosto w oczy. - Chcę lecieć z tobą. Zaczął kręcić głową. - Potrzebny mi tu ktoś, kto się wszystkim zajmie...

- Na trzy lub cztery dni? Ściągnij Chaveza z nocnej zmiany, albo Prestona z Wydziału Operacyjnego. Poradzą sobie.

- Nie jestem pewien.

- Aha, czyli ty możesz wyskoczyć na akcję, ale ja nie?

- To wbrew przepisom; żebyśmy oboje lecieli tym samym samolotem - spróbował. Wiedział, że to kiepski argument już w momencie, kiedy go użył.

- Mnie chcesz uczyć przepisów? Zamierzasz wyrzucić regulamin przez okno, wziąć udział w operacji, na którą nigdy nie dostałbyś zgody, gdyby dyrektor się o niej dowiedział i mówisz mi, że nie powinniśmy oboje lecieć tym samym samolotem?!

Rety, ale była wściekła. Nie znał jej dotąd od tej strony. - W porządku, masz rację. Możesz lecieć.

- Naprawdę?

Kiedy to powiedziała, pomyślał, że właśnie takim tonem musiała mówić, jako mała dziewczynka. Była w tej chwili równocześnie zaniepokojona, rozgniewana i zaskoczona - i była po prostu wspaniała, kusila go syrenim śpiewem. Chciał ją objąć, pocałować - i rzucić się z nią na kanapę. Niezbyt dobry pomysł, a już na pewno nie tutaj, w biurze, ale cóż, tak się właśnie czuł.

Trzeba będzie coś z tym zrobić. Nie, on będzie musiał coś z tym zrobić.

- Naprawdę. Coś wykombinujemy. W ten sposób oboje będziemy szukać nowej pracy, jeśli ta operacja się nie uda.

- Potrafię z tym żyć.

- Świetnie, ale teraz idź zająć się tymi pozostałymi drobiazgami, które wymagają naszej uwagi, dobrze?

- Tak jest - powiedziała. Uśmiechnęła się do niego, stała w milczeniu przez chwilę, która wydała mu się bardzo długa, a potem powiedziała cicho, tak cicho, że nie był pewien, czy rzeczywiście to usłyszał: - Kocham cię.

I już jej nie było, a on stał z rozdziawionymi ustami, zupełnie zaskoczony i ogłupiały.

Poniedziałek, 17 stycznia 2011 roku, godzina 18.00

Bissau, Gwinea Bissau

Hughes pociągnął doskonałej brandy z kryształowego kieliszka z monogramem i zmarszczył brwi, spoglądając na faceta, który był kierowcą i ochroniarzem prezydenta.

- Jesteś pewien?

- Przykro mi, sir, ale nie było go na pokładzie. Poznałbym go. Jeździłem z nim, kiedy tu był.

Raczej trudno go nie zauważyć.

- Taak. No cóż, dziękuję.

Kierowca odszedł, a Hughes sięgnął po kubańskie cygaro, czekające w popielniczce na stoliku koło fotela, na którym siedział. Cygaro zgasło. Ostrożnie przypalił je z powrotem zapalką, którą wyjął z rzeźbionej szkatułki z kości słoniowej.

- Niepokoi cię to? - spytał Domingos. Pyknął własnym cygarem i wypuścił kłęb wonnego dymu.

- Nie, w zasadzie nie - odparł Hughes. - Platt zjawi się tu prędzej czy później. Jeśli nie dziś, to jutro albo pojutrze. Mam jego pieniądze, a umówiliśmy się, że odbierze je osobiście.

- Giles się nim zajmie, kiedy tylko Platt się tu zjawi - powiedział Domingos. - Nie ma się czym martwić.

Hughes zakołysał kieliszkiem z brandy, uniósł go do ust i napił się. - Nie martwię się ani trochę, panie prezydencie.

- Proszę, mów mi Freddie. Mamy przed sobą długie i bardzo przyjemne partnerstwo, czyż nie tak?

- Ależ oczywiście, Freddie.

Poniedziałek, 17 stycznia 2011 roku, godzina 19.00

Tonaf, Senegal

Wynajętym Land Roverem Platt pojechał do Sedhiou, gdzie niewielkim promem przepłynął się przez leniwą, błotnistą rzekę Casamance, po czym ruszył na południe, do Tanaf. Droga było stamtąd niecałe dziesięć kilometrów od granicy Senegalu z Gwineą Bissau. Droga prowadziła na południe, przez prowincję Olo, rzekę Canjambari na wysokości Mansóa, i do Bissau od północnego zachodu. Ale jeśli się miało do dyspozycji Land Rovera, nie trzeba było trzymać się drogi. Zresztą, większość tego, co nazywano tu drogami i tak była ledwie piaszczystymi ścieżkami. Nie bardzo ufał facetowi, który wynajął mu Land Rovera, ale przynajmniej był to biały i mówił, że jeśli komuś na tym zależy, bez najmniejszych problemów może przekroczyć granicę niezauważony. Prawdopodobnie miał rację.

W linii prostej do Bissau było dość blisko, może osiemdziesiąt kilometrów, ale tutejsze parszywe dróżki na pewno nie prowadziły w linii prostej i na pewno nie umożliwiały jazdy z przyzwoitą prędkością. Platt uznał jednak, że prawdopodobnie dotrze na miejsce jeszcze przed świtem, pod warunkiem, że nie zatrzyma go jakiś miejscowy patrol wojskowy. Przygotował się na taką ewentualność - kupił nóż myśliwski, pistolet *Browning* kalibru 9 mm, zabytkowego

Kałasznikowa i tyle amunicji, że mógłby wystrzelać publiczność na stadionie w jakimś małym miasteczku. Miał też dwa granaty ręczne *RDG-33* z okresu drugiej wojny światowej; handlarz nazwał je rosyjskimi tłuczkami do kartofli, ale zapewniał, że nadają się do użytku.

Zamierzał sprawdzić działanie tych tłuczków, gdyby natknął się na miejscowych żołnierzy, żywiących wobec niego wrogie zamiary. Niech no tylko ktoś spróbuje przeszkodzić mu w dostaniu się do celu, a gorzko tego pożałuje.

Kiedy uznał, że oddalił się już dostatecznie od skupisk ludzkich, zatrzymał się i nałożył na twarz kilka warstw najmocniejszego samoopalacza, jaki udało mu się zdobyć. Mimo wszystko nie był jeszcze czarny, jego twarz miała kolor ciemnego orzecha, ale kiedy schował włosy pod czapkę baseballową, z odległości większej niż kilka metrów nie wyglądał już na białego.

W odległości kilku kilometrów od granicy natrafił na ścieżkę, wydeptaną przez krowy, czy inne bydła w poprzek zarośniętego trawą pola. Dalej ścieżka prowadziła przez parę zaoranych zagonów i między drzewa. Kierował się kompasem, aż natknął się na prostopadłe do ścieżki ogrodzenie.

Uznał, że to musi być granica.

Ogrodzeniem, strzegącym granicy, były trzy pasma zardzewiałego drutu kolczastego, przymocowane do drewnianych słupków, w większości zmurszałych.

Przeklęte dzikusy. Nie stać ich na nic lepszego? Boże! Nic dziwnego, że nigdy do niczego nie doszli. Taki płotek nawet bydła nie utrzymałby w zagrodzie.

Uderzył parę razy nożem w zmurszały słupek, natarł przednim zderzakiem Rovera i już był po drugiej stronie granicy.

Witamy w Gwinei Bissau. Mamy nadzieję, że spodoba się państwu w naszym kraju.

Ścieżka zmieniła kierunek, więc zatrzymał się, żeby sprawdzić drogę na mapie. Miał szczęście. Kiedy gorący silnik jego Rovera pracował na jałowym biegu, Platt usłyszał inny pojazd. Wysiadł z Land Rovera i ruszył ścieżką pieszo.

Zobaczył przed sobą zdezelowaną, zieloną furgonetkę z czterema żołnierzami; dwoma w kabinie i dwoma z tyłu. Mieli *Kałasznikowy*, tak jak on. Jechali wolno, rozglądając się. Wyraźnie czegoś lub kogoś szukali.

Platt uświadomił sobie, że gdyby się nie zatrzymał, mógłby ich na czas nie zauważyć. Cztery *Kałasznikowy* przeciw jego jednemu - niedobrze, zwłaszcza gdyby to oni spostrzegli go pierwsi, a prawdopodobnie tak by było, bo oni się rozglądali, a on nie.

Nie spodziewał się patrolu granicznego. Teraz zrewidował trochę swe poglądy. Może te dzikusy z dżungli były jednak trochę mniej prymitywne, niż sądził. Nie można lekceważyć przeciwnika.

Zaczekał dostatecznie długo, żeby furgonetka zdołała oddalić się o kilka kilometrów i wrócił

do Rovera. Postanowił odtąd posuwać się naprzód powoli i ostrożnie.

Zamierzał podjechać na skraj miasta i ukryć gdzieś Rovera, który będzie mu potrzebny w drodze powrotnej. Potem przeczeka cały dzień, aż do zmroku, bo zdecydowanie nie chciał pokazywać się w świetle dziennym, bez względu na samoopalacz. We wtorek w nocy załatwi to, po co przyjechał.

Jadąc przez gęste, wysokie trawy usłyszał w oddali grzmot, od którego zadrgało ciężkie, wilgotne powietrze. Czuł zbliżającą się ulewę.

Burza. Tego tylko było mu trzeba. Będzie się posuwał naprzód jeszcze wolniej.

Z drugiej strony, w czasie burzy tutejsi żołnierze będą pewnie siedzieć w chałupach, chlejąc bycze szczyny, czy co tam zwykle piją, i bardzo dobrze. Mniejsze ryzyko.

Wierzchem prawej dłoni otarł pot z czoła. Cholera, ależ duchota.

Zobaczył przed sobą chmurę moskitów i sięgnął po środek odstraszający w spreju, który miał w torbie na fotelu pasażera. Dobrze, że idzie deszcz, przynajmniej owady nie będą latać. Jeszcze by tego brakowało, żeby złapał śpiączkę, malarię, czy inne paskudztwo.

Nie ma dwóch zdań, że zabierze trochę więcej niż dwadzieścia milionów, kiedy będzie rozmawiał z Hughesem. Należy mu się.

Poniedziałek, 17 stycznia 2011 roku, godzina 21.00

Nad Atlantykiem

- Banjul, tak? - upewniła się Joan.

Fernandez, siedzący w fotelu obok na pokładzie *Boeinga 747*, odpowiedział: - Aha. To w Gambii, taki wąski długi kraj, wcina się w dolną część Senegalii wzdłuż rzeki Gambia. Trochę daleko, na samym wybrzeżu, ale na południe od Dakaru to jedyne lotnisko, na którym nasz samolot może wylądować bez zwracania uwagi. CIA ma tam placówkę; podstawią nam kilka śmigłowców *Huey*, którymi przelecimy resztę trasy. We wtorek wieczorem nadlecimy na małej wysokości, wylądujemy, zrobimy, co trzeba i już nas nie będzie. Sprawdziło się to wtedy, w Czeczenii, więc i w tej całej Gwinei Bissau na pewno nie będzie problemów. Nie sądzę, żeby dysponowali nowoczesnymi stacjami radarowymi. Nawet jeśli nas zobaczą, to nic nam nie zrobią; nie bardzo mają czym nas zestrzelić.

- Uwaga, pułkownik idzie - szepnęła Joan.

- Sir - powiedział Fernandez, kiedy Howard zatrzymał się obok jego fotela.

- Dzień dobry państwu. - Howard przypatrywał się im przez chwilę, po czym wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Coś zabawnego, sir? - spytał Fernandez.

- Nie bardzo. Pamiętasz ten dowcip, który ci się przypomniał, kiedy zadzwoniłem do ciebie w drodze ze stanu Waszyngton? Ten, z którego się wtedy śmiałeś?

- Pamiętam.

- Chyba go wreszcie zrozumiałem, sierżancie.

Kiedy pułkownik odszedł, Joan spojrzała na Fernandezę. - O co tu chodziło?

Fernandez uśmiechnął się szeroko. - Sądzę, że pułkownik wie, że ty i ja... no, wiesz.

- Skąd miałby wiedzieć? Chwaliłeś się?

- Nie, proszę pani, wprawdzie duma mnie rozpiera, ale nie powiedziałem ani słowa. Jednak służę pod dowództwem Howarda już kawał czasu. Nie stępiła mu się ostrość spojrzenia, a mnie zna aż za dobrze. Po człowieku zawsze widać, kiedy czuje się tak dobrze, jak ja teraz. I sądzę, że widać to jeszcze wyraźniej, kiedy ty jesteś w pobliżu, i widać też, że to doskonałe samopoczucie, to dzięki tobie. Czy to jakiś problem?

- Dla mnie żaden. Wiesz co? Muszę iść do toalety. Chcesz iść ze mną? - Zatrzepotała rękami jak Groucho Mara w starym, czarno-białym filmie.

- Poruczniku Winthrop, jest pani zepsutą kobietą, wie pani o tym? Jak można robić sobie takie żarty?

- Nie zna pan jeszcze nawet połowy moich możliwości, sierżancie. Dopiero się rozgrzewam. Poza tym, kto powiedział, że żartuję?

* * *

- Widzę, że zabrałaś swój falisty sztylet - powiedział Alex.

Toni uniosła oczy i skinęła głową. *Kris* w drewnianej pochwie trzymała na kolanach. - Guru jest przekonana, że ten *kris* ma magiczną moc. Pomyślałam, że nie zaszkodzi, jeśli wezmę go ze sobą.

Skinął głową. - Idę właśnie zamienić parę słów z pułkownikiem. Wygląda na to, że wszystko idzie zgodnie z planem. Za kilka godzin będziemy lądować. Na lotnisku przesiądziemy się do śmigłowców i ruszymy do celu.

- Nie udało ci się namówić pułkownika, żeby cię zabrał na samą akcję do miasta, tak?

Uśmiechnął się i pokręcił głową. - Nie. Ale tak naprawdę wcale nie żałuję, że zostaniemy oboje z pilotami przy śmigłowcach, dopóki tamci nie wrócą. Moja niedawna Wiktorja była raczej łutem szczęścia niż zasługą sprawności żołnierskiej. Od takich rzeczy jest Howard i jego zespół. Nie chcę im włączyć w drogę.

- Moglibyśmy zostać w Banjul - powiedziała.

- To już równie dobrze moglibyśmy zostać w Waszyngtonie.

- A co ja mówiłam od samego początku?

- No tak, ale wiesz, skoro dolecieliśmy już tak daleko, to równie dobrze możemy przelecieć się śmigłowcem.

- Pod warunkiem, że dla obojga będzie to tylko wycieczka - powiedziała.

Uśmiechnął się do niej.

Nie nawiązał dotąd ani słowem do tego, co wtedy szepnęła, do tego cichutkiego „Kocham cię”. Wtedy wydawało się jej, że postępuje słusznie, ale kiedy już wypowiedziała te słowa, zrobiła się chora ze strachu. Całowali się przez parę minut na przednich siedzeniach bardzo małego samochodu, to wszystko. Może za wcześnie walnęła go czymś tak ciężkim. A co będzie, jeśli nie czuł do niej nic oprócz fizycznego pożądania? Co do pożądania, nie miała zresztą wątpliwości, w żaden sposób nie zdołałby tego ukryć. Ona też tego chciała, iść z nim do łóżka i gotowa była się tym zadowolić, na razie, chociaż pragnęła o wiele więcej.

Z drugiej strony, nie nawiązał do tamtego wyznania, a to znaczyło, że go nie odrzucił. Albo może, że go w ogóle nie dosłyszał.

Brak wiadomości, to dobra wiadomość, a przynajmniej nie zła.

Nie zamierzała nalegać. Postanowiła poczekać, zobaczyć, jak się wszystko rozwinie. Magia *krisa* doprowadziła ją już do tego punktu. Możliwe, że pomoże jej pokonać i resztę drogi...

Domingos musiał się osobiście zająć jakimiś pilnymi sprawami wagi państwowej - pewnie przecięcie wstęgi w jakiejś knajpie pod gołym niebem, czy coś w tym rodzaju - więc Hughes w samotności rozkoszował się cygarem i brandy. Spokój zakłócił mu tylko na chwile posłaniec, który przyniósł wiadomość, że na pokładzie samolotu, który wylądował o piątej, znów nie było Platta.

Było to niepokojące. Platt na pewno chciał odebrać swe pieniądze i Hughes uznał, że coś musiało mu przeszkodzić w jak najszybszym przybyciu. Tylko że jedynymi rzeczami, jakie mogłyby przeszkodzić Plattowi w zrobieniu czegoś, na czym mu zależało, były poważne obrażenia, śmierć lub aresztowanie. Nic innego nie przychodziło Hughesowi do głowy. W dodatku Platt nie zadzwonił, co też niepokoiło Hughesa.

A jeśli Platt popadł w konflikt z prawem? Jeśli go schwytano?

Hughes trzymał cygaro w ustach, nie pociągając dymu. Rozważył oczywiście taką ewentualność już wcześniej, ale musiał przyznać, że nie wydała mu się prawdopodobna. Zresztą, nawet gdyby Platta ujęto, nie powiedziałby ani słowa o ich przedsięwzięciu; w żadnym wypadku nie leżałoby to w jego interesie. Ale gdyby w jakiś sposób zmuszono go do mówienia? Jeśli federalni dopadli Platta i rozwiązali mu język, Hughes będzie musiał poważnie zmodyfikować swe plany.

Powrót do Stanów byłby w takiej sytuacji wykluczony. W chwili, kiedy wysiadałby z samolotu, federalni rzuciliby się na niego jak jastrzębie na kurczaka i znalazłby się w poważnych tarapatach.

Co robić?

Najmniej ryzykownym wyjściem było siedzenie z założonymi rękoma. Wystarczy po prostu zaczekać, aż Platt się zjawi albo zadzwoni. Jeśli nie da znaku życia przez następny tydzień, Hughes będzie musiał zaryzykować i ostrożnie zasięgnąć informacji. Być może zdoła ustalić, co się stało z jego agentem. Gdyby się okazało, że Platt jest w szpitalu po jakimś wypadku samochodowym, czy nawet, że nie żyje, to tym lepiej. Ale gdyby wpadł jednak w ręce władz, gdyby powinęła mu się noga, trzeba by się było liczyć z najgorszym.

Cygaro zgasło. Sięgnął po zapalną.

Do Stanów miał wrócić z Etiopii dopiero w czwartek, więc zostało mu jeszcze parę dni. Postanowił, że jeśli Platt nie pojawi się do tego czasu, zadzwoni do senatora i wymyśli powód, żeby zostać w Afryce jeszcze kilka dni. Nic trudnego. A jeśli Platt dał się złapać i wszystko wyśpiewał, trzeba tu będzie zostać na dłużej. Wziąwszy wszystko pod uwagę, uznał, że wprawdzie nastąpiłoby to wcześniej niż planował, ale nie byłaby to zbyt poważna komplikacja.

Przypalił cygaro. Kiedy już zleci budowę domu, trzeba będzie dopilnować, żeby przewidziano w nim humidor, osobne pomieszczenie, w którym będzie trzymał zapas kubańskich cygar...

Wtorek, 18 stycznia 2011 roku, godzina 21.00

Banjul, Gambia

Krople deszczu wybijały na blaszanym dachu monotony, niemal hipnotyczny rytm, który działał uspokajająco wewnątrz dusznego hangaru. Ulewa podtapiała generator prądu, warczący przed budynkiem.

Pod wpływem deszczu i gorąca Michaels zrobił się senny. A miała to być pora sucha, deszcze monsunowe podobno już minęły. Jeśli teraz jest sucho, to ciekawe, jak wygląda tu pora deszczowa.

Howard stał przy mapie, wyświetlonej na względnie białej betonowej ścianie. - To jest miasto Bissau - powiedział. - Po północnej stronie Rio Géba, w miejscu, gdzie rzeka rozlewa się szeroko, przechodząc w zatokę. - Laserowym wskaźnikiem powiódł dookoła pałacu prezydenckiego. - To tutaj.

Howard nacisnął pilota, żeby zrobić zbliżenie. - To jest główny budynek i właśnie tutaj powinien się znajdować nasz cel.

Pomanipulował pilotem i w miejsce mapy pojawiła się wyostrzona komputerowo fotografia z satelity szpiegowskiego. Kąt widzenia został dobrany tak, żeby powstało wrażenie oglądania obiektu z wysokości zaledwie kilkudziesięciu metrów.

- CIA zmieniła orbitę jednego ze swoich ptaszków, żeby sfotografował dla nas miasto. Jesteśmy im za to bardzo wdzięczni, podobnie jak za możliwość skorzystania z *Hueyów* i z tego hangaru.

Howard chętnie skorzystałby z jeszcze większej pomocy Firmy - na przykład z geostacjonarnego satelity szpiegowskiego, prowadzącego obserwację w podczerwieni, który mógłby cały czas monitorować akcję - ale cała ta operacja była zupełnie nieoficjalna. CIA zrobiła, co mogła, bardzo uważając, żeby nikt nie zwrócił uwagi na to, co Net Force tu planowała i Howard potrafił to docenić. Skinął głową wyglądającemu na wysportowanego szpakowatemu mężczyźnie w szortach khaki i bawełnianej koszulce. Tamten uśmiechnął się tylko i pokiwał dłonią.

W hangarze było trzydziestu czterech ludzi. Howard zabrał na tę operację cztery grupy pięcioosobowe, a ponadto Fernandeza i Winthrop. Był też oficer łącznikowy CIA, czterej piloci śmigłowców, czterech techników ze wsparcia logistycznego, Toni i Michaels. Większość żołnierzy była już ubrana w kombinezony *SIFE*.

Howard ponownie wyświetlił mapę. - Wylądujemy tutaj, około trzech kilometrów od celu i przesiądziemy się do miejscowych pojazdów, znów korzystając z uprzejmości Firmy. Zespół Alfa uda się w to miejsce i zajmie się odwracaniem uwagi, podczas gdy Zespół Beta zbliży się do ogrodzenia i przygotuje do jego sforsowania. Beta, przejrzyjcie jeszcze raz plany obiektu, nie chcemy, żeby ktoś zmylił drogę i wlaźł do jakiejś łazienki zamiast do apartamentu naszego klienta.

Reakcją na tę uwagę było kilka nerwowych chichotów.

- Jeśli tylko będzie to możliwe, starajmy się unikać ofiar po obu stronach. Skorzystamy więc z granatów głuszących i gazu obezwładniającego, żeby zneutralizować zagrożenie. Nikt nie strzela pierwszy, a odpowiadać ogniem wolno tylko, gdyby druga strona używała amunicji przeciwpancernej, co jest wysoce nieprawdopodobne. Z danych naszego wywiadu wynika, że większość żołnierzy w Bissau jest uzbrojonych w *Kalasznikowy* - o ile w ogóle są uzbrojeni - i mają do dyspozycji standardową amunicję z nadwyżek rosyjskich. Chcę jasno powiedzieć, że nie prowadzimy wojny przeciw temu krajowi i nie zależy nam na pozostawieniu za sobą sterty trupów. Zrozumiano?

Potwierdzeniem były mruknięcia.

- Paczkę odbieramy o pierwszej trzydzieści. Są jakieś pytania?

Nie było żadnych.

- Kiedy Zespół Beta odbierze paczkę, spotkamy się z Alfą na miejscu zbiórki, skąd ruszymy do lądowiska. Bez względu na sytuację na ziemi, *Huey* startują o drugiej trzydzieści i lecą ustaloną trasą z powrotem do Banjul. Jeśli ktoś się spóźni na autobus, będzie go czekał długi spacer do domu. Są pytania?

Nie było pytań.

- W porządku. Dokończcie przygotowanie broni. Ruszamy za godzinę. Rozejść się.

Piloci i żołnierze z zespołów wyszli na deszcz, który nareszcie zaczął słabnąć. Michaels, Toni, Winthrop i Fernandez pozostali z pułkownikiem.

- Macie swój sprzęt? - spytał Howard Michaela i Toni.

Chodziło mu o kwelarrowe hełmy i kamizelki kuloodporne z superwytrzymałej plecionki, które dał im wcześniej. Wprawdzie nie mieli brać udziału w walce, ale pułkownik był nieugięty - jeśli już postanowili polecieć jednym ze śmigłowców, muszą to nałożyć. Dał im też po pistolecie z tłumikiem i nie spuścił z nich wzroku, dopóki nie przypięli broni do pasa. Zawsze istniało ryzyko, że w śmigłowcu nawali jakaś uszczelka, albo że zostanie ostrzelany z ziemi i będzie musiał lądować. Lepiej mieć przy sobie broń, jeśli się musi iść przez terytorium wroga, i lepiej, żeby to była broń, która nie robi za wiele hałasu.

- Mamy - odpowiedziała Toni za siebie i Michaela.

- Zdajecie sobie sprawę, że właściwie powinniście zostać tutaj? - spróbował Howard jeszcze raz.

- Zapewnił nas pan, że niebezpieczeństwo jest minimalne - powiedział Michaels.

- Minimalne, to jeszcze nie znaczy żadne - odparł Howard.

- Doceniam pańską troskę - powiedział Michaels tonem, wykluczającym dalszą dyskusję.

- Więc dobrze. Jesteśmy gotowi. Winthrop będzie ze mną w Zespole Beta, sierżant Fernandez poprowadzi Alfę. Symulacje komputerowe dają nam od osiemdziesięciu ośmiu do dziewięćdziesięciu trzech procent szans powodzenia, oczywiście jeśli prawidłowo wprowadziliśmy wszystkie zmienne. Powinno pójść jak z płatka. Wchodzimy i wychodzimy, szybko i gładko. Jutro o tej porze powinniśmy już być daleko w drodze do domu.

Michaels skinął głową.

- Zobaczymy się za pięćdziesiąt pięć minut.

Wtorek, 18 stycznia 2011 roku, godzina 23.00

Bissau, Gwinea Bissau

Platt nienawidził tego przeklętego kraju. Nastroju nie poprawiła mu konieczność siedzenia przez cały dzień w dusznej, potwornie gorącej lepiance. Cholera, nawet taka ulewa, jak ta dziś po południu, nie dawała ochłody. Zrobiło się tylko jeszcze bardziej parno, tak że pot nawet nie parował, a tylko spływał po nogach, aż skarpetki zrobiły się mokre. Platt czuł się, jakby siedział w ubraniu w łaźni parowej.

Spojrzał na zegarek, chyba po raz pięćdziesiąty, od kiedy się ściemniło. Do różowego pałacu miał trochę ponad półtora kilometra. Land Rovera ukrył w blaszanej szopie koło lepianki. Jej właściciel, siwy, stary człowiek, leżał związany na pryczy w kącie. Stary nie wydawał się specjalnie przerażony, kiedy do jego domu wtargnął facet z bronią. Omal nie przyłożył Plattowi swoją laską; poruszał się znacznie szybciej, niż na to wyglądał. Laska trafiła Platta w lewe ucho; parę centymetrów w bok i byłoby po wszystkim.

Z tymi czarnuchami nie szło jednak tak łatwo, jak przypuszczał. Trochę go to niepokoiło. Jeśli straż pałacowe okażą się czujne, mogą się pojawić problemy.

Odebrawszy staremu laskę, Platt związał go jak prosiaka. W tej chwili staruszek zdawał się drzemać. Nie mógł uciec, więc dlaczego nie miałby sobie uciąć drzemki. Platt pomyślał, że na miejscu tego starego nie byłby taki spokojny.

Myśl, że jakiś czarnuch mógłby go pokonać wydawała się taka... nierealna. Musiał bardziej uważać.

Zaplanował, że do pałacu wyruszy dopiero koło północy, ale miał już dość czekania. Postanowił wyruszyć zaraz. Tubylcy poukładali się pewnie do snu na chodnikach już o dziewiątej, o ile w ogóle mieli tu chodniki.

Przebrał się w czarną bawełnianą koszulkę, czarne spodnie, czarne tenisówki i czarne skarpety. Odślonięte części ciała solidnie przyciemnił samoopalaczem, więc w nocy nie powinien się

specjalnie rzucać w oczy. Wsunął małą latarkę do tylnej kieszeni i przypasał *Browninga* 9 mm. Po drugiej stronie, w specjalnych pojemnikach w plecionym pasie, obok noża w pochwie, schował dwa zapasowe magazynki. Do pistoletu miał nakręcany na lufę tłumik; założył go, kiedy tu dotarł. Przez ramię przełożył zwój liny konopnej z węzłami co sześćdziesiąt centymetrów i stalową kotwiczka na jednym końcu. Zastanawiał się nad zabraniem *Kałasznikowa*, ale uznał, że nie warto i zostawił go w Roverze. Przywiesił natomiast do pasa chlebak z dwoma starymi, rosyjskimi granatami. Jeśli zrobi się gorąco, będzie mógł narobić huk...

Zakończywszy przygotowania, Platt przeciągnął się, pokręcił ramionami i szyją, pomachał śpiącemu staruchowi i wyszedł. Zamierzał poruszać się bardzo ostrożnie, więc dotarcie do celu mogło potrwać dość długo.

Jeśli Hughes nie był w łóżku sam, to jego i jego towarzyszkę czekała niespodzianka. Między wpół do drugiej, a drugą nad ranem. Platt już się na to cieszył.

Godzina 0.40

Howard wszedł na skrzynię bagażową zabytkowej półciężarówki jako ostatni i opuścił brezentową plandekę. Właściciel tego starego, jednotonowego Chevroleta otoczył platformę bagażową czymś w rodzaju drewnianej ramy, na której rozpiął plandekę, przez co samochód wyglądem przypominał małą ciężarówkę.

- Ruszać! - rozkazał pułkownik.

Za kierownicą siedział jeden z żołnierzy z Zespołu Beta. Słyszając rozkaz, uruchomił silnik i półciężarówka powoli ruszyła. Kiedy wrzucił dwójkę, skrzynia biegów zazgrzytała. - Hej, mnie też możesz zemleć paczkę kawy! - powiedział jeden z żołnierzy.

Howard spojrzał na porucznik Winthrop, której twarz wydawała się w ciemności okropnie blada, a potem na zegarek.

Zespół Alfa był już w drodze, w podobnie zdezelowanym pojeździe.

Howarda zapewniono, że bez względu na fatalny wygląd, pojazdy są w dobrym stanie technicznym i dowiozą ich, gdzie trzeba.

Miał nadzieję, że rzeczywiście tak będzie.

Miejscowi musieli usłyszeć podchodzące do lądowania śmigłowce, nie dało się tego uniknąć, ale czas reakcji tutejszej policji na podejrzany warkot silników w środku nocy prawdopodobnie był dość długi - o ile w ogóle komukolwiek będzie się chciało wychodzić i sprawdzać. Poza tym, plan przewidywał, że po przejechaniu pół kilometra pojazd Zespołu Beta zatrzyma się i dwaj żołnierze podłożą granaty głośzące na poboczach po obu stronach drogi. Detonacja następowała w momencie

nacisku na taśmę, przeciągniętą w poprzek jedynej drogi, prowadzącej od miasta do śmigłowców. Jeśli więc jacyś miejscowi policjanci, czy żołnierze zdecydują się sprawdzić podejrzany warkot silników, staną się widzami przedstawienia z gatunku „Światło i Dźwięk”, które z pewnością da im do myślenia. To samo czekało każdego, kto o tak późnej porze jechałby tą drogą, ale nie wydawało się to prawdopodobne. Była to wąska, zakurzona droga, kończąca się w lesie, a ludzie, którzy mieszkali w okolicy nie posiadali samochodów. Taśma była dobrana tak, że gdyby przejechał przez nią rower czy motocykl, granaty by nie wybuchły.

Upał wcale nie zelżał i Howard czuł, jak ubranie przesiąka mu potem. Pod kombinezonami *SIFE* mieli tropikalne mundury polowe, ale w takiej temperaturze i przy takiej wilgotności powietrza człowiek nie czuł się dobrze w żadnym ubraniu.

- Wszystko w porządku, poruczniku?

- Tak jest, sir - odpowiedziała Joan.

Chwilę potem dodała: - Prawdę mówiąc, jestem trochę zdenerwowana.

Posłał jej uśmiech. - Tylko trochę? Mnie aż zaschło w ustach ze strachu.

Słyszając to, uśmiechnęła się blado. Cóż, była żołnierzem, ale nie starym wygą, zaprawionym w bojach. Była to jej pierwsza prawdziwa akcja; dotąd uczestniczyła tylko w ćwiczeniach. Była ekspertem komputerowym, jednym z najlepszych, i nie musiała ruszać w pole. W Net Force było inaczej niż w Armii, gdzie, jeśli ktoś chciał awansować, prędzej czy później musiał się wykazać doświadczeniem bojowym. Ale sama chciała wziąć w tym udział, a Julio za nią poręczył, no i była tu teraz.

- Naprawdę? - powiedziała. - Pan?

- Jeśli człowiek nie odczuwa strachu, nie może być dzielny. O odwadze można mówić, kiedy cię skręca w brzuchu, jesteś przerażona, a mimo wszystko idziesz i wykonujesz zadanie. Nie chcę żołnierzy, którzy nie wiedzą, co to strach. Pierwsi padają, kiedy robi się gorąco. Nieustraszony żołnierz, to głupi żołnierz.

- Dziękuję, sir.

Uśmiechnął się. - Poradzi pani sobie. Ma pani najnowocześniejszy kombinezon kuloodporny; wszystko, z czego mogliby do pani strzelić, prawdopodobnie odbije się od niego.

- Sierżant Fernandez twierdzi co innego, sir.

Howard zachichotał. - Oczywiście. Julio jest wyjątkiem, który potwierdza regułę. Fernandez to dobry człowiek. Najlepszy, jakiego mam.

- Też mam o nim wysokie mniemanie - powiedziała.

Godzina 1.00

Hughes wstał i poszedł do łazienki. Po dziesiątej wieczorem w ogóle nic nie powinien pić. Wciąż jednak zapominał o tym, a pełny pęcherz budził go po kilka razy w nocy.

Był też trochę wkurzony. Monique nie przysłała tej nocy, nie odbierała telefonów i nikt nie wiedział, co się z nią dzieje. Domingos mówił, że zdarzało się już, że znikwała bez słowa na dzień, dwa. Podejrzewał, że albo ma miejscowego kochanka, albo ćpa. Niektórzy ludzie uprawiali tu doskonałą marihuanę i bez trudu można ją było od nich kupić.

A, niech tam. Nie była mu w tej chwili pilnie potrzebna - przez ostatnie kilka dni miał więcej seksu, niż poprzednio przez całe miesiące - ale nie lubił takich niespodzianek. Ale z dziwkami tak już było. Nieważne, jak wiele żądały za swe usługi; i tak nie można było na nich polegać. Należało je traktować, jak papierowe chusteczki do nosa. Użyć i pozbyć się, a kiedy znów się zachce kichnąć, wyciągnąć następną z pudełka.

Uśmiechnął się na tę metaforę i ruszył z powrotem po puszystym dywanie do łóżka. Wiedział, że szum klimatyzatora wkrótce go uśpi.

Godzina 1.15

Dostać się na teren pałacu było trudniej, niż Platt sobie wyobrażał. Wzdłuż muru wycięto drzewa, a na jego szczycie sterczało pełno potłuczonego szkła, ale zdołał się przedostać na drugą stronę za pomocą liny z kotwiczką i nawet nie posiekał się na kawałki.

Cholera, wszystko okazywało się trudniejsze, niż przypuszczał. Był tu już kiedyś, na terenie pałacu, ale nigdy by nie przypuszczał, że następnym razem będzie musiał forsować mur.

Wyobrażał sobie, że kiedy się już znajdzie wewnątrz ogrodzenia, w drodze do głównego budynku pozostanie mu tylko uważać, żeby nie nadepnąć na któregoś ze śpiących strażników. Ale może strażnicy wcale nie spali? Jeśli nie będzie ostrożny, mogą mu się dobrać do tyłka.

Zatrzymał się i nakręcił tłumik na lufę *Browninga*. Przy strzale i tak będzie słyhać całkiem głośne paf!, bo tłumik nie mógł powstrzymać dźwięku, wydawanego przez zamek, kiedy ten będzie się cofał, wyrzucając łuskę - ale przy poddźwiękowej amunicji nie będzie wielkiego huku, jakby wybuchła bomba, czy coś w tym rodzaju. Strzał będzie słyszalny tylko z niewielkiej odległości.

Wejście do środka będzie trudne, bo strażnicy w pałacu na pewno nie śpią i na pewno powiedziano im, żeby najpierw strzelali, a dopiero potem zadawali pytania. Ale był sposób, żeby się tam dostać; wypatrzył tę drogę, kiedy był tu poprzednio. Zsyp na śmieci, prowadzący z kuchni do wielkiego, metalowego pojemnika koło drzwi kuchennych. Zsyp był tak duży, że za jednym zamachem

można było wyrzucić cały wielki kosz na śmieci, wystarczająco duży, żeby przecisnął się nim człowiek, któremu nie przeszkadzało, że usmaruje się oślizgłymi skórkami od bananów, fusami po kawie i zgniłymi owocami.

Platt skierował się do zsypu.

Godzina 1.25

Howard wraz z Zespołem Beta sforsował mur od strony wschodniej. Pomarańczowy zagajnik między murem a najbliższym budynkiem zapewniał tam osłonę. Na szczęście, według CIA, prezydent tego kraju nie lubił szczekania psów, więc po terenie nie biegały żadne czworonogi.

Zespół ruszył przez pomarańczowy zagajnik. Dotarłszy do upatrzonego wcześniej miejsca, żołnierze rozbiegli się na boki i przyczaili w pozycji leżącej. Pałac mieli przed sobą.

Howard spojrzął na zegarek.

Uniósł dłoń z trzema wyprostowanymi palcami. - Za trzy minuty, chłopcy - powiedział cicho.

Godzina 1.30

Julio Fernandez głośno odliczał sekundy. - Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden!

Sierżant nacisnął guzik zdalnego detonatora, pracującego w podczerwieni.

Dwieście metrów dalej magazyn pełen orzeszków i kopry na eksport wyleciał w powietrze z oślepiającym błyskiem i głośnym bum!, od którego zakołysała się furgonetka Zespołu Alfa.

Płomienie strzeliły wysoko, a po chwili na ziemię posypały się kawałki konstrukcji magazynu i jego zawartość, jak deszcz, tyle że trochę twardszy niż ten, do którego przyzwyczajeni byli tubylcy.

Grad orzeszków sypnął po masce i plandecce furgonetki.

- To dopiero sposób na prażone orzeszki - powiedział Fernandez. - No, powinni się zacząć martwić. Zjeżdżamy stąd! Ruszaj!

Kierowca wrzucił bieg i wyprowadził pojazd na drogę. Przejechali może półtora kilometra, kiedy minął ich wóz straży pożarnej, pędzący na syrenie. Fernandez pomachał strażakom.

- Życzę szczęścia, chłopcy. Będzie wam potrzebne, żeby ugasić ten pożar.

Godzina 1.30

W miejscu, gdzie znajdował się magazyn, pojawił się jaskrawy błysk, a chwilę potem rozległ się głośny wybuch. W pałacu zgasły światła. Wybiegli strażnicy z bronią gotową do strzału, krzycząc coś podnieconymi głosami.

- Wchodzimy! - rozkazał Howard.

Dwaj żołnierze na przedzie, Hamer i Tsongas, ruszyli w stronę kilku strażników, którzy machali we wszystkie strony karabinami i wyglądali na kompletnie dezorientowanych. Hamer i Tsongas mieli na plecach pojemniki ciśnieniowe ze stężonym gazem pieprzowym. Dobiegli na odległość sześciu metrów, zanim strażnicy ich zauważyli, ale było już za późno. Kiedy strażnicy zaczęli się odwracać, kierując broń w stronę zagrożenia, żołnierze uruchomili rozpylacze.

Nieszczęsnych strażników spowiała długa, biała chmura gazu obezwładniającego. W odróżnieniu od tak zwanej chemicznej pałki, czy nawet dostępnego w handlu pięcioprocentowego gazu pieprzowego, z którego skutkami człowiek może sobie jakoś poradzić, mgły pieprzowej nie sposób było zignorować. Przedostawała się do dróg oddechowych i do oczu, powodując reakcję organizmu, której nie dało się opanować. Powieki puchły tak, że człowiek przestawał widzieć i padał na ziemię, usiłując zaczerpnąć powietrza, którym dałoby się oddychać. Przez następne piętnaście-dwadzieścia minut ofiara nie była zdolna do żadnego działania; mogła co najwyżej żałować, że się w ogóle urodziła.

Howard przeszedł specjalistyczny trening, doświadczył na sobie skutków tej mgły i wiedział, co czują teraz strażnicy.

Gaz pieprzowy do zastosowań wojskowych był zaprojektowany tak, aby szybko opadał, ale dobrze było odczekać kilka sekund przed wejściem na teren, potraktowany rozpylaczem i warto było pamiętać o założeniu gogli.

- Naprzód! Naprzód!

Hamer i Tsongas, ubezpieczani przez dwóch innych żołnierzy, przystąpili do rozbijania skręcających się na ziemi strażników.

Howard i Winthrop ruszyli do drzwi z pozostałymi sześcioma członkami zespołu. Pamiętał, żeby wstrzymać oddech. Dwóch ludzi z zespołu Beta odskoczyło, żeby osłaniać pozostałych z boku. Dwaj inni wbiegli do budynku przez otwarte drzwi frontowe, Howard i Winthrop tuż za nimi, z bronią krótką gotową do strzału.

W holu nie było nikogo. Przed sobą mieli schody. - Drugie piętro! Naprzód!

Howard pobiegł w kierunku schodów, Winthrop za nim.

Godzina 1.31

Platt był w kuchni. Zdrapywał właśnie z ramienia coś, co cuchnęło i wyglądało jak sfermentowany majonez, kiedy świat nagle zwariował. W oknie obok tylnych drzwi zobaczył jaskrawy błysk, a chwilę potem usłyszał wybuch, od którego zatrzęsły się garnki i patelnie.

A to co, do ciężkiej cholery?

Nie miał jednak czasu, żeby się tym przejąć. Do kuchni wbiegł strażnik. Widząc Platta, uniósł karabin.

Platt trzymał już *Browninga* w ręku. Naprowadził lufę na cel i dwukrotnie ściągnął spust - paf! paf! - strzelając w tułów. Wcale nie narobił tyle huków...

Strażnik stanął, spojrzał na swą pierś, jakby coś go zirytowało i dalej kierował lufę *Kalasznikowa* w stronę Platta.

Cholera! Następne dwa pociski Platt wpakował w twarz strażnika. Facet zwalił się jak kłoda. Zagrożenie minęło.

Przeklęte dziewiątki! Za granicą nie można było zdobyć przyzwoitej czterdziestki - cywile mieli prawo tylko do broni małego kalibru!

Platt przebiegł przez kuchnię i otworzył drzwiczki elektrycznej windy, którą posyłano na górę posiłki. W środku było dość ciasno. Nacisnął guzik drugiego piętra, wcisnął się do windy i puścił drzwiczki, które zamknęły się automatycznie. Winda jęknęła, nieprzystosowana do takiego ciężaru, ale ruszyła. Do kuchni znów ktoś wbiegł i wrzeszczał coś w jakimś pogańskim języku, ale Platta nie było już widać.

Godzina 1.33

Mieszkańcy mieli najwidoczniej dość rozumu, żeby pozostać w swoich pokojach. Howarda i jego ludzi nikt nie próbował powstrzymać, kiedy biegli korytarzem na drugim piętrze.

Winthrop była z tego bardzo zadowolona. Pistolet *H&K*, który ścisnęła w ręku, nie dawał jej takiego poczucia bezpieczeństwa, jak sądziła. Był jakby obcym ciałem, mimo całego treningu, jaki przeszła, źle wyważony z powodu tłumika, z zapoconym uchwytem. Nie zależało jej na tym, żeby do

kogoś strzelać, chociaż sądziła, że w razie konieczności będzie do tego zdolna.

- Trzecie drzwi po lewej - powiedział pułkownik.

Dwaj żołnierze Zespołu Beta rozdzielili się, stając po obu stronach drzwi. Odwrócili się do siebie plecami, ubezpieczając korytarz po obu stronach.

Howard nacisnął klamkę. Zamknięte. Skinął głową na Joan i wskazał na drzwi. - Ja się zajmę drzwiami, a ty wpadasz do środka.

Odpowiedziała skinieniem głowy. - W porządku - szepnęła, czując suchość w ustach.

Howard uniósł nogę i kopniakiem wyważył drzwi. Winthrop rzuciła się naprzód i przetoczyła po podłodze, jak to robiła tyle razy podczas treningu w rzeczywistości wirtualnej. Zakończyła przewrót, przyklękając na jedno kolano, z pistoletem wyciągniętym przed siebie.

Thomas Hughes w białej, jedwabnej piżamie usiadł na łóżku, w którym najwidoczniej spał aż do tej chwili.

- Co jest, do diabła? Kim jesteście? Czego tu chcecie?

Pułkownik stanął za Winthrop. - Panie Hughes - powiedział z uśmiechem - dyrektor Alexander Michaels z Net Force chciałby zamienić z panem kilka słów.

- Nie sądzę - rozległ się czyjś głos.

Winthrop spojrzała w stronę szklanych drzwi balkonowych. Stał tam wysoki, ciemnoskóry, muskularny mężczyzna, trzymając w ręku jakiś dziwny przedmiot. Skierowała pistolet w jego stronę.

- Na twoim miejscu nie robiłbym tego, kochanie - powiedział mężczyzna.

Winthrop rozpoznała go, usłyszawszy te słowa, wypowiedziane z południowym akcentem.

- Platt!

- W świecie realnym wyglądasz znacznie lepiej niż w rzeczywistości wirtualnej, kochanie. A może byście tak rzucili broń?

- A może zamiast tego wpakuję ci kulkę? - warknęła Winthrop.

- Kiepski pomysł. Poproś swego czarnego przyjaciela, żeby ci wyjaśnił, dlaczego.

Zerknęła na pułkownika.

- Trzyma jakiś granat - powiedział Howard.

- Zgadza się. Autentyczny rosyjski tłuczek do kartofli z drugiej wojny światowej. Spróbujcie do

mnie strzelić, to go upuszczę i zobaczycie, że nawet wasze kuloodporne kombinezony nie powstrzymają wszystkich odłamków. Może przebiją arterie i wykrwawicie się na śmierć? A ten tu Tomcio, cóż, na pewno zmieni się w hamburgera.

- Nie sądzę - powiedział Howard. - Myślę, że jeśli do ciebie strzelę, wypadniesz przez balkon razem z granatem.

- Możliwe - przyznał Platt. - Ale wtedy bym zginął, a wy tego przecież nie chcecie, prawda?

- Dlaczego nie?

Winthrop klęła w myślach. Wiedziała, że Platt ma rację. I pułkownik Howard też to wiedział. Słyszała, co dyrektor Michaels mówił o pułapkach, które Platt pozostawiał w sieci. Ale zdawała też sobie sprawę, że pułkownikowi nie zależy, żeby Platt wiedział, że oni wiedzą... Wiedziała też, że Jay Gridley przez cały czas gorączkowo pracuje nad unieszkodliwieniem tych pułapek.

Gridley, pośpiesz się, do cholery, pogoniła *go* w myślach.

- Jestem zaskoczony, czarnuchu, że nie znaleźliście dotąd moich małych niespodzianek - powiedział Platt - ale może ta wasza Net Force wcale nie jest taka dobra, jak myśli Tomcio. Powiem tylko, że jeśli nie wrócę stąd do mojego samochodu i do komputerka z nadajnikiem satelitarnym, i to w odpowiednim czasie, to zaczną się dziać rzeczy, przy których te niedawne akty sabotażu w sieci będą wyglądać na dziecinną zabawę.

- Czego chcesz? - spytał Howard.

- Cóż, musimy dojść do jakiegoś... porozumienia - powiedział Platt i uśmiechnął się szeroko.

40

Środa, 19 stycznia 2011 roku, godzina 8.05

Bissau, Gwinea Bissau

Piloci śmigłowców byli odprężeni, śmiali się i żartowali. Michaels i Toni nie byli w tak dobrym humorze. Stali koło siebie, oganiając się od owadów, które brzęczały dookoła. Sprej był na tyle dobry, że owady nie siadały na nich, a przynajmniej większość, ale nie dość dobry, żeby nie podlatywały za blisko, brzęcząc natarczywie.

Michaels zaczął się martwić. Tamci powinni już wrócić.

W chwili, kiedy to pomyślał, dobiegł ich warkot silnika ciężarówki.

Dwaj piloci odsunęli się od maszyn i stanęli z bronią gotową do strzału.

Ciężarówka wyjechała zza zakrętu, odległego o kilkaset metrów i natychmiast mignęła światłami.

- To oni - powiedziała Toni.

Michaels poczuł ulgę.

Ciężarówka zatrzymała się o trzy metry od miejsca, w którym stał Michaels. Z kabiny wyszedł sierżant Fernandez. Minę miał zatroskaną. - Zespół Beta nie wrócił. - To nie było pytanie.

- Mieliście się spotkać i wracać wszyscy razem - powiedziała Toni.

- Dokładnie tak miało być. Czekaliśmy do pierwszej pięćdziesiąt, zgodnie z planem. Umówiliśmy się, że gdyby coś ich zatrzymało, spotkają się z nami przy *Hueyach* nie później niż o drugiej. To mi się nie podoba. Pułkownik nigdy się nie spóźnia. Sądzę, że powinniśmy go wywołać.

- Nie możemy przerywać ciszy radiowej, chyba że w nadzwyczajnej sytuacji - powiedział Michaels.

- Sir, mamy startować za dwadzieścia pięć minut - powiedział Fernandez. - To jest nadzwyczajna sytuacja.

Michaels skinął głową. - Zgoda.

Godzina 2.06

Howard poczuł bezgłośny, wibracyjny sygnał radiotelefonu na lewym biodrze. Domyślił się, że to Julio. Nie mógł jednak w tej chwili przyjąć rozmowy. Nadajniki radiowe dalekiego zasięgu, które mieli w kombinezonach, zostały przełączone na czuwanie, żeby nikt, kto mógłby prowadzić nasłuch, nie wyłapał żadnych sygnałów. Taktyczne zestawy łącznościowe *LOSIR* były włączone, transpondery *GPS* też, ale nie miało to większego znaczenia - tamci wiedzieli, gdzie on jest, za to nie wiedzieli, dlaczego wciąż jeszcze tam jest.

Howard trzymał Platta na muszce pistoletu, podobnie jak Joan. Tymczasem Platt machał granatem w tę i z powrotem.

- Problem w tym, pułkowniku, że nie możemy tak tutaj stać przez całą noc - powiedział Platt. -

Musimy służyć, i to szybko. Wkrótce pojawią się chłopcy *El Presidente*, a przecież nie chcielibyśmy, żeby nas tu zastali.

- Odłóż ten granat - powiedział Hughes. - Czyś ty zwariował?

- Nie, sir, jestem tylko wkurzony. Należy mi się od pana trzydzieści milionów dolarów i chcę dostać te pieniądze.

- Dlaczego trzydzieści milionów?

- Uważam, że należy mi się mała premia za te wszystkie kłopoty. Kłopoty, na które pan mnie naraził.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- No jasne - parsknął Platt.

Z holu dobiegł głos Martina: - Pułkowniku, wszystko w porządku? - Nie mógł ich widzieć, bo wyważone kopniakiem drzwi przymknęły się, kiedy Howard wszedł do pokoju.

- W porządku! - zawołał Howard. - A teraz posłuchaj uważnie! Ty i Hull macie zejść, zabrać resztę Zespołu Beta i wracać jak najszybciej ciężarówką na miejsce zbiórki!

- Sir? A co z panem i z paczką?

- Prowadzimy tu... delikatne negocjacje, Martin. Wracajcie na miejsce zbiórki, zrozumiano?

- Tak jest!

- Rozsądna decyzja - pochwalił Platt. - My też powinniśmy się stąd wynieść. - Machnął granatem w stronę drzwi. - Możemy przejść przez kuchnię. W tej chwili nikogo tam nie ma.

- Może jednak nie - powiedział Howard.

- Słuchaj no, pułkowniku Sambo. Ja potrzebuję Hughesa, bo bez niego wpadnę po uszy w gówno. Ty chcesz go z innych powodów. Chodźmy gdzieś, gdzie będę mógł dostać, co mi się należy, a potem możesz go sobie zabrać.

- Do cholery, Platt...

- Zamknij się, Hughes. Nikt cię nie pytał o zdanie.

- Skoro chcesz mnie im wydać, to dlaczego miałbym ci dawać pieniądze?

- Och, nie wiem, może dlatego, że jeśli tego nie zrobisz, wykluję ci oczy albo oberżnę rodzinne klejnoty?

- Twoja propozycja niezbyt mi się podoba - powiedział Hughes.

- Innej nie złożę. Mam czym wyjechać z tego parszywego kraju. Albo zabiorę ze sobą numer konta albo się stąd nie ruszę. Kochanie, zabierz tego laptopa ze stolika przy łóżku, dobrze? Musimy stąd wyjść. Ma pan jakieś obiekcje, pułkowniku?

Howard pokręcił głową. Ten facet był na tyle szalony, żeby rzucić granat i wszystkich pozabijać albo poranić.

- Skoro ta zabawka pochodzi z czasów drugiej wojny światowej, to na jakiej podstawie sądzisz, że nadaje się jeszcze do użytku? - odezwała się Winthrop. - Może powinnam do ciebie strzelić, ty upuścisz granat, a on tylko stuknie o podłogę?

- Możliwe - powiedział Platt. - Ale sama wiesz, że Ruscy znani są z topornych, ale solidnych wyrobów. Podjęłabyś takie ryzyko?

- Idziemy - powiedział Howard. - Co do jednego ma rację, jeśli stąd nie znikniemy, na pewno zginiemy.

- Starsi przodem - powiedział Platt.

Odwracając się, żeby wyjść z pokoju, Howard opuścił lewą rękę, kiedy Platt nie mógł jej widzieć, sięgnął do radiotelefonu i trzykrotnie wcisnął przycisk alarmowy.

Godzina 2.10

- O cholera! - zaklął Fernandez.

- Co jest? - spytali równocześnie Toni i Michaels.

- Mój radiotelefon włączył właśnie pulsujący sygnał. Pułkownik wcisnął swój przycisk alarmowy. To znaczy, że albo jest ranny, albo go schwytali. Nie może mówić.

- Możemy go zlokalizować na podstawie tego sygnału? - spytał Michaels.

- Tak, to sygnał transpondera *GPS*.

- Więc ruszamy.

- Mamy startować za dwadzieścia minut - przypomniał jeden z pilotów. - Prędzej, czy później miejscowi żołnierze wciągną portki i przyjdą sprawdzić, co się dzieje.

Michaels odpowiedział bez wahania: - Nie odlecimy, dopóki nie wyciągniemy stamtąd naszych

ludzi.

- Sir, rozkazy pułkownika... - zaczął pilot.

- Nic z tego - przerwał mu Fernandez. - Jeśli pułkownik dostał się w ręce nieprzyjaciela, ja przejmuję dowodzenie i mówię, że nie odlecimy bez pułkownika Howarda. Zrozumiano?

Pilot spuścił oczy.

- Jeśli pojawi się tutejsze wojsko, możecie odlecieć. Jeśli nie, macie tu czekać, dopóki nie wrócimy.

- Idę z panem - powiedział Michaels.

- Ja też - oświadczyła Toni.

- To nie jest dobry pomysł, sir... - zaczął Fernandez.

- Dlaczego ciągle ktoś mi to powtarza? Ruszamy, sierżancie, szkoda czasu.

Godzina 2.15

Reszta Zespołu Beta wyszła przez główną bramę, która była otwarta i niestrzeżona. Potraktowani gazem strażnicy leżeli jeszcze na ziemi, z nadgarstkami i kostkami związanymi plastikową taśmą.

Howard, Platt, Hughes i Winthrop wyszli przed pałac. Dookoła spalonego magazynu, oddalonego o kilkaset metrów, wciąż panowało wielkie zamieszanie i nikt nie patrzył w stronę rezydencji.

- To wariat - powiedział cicho Hughes do pułkownika. - Nienawidzi czarnych, a przynajmniej czarnych mężczyzn. Przy pierwszej nadarzącej się okazji zabije nas wszystkich.

Platt podszedł do Hughesa i uderzył go w tył głowy pięścią.

- Au!

- Nie mówiłem ci, żebyś się zamknął? Zaraz stracę do ciebie cierpliwość.

- Dlaczego ten granat nazywają tłuczkiem do kartofli? - spytała Joan, usiłując odwrócić uwagę Platta.

- Z powodu kształtu - odpowiedział. - Spójrz, wąska rączka, a tutaj szeroki. Można nim

rozgniać gotowane kartofle, o, tak.

Zademonstrował, jak należy to robić. - Widzisz?

Boże, naprawdę był szalony. Ten uśmieszek. I co to za paskudztwo, którym nasmarował sobie twarz i ręce? Nie sądził chyba, że ktoś go weźmie za tubylca. A może?

Godzina 2.20

- Randall, co oni robią? - spytał Fernandez.

- Cały czas posuwają się naprzód, sierżancie. Powoli, na pewno na piechotę.

Jechali ciężarówką z wyłączonymi światłami. Pojazd wpadał w każdą dziurę w nawierzchni drogi, a oni odbijali się jak piłeczki pingpongowe. Toni trzymała się jedną ręką drewnianej ramy, a drugą położyła na rękojeści *krisa*. Wsunęła go za pas, kiedy wsiadali do śmigłowca, ale w tej chwili nie potrafiłaby powiedzieć, czy sztylet przynosi im szczęście.

No, mogło być gorzej. Mogła już nie żyć.

- W tym samym kierunku, co przedtem?

- Tak.

- Butler, jedź tak, żebyśmy się znaleźli przed nimi, kilometr, może trochę mniej, i wyłącz silnik.

- Ma pan jakiś plan? - spytała Toni.

- Właściwie to nie. Ale odbiornik *GPS* pułkownika udaje się dokądś z prędkością pieszego. Jeśli *GPS* jest wciąż przypięty do pasa pułkownika, a pułkownik jest wolny, to prawdopodobnie chętnie skorzysta z pojazdu. A jeśli został pojmany i prowadzą go na egzekucję, to prawdopodobnie ucieszy się na nasz widok. Tak, czy inaczej, musimy wiedzieć, co się dzieje... Chwileczkę, ktoś mnie wywołuje. Słucham.

- Sierżancie, tu Martin. Zespół Beta jest na miejscu zbiórki... oprócz pułkownika Howarda i porucznik Winthrop.

- Ci się z nimi stało?

- Nie wiem, sierżancie. Weszli do pokoju tamtego klienta, po czym zrobiło się bardzo cicho. Słyszeliśmy, jak rozmawiają, ale przez zamknięte drzwi nie mogliśmy zrozumieć, co mówią. Po chwili pułkownik rozkazał nam, żebyśmy się wycofali.

- Podał powód?

- Nie. Powiedział tylko, że prowadzi jakieś negocjacje.

- Rozumiem, Martin. Uważajcie na siebie i czekajcie. Jedziemy po pułkownika i po panią porucznik. Gdyby się ktoś koło was kręcił, spróbujcie go zniechęcić.

- Zrozumiałem, sierżancie.

Fernandez miał wyraz zdziwienia na twarzy. - Nic z tego nie rozumiem.

- Kiedy znajdziemy Howarda, poprosimy o wyjaśnienia - powiedział Michaels.

Godzina 2.25

- Dokąd idziemy? - spytał Howard. Krzaki po obu stronach ścieżki były gęste, a powietrze wilgotne i gorące. Panowały takie ciemności, że nawet w świetle latarki ścieżkę znajdowało się z trudem.

- Już niedaleko - powiedział Platt. - Kilkaset metrów. Schowałem tam mój pojazd. Kiedy tam dotrzemy, Hughes poda mi numer konta, ja sprawdzę go za pomocą komputera i nasze drogi się rozejdą.

Platt spostrzegł, że Howard i Winthrop wymienili spojrzenia.

- Cóż, sądzę, że na waszym miejscu też bym nie ufał komuś takiemu, jak ja. Ale zabicie kogoś z was nic by mi nie dało. A wy też macie przecież broń, prawda? Dostaniecie swojego wielkiego złodzieja i odzyskacie większość pieniędzy, ja otrzymam to, co mi się należy i już mnie nie będzie. Nigdy więcej się nie zobaczymy. Powyłączam nawet moje małe niespodzianki, kiedy już będę bezpieczny. Czy to nie jest najlepsze wyjście dla nas wszystkich? Oczywiście z wyjątkiem tego starego tłuszciocha, ale przecież tak naprawdę wcale nas nie obchodzi, co on sobie myśli, czyż nie tak?

Howard nic nie powiedział. Pomyślał za to: Do cholery, Gridley, rusz tyłek! Już najwyższy czas!

Godzina 2.30

- Cholera! Nic z tego nie rozumiem - szepnął Michaels do Toni. - Ten w białej pizamie to

Hughes i jestem prawie pewien, że ten wysoki typ za nim, to Platt.

- Tak, a Howard i Joan trzymają w rękach broń, ale wydaje się, że to nie oni dowodzą.

- Bo ten wielki facet trzyma granat. Teraz rozumiecie? - powiedział Fernandez. - Prawdopodobnie już odbezpieczony. To on w tej chwili rządzi, a nasi nie mogą go stuknąć. Upadając, wypuściłby granat i bum! Jezu, ależ ciemno. Szkoda, że nie możemy użyć noktowizorów.

- A właściwie dlaczego nie? - spytał Michaels.

- Tamci świecą latarkami, idąc w naszą stronę. Błyski światła powodowałyby wyłączenie się naszych noktowizorów. Konieczne zabezpieczenie. W noktowizorze latarka przypomina słońce.

- Czyli mamy do czynienia z zakładnikami - powiedziała Toni. - Sierżancie, są przecież standardowe procedury operacyjne w takich sytuacjach, prawda?

- Tak, proszę pani, ale... żadna nie uwzględnia takich okoliczności, jak te tutaj: dżungla w obcym kraju, żołnierze nieprzyjaciela coraz bliżej, a nasze śmigłowce lada chwila startują. Standardowa procedura negocjowania w sprawie uwolnienia zakładników jest oparta na psychologii i wymaga czasu - godzin, dni. My nie mamy czasu.

Michaels, Toni i Fernandez znajdowali się w krzakach, w odległości pięćdziesięciu metrów od idącego w ich stronę kwartetu. Reszta Zespołu Alfa zaszła tę czwórkę od tyłu.

- Co robimy? - szepnęła Toni.

- Czekamy na sprzyjającą okazję - odpowiedział Fernandez. - Jeśli nie będzie innego wyjścia, położymy tego faceta z granatem i będziemy się modlić o jak najmniejsze ofiary.

- Howard i Winthrop są w kombinezonach. Jak wielkie niebezpieczeństwo im grozi?

- Niezbyt wielkie. Na pewno zostaliby trochę pokaleczeni, ale kombinezony powinny powstrzymać większość odłamków. Ale tego faceta w piżamie i tego wielkiego, ciemnoskórego, nic by nie uratowało.

Toni wzruszyła ramionami. - Niewielka strata, tyle że Hughes mógł na własną rękę podłożyć nam jakieś elektroniczne bomby. Nie możemy dopuścić, żeby zginął, zanim nie będziemy mieli pewności, że nic nam z jego strony nie grozi. Nie można też wykluczyć, że to Platt podkładał te bomby na jego zlecenie. Nie mogą zginąć obaj. Przynajmniej jednego z nich potrzebujemy żywego.

- Wszystko pięknie - powiedział Michaels - ale zegar cały czas tyka. Jeśli się stąd nie wyniesiemy, wszyscy zginieemy. - W tym momencie poczuł wibracyjny sygnał swego virgila.

Gridley. - Mamy je, szefie. Wszystkie, co do jednej.

- Dobra robota, Jay - powiedział Michaels. - I w samą porę. - Rozłączył się i powiódł wzrokiem dookoła. - Jay znalazł wszystkie pułapki zastawione przez Platta. Przygotować się. -

Zerwał się i wyskoczył z krzaków.

- Alex, nie...! - zawołała Toni.

Za późno.

- Stój, dupku! Ani kroku dalej! - krzyknął Michaels.

Za nim Fernandez powiedział do Toni: - Ja podejdem z prawej strony, a pani z lewej!

Czwórka idących ścieżką ludzi zatrzymała się.

- A kim ty, do diabła, jesteś? - spytał Platt. - Podejdz, zebym mógł cie... o, proszę! Szef Net Force we własnej osobie, tak? Co ty robisz tutaj w dżungli, urzędasie? Chcesz zobaczyć, jak się bawią prawdziwi mężczyźni?

Howard wykonał ruch, który już dawno zaplanował: rzucił się na Platta i chwycił w obie ręce dłoń trzymającą granat. - Strzelaj, Winthrop! Strzelaj!

Zaskoczona Joan uniosła pistolet i strzeliła, ale Platt chwycił pułkownika wolną ręką, obrócił go, jakby Howard był małym chłopcem, zasłonił się nim i kula Joan z charakterystycznym dźwiękiem odbiła się od kombinezonu *SIFE*.

Chwilę później rozległ się następny strzał, ale Michaels nie widział, czy ktoś został trafiony.

Jezu! Michaels wiedział, że dopóki cała czwórka kręci się w kółko, Toni i Fernandez nie mogą celnie strzelać. Nie sposób powiedzieć, kogo trafiłyby pociski, odbijające się rykoszetem od kombinezonów.

- Wstrzymać ogień! - krzyknął Fernandez. Najwidoczniej też zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

Wydarzenia zaczęły się toczyć jakby w zwolnionym tempie...

...Platt wyciągnął nóż zza pasa, szamocząc się z Howardem, który trzymał go za drugą rękę...

...Michaels ruszył do nich biegiem, ale miał wrażenie, że stopy grzęzną mu w błocie...

...Platt ciął pułkownika w ramię. Pojawiła się krew...

...Michaels dobiegł do szamoczących się mężczyzn, ale musiał odskoczyć, bo Platt, z uśmiechem na gębie, zamachnął się na niego nożem...

...Platt odwrócił się z powrotem do Howarda i przyłożył mu nóż do gardła w miejscu, którego nie chronił kombinezon...

- *Adios*, czarnuchu - powiedział Platt. Nawet nie podniósł przy tym głosu.

Michaels nie wyciągnął jeszcze pistoletu z kabury, a tylko on był dostatecznie blisko, żeby strzelić do Platta. Wyszarpnął broń i strzelił, nie mierząc; nie mógł chybić na taką odległość, ale Platt zorientował się w sytuacji, obrócił pułkownika i znów pocisk uderzył w kombinezon Howarda...

Cholera...!

- John!

...Michaels odwrócił się, zobaczył Toni. Rzuciła czymś w stronę Howarda...

...*kris*...

Platt instynktownie machnął ręką, żeby odtrącić nadlatujący przedmiot, nie trafił, ale przez chwilę nie trzymał noża na gardle Howarda...

...Howard puścił rękę, trzymającą granat, chwycił *krisa* w powietrzu, odwrócił się do Platta i pchnął w tym samym momencie, kiedy Platt...

...warknął, gdy jego nóż ześlizgnął się po kombinezonie Howarda...

...Czubek *krisa* wsunął się między żebra Platta... ostrze zagłębiło się w pierś aż po rękojeść...

...Platt jęknął, gwałtownie wypuścił powietrze z płuc, pchnął nożem ponownie, znów trafił w kombinezon... Ostrze trochę się nawet zagłębiło, ale pękło na pół.

- Kurwa - zaklął Platt. Upadł na kolana, pociągając Howarda za sobą. Pułkownik puścił rękojeść *krisa*.

Hughes wrzeszczał: - O Jezu! O Jezu! Nie strzelajcie do mnie! Proszę, nie strzelajcie!

Platt przewrócił się na bok, wypuszczając granat z ręki.

Granat!!!

Michaels odrzucił broń, zanurkował, zrobił przewrót, poderwał się z granatem w rękę i rzucił go między drzewa po lewej stronie. Miał nadzieję, że nie było tam żadnego z żołnierzy, że granat nie odbije się od pnia i nie wróci...

- Padnij! - krzyknął. - Padnij!

Rzucił się na ziemię.

Howard wciąż stał, wpatrując się w Platta.

Jeden... dwa... trzy...

Bum!

Granat wybuchł. Odłamki siekły po drzewach i krzakach, dziurawiąc liście i korę.

Michaelsa zapiekła ręka. Zmarszczył brwi. Co, u diabła...?

Minęła dłuższa chwila. Michaels miał wrażenie, że trwała całe tysiąclecie. Toni przypadła do niego i zorientował się, że wciąż żyje. W uszach mu dzwoniło.

Objął ją ramieniem i patrzył, jak z drugiego, rozdartego odłamkiem, cieknie krew. Nie bolało, ale miał wrażenie, że coś dużo tej krwi.

- Nie strzelać! - wybełkotał Hughes. Po twarzy spływały mu wielkie łzy.

- Zamknij się - powiedział Howard.

Hughes się zamknął.

Howard podszedł do Michaela i stanął koło niego, trzymając się za ramię, które również krwawiło. - Wszystko w porządku, dyrektorze?

- Tak. A u pana, pułkowniku?

- Teraz już tak. To miło, że zechciał pan tu wpaść.

- Byliśmy akurat w pobliżu.

Spojrzeli na Platta, który jeszcze oddychał. Platt wycharczał: - Cholera. Nie mogę w to uwierzyć. Czarnuch...

Howard się nie odezwał.

Platt wbił wzrok w Howarda. - Nienawidzę tego pieprzonego kraju - powiedział. - Żeby zginąć z ręki jakiegoś przeklętego czarnucha...

Były to jego ostatnie słowa.

Howard zapatrzył się na las. - Miał rację co do Ruskich.

- Nie rozumiem - powiedział Michaels.

- Później to panu wyjaśnię, dyrektorze.

Za nimi Joan Winthrop i Julio Fernandez mocno się do siebie przytulali.

- Cóż - powiedział Michaels - przykro mi, że muszę przerwać zabawę, ale naprawdę powinniśmy się stąd wynosić.

- Amen, dyrektorze, amen.

Michaels pochylił się i z pewnym trudem wyciągnął *krisa* z Platta. Wytarł ostrze o koszulę trupa i wręczył sztylet Toni. - Sądzę, że miałaś rację, Toni. Ten *kris* rzeczywiście przynosi szczęście.

- Ruszamy! Czeka na nas śmigłowiec!

EPILOG

Sobota, 22 stycznia 2011 roku, godzina 8.00

Waszyngton, Dystrykt Columbia

Michaels powoli budził się we własnym łóżku. Przekręcił się z prawego boku na plecy. Lewa ręka wciąż mu trochę dokuczała, ale lekarz użył organicznego kleju do tkanek i piętnastocentymetrowa rana była teraz zaledwie cienką linią, po której - jak twierdził - pozostanie tylko nieznaczna blizna. Pocieszała go, że będzie miał o czym mówić na przyjęciach. Nie każdemu zdarza się omal nie zginąć od zabytkowego granatu ręcznego.

Powrót z Gwinei Bissau minął bez większych wrażeń. Do chwili, kiedy śmigłowce wystartowały, miejscowi w ogóle nie pojawili się w pobliżu. Lot do Banjul był zupełnie spokojny. Prawda, że dyrektor FBI nie był zachwycony tą operacją, ale nikt w Gwinei Bissau nie zamierzał składać skargi, skoro to ich prezydent dostał sto milionów dolarów ze skradzionych pieniędzy. Dyrektor FBI powiedział, że być może pozwoli mu się nawet zatrzymać te pieniądze. Może warto mieć tam prezydenta ze zobowiązaniami wobec Stanów Zjednoczonych, z uwagi na niestabilną sytuację polityczną w tym afrykańskim kraju. Lepiej, żeby poczuwał się do długu wdzięczności, gdyby zaszła potrzeba zwrócenia się do niego o jakąś przysługę. Ale oczywiście leżało to w gestii Departamentu Stanu.

W ostatecznym rozrachunku dyrektor nie był więc zanadto oburzony. A w FBI i w Net Force wszyscy byli szczęśliwi z powodu ciszy, jaka nagle zapanowała w biurze senatora Roberta White'a, kiedy jego szef kancelarii został oskarżony o te wszystkie straszne zbrodnie. White był zbyt bogaty, żeby podejrzewano go o udział w przestępczym planie Hughesa, ale kamizelka senatora nie była już tak śnieżnobiała. Nie wykluczano nawet, że White przepadnie w najbliższych wyborach. Przyjemna perspektywa.

Nad raną pułkownika Howarda lekarze musieli trochę popracować, ale zapewniali, że ręka się zgoi i będzie prawie jak nowa. Przy okazji okazało się, że jakiś czas temu pułkownik złapał gdzieś rzadką infekcję bakteryjną, która ostatnio dawała mu się we znaki. Nie wykryto jej podczas pierwszego badania, ale teraz nie uszła uwagi lekarzy, którzy zajmowali się raną od noża. Kiedy już diagnoza została postawiona, lekarze zaczęli podawać antybiotyki i Howard był zachwycony, kiedy dowiedział się, że za kilka tygodni będzie zdrow i że poczuje się znacznie zwawiej. Michaels uważał

zresztą, że to akurat niezbyt było pułkownikowi potrzebne - sprawiał wrażenie bardzo zwawego, kiedy szamotał się z tamtym socjopatycznym, rasistowskim kulturystą.

Tak więc, mimo paru drobnych problemów, ostatecznie wszystko skończyło się całkiem dobrze...

- Alex?

Otworzył oczy. Toni, naga i cudownie piękna, stała przy łóżku, uśmiechając się do niego promiennie. - Tak?

- Chcesz kawy? Chętnie zaparzę.

Uśmiechnął się do niej. - Może później - powiedział. - Nie kawa mi w tej chwili w głowie.

- O? A co takiego?

- Chodź tu, to ci pokażę.

Zrobiła, jak prosił, a on spełnił obietnicę.

Też całkiem nieźle wyszło.

Kawy napili się dopiero w południe.

KONIEC

* Louis Dembitz Brandeis (1856-1941), sędzia Sądu Najwyższego USA, wybitny teoretyk prawa [przyp. tłum.].

* *Bureau of Alcohol, Tobacco and Firearms* - dysponująca uprawnieniami policyjnymi agencja federalna kontrolująca obrót wyrobami alkoholowymi, tytoniowymi i bronią palną [przyp. tłum.].

* *Virtual Reality* - rzeczywistość wirtualna [przyp. tłum.].

* Określenie serwera, który - usuwając dane nadawcy - umożliwia zachowanie anonimowości użytkownikom sieci [przyp. tłum.].

* *Massachusetts Institute of Technology*, słynna amerykańska uczelnia politechniczna [przyp. tłum.].

* *California Institute of Technology* [przyp. tłum.].

* ISDN - *Inegrated Services Digital Network* - cyfrowa sieć usług zintegrowanych - cyfrowa usługa

oferowana przez sieci telefoniczne, która umożliwia jednocześnie prowadzenie rozmów i przesyłanie danych komputerowych [przyp. tłum.].

* DL - *Dedicated Line* - linia dedykowana - specjalne łącze do szybkiej transmisji danych [przyp. tłum.].

* *Global Positioning System* - system nawigacji satelitarnej [przyp. tłum.].

* Mieszanka portugalskiego i języków Afryki Zachodniej [przyp. tłum.].

* Hawajskie powitanie i pożegnanie [przyp. tłum.].

* Format plików graficznych, JPEG [przyp. tłum.].

* Oprogramowanie do odtwarzania produktów multimedialnych [przyp. tłum.].

* Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles [przyp. tłum.].

* Marka superkomputerów [przyp. tłum.].

* *National Security Agency* - Agencja Bezpieczeństwa Narodowego [przyp. red.].

* *Drug Enforcement Agency* - dysponująca uprawnieniami policyjnymi federalna agencja do walki z handlem narkotykami [przyp. tłum.].

* Telewizja kablowa, zajmująca się głównie sprawami publicznymi, takimi jak obrady amerykańskiego parlamentu czy przesłuchania w Kongresie, a także tematyką kulturalną i społeczną [przyp. tłum.].

* *Nuclear Regulatory Commission* - Komisja Nadzoru Nuklearnego [przyp. tłum.].

* (ang.) Smażone Skarpetki [przyp. tłum.].

* (ang.) Wyzwolony Seks [przyp. tłum.].

* Zabójca Makbeta [przyp. red.].

* BBS - *bulletin-board service* - elektroniczny biuletyn informacyjny [przyp. tłum.].

* Programy, przeglądające witryny i grupy dyskusyjne w poszukiwaniu konkretnych informacji i indeksujące je automatycznie w bazie danych [przyp. tłum.].

* *Squealer* - program informujący o odebraniu e-maila [przyp. tłum.].

* *Magnetic Resonance Imaging* - obrazowanie na podstawie rezonansu magnetycznego [przyp. tłum.].

tłum.].

* *Magnetic Encephalogram* - encefalografia magnetyczna [przyp. tłum.].

* Mięśnie czworoboczne [przyp. tłum.].

* Mięsień najszerszy grzbietu [przyp. tłum.].

* Brytyjskie rządy kolonialne w Indiach [przyp. tłum.].

* Pomieszczenie lub pojemnik, w którym przechowuje się cygara i tytoń, zapewniające im odpowiednią wilgotność [przyp. tłum.].

* Japońska nazwa ideogramów, przejętych przez Japonię od Chin [przyp. tłum.].

* Japońska potrawa - smażone na grillu mięso w marynacie z sosu sojowego, cukru i wina ryżowego [przyp. tłum.].

* Kapitan Meriwether Lewis i porucznik William Clark dowodzili w latach 1804-1806 pierwszą amerykańską wyprawą lądową na wybrzeże Pacyfiku i z powrotem [przyp. tłum.].

* Legendarny drwal amerykański, bohater wielu opowieści i utworów literackich, symbol siły i witalności [przyp. tłum.].

* Sieć Północnoamerykańska [przyp. tłum.].

* Urządzenie łączące sieci komputerowe, które pozwala wybrać trasę pakietu informacji [przyp. tłum.].

* W tym wypadku „duch” jest kopią jakiegoś programu w pamięci operacyjnej komputera [przyp. tłum.].

* Kaliber wagomiarowy 12 odpowiada średnicy lufy nieco ponad 18 mm [przyp. tłum.].

* (ang.) Zamiatacz Ulic [przyp. tłum.].

* Kawałki marynowanego, ostro przyprawionego mięsa, nadziane na drewnianą szpilę i smażone na grillu; podaje się z sosem z orzeszków ziemnych [przyp. tłum.].

* Postać w rzeczywistości wirtualnej [przyp. tłum.].

* *Internal Revenue Service* - amerykańska policja podatkowa [przyp. tłum.].

* 21 lipca 1861, bitwa pod Manassas w Wirginii, nad strumieniem Bull Run, określana przez Południowców jako „Pierwsze Manassas”; także druga bitwa nad Bull Run, stoczona ponad rok

później, 29-30 sierpnia 1862, zapewniła przewagę konfederatom [przyp. tłum.].

* Kolejna bitwa w amerykańskiej wojnie secesyjnej, 8 października 1862 roku [przyp. tłum.].